

CECELIA AHERN
GDYBYŚ MNIE
TERAZ ZOBACZYŁ

*Ogromne podziękowania za wszystko
dla całej mojej rodziny: Mimmie, Taty,
Georginy i Nicky – nie mogłabym o nich zapomnieć,
nawet gdybym chciała. Davidowi, który robi
najlepszą kawę wokolicy – dziękuję za opiekę
i za niewzruszoną wiarę wksiążkę.
Wyrazy niezmierniej wdzięczności dla mojej wspianiałej
agentki Marianne za nieustanne zachęcanie mnie
do pisania, za ciepłe bułeczki, herbatę i dobre rady.
Również dla Pat i Vicki z wiadomej agencji
za zaopiekowanie się wiadomą sprawą.
Dziękuję Lynne i Maxine oraz wszystkim pracownikom
HarperCollins za wiarę we mnie i za ich ciężką pracę.
Wszystkim moim Czytelnikom, starym i nowym,
mam nadzieję, ta książka spodoba się Wam tak bardzo,
jak mnie. Pracowałam nad nią z prawdziwą radością.
Najważniejsze podziękowania składam Ivanowi,
za to, że zawsze towarzyszył mi wmoim gabinecie.
Jak sądzisz, uwierzą wnaszą historię?
Dla Georginy, która wierzy...*

1

Najlepszym przyjacielem Luke'a zostałem pewnego piątkowego poranka, w czerwcu. Dokładnie kwadrans po dziewiątej. Pamiętam godzinę, ponieważ spojrziałem wtedy na zegarek. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ponieważ nie byłem nigdzie umówiony. Wierzę jednak, że wszystko ma swój cel, więc być może sprawdziłem wtedy godzinę, żeby teraz móc opowiedzieć wam tę historię ze szczegółami. Szczegóły są przecież bardzo ważne, prawda?

Tamtego poranka ucieszyłem się z poznania Luke'a, ponieważ byłem nieco przygnębiony z powodu pożegnania się z moim poprzednim przyjacielem, Barrym.

Nie mógł mnie już dłużej widywać, ale to nie szkodzi. Wiem, że jest teraz szczęśliwszym człowiekiem, a to przecież najważniejsze. Pozostawianie przyjaciół

samym sobie jest częścią mojej pracy – niezbyt przyjemną, ale uważam, że we wszystkim należy doszukiwać się pozytywów. Przecież gdybym nie zostawiał starych przyjaciół, nigdy nie poznawałbym nowych, a to ostatnie jest zdecydowanie moim ulubionym zajęciem. Dlatego też zapewne zaoferowano mi posadę w mojej firmie.

O tym, co robię, nieco później – najpierw chciałbym dokończyć opowieść o tamtym poranku, kiedy poznałem swojego nowego przyjaciela Luke'a.

Zamknąłem za sobą bramę prowadzącą do ogrodu Barry'ego i ruszyłem przed siebie. Bez żadnego powodu skręciłem w pierwszą ulicę w lewo, potem w prawo i znów w lewo. Wędrowałem przez jakiś czas prosto, a potem skręciłem jeszcze raz w prawo i wyłądownałem w pobliżu grupki domów na Fuchsia Lane. Przypuszczam, że nazwa owego zaułka pochodziła od fuksji rosnących w każdym ogrodzie. Tutaj to dzikie kwiaty.

Przepraszam, kiedy mówię „tutaj”, mam na myśli Baile na gCroithe, czyli miasto w hrabstwie Kerry, w Irlandii. W ciągu stuleci stało się znane wśród Anglików jako Hartstown, ale celtycka nazwa oznacza Miasto Serc. Uważam, że jest dużo ładniejsza.

Ucieszyłem się, że znowu tutaj trafiłem. Pracowałem w tym miasteczku na samym początku kariery, ale było to już bardzo dawno temu. Mój zawód wymaga podróży po całym kraju, czasem nawet za granicę lub na inne kontynenty, jeżeli moi przyjaciele wyjeżdżają na wakacje i decydują się zabrać mnie ze sobą. Bo gdziekolwiek są, zawsze chcą mieć przy sobie najlepszego przyjaciela.

Przy Fuchsia Lane stało dwanaście różnych domów, sześć po każdej stronie uliczki. Na dworze znajdowało się mnóstwo ludzi. Pamiętając, był to piątkowy poranek, czerwiec, a więc ulica skąpana była w słońcu i wszyscy byli w wyśmienitych humorach. No, może nie wszyscy.

Na ulicy bawiły się dzieci, jeździły na rowerach, grały w berka, w klasy, w kapsle i robiły wiele innych przyjemnych rzeczy. Wydawały radosne okrzyki i śmiały się w głos. Cieszyły się, że mają wakacje. Mimo że wszystkie dzieci były bardzo miłe, jakoś mnie do nich nie ciągnęło. Nie potrafię się zaprzyjaźnić z kimkolwiek.

Nie na tym polega moja praca.

Przed jednym z domów mężczyzna kosił trawnik, zaś kobieta w ubłoconych rękawiczkach zajmowała się rabatką. Zapach świeżo skoszonej trawy i odgłosy przycinania, przystrzygania i oskubywania były niczym muzyka życia. W ogrodzie obok inny mężczyzna mył samochód.

Pogwizdując pod nosem melodię, której nie znałem, kierował na karoserię silny strumień wody z gumowego węża i przyglądał się z zadowoleniem, jak płaty piany spływają w dół po lśniącym czystością lakierze.

Od czasu do czasu odwracał się i polewał wodą dwie małe dziewczynki ubrane w żółte kostiumy kąpielowe w czarne paski. Bardzo mi się podobało, kiedy chichotały radośnie, moknąc w deszczu z gumowego węża. Na następnym podjeździe dziewczynka i chłopiec grali w klasy. Przyglądałem się im przez chwilę, ale żadne z nich na mnie nie zareagowało, więc poszedłem dalej.

W każdym ogrodzie bawiły się dzieci, ale nie widziały mnie ani nie zapraszały do wspólnej zabawy. Mijali mnie ludzie na rowerach, deskorolkach, zdalnie sterowane samochody przejeżdżały z wizgiem obok moich stóp. Nikt mnie nie dostrzegł i zacząłem podejrzewać, że moje pojawienie się na Fuchsia Lane to pomyłka. Zdziwiłem się nieco, ponieważ zazwyczaj dobrze wybierałem miejsca, a tutaj było bardzo dużo dzieci. Przycupnąłem na murku otaczającym ogród przed ostatnim domem i zacząłem się zastanawiać, w którym momencie mogłem pomylić drogę.

Po kilku minutach doszedłem do wniosku, że jednak znalazłem się we właściwym miejscu. Bardzo rzadko gubię drogę. Odwróciłem się i spojrzałem na dom, przy którym się zatrzymałem. Ogród był pusty, więc zacząłem się uważnie przyglądać budynkowi. Był piętrowy, z wybudowanym z boku garażem, przed którym stał drogi samochód, połyskując w słońcu karoserią. Na murku otaczającym posesję widniała tabliczka z napisem: Dom Fuksji. Rzeczywiście, fuksje były tu wszędzie, pięły się po ścianie, wczepiając w brązowe cegły nad drzwiami i sięgając stamtąd do samego dachu. Był to piękny widok. Część domu była pomalowana na miodowy kolor, w innych miejscach widniały brązowe cegły. Niektóre okna miały kształt kwadratu, inne koła. Naprawdę, ten dom wydał mi się niezwykle. Drzwi w kolorze fuksji miały dwa podłużne okienka z matowym szkłem w górnych panelach, na środku ogromną kołatkę, a poniżej skrzynkę na listy. Wyglądały jak twarz z wielkimi oczami, nosem i uśmiechającymi się do mnie ustami. Pomachałem i uśmiechnąłem się w odpowiedzi. W końcu kto to wie?

W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły, a potem gniewnie zostały zatrzęsnięte przez chłopca, który trzymał pod prawą pachą ogromny czerwony model wozu strażackiego, w lewej zaś dłoni samochód policyjny. Uwielbiam wozy strażackie. To moje ulubione samochody.

Chłopiec zeskoczył z najwyższego stopnia schodów prowadzących na ganek, pobiegł na trawę i upadł na kolana. Na nogawkach czarnych dresów miał mnóstwo zielonych śladów po trawie, co bardzo mnie rozśmieszyło. Plamy po trawie są zabawne, ponieważ nigdy nie schodzą w praniu. Razem z moim starym przyjacielem Barrym często ślizgaliśmy się po świeżej trawie.

Mały chłopiec bawiący się w ogrodzie Domu Fuksji zaczął zderzać ze sobą oba samochody, wydając przy tym odpowiednie dźwięki naśladujące kolizję. Był w tym naprawdę dobry. Bawiliśmy się kiedyś w podobny sposób z Barrym. Bardzo fajnie jest udawać, że robi się rzeczy, które zazwyczaj nie zdarzają się w prawdziwym życiu.

Chłopiec uderzył samochodem policyjnym w wóz strażacki z taką siłą, że dowódca strażaków zleciał z drabiny i upadł na trawę. Roześmiałem się na głos, a chłopiec podniósł głowę i spojrzał na mnie.

Naprawdę. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Hej – chrząknąłem nerwowo i przestąpiłem z nogi na nogę. Miałem na sobie moje ulubione błękitne tenisówki Converse. Ich podeszwy nadal nosiły ślady po trawie z czasów mojej znajomości z Barrym. Zacząłem wycierać buty o kamienny murek, żeby je nieco oczyścić. Jednocześnie zastanawiałem się nad tym, co powiedzieć. Bardzo lubię poznawać nowych przyjaciół, ale w decydującej chwili zawsze się denerwuję. Przecież może się zdarzyć, że ktoś mnie nie polubi. Na samą myśl o tym ścisną mnie w dołku. Do tej pory miałem dużo szczęścia, ale przecież nie musi tak być zawsze.

– Hej – odparł chłopiec, mocując z powrotem strażaka na wozie.

– Jak masz na imię? – spytałem, nadal czyszcząc tenisówki. Ślady po trawie oczywiście nie chciały zniknąć.

Chłopiec przyglądał mi się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć na moje pytanie. Tego właśnie szczerze nie cierpię w mojej pracy. To bardzo niemiłe, kiedy pragnie się zaprzyjaźnić z kimś, kto nie ma na to ochoty.

Czasami się to zdarza, ale ostatecznie wszyscy dają się przekonać, bo świadomie lub nieświadomie chcą, żebym był w pobliżu.

Chłopiec miał bardzo jasne włosy i wielkie niebieskie oczy. Jego twarz wydała mi się znajoma, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd.

– Mam na imię Luke – odezwał się wreszcie. – A ty?

Wepchnąłem dłonie do kieszeni spodni i skoncentrowałem się na kopaniu prawą nogą murku. Cegły kruszyły się i ich odłamki spadały na chodnik.

– Ivan – odparłem, nie patrząc na chłopca.

– Cześć, Ivan – uśmiechnął się. Nie miał przednich zębów.

– Cześć, Luke – odpowiedziałem. To był dobry początek. – Podoba mi się twój wóz straży ogniowej. Mój przy... mój były przyjaciel Barry też taki miał i cały czas się nim bawiliśmy. Szkoda tylko, że nie może wjeżdżać w ogień, bo się topi – stwierdziłem, nadal trzymając ręce w kieszeni.

Zgarbione ramiona częściowo zasłaniały mi uszy. Trochę gorzej przez to słyszałem, więc w końcu wyprostowałem się, żeby lepiej docierały do mnie słowa Luke'a.

– Próbowaliście wjechać wozem strażackim w ogień? – Luke zaczął tarzać się po trawie ze śmiechu.

– W końcu przecież to wóz straży ogniowej, co nie? – odparłem.

Luke przekręcił się na plecy i zaczął kopać nogami powietrze.

– Nie, ty głupku! Wozy strażackie służą do gaszenia ognia! – zarechotał.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Hmm. No tak. Powiem ci, co może zgasić wóz strażacki, Luke – odparłem. –

Woda.

Luke klepnął się w czoło.

– Nie mów! – wykrzyknął, zrobił zeza i znowu rzucił się na trawę.

Roześmiałem się. Luke był naprawdę zabawny.

– Chcesz się ze mną pobawić? – uniósł pytająco brwi.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Jasne! – zawołałem i przeskoczyłem przez murek.

– Ile ty masz lat? – Luke przyjrzał mi się podejrzliwie. – Wyglądasz tak samo staro jak moja ciocia – zmarszczył brwi. – Ona wcale nie lubi się bawić wozem strażackim.

Wzruszyłem ramionami.

– W takim razie twoja ciocia to stara nudna araidun!

– Araidun?! – wykrzyknął zdumiony Luke. – Co to jest araidun?

– Nudziara – odparłem, zatykając nos i wypowiadając to słowo w taki sposób, jakby śmierdziało. Lubilem mówić wspak. To zupełnie jak wymyślanie własnego języka.

– Nudziara – powtórzył Luke i też zatkał nos. – Łeee!

– A ty, ile masz lat? – spytałem Luke'a, zderzając samochód policyjny z wozem strażackim. Szef strażaków znowu odpadł od drabiny. – Wyglądasz tak samo staro jak moja ciocia – dodałem oskarżycielsko. Luke zaczął turlać się ze śmiechu.

– Mam tylko sześć lat, Ivan, i nie jestem dziewczyną!

– Och – tak naprawdę wcale nie mam cioci, ale powiedziałem tak, żeby go rozśmieszyć. – Sześć lat to wcale nie tak mało.

Właśnie miałem zapytać go, jaką kreskówkę lubi najbardziej, kiedy drzwi do domu otworzyły się i usłyszałem wrzask. Luke zbladł, ja zaś podążyłem za jego wzrokiem.

– SAOIRSE, ODDAJ MI KLUCZYKI! – krzyknął ktoś rozpaczliwie. Z domu

wybiegła zagniewana kobieta z długimi, rudymi, przetłuszczonymi włosami, zwisającymi w strąkach z obu stron twarzy. Kolejny wrzask dobiegający z głębi domu sprawił, że potknęła się na schodku. Przekląła głośno i oparła się o ścianę dla złapania równowagi. Spojrzała przed siebie, prosto na nas. Jej usta rozszerzyły się w uśmiechu, odsłaniając rząd krzywych, pożółkłych zębów. Cofnąłem się nieco i zauważyłem, że Luke zrobił to samo. Kobieta pokazała mu uniesiony do góry kciuk.

– Na razie, mały – zaskrzeczała. Odepchnęła się od ściany, lekko zachwiała i szybkim krokiem ruszyła w stronę zaparkowanego na podjeździe samochodu.

– SAOIRSE! – wrzasnęła piskliwie kobieta w głębi domu. – JEŻELI

DOTKNIESZ DRZWI SAMOCHODU, ZADZWONIĘ DO GARDA[1]!

Rudowłosa prychnęła i nacisnęła pilot. Samochód pisnął i zamrugał światłami.

Kobieta otworzyła drzwi, wdrapała się do środka, uderzając się przy tym w głowę, znowu zakląła głośno i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z naszego końca ogrodu słyszałem, jak zabezpiecza od wewnątrz zamki. Kilkoro dzieci na ulicy przerwało zabawę i przyglądało się scenie rozgrywającej się przed ich oczami.

Wreszcie z domu wynurzyła się właścicielka piskliwego głosu. Wybiegła z telefonem w rękę. Wyglądała zupełnie inaczej niż ta pierwsza pani. Włosy miała schludnie związane w kok z tyłu głowy. Ubrana była w eleganckie szare spodnie, które zupełnie nie pasowało do piskliwego, niekontrolowanego głosu. Ona również była czerwona ze zdenerwowania i z trudem oddychała. Jej pierś falowała gwałtownie, gdy biegła w kierunku samochodu najszybciej jak mogła w butach na wysokich obcasach. Dopadła wreszcie drzwi i próbowała je otworzyć. Kiedy zorientowała się, że są zablokowane, zagroziła, że skontaktuje się z policją.

– Dzwonię na policję, Saoirse – ostrzegła, machając telefonem tuż przed przednią szybą samochodu.

Rudowłosa tylko wyszczerzyła zęby w uśmiechu i włączyła silnik. Kobieta z telefonem zaczęła błagać ją łamiącym się głosem, żeby wysiadła z wozu.

Przestępowała z nogi na nogę. Wyglądała jak ktoś, kto gotuje się we własnym ciele i za wszelką cenę chce się z niego wydostać, zupełnie jak

Hulk.

Samochód ruszył ostro w dół podjazdu. W połowie drogi zwolnił. Kobieta z telefonem chyba poczuła ulgę, bo jej ramiona rozluźniły się nieco. Zamiast jednak zatrzymać się, samochód nadal sunął powoli do tyłu. Przez okno od strony kierowcy Saoirse wystawiła dłoń z wyprostowanym środkowym palcem, tak żeby wszyscy sąsiedzi zobaczyli jej gest.

– E tam, niedługo wróci – stwierdziłem. Luke spojrzał na mnie dziwnie.

Kobieta z telefonem obserwowała przerażona, jak samochód odjeżdża, o mały włos nie potrącając przy tym jedno z bawiących się na ulicy dzieci. Z jej ciasnego koka wysunęło się kilka pasemek, jakby chciały pofrunąć w pogoni za znikającym wozem.

Luke opuścił głowę i w milczeniu zainstalował strażaka z powrotem na drabinie. Kobieta z telefonem wydała rozpaczliwy pisk, wyrzuciła ramiona w górę i obróciła się na pięcie. Rozległ się trzask, gdy jeden z obcasów jej buta zablokował się w szczelinie pomiędzy kostkami bruku i nadłamał się. Kobieta szarpnęła kilka razy nogą i but oderwał się wreszcie od obcasa, który pozostał między kamieniami.

– CHOLERA JASSSSSNA! – wrzasnęła i pokulała do domu. Drzwi w kolorze fukcji zamknęły się za nią z trzaskiem. Okna, kołatka i skrzynka na listy znowu się do mnie uśmiechnęły. Ja do nich też.

– Do kogo się uśmiechasz? – Luke był wyraźnie niezadowolony.

– Do drzwi – wyjaśniłem, chociaż przecież było to oczywiste.

Luke jednak wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Był tak zafrapowany moją dziwną odpowiedzią, że zapomniał o tym, co się tu przed chwilą rozegrało.

Zajrzeliśmy przez okno do wnętrza domu, gdzie kobieta z telefonem przemierzała raz po raz korytarz.

– Kim ona jest? – spytałem.

Luke wydawał się wyraźnie wstrząśnięty pytaniem.

– To moja ciocia – odparł szeptem. – Opiekuje się mną.

– Ach tak. A ta kobieta w samochodzie?

Luke powoli prowadził wóz strażacki przez trawę, miażdżąc kołami kolejne żdzbla.

– Ona? To Saoirse – powiedział cicho. – Moja mama.

– Aha – zapadła cisza. Wiedziałem, że Luke jest smutny. – Seersza –

powtórzyłem jej imię. Podobało mi się jego brzmienie. Było jak podmuch wiatru, jak mowa drzew w wietrzne dni. – Seeeeerszzzzzzzzza... – przerwałem, bo Luke zaczął mi się dziwnie przyglądać.

Zerwałem rosnący na trawniku jaskier i podetknąłem go pod brodę chłopca.

Jego skórę rozświetliła delikatna żółta poświata.

– Dobrze ci w żółtym – powiedziałem. – Czyli Saoirse nie jest twoją dziewczyną?

Twarz Luke'a rozpromieniła się w uśmiechu. Zachichotał, choć już nie tak radośnie.

– Kto to jest ten Barry, o którym mówiłeś? – spytał, wjeżdżając wóz strażackim w mój samochód policyjny mocniej niż przedtem.

– Barry McDonald – uśmiechnąłem się na wspomnienie zabaw z moim byłym przyjacielem.

Oczy Luke'a rozjaśniły się.

– Barry McDonald chodzi ze mną do jednej klasy!

Wtedy zrozumiałem.

– Wiedziałem, że skądś cię znam, Luke. Widywałem cię codziennie, kiedy chodziłem do szkoły z Barrym.

– Chodziłeś do szkoły z Barrym? – spytał zaskoczony.

– Tak. Było bardzo zabawnie – roześmiałem się.

Oczy Luke'a zwięzły się w szparki.

– Ale ja ciebie nigdy nie widziałem – powiedział.

Zacząłem się głośno śmiać.

– Oczywiście, że mnie nie widziałeś, ty głupku – odparłem po prostu.

2

Serce Elizabeth waliło w piersi, gdy już w nowych butach, przemierzała korytarz wyłożony klonowymi klepkami. Ścisnęła mocno telefon między uchem a ramieniem, słuchała głośnych dźwięków sygnału połączenia, a w jej głowie kłębiły się setki myśli.

Przystanąła, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i rozwarła z przerażenia ciemne oczy. Rzadko pozwalala sobie na tak beładny wygląd. *Zupełnie straciłam kontrolę nad sytuacją.* Pasemka czekoladowobrązowych włosów wysunęły się z ciasnego warkocza, ułożonego w kok i Elizabeth wyglądała, jakby ktoś na chwilę podłączył ją do gniazdka elektrycznego. Rozmazany tusz do rzęs wbił się w kurze łapki w kącikach oczu, szminka znikła z ust, pozostawiając zarys konturówki, podkład zaś utrzymał się jedynie na suchych fragmentach oliwkowej skóry.

Nienaganny wygląd Elizabeth znikł niczym sen złoty. Serce zaczęło walić, zwiastując atak paniki.

Oddychaj, Elizabeth, oddychaj, powtarzała w myślach. Przyglądała drżącą dłonią potargane włosy, wytarła tusz zwilżonym palcem, poprawiła szminkę, wygładziła spodniom i chrząknęła. To tylko chwilowa utrata koncentracji, nic więcej.

Nie dopuści, żeby coś takiego znów się wydarzyło.

Przyłożyła telefon do lewego ucha i tak mocno ścisnęła słuchawkę, że na jej szyi odcisnął się kolczyk Claddagh. Wreszcie ktoś odebrał.

Elizabeth odwróciła się od lustra i skoncentrowała na telefonie.

– Dzień dobry, Baile na gCroíthe, posterunek policji.

Elizabeth skrzywiła się, rozpoznając głos rozmówcy.

– Witaj, Marie, dzwoni Elizabeth... znowu. Saoirse uciekła i zabrała samochód. Znowu.

Usłyszała ciche westchnięcie.

– Jak dawno?

Elizabeth przycupnęła na schodach prowadzących na piętro i przygotowała się na zwyczajową serię pytań. Zamknęła na chwilę oczy, żeby dać im odpocząć, ale przyjemność z wizualnego odcięcia się od świata była tak wielka, że postanowiła ich nie otwierać.

– Pięć minut temu.

– Rozumiem. Powiedziała, gdzie się wybiera?

– Na księżyc – odparła Elizabeth zgodnie z prawdą.

– Słucham?

– Tak. – Elizabeth poczuła irytację. – Może zaczniecie szukać jej na autostradzie. Wyobrażam sobie, że jeśli ktoś wybiera się na księżyc, autostradą powinno być najszybciej, nie sądzisz? Chociaż nie jestem pewna, w którym miejscu miałyby z niej zjechać. Przypuszczam, że gdzieś na północy. Może pojechała w kierunku północno-wschodniego Dublina, ale kto wie, równie dobrze może być w drodze do Cork. Może gdzieś tam mają samolot, który zabierze ją z tej planety? W

każdym razie, na waszym miejscu sprawdziłabym auto...

– Uspokój się, Elizabeth. Wiesz, że muszę zadać te pytania.

– Wiem. – Elizabeth bardzo chciała pójść za radą policjantki. Problem w tym, że w tej właśnie chwili odbywało się bardzo ważne spotkanie, na którym powinna być. Spotkanie istotne dla jej kariery projektantki wnętrz. Specjalnie z tej okazji załatwiła opiekunkę dla Luke'a, w zastępstwie za jego nianię, Edith, która wyjechała kilka tygodni temu na trzymiesięczne wakacje na antypody. Przez ostatnie sześć lat odgrażała się, że to zrobi. Nowa opiekunka nie była przyzwyczajona do zachowania Saoirse. Zadzwoiła do Elizabeth w panice... znowu... i Elizabeth musiała rzucić wszystko... znowu... i pędzić do domu... znowu.

Nieustannie dziwiła się, że Edith codziennie pojawiała się w pracy –

oczywiście z wyjątkiem niedawnej wycieczki do Australii. Pomagała Elizabeth zajmować się Lukiem przez sześć dramatycznych lat. Mimo to Elizabeth się w każdej chwili oczekiwała telefonu lub listu oznajmającego, że Edith rezygnuje z pracy.

Bycie nianią Luke'a nie było proste. Podobnie jak bycie jego adopcyjnym rodzicem.

– Elizabeth, jesteś tam jeszcze?

– Tak – otworzyła oczy. Traciła koncentrację. – Przepraszam. Co mówiłaś?

– Pytałam, który samochód zabrała.

Elizabeth wyróciła oczami i wykrzywiła się do słuchawki.

– Ten sam, Marie! Ten sam cholerny samochód, co w zeszłym tygodniu i poprzednim, i jeszcze poprzednim – rzuciła ostro.

– Czyli? – Marie pozostała niewzruszona.

– Bmw. Ta sama cholerna czarna bmka 330, kabriolet. Cztery koła, dwoje drzwi, jedna kierownica, dwa lusterka boczne, światła i...

– Tak, tak, wiem – przerwała Marie. – W jakim była stanie?

– Lśniła czystością. Dopiero co ją umyłam – odparła złośliwie Elizabeth.

– Cieszę się. A w jakim stanie była Saoirse?

– W zwykłym.

– Pod wpływem używek?

– Otóż to. – Elizabeth wstała i poszła do rozświetlonej słońcem kuchni. Obcasy zastukały głośno o marmurową podłogę, niosąc się echem w przestronnym, niemal pustym pomieszczeniu.

Wszystko było na miejscu. Promienie słońca wpadały do środka przez szyby konserwatorium, ogrzewając wnętrze. Elizabeth zmrużyła zmęczone oczy.

Pomieszczenie lśniło czystością, blaty z czarnego granitu były idealnie wysprzątane, chromowana armatura odbijała jasne światło dnia. Jej kryjówka z nierdzewnej stali i drewna orzechowego.

Elizabeth podeszła prosto do ekspresu do kawy, jej wybawiciela. Była wyczerpana i potrzebowała zastrzyku energii. Otworzyła szafkę i

wyciągnęła małą beżową filiżankę. Zanim włączyła ekspres, przesunęła ją tak, że jej uszko znalazło się po prawej stronie, tak jak uchwyt filtra. Sięgnęła do długiej stalowej szuflady na sztucce, zauważyła nóż leżący razem z widelcami, przełożyła go na miejsce, wyciągnęła łyżeczkę do kawy i zamknęła szufladę.

Kątem oka zauważyła ściereczkę zwisającą krzywo z uchwytu kuchenki.

Chwyciła ją i wrzuciła do kosza w pomieszczeniu gospodarczym. Ze sterty świeżo upranych, wyprasowanych i ładnie poskładanych rzeczy wyciągnęła nową ściereczkę, złożyła ją pieczołowicie na pół i powiesiła na uchwycie kuchenki.

Wszystko miało swoje miejsce.

– Nie zmieniałam ostatnio numerów rejestracyjnych, więc tak, nadal są te same

– odpowiedziała ze znużeniem na kolejne bezsensowne pytanie policjantki. Postawiła filiżankę z parującą kawą na marmurowej podstawie, aby ochronić szklany stół

kuchenny. Wygładziła spodnie, usunęła drobny pyłek z marynarki i usiadła w konserwatorium. Wyjrzała na duży ogród i ciągnące się za nim, zdałoby się w nieskończoność, zielone wzgórza. Czterdzieści odcieni zieleni, złota i brązu.

Chwyciła w nozdrza bogaty aromat espresso i natychmiast poczuła przypływ energii. Wyobraziła sobie swoją siostrę, pędzącą jej kabrioletem pośród wzgórz, z ramionami w górze, zamkniętymi oczami, z rozwianymi ognistymi włosami, przekonaną, że jest wolna. Saoirse po irlandzku znaczyło „wolność”. Imię wybrała matka, ostatnim wysiłkiem chcąc zmienić zniechęconych rodzicielskich obowiązków w coś, co nie wydawałoby się jej kieratem. Pragnęła, aby jej druga córka przyniosła jej wybawienie od rozbitego małżeństwa, macierzyństwa, odpowiedzialności... i od rzeczywistości.

Poznała swojego przyszłego męża, kiedy miała szesnaście lat. Podróżowała po miastach z grupą poetów, muzyków i marzycieli. Kiedyś, w lokalnym pubie wdała się w rozmowę z farmerem Brendanem Eganem. Był od niej starszy o dwanaście lat i jej beztrudne podejście do życia zrobiło na nim widoczne wrażenie. Matce to pochlebiło, więc się pobrali. W wieku osiemnastu lat urodziła pierwsze dziecko, Elizabeth. Jak się okazało, nie umiała poskromić swej wolnej natury i zamknięcie w spokojnym, ukrytym między wzgórzami miasteczku, w którym nigdy nie planowała zatrzymać się na dłużej, wywoływało w niej coraz większą frustrację. Płaczące dziecko i bezsenne noce przywodziły ją do szaleństwa. Wreszcie marzenia o osobistej wolności zwały się w jej umyśle z rzeczywistością i zaczęła znikać na całe dni.

Wyruszała na wędrowniki, odkrywała nowe miejsca, nowych ludzi.

W wieku dwunastu lat Elizabeth potrafiła się zajmować sobą i swoim

milczącym, przygnębnym ojcem. Nie pytała, kiedy mama wróci do domu, ponieważ wiedziała w głębi duszy, że kiedyś się to stanie i mama pojawi się znowu, z zaróżowionymi policzkami i rozjaśnionym wzrokiem, opowiadając o wielkim świecie i tym, co miał do zaoferowania. Była niczym świeży powiew wiatru, który niósł nadzieję i zachwyt nad życiem. Podczas jej obecności farma zmieniała się, jakby ściany absorbowały entuzjazm matki. Elizabeth siadywała w stopach jej łóżka, słuchając opowieści, od których kręciło jej się w głowie z zachwytem. Taka atmosfera panowała w domu jedynie przez kilka dni, dopóki matka nie zmęczyła się opowiadaniem i nie zaczęła marzyć o nowych przygodach.

Często przywoziła ze sobą pamiątki: muszelki, kamyki, liście. Elizabeth pamiętała wazon pełen świeżych traw, który matka postawiła na środku stołu jadalnego, zupełnie jakby były to najbardziej egzotyczne rośliny, jakie stworzyła natura. Zapytana, z jakiej łąki pochodziły, puściła oczko do córki, postukała się w nos i obiecała, że pewnego dnia Elizabeth sama odkryje to miejsce.

Podczas tych wszystkich wizyt ojciec siedział zazwyczaj w fotelu przy kominku, z gazetą, której nigdy nie czytał. Był tak samo zagubiony w świecie swojej żony jak ona.

Kiedy Elizabeth skończyła dwanaście lat, matka znowu zaszła w ciążę.

Pomimo że nazwała drugie dziecko Saoirse, nie przyniosło jej ono oczekiwanej, upragnionej wolności. Wyruszyła zatem na kolejną wyprawę, z której już nie wróciła.

Ojciec Elizabeth, Brendan, nie interesował się nowo narodzonym dzieckiem, które wyгнаło z domu jego żonę. Czekał w milczeniu na jej powrót, siedząc godzinami w fotelu przy kominku, z nieprzeczytaną gazetą. Całe lata. Wieczność. W

końcu Elizabeth przestała wierzyć w powrót matki i uznała, że musi zająć się młodszą siostrą.

Saoirse odziedziczyła celtycki wygląd po ojcu, podobnie jak on miała rude włosy i jasną karnację. Elizabeth z kolei była lustrzanym odbiciem matki. Oliwkowa skóra, czekoladowe włosy i niemal czarne oczy były dziedzictwem hiszpańskiej krwi, płynącej w żyłach krewnych matki od tysięcy lat. Z każdym dniem Elizabeth przypominała ją coraz bardziej i wiedziała, że ojciec ciężko to znosi. Zniechęcona do siebie za to i oprócz starań, aby utrzymać z nim kontakt, postanowiła zrobić wszystko, żeby pokazać mu, iż w niczym nie przypomina jego żony; że w przeciwieństwie do matki potrafi być lojalna.

Kiedy w wieku lat osiemnastu skończyła szkołę, stanęła przed dylematem: żeby iść na studia, musiałaby się przeprowadzić do Cork. Podjęcie decyzji wymagało ogromnej odwagi. Ojciec źle przyjął decyzję o wyjeździe. Uznał, że Elizabeth chce go porzucić. Każda przyjaźń, jaką nawiązywała, była dla niego znakiem, że córka chce go opuścić. Pragnął uwagi, opieki, chciał być najważniejszy w życiu córek, aby zatrzymać je w domu. I prawie mu się to udało, a już na pewno udało mu się odizolować Elizabeth od rówieśników. Dziewczyna usuwała się na bok, gdy tylko ktoś zaczynał z nią rozmawiać. Wiedziała, że za każdą chwilę spóźnienia do domu spotka ją kara w postaci gorzkich wymówek i pełnych dezaprobaty

spojrzeń. Poza tym nauka w szkole i opieka nad Saoirse wypełniała jej cały czas. Brendan oskarżał

córkę o to, że była jak matka i wynosiła się ponad niego i wszystkich mieszkańców Baile na gCroíthe. Elizabeth rzeczywiście źle się czuła w małym miasteczku, farma ojca zaś, mroczna i nijaka, sprawiała wrażenie skansenu, w którym zatrzymał się tu czas. Chwilami wydawało jej się, że nawet stary zegar po dziadku czekał na powrót matki.

– A gdzie jest Luke? – spytała Marie, przywracając Elizabeth do rzeczywistości.

– Sądzisz, że Saoirse zabrałaby go ze sobą? – odparła z goryczą w głosie.

Zapadła cisza. Elizabeth westchnęła.

– Jest tutaj.

Saoirse było czymś więcej niż tylko imieniem. Stało się jej tożsamością, sposobem na życie. Saoirse była taka, jak jej imię – ognista, niezależna, nieposkromiona i wolna. Poszła w ślady matki, której nie pamiętała, i Elizabeth miała czasem wrażenie, że widzi zaginioną rodzicielkę. Ciągle jednak traciła siostrę z oczu.

Saoirse zaszła w ciążę w wieku szesnastu lat i nikt, łącznie z nią samą, nie wiedział, kim był ojciec. Nie wykazywała nawet chęci nadania dziecku imienia. W końcu jednak zdecydowała się go nazwać Lucky – szczęściarz. Kolejne pobożne życzenie.

Elizabeth ochrzciła zatem chłopca Luke. I znowu, tym razem w wieku dwudziestu ośmiu lat, musiała zająć się wychowaniem małego dziecka.

Kiedy Saoirse patrzyła na Luke'a, w jej oczach nie było miłości. Elizabeth była zdumiona, że między matką a synem nie ma nici porozumienia, żadnych emocji.

Sama nigdy nie myślała o dzieciach. A nawet przysięgła sobie, że nie będzie ich miała. Wystarczy, że wychowała siebie samą i swoją siostrę. Nie miała ochoty powtarzać tego jeszcze raz. Przyszedł czas, żeby zajęła się sobą. Po żmudnych latach nauki w szkole i college'u wreszcie zaczęła odnosić sukcesy jako projektantka wnętrz. Pracowała bardzo ciężko i była jedyną osobą w całej rodzinie, która mogła zapewnić Luke'owi dobre życie.

Osiągnęła cele, jakie sobie wytyczyła, dzięki rozsądkowi, ciężkiej pracy, trzymaniu się rzeczywistości, a nie mrzonek. Nauczył ją tego przykład matki i siostry.

Teraz miała trzydzieści cztery lata i mieszkała sama z Lukiem w domu, który kupiła i utrzymywała absolutnie sama. Kochała go. Uczyniła go swoją kryjówką, w której mogła czuć się bezpiecznie. Była samotna, ponieważ miłość jest jednym z tych uczuć, których nie można kontrolować. Kochała już kiedyś i była kochana, posmakowała, co to marzenia, chodzenie z głową w chmurach, radosna lekkość bytu.

Doświadczyła również bólu utraty uczuć, wypalenia. Od tamtej pory postanowiła zamknąć serce na miłość, by nie tracić panowania nad swoimi uczuciami.

Trzasnęły drzwi wejściowe i Elizabeth usłyszała stukot małych stópek w korytarzu.

– Luke! – krzyknęła, zasłaniając słuchawkę dłonią.

– No? – spytał mały niewinnie, wychylając bladą twarzączkę okoloną blond włosami i spoglądając na nią błękitnymi oczami.

– Słucham, a nie no – poprawiła go twardo Elizabeth. Jej głos był pełen autorytetu. Lata praktyki.

– Słucham – powtórzył.

– Co robisz?

Luke stanął w progu. Wzrok Elizabeth powędrował ku jego umazanym trawą kolanom.

– Chcemy se pograć z Ivanem na komputerze – wyjaśnił.

– Chcemy sobie pograć z Ivanem – poprawiła go, słuchając jednocześnie, jak Marie wysłała patrol garda na poszukiwanie jej samochodu.

Luke spojrzął na ciotkę i poszedł do bawialni.

– Poczekaaj chwilę, dobrze? – poprosiła Elizabeth policjantkę. W tej chwili bowiem dotarło do niej, co powiedział siostrzeniec. Zerwała się z krzesła, kopiąc przy tym w nogę stołu i rozlewając espresso na szybę. Zakłęła. Czarne nogi krzesła wykonane z kutego żelaza zazgrzytały o marmurową posadzkę.

Trzymając telefon przy piersi, pobiegła korytarzem do bawialni. Wsadziła głowę przez drzwi i zobaczyła Luke'a siedzącego na podłodze, wpatzonego w ekran telewizora. Bawialnia i sypialnia były jedynymi pomieszczeniami, gdzie mógł

trzymać swoje zabawki. Opieka nad dzieckiem nie zmieniła Elizabeth tak bardzo, aby zmienić jej zasady.

Odwiedzała wiele domów, w których mieszkali przyjaciele Luke'a. Wszędzie poniewierały się zabawki. Niechętnie piła kawę z matkami kolegów chłopca, siedząc na pluszowych misiach, otoczona butelkami, odżywkami i pieluchami.

W jej domu było inaczej. Edith została jasno poinstruowana na samym początku, jakie obowiązują tu reguły, i posłusznie się ich trzymała. Kiedy Luke podrośł nieco i zrozumiał charakter ciotki, pokornie dostosował się do jej życzeń i ograniczał zabawy w domu do pomieszczeń, które przeznaczyła do tego celu.

– Luke, kto to jest Ivan? – spytała, rozglądając się. – Wiesz przecież, że nie wolno przyprowadzać do domu obcych? – dodała zaniepokojona.

– To mój nowy przyjaciel – odparł chłopiec niczym zombie, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym muskularny wojownik w brutalny sposób

rozprawiał

się z przeciwnikiem.

– Dobrze wiesz, że zanim zaprosisz do domu nowego kolegę, najpierw

powinieneś mi go przedstawić. Gdzie on jest? – spytała Elizabeth, otwierając szerzej drzwi i wchodząc do bawialni. Miała nadzieję, że najnowszy przyjaciel Luke'a okaże się lepszy niż łobuz, który namalował flamastrami na ścianie portret swojej szczęśliwej rodziny. Oczywiście Elizabeth natychmiast zamalowała to dzieło.

– Tam siedzi. – Luke skinął głową w kierunku okna, nadal z wzrokiem przykutym do telewizora.

Elizabeth podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Skrzyżowała ramiona.

– Czy on się przede mną schował? – spytała.

Luke włączył pauzę w grze i oderwał wzrok od dwóch walczących na ekranie wojowników. Skrzywił się z niezrozumieniem.

– Przecież jest tutaj! – Wskazał na wielką poduchę u stóp Elizabeth.

Oczy kobiety rozszerzyły się, gdy spojrzała na wypełnione grochem siedzisko.

– Gdzie?

– No tam – powtórzył mały.

Elizabeth zamrugnęła i rozłożyła pytająco ręce.

– Za tobą, na pufie.

Zdenerwowany Luke zaczął mówić coraz głośniej. Wpatrzył się w okrytą żółtym sztruksem poduchę, jakby próbował zmaterializować tam tajemniczego Ivana.

Elizabeth podążyła za jego wzrokiem.

– Nie widzisz go? – Luke rzucił na ziemię klawiaturę i wstał.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Elizabeth czuła emanującą z małego nienawiść.

Domyślała się, co chłopiec sobie myśli: Dlaczego ciotka nie widzi jego przyjaciela?

Dlaczego nie może chociaż raz zrobić tego dla mnie i trochę poudawać? Przełknęła gulę, która uformowała się w jej gardle i rozejrzała się po pokoju, jakby rzeczywiście gdzieś tu mógł się ukryć tajemniczy przyjaciel Luke'a. Nic.

Przykucnęła, żeby spojrzeć chłopcu prosto w oczy.

– Nie ma tu nikogo poza mną i tobą – wyszeptwała łagodnie. W jakiś sposób wydawało się to miłsze, łatwiejsze dla niej lub dla Luke'a. Nie wiedziała, dla którego z nich.

Chłopiec poczerwieniał na twarzy i zaczął oddychać gwałtowniej. Stał na środku pokoju, z opuszczonymi rękami. Wyglądał bezradnie. Serce waliło w piersi Elizabeth, gdy bezgłośnie błagała: *Proszę, nie bądź jak twoja matka, proszę, nie bądź*

jak twoja matka. Wiedziała nader dobrze, z jaką łatwością świat fantazji potrafi odbierać ludzi ich rodzinie.

Wreszcie Luke nie wytrzymał.

– Ivan, powiedz coś! – zażądał, wpatrując się w pustą przestrzeń.

Zapadła cisza. Chłopiec wpatrzył się przed siebie, a potem nagle zachichotał.

Spojrzał na Elizabeth i jego uśmiech szybko znikł, kiedy na twarzy ciotki nie dostrzegł nawet cienia akceptacji.

– Nie widzisz go? – zapiszczał nerwowo. – Dlaczego go nie widzisz? – spytał

już bardziej gniewnie.

– W porządku, okay!

Elizabeth usiłowała zachować spokój. Wyprostowała się, znów górując nad Lukiem. W ten sposób mogła odzyskać kontrolę nad sytuacją. Nie widziała przyjaciela Luke'a i jej umysł buntował się przeciwko udawaniu. Chciała się jak najszybciej wydostać z tego pokoju. Uniosła nogę, żeby przestąpić nad sztruksową poduchę, zawahała się i ostatecznie zdecydowała się obejść siedzisko dookoła. Już w drzwiach obejrzała się po raz ostatni. Ani śladu tajemniczego Ivana.

Luke wzruszył ramionami, usiadł na podłodze i włączył grę.

– Wstawiam pizzę do piekarnika, Luke.

Milczenie. Co jeszcze miała powiedzieć? W takich właśnie chwilach

przekonywała się, że wszelkie poradniki dla rodziców były bezużyteczne. Dobre rodzicielstwo pochodziło z głębi serca, było instynktem. Nie po raz pierwszy Elizabeth zmartwiła się, że sprawia małemu zawód.

– Będzie gotowa za dwadzieścia minut – dokończyła niepewnie.

– Co? – Luke znowu włączył pauzę i spojrzał w okno.

– Powiedziałam, że będzie gotowa za dwa...

– Nie do ciebie mówiłem – chłopiec powrócił do gry. – Ivan też jest głodny i chciałby dostać kawałek. Powiedział, że pizza to jego ulubione danie.

– Och – Elizabeth przełknęła ślinę.

– Z oliwkami – ciągnął Luke.

– Ależ Luke, ty przecież nie znosisz oliwek.

– No tak, ale Ivan je uwielbia.

– Aha...

– Dzięki – rzucił Luke do ciotki, spojrzał na poduchę, uniósł w górę kciuk, uśmiechnął się i przeniósł spojrzenie z powrotem na ekran.

Elizabeth powoli wycofała się z bawialni. Zdała sobie sprawę, że nadal trzyma telefon przytknięty do piersi.

– Marie, jesteś tam jeszcze? – Wpatrzyła się w zamknięte drzwi bawialni, obgryzając paznokcie i zastanawiając się, co robić.

– Myślałam, że ty też poleciałaś na księżyc. Właśnie chciałam wysłać patrol do twojego domu – zachichotała Marie. Potem wzięła milczenie Elizabeth za gniew i przeprosiła ją szybko. – W każdym razie miałaś rację. Saoirse rzeczywiście wybierała się na księżyc, ale zdecydowała, że powinna najpierw zatankować. Oczywiście nie mam na myśli samochodu. Znaleźliśmy go na środku głównej ulicy, z pracującym silnikiem i otwartym oknem od strony kierowcy. Masz szczęście, że Paddy dotarł na miejsce, zanim ktoś nie odjechał nim w siną dal.

– Niech zgadnę. Samochód był przed pubem.

– Tak jest. – Marie zamilkła na chwilę. – Chcesz wnieść oskarżenie?

Elizabeth westchnęła.

– Nie. Dzięki, Marie.

– Nie ma sprawy. Ktoś z naszych przyprowdzi wóz do twojego domu.

– Co z Saoirse? – Elizabeth zaczęła znowu przemierzać korytarz. – Gdzie ona jest?

– Zatrzymamy ją na jakiś czas.

– Przyjadę po nią – rzuciła szybko.

– Nie – odparła Marie zdecydowanym tonem. – Zadzwoń do ciebie w tej sprawie. Zanim cokolwiek zrobimy, Saoirse musi się uspokoić.

Za drzwiami bawialni Luke roześmiał się i zaczął z kimś rozmawiać.

– Wiesz, Marie, skoro już rozmawiamy, powiedz temu komuś, kto będzie odstawiał mój samochód, żeby przywiózł ze sobą psychiatrę – dodała Elizabeth z lekkim uśmiechem. – Wygląda na to, że Luke dorobił się zmyślnego przyjaciela...

W bawialni Ivan wyrwał oczami i umościł się wygodnie na siedzisku.

Słyszał, co Elizabeth mówi przez telefon. Od kiedy zaczął swoją pracę, rodzice jego przyjaciół nazywali go w ten sposób i zaczynało go to już trochę denerwować. Nie było w nim nic zmyślnego.

Po prostu niektórzy go nie widzieli.

3

To bardzo miłe ze strony Luke'a, że zaprosił mnie tego dnia na lunch. Kiedy powiedziałem, że uwielbiam pizzę, nie zrobiłem tego z myślą, aby ktokolwiek zaproponował mi posiłek, ale jak można odmówić propozycji spożycia pizzy, na dodatek w piątek? To podwójne święto.

Mimo to, po scenie, która wydarzyła się w bawialni, odniosłem wrażenie, że ciotka Luke'a nie lubi mnie zbytnio. Nie byłem jednak zaskoczony. Zazwyczaj tak właśnie jest. Rodzice uważają, że przygotowywanie jedzenia dla mnie to strata czasu i pieniędzy, bo zawsze muszą je potem wyrzucać. Cóż, dla mnie takie sytuacje bywają również dość niewygodne. Jak niby mam zjeść obiad, kiedy wszyscy spoglądają w moim kierunku i zastanawiają się, czy moja porcja zniknie, czy też nie?

Koniec końców wpadam w taką paranoję, że nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa i odchodzę od stołu, pozostawiając całe jedzenie na talerzu.

Nie narzekam jednak. Zaproszenie na obiad to bardzo miła rzecz, chociaż dorośli nigdy nie nakładają na mój talerz tyle samo jedzenia, co pozostałym.

Zazwyczaj dają mi mniej niż połowę normalnej porcji, mówiąc rzeczy w stylu: „Och, jestem pewna, że Ivan nie jest dziś zbyt głodny”. Skąd niby to wiedzą? Nigdy mnie o to nie pytają. Zazwyczaj siedzę ściśnięty pomiędzy moim aktualnym przyjacielem i jego denerwującym starszym rodzeństwem, które podbiera mi jedzenie, gdy nikt nie patrzy.

Rodzice zapominają podać mi różne rzeczy, jak serwetki czy sztuczce i nie są zbyt szczodrzy, jeżeli chodzi o wino. Czasem po prostu stawiają przede mną pusty talerz i mówią moim przyjaciołom, że niewidoczni ludzie jedzą niewidoczne jedzenie. Naprawdę! Niech ktoś mi powie, czy niewidoczny wiatr porusza liśćmi wyłącznie niewidocznych drzew? Najczęściej dostaję szklankę wody, i to dopiero wtedy, kiedy uprzejmie poproszę o to moich przyjaciół. Dorośli uważają, że to dziwne, iż potrzebuję wody do jedzenia, a już zupełnie tracą cierpliwość, kiedy proszę o lód. Nie rozumiem dlaczego. Przecież lód nic nie kosztuje, a przecież w upalny dzień można mieć chęć na coś chłodnego.

Zazwyczaj to mamy odbywają ze mną dyskusję. Zadają mi pytania, a potem nie słuchają odpowiedzi albo udają przed wszystkimi, że powiedziałem coś zupełnie innego, po to, żeby rozśmieszyć całą rodzinę. Spoglądają na mnie, jakby się spodziewały, że mam niecały metr wzrostu. Typowe. Gwoli wyjaśnienia, mam metr osiemdziesiąt dwa, a poza tym tam, skąd pochodzę, nie bawimy się w „wiek”.

Pojawiamy się na tym świecie tacy, jacy jesteśmy, i dorastamy raczej duchowo niż fizycznie. To nasze umysły osiągają dojrzałość. Powiedzmy,

że mój jest już dość zaawansowany w rozwoju, ale przecież zawsze jest trochę miejsca na dalszy rozwój.

Pracuję od bardzo dawna i jestem świetny w tym, co robię. Nigdy jeszcze nie zawiodłem przyjaciela.

Ojcowie zazwyczaj mamrocą do mnie coś pod nosem, kiedy uznają, że nikt nie słucha. Na przykład kiedy pojechaliśmy z Barrym do Waterford na letnie wakacje. Leżeliśmy na plaży w Brittas Bay i przeszła koło nas jakaś pani w bikini.

Tata Barry'ego rzucił wtedy pod nosem: „Popatrz tylko na to, Ivan”. Ojcowie zawsze uważają, że się z nimi zgadzam. „Dobrze jest jeść warzywa. Ivan prosił, żebym przekazał ci, że masz zjeść te brokuly”. Twierdzą, że mówię im tego typu głupoty.

Moi przyjaciele wiedzą doskonale, że nie powiedziałbym niczego podobnego.

Cóż, tacy właśnie są dorośli.

Dziewięćdziesiąt minut i trzydzieści osiem sekund później Elizabeth zawołała Luke'a na obiad. Burczało mi w żołądku i naprawdę miałem straszną ochotę na pizzę.

Powędrowałem za Lukiem korytarzem do kuchni, zaglądając do każdego mijanego pokoju. Dom był naprawdę bardzo cichy i nasze kroki odbijały się echem w pustej przestrzeni. Każdy pokój był biały albo beżowy i tak wysprzątnięty, że zacząłem się denerwować perspektywą jedzenia pizzy. Nie chciałem przy okazji nabrudzić. Nie tylko nie było tu śladu, że dom ów zamieszkiwało dziecko. Nie było tu w ogóle śladu życia. Ani krztyny przytulności.

Kuchnia za to bardzo mi się spodobała. Była rozgrzana słońcem i ponieważ otaczały ją szklane ściany, poczułem się, jak byśmy siedzieli w ogrodzie. Zupełnie jak na pikniku. Zauważyłem, że na stole były nakrycia dla dwóch osób, więc zatrzymałem się, czekając, aż ktoś poprosi mnie o zajęcie miejsca przy stole. Talerze były wielkie, czarne i lśniące. Słońce odbijało się w stalowych sztućcach i łałamywało w kryształowych szklankach, rozlewając się ęczą na szklanej powierzchni stołu. Wszystko stało na podstawkach z czarnego marmuru. Patrząc na to lśniące nakrycie, zacząłem się martwić, że zabrudzę serwetkę.

Elizabeth odsunęła z chrobotem krzesło i usiadła przy stole. Położyła serwetkę na udach. Zauważyłem, że przebrała się w czekoladowy dres, który bardzo pasował

kolorem do jej włosów i karnacji. Luke odsunął swoje krzesło ze zgrzytem i usiadł.

Za pomocą ogromnego widelca i łyżki Elizabeth zaczęła nakładać na swój talerz sałatę i małe pomidorki. Luke przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Sam miał na talerzu kawałek pizzy margharity. Bez oliwek. Wsunąłem ręce głęboko do kieszeni i nerwowo przestąpiłem z nogi na nogę.

– Czy coś jest nie w porządku, Luke? – spytała Elizabeth, polewając sałatkę sosem.

– Gdzie jest nakrycie dla Ivana?

Elizabeth przerwała wykonywaną czynność, zakręciła buteleczkę i odstawiła ją na środek stołu.

– Luke, bardzo cię proszę, nie bądź niemądry – rzuciła pozornie lekkim tonem, nie patrząc na małego. Wiedziałem, że boi się spojrzeć mu w oczy.

– Nie jestem niemądry – Luke wyglądał na bardzo niezadowolonego. –

Powiedziałaś, że Ivan może zostać na obiad.

– Tak, ale gdzie jest Ivan? – nadal usiłowała przemawiać łagodnym tonem, jednocześnie posypując sałatkę startym serem. Wiedziałem, że nie chciała wszczynać z tego powodu awantury. Natychmiast ucięłaby dyskusję i nie byłoby więcej rozmów o niewidzialnych przyjaciołach.

– Stoi obok ciebie.

Elizabeth z traskiem odłożyła widelec i nóż, tak głośno, że Luke podskoczył

na siedzeniu. Otworzyła usta, żeby go upomnieć, ale dokładnie w tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Gdy tylko wyszła z kuchni, Luke wstał i wyciągnął z szafki wielki czarny talerz, taki sam jak pozostałe. Położył na nim kawałek pizzy i postawił tuż obok swojego nakrycia. Obok położył sztućce i serwetkę.

– To twoje miejsce, Ivan – powiedział uradowany i odgryzł kawałek pizzy.

Odrobina roztopionego sera spłynęła mu na brodę. Wyglądała jak żółta struna.

Szczerze powiedziawszy, nie usiadłbym przy tym stole, gdyby nie mój żołądek, który głośnym burczeniem kazał mi zjeść obiad. Wiedziałem, że Elizabeth będzie wściekła, ale jeżeli rozprawię się z moim kawałkiem, zanim wróci do kuchni, może niczego nie zauważy?

– Chcesz oliwki? – spytał Luke, wycierając rękawem umorusaną sosem pomidorowym twarz.

Roześmiałem się i pokiwałem głową. Ślinka mi ciekła na samą myśl o pizzy z oliwkami.

Elizabeth pojawiła się w kuchni w momencie, gdy Luke sięgał na półkę.

– Co ty robisz? – spytała, szukając czegoś w szufladzie. Wyraźnie się spieszyła.

– Chcę dać Ivanowi trochę oliwek – odparł Luke. – On lubi oliwki na pizzy, pamiętasz?

Elizabeth spojrzała w głąb kuchni i zauważyła trzecie nakrycie. Potarła oczy zmęczonym gestem.

– Luke, posłuchaj. Nie sądzisz, że to marnowanie jedzenia? Położysz oliwki na pizzy, a potem jej nie zjesz, bo przecież nie cierpisz oliwek.

Będziemy musieli wyrzucić ten kawałek do śmieci.

– Wcale nie, bo przecież to pizza dla Ivana. On ją zje, prawda, Ivan?

– Jasne – odparłem, oblizując usta i pocierając zgłodniały żołądek.

– I co? – Elizabeth uniosła brwi. – Co powiedział?

– Chcesz powiedzieć, że go nie słyszysz? – Luke zmarszczył brwi. Spojrzał na mnie i nakreślił kółko na skroni, pokazując mi, że jego ciotka wyraźnie zwariowała. –

Powiedział, że na pewno wszystko zje.

– Jak to miło z jego strony – wymamrotała Elizabeth, dalej szukając czegoś w szufladzie. – Mam nadzieję, że z talerza zniknie wszystko, co do odrobinki, bo inaczej to będzie ostatni raz, kiedy Ivan został zaproszony na jakikolwiek posiłek w naszym domu.

– Nie martw się, Elizabeth, wyliżę talerz do czysta – zapewniłem ją, odgryzając pierwszy kęs. Nie mogłem znieść myśli, że nie będę mógł nigdy więcej jadać z Lukiem i jego ciotką. Miała smutne oczy, smutne brązowe oczy i byłem przekonany, że uszczęśliwię ją, zjadając wszystko, co do okruszka. Pochłaniałem moją pizzę kęs po kęsie.

– Dziękuję, Colm – rzuciła Elizabeth zmęczonym głosem, odbierając kluczyki do samochodu od policjanta. Obeszła powoli wóz, przyglądając się uważnie karoserii.

– Nic się nie stało – upewnił ją Colm.

– Samochodowi nic – zażartowała. Poklepała maskę. Zawsze czuła się zażenowana. Przynajmniej raz w tygodniu zdarzało się coś, w co musiała zostać zaangażowana policja, i chociaż funkcjonariusze zachowywali się niezwykle profesjonalnie i uprzejmie, za każdym razem okropnie się wstydziła. W ich obecności zdawała wysiłki, aby sprawiać wrażenie całkowicie „normalnej” osoby, dowieść, że to nie jej wina i że jej rodzina nie jest bandą wariatów.

Wytarła chusteczką ślady błota na boku samochodu. Colm uśmiechnął się do niej smutno.

– Saoirse została aresztowana, Elizabeth.

Podniosła gwałtownie głowę, zaalarmowana.

– Dlaczego, Colm? – spytała zszokowana. – Dlaczego?

Nigdy przedtem tak nie postępowali. Zawsze po prostu ostrzegali Saoirse, żeby więcej tego nie robiła, i podrzucali ją tam, gdzie aktualnie mieszkała. Było to nieprofesjonalne postępowanie i Elizabeth zdawała sobie z tego sprawę. Jednak w ich małym miasteczku, gdzie wszyscy znali wszystkich, ludzie mieli baczenie na Saoirse, żeby nie zrobiła czegoś naprawdę głupiego. Elizabeth jednak bała się, że tym razem jej siostra otrzymała o jedno ostrzeżenie za dużo.

Colm miał w dłoniach granatową czapkę policyjną.

– Prowadziła samochód w stanie nietrzeźwym, Elizabeth. W dodatku był to skradziony samochód, a Saoirse nie ma prawa jazdy.

Słyszając te słowa, Elizabeth zatrzęsa się ze strachu. Saoirse była

niebezpieczna. Dlaczego ciągle usiłowała ją chronić? Kiedy wreszcie dotrze do niej prawda, że pomimo pobożnych życzeń Elizabeth, jej siostrze daleko do doskonałości?

– Ale przecież samochód nie był kradziony – wymamrotała. – Powiedziałam jej, że mo...

– Daj spokój, Elizabeth – przerwał twardo Colm.

Elizabeth musiała przyłożyć dłoń do ust, żeby zamilknąć. Odetchnęła głęboko, usiłując odzyskać panowanie nad sytuacją.

– Stanie przed sądem? – spytała niemal szeptem.

Colm spuścił wzrok i przesunął kamyk czubkiem buta.

– Tak. Nie chodzi już tylko o to, że może zrobić krzywdę sobie. Jest niebezpieczna dla innych ludzi.

Elizabeth przełknęła gulę, która urosła jej w gardle, i pokiwała głową.

– Dajcie jej jeszcze jedną szansę, Colm – zająknęła się, czując, jak cała jej duma gdzieś znika. – Proszę, dajcie jej jeszcze jedną szansę.

Błagam... – ostatnie słowo wypowiedziała z bólem. Każda najmniejsza cząstka w jej ciele przyznawała rację policjantowi. Poza tym nie zwykła prosić o pomoc. – Będę ją pilnowała.

Obiecuję, nie spuszczę z niej oka nawet na minutę. Poprawi się, daję słowo. Po prostu potrzebuje trochę czasu, żeby wszystko sobie poukładać. – Czuła, jak drży jej głos i trzęsą się kolana, kiedy błagała o łaskę dla młodszej siostry.

– Za późno – odparł zdecydowanie Colm. – Nic już nie możemy zmienić.

– Jaką dostanie karę? – spytała, czując, że zbiera się jej na wymioty.

– To zależy od sędziego. To jej pierwsze wykroczenie... jej pierwsze zarejestrowane wykroczenie. Może potraktują ją łagodnie. A może nie – wzruszył

ramionami i zaczął oglądać swoje dłonie. – Dużo zależy również od tego, co powie policjant, który ją aresztował.

– Dlaczego?

– Jeśli w czasie aresztowania nie stawiała oporu, może to świadczyć na jej korzyść. Z drugiej strony...

– ...może nie – dokończyła zmartwiona Elizabeth. – I co? Stawiała opór?

Colm roześmiał się cicho.

– Potrzeba było dwóch ludzi, żeby ją unieruchomić.

– Cholera! – zakląła Elizabeth. – Kto ją aresztował? – zaczęła obgryzać paznokcie.

Zapadła cisza.

– Ja – odparł wreszcie Colm.

Elizabeth otworzyła usta ze zdumienia. Colm zawsze miał słabość do Saoirse.

Stawał po jej stronie i to, że teraz ją aresztował, było prawdziwym wstrząsem.

Elizabeth nerwowo przygryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi. Nie chciała, żeby ludzie stracili wiarę w Saoirse.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział Colm łagodnie. – Postaraj się, żeby przez kilka tygodni, do przesłuchania wstępnego nie popadła w tarapaty.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że przez cały czas nie oddychała. Wypuściła powietrze z płuc.

– Dziękuję. – Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Poczuła ogromną ulgę, ale zdała sobie sprawę, że nie odniosła zwycięstwa. Tym razem nikt nie ochroni jej siostry. Będzie musiała ponieść konsekwencje swoich czynów.

Tylko w jaki sposób ma pilnować Saoirse, skoro nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać? Nie mogła zamieszkać z Elizabeth i Lukiem – była na to zbyt nieopanowana.

Ich ojciec z kolei już dawno temu kazał Saoirse wynosić się z domu i nigdy nie wracać.

– Lepiej już pójdę. – Colm nałożył czapkę i ruszył w kierunku furty.

Elizabeth usiadła na ganku, usiłując uspokoić rozdygotane nogi. Spojrzała na ubłocony samochód. Dlaczego Saoirse musiała wszystko kalać?

Dlaczego odstraszała wszystko... wszystkich ludzi, których kochała Elizabeth?

Poczuła na barkach cały ciężar tego, co nagromadziło się między nią i siostrą.

Martwiła się, co zrobi ojciec, kiedy będzie musiała przywieźć Saoirse na farmę.

Elizabeth dawała mu pięć minut, zanim zadzwoni do niej z pretensjami.

W domu rozdzwonił się telefon i Elizabeth poczuła, jak jej serce ścisza się jeszcze bardziej. Wstała, odwróciła się powoli i weszła do środka. W tym samym momencie dzwonek umilkł. Zobaczyła Luke'a siedzącego na schodach ze słuchawką przy uchu. Oparła się o drewnianą framugę, skrzyżowała ramiona i zaczęła się mu przyglądać. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Luke dorastał tak szybko, jakby robił wszystko bez jej pomocy, bez opieki, którą powinna mu być zapewnić, ale której nie potrafiła w należyty sposób.

Wiedziała, że nie ma w jej sercu odpowiednich uczuć, emocji – czasem w ogóle – i każdego dnia pragnęła, żeby odezwały się w niej instynkty macierzyńskie. Kiedy Luke upadł i rozciął sobie kolano, jej pierwszą reakcją było opatrzenie rany.

Uważała, że to wystarczy, że nie musi kołysać go w ramionach, starając się go ukoić, nie musi udawać, że wymierza karę ziemi, tak jak to robiła Edith.

– Cześć, dziadku – powiedział uprzejmym głosem Luke. Przerwał, słuchając głosu w słuchawce.

– Właśnie jem lunch z Elizabeth i moim nowym przyjacielem, Ivanem.

Przerwa.

– Pizza z serem i sosem pomidorowym, ale Ivan dostał też oliwki.

Przerwa.

– Oliwki, dziadku.

Przerwa.

– Nie, nie sądzę, że można je wyhodować na farmie.

Przerwa.

– O L I W K I – przeliterował powoli.

Przerwa.

– Poczekaj, dziadku. Mój przyjaciel, Ivan, chce mi coś powiedzieć. – Luke przycisnął telefon do piersi i spojrzał w przestrzeń, bardzo się koncentrując. Wreszcie uniósł słuchawkę z powrotem do ucha. – Ivan powiedział, że oliwka to mały oleisty owoc, który zawiera pestkę. Hoduje się je w ciepłych krajach, na owoce i do wytwarzania oliwy – znów spojrzał w bok, jakby nasłuchując. – Jest wiele rodzajów oliwek – znów przerwał, spoglądając w przestrzeń, a potem znów na telefon. – Niedojrzałe są zawsze zielone, ale dojrzałe mogą być albo zielone, albo czarne – znów spojrzał w bok. – Większości oliwek, które dojrzewają na drzewach, używa się do wyrobu oleju. Resztę zaś marynuje się w solance, a potem pekluje również w solance, w oleju albo w roztworze octu – znów spojrzał w bok. – Ivan, co to jest solanka? – nastąpiła cisza, po której rzucił. – Aha.

Elizabeth uniosła brwi i roześmiała się nerwowo. Od kiedy to Luke stał się ekspertem od oliwek? Musiał się o nich uczyć w szkole. Miał bardzo

dobrą pamięć do tego typu rzeczy.

Luke znów przerwał monolog i zaczął słuchać dziadka.

– Ivan też bardzo chciałby cię poznać – powiedział.

Elizabeth wyróciła oczami i podeszła do Luke'a, nie chcąc, żeby powiedział

coś więcej. Brendan i tak już był wystarczająco zagubiony. Nie chciała dodatkowo wyjaśniać mu idei niewidzialnego przyjaciela Luke'a.

– Halo? – rzuciła do telefonu. Szurając nogami, Luke powędrował z powrotem do kuchni. Hałas spowodował, że w Elizabeth ponownie obudziła się złość.

– Elizabeth. – Usłyszała twardy głos z ciężkim akcentem z Kerry. – Właśnie wróciłem do domu i zastałem twoją siostrę na podłodze w kuchni. Szturchnąłem ją, ale nie wiem, czy żyje, czy też nie.

Elizabeth westchnęła.

– To nie jest śmieszne, tato. Przypominam, że moja siostra to twoja córka.

– Och, daj spokój – zbył ją ojciec. – Chcę wiedzieć, co zamierzasz z nią zrobić.

Nie może tutaj zostać. Ostatnim razem, kiedy jej pozwoliłem, wypuściła kurczaki z klatki i cały dzień musiałem za nimi ganiać, z moim chorym biodrem. To nie może się powtórzyć.

– Wiem, ale u mnie też nie może zostać. Denerwuje Luke'a.

– To jeszcze dzieciak, nie wie o niej wystarczająco wiele, żeby się denerwować. Przez większość czasu twoja siostra zapomina, że w ogóle go urodziła.

Nie możesz go mieć tylko dla siebie.

Elizabeth ugryzła się w język, czując wzbierającą w niej wściekłość.

„Większość czasu” była dość oczywistym niedopowiedzeniem.

– Nie może mieszkać u mnie – powtórzyła, tracąc resztki cierpliwości. – Była tu wcześniej i znowu zabrała samochód. Colm właśnie go przywiózł kilka minut temu. Tym razem to poważna sprawa – odetchnęła głośno. – Aresztowali ją.

Ojciec umilkł na chwilę, a potem cmoknął głośno.

– I bardzo dobrze. Może to ją czegoś nauczy. Dlaczego nie byłaś dzisiaj w pracy? – Szybko zmienił temat. – Do odpoczynku Nasz Pan dał nam niedzielę.

– O to właśnie chodzi. Dzisiaj był dla mnie bardzo ważny dzień w pra...

– O, twoja siostra wróciła do świata żywych i znowu próbuje przeganiać krowy. Powiedz małemu Luke'owi, żeby przyjechał do mnie w poniedziałek razem ze swoim nowym przyjacielem. Pokażemy mu razem farmę – w słuchawce kliknęło i połączenie zostało przerwane. Powitania i pożegnania nie były specjalnością taty, który nadal uważał, że telefony komórkowe są dziwaczną, obcą technologią, stworzoną wyłącznie po to, żeby dezorientować ludzi.

Elizabeth odłożyła słuchawkę na miejsce i wróciła do kuchni. Luke siedział

przy stole, trzymając się za brzuch i zaśmiewając. Usiadła na swoim miejscu i wróciła do jedzenia sałatki. Nie lubiła jeść. Robiła to, ponieważ musiała. Wieczory spędzane na długich kolacjach nudziły ją śmiertelnie. Poza tym nigdy nie miała apetytu. Zawsze zbyt się czymś martwiła lub denerwowała, żeby siedzieć spokojnie i cieszyć się posiłkiem.

Spojrzała na talerz stojący naprzeciwko niej i ku swojemu zdumieniu zauważyła, że był całkowicie pusty.

– Luke?

Chłopiec przerwał monolog i spojrzał na nią.

– No?

– Mówi się słucham – poprawiła go automatycznie. – Co się stało z pizzą z tego talerza?

Luke spojrzał na puste nakrycie, a potem na Elizabeth, jakby była szalona.

Odgryzł kęs ze swojej pizzy.

– Ivan go zjadł.

– Nie mów z pełną buzią – upomniała go. Luke wypluł przeżuwane jedzenie na talerz.

– Ivan go zjadł – powtórzył i zaczął się histerycznie śmiać, spoglądając na papkę z pizzy, która przed chwilą była w jego ustach.

Elizabeth poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Co się stało temu dzieciakowi?

– A co z oliwkami?

Wyczuwając jej gniew, Luke posłusznie przełknął następny kęs, zanim się odezwał.

– Też je zjadł. Mówiłem ci, że uwielbia oliwki. Dziadek chciał się dowiedzieć, czy może je hodować na farmie – uśmiechnął się, odsłaniając dziąsła.

Elizabeth również się uśmiechnęła. Jej ojciec nie rozpoznałby oliwki, gdyby ktoś podsunął mu ją pod sam nos. Nie należała do wielbicieli wykwintnego jedzenia.

Ryż był najbardziej egzotycznym produktem, jakiego kiedykolwiek używał, a i tak narzekał, że ziarenka są zbyt małe i lepiej by wyszedł na jedzeniu „pokruszonego kartofla”.

Elizabeth westchnęła i wyrzuciła resztki sałatki do kosza. Przedtem jednak sprawdziła, czy nie ma tam pizzy z oliwkami. Ani śladu. Luke zazwyczaj tak samo jak ona nie miał apetytu i nawet jeden kawałek pizzy był dla niego wyzwaniem, nie wspominając o dwóch. Elizabeth uznała, że za kilka tygodni znajdzie zaginioną pizzę w jakiejś szafce, porastającą grzybem. Jeżeli jednak mały zjadł cały kawałek, pewnie odchoruje to dzisiaj w nocy i będzie musiała po nim sprzątać. Znowu.

– Dziękuję, Elizabeth.

– Nie ma za co, Luke.

– Co? – spytał mały, zaglądając do kuchni.

– Luke, nie mówi się co, tylko proszę.

– Proszę?

– Powiedziałam, nie ma za co.

– Ale ja jeszcze ci nie podziękowałem.

Elizabeth włożyła naczynia do zmywarki i wyprostowała się. Potarła bolący krzyż.

– Owszem, zrobiłeś to. Powiedziałeś: „Dziękuję, Elizabeth”.

– Nieprawda. – Luke skrzywił się niezadowolony.

Elizabeth poczuła, że traci panowanie nad sobą.

– Luke, skończ już te wygłupy, dobrze? Bawiłeś się przez cały lunch, a teraz masz przestać udawać.

– Ale to Ivan ci podziękował! – rzucił mały gniewnie.

Przeszedł ją dreszcz. To wcale nie było zabawne. Z trzaskiem zamknęła drzwiczki do zmywarki, zbyt zmęczona, żeby wdawać się w dalsze dyskusje z siostrzeńcem. Dlaczego chociaż raz w życiu nie mógł zachować się jak grzeczny chłopiec i dać jej chwilę wytchnienia?

Elizabeth przeszła koło Ivana, trzymając w dłoni filiżankę z espresso. Zapach jej perfum i kawy wypełnił jego nozdrza. Usiadła przy stole kuchennym, zgarbiła się i ukryła twarz w dłoniach.

– Ivan, chodź! – krzyknął niecierpliwie Luke z bawialni. – Będziesz mógł być Skalą!

Elizabeth jęknęła cicho.

Ivan nie mógł się poruszyć. Jego błękitne tenisówki jakby przyrosły do marmurowej podłogi.

Elizabeth usłyszała, jak jej podziękował. Wiedział to na pewno.

Okrążył ją kilka razy, przyglądając się jej, szukając jakiegokolwiek reakcji na jego obecność. Pstryknął palcami tuż przy jej uchu i podskoczył, nie spuszczać z niej oczu. Nic. Klasnął dłońmi i zatupał nogami. Dźwięki rozniosły się w ogromnej kuchni głośnym echem, ale Elizabeth nawet nie drgnęła.

Żadnej reakcji.

Ale przecież odpowiedziała mu: „Nie ma za co”. Ivan był skonsternowany.

Wszystkie jego wysiłki, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, poszły na marne. Poczł

głębokie rozczarowanie, że Elizabeth nie wyczuwa jego obecności. Ale w końcu była rodzicem, a kogo obchodzi, co myślą rodzice? – wytłumaczył sobie. Stał za nią, wpatrując się w czubek jej głowy, zastanawiając się, co zrobić. Westchnął głośno, wypuszczając gwałtownie powietrze z płuc.

Nagle Elizabeth wyprostowała się, zadrżała i zasunęła suwak w bluzie dresu.

I wtedy Ivan zrozumiał, że przed chwilą poczuła na sobie jego oddech.

4

Elizabeth owinęła się szczelniej szlafrokiem i przewiązała ciasno paskiem.

Wsunęła stopy pod siebie i umościła się wygodniej w olbrzymim fotelu w salonie.

Wilgotne włosy zebrała na czubku głowy i zawinęła w turban z ręcznika. Cała pachniała owocowo, po kąpieli z płynem o zapachu maraku. Trzymała w dłoni filiżankę ze świeżo zaparzoną kawą z grubą warstwą bitej śmietany i wpatrywała się w ekran telewizora. Konkretniej, obserwowała proces wysychania farby. Nadawano właśnie jej ulubiony program o remontach domu. Uwielbiała patrzeć, jak eksperci potrafią stworzyć z najgorszych ruin eleganckie, wytworne posesje.

Od kiedy pamiętała, uwielbiała przerabiać wszystko, co wpadło jej w ręce.

Czas oczekiwania na powroty matki spędzała na dekorowaniu stołu kuchennego stokrotkami, obsypywaniu wycieraczki przed drzwiami srebrnym pyłem, który roznosił się po nijakiej podłodze w domu. Przybierała ramy zdjęć świeżymi kwiatami i rozsypywała płatki róż na łóżku mamy. Zapewne miała w naturze potrzebę naprawiania, upiększania. Zawsze chciała czegoś więcej, czegoś lepszego i nigdy nie osiągnęła pełnej satysfakcji.

Prawdopodobnie był to również jej dziecienny sposób na przekonanie matki do pozostania z rodziną. Pamiętała jak dziś, co myślała jako mała

dziewczynka: że im piękniejszy będzie dom, tym dłużej mama będzie chciała w nim mieszkać. Jednak stokratki królowały na stole nie dłużej niż pięć minut, srebrny pył na wycieraczkę szybko zniknął, rozniesiony butami, kwiaty wetknięte w ramki nie przeżywały zbyt długo bez wody, płatki róż zaś spadały z łóżka podczas niespokojnego snu matki.

Gdy tylko urok dekoracji prysnął, Elizabeth zaczynała natychmiast myśleć o czymś innym, co przyciągnęłoby uwagę mamy na dłużej niż pięć minut i spodobałoby się jej tak bardzo, że nie mogłaby tego porzucić. Małej Elizabeth nigdy nie przyszło do głowy, że to ona powinna być tym czymś.

Kiedy podrosła, zaczęła znajdować ogromną przyjemność w wydobywaniu piękna z otaczających ją przedmiotów. Miała po temu bardzo dużo okazji na starej farmie ojca. Teraz, jako dojrzała kobieta uwielbiała dni, kiedy mogła przywrócić blask starym kominkom lub pozbyć się przetartych dywanów, odsłaniając ukryte pod nimi piękne stare podłogi. We własnym domu też ciągle coś zmieniała, przestawiała, udoskonalała. Dążyła do perfekcji. Uwielbiała wyznaczać sobie zadania, czasem trudne do realizacji cele, aby udowodnić sobie samej, że w każdej pozornie brzydkiej rzeczy jest coś pięknego.

Kochała swoją pracę, uwielbiała satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Przy chwilowo gwałtownej rozbudowie Baile na gCroíthe i okolicznych miasteczek miała ręce pełne roboty i dobrze na tym zarabiała. Gdy tylko działa się coś nowego, deweloperzy zawsze dzwonili do firmy Elizabeth. Szczerze wierzyła, że dobry projekt wnętrza domu poprawiał poziom życia ludzi. Jej dewizą było zapewnianie klientom pięknych, komfortowych i funkcjonalnych przestrzeni.

Jej własny salon tonął w ciepłych kolorach i fakturach, zamszowych poduchach i miękkich puchatych dywanach; uwielbiała wszystkiego dotykać, czuć pod palcami. Dominowały tu jasne kolory kawy z mlekiem, które pomagały jej rozjaśnić umysł, zupełnie jak płyn w filizance, którą teraz trzymała w dłoniach.

We współczesnym, zabałaganionym świecie spokojny dom był jej sanktuarium, ucieczką od chaosu, kryjówką, gniazdem, do którego mogła schronić się przed wszystkimi problemami świata. W przeciwieństwie do reszty jej życia, w swoim domu decydowała, kto ją odwiedzi i jak długo potrwa jego wizyta. Zupełnie inaczej niż w jej sercu, które pozwalało ludziom wtargnąć bez pozwolenia, rozpanoszyć się w nim, a potem odejść, gdy pragnęła, aby pozostali dłużej. Nie, w domu Elizabeth goście pojawiali się tylko za jej przyzwoleniem i znikali na jej życzenie. Wszystko było pod kontrolą.

Piątkowe spotkanie było dla niej bardzo istotne. Przez całe tygodnie starannie je planowała, przygotowywała portfolio, slajdy, gromadziła wycinki z magazynów i artykułów, opisujących miejsca, które projektowała. Jej życie zawodowe skurczyło się do rozmiaru folderu, za którego pomocą miała przekonać potencjalnych klientów do podpisania z nią kontraktu.

Stara wieża stojąca na szczycie wzgórza nad Baile na gCroíthe miała zostać zburzona, aby ustąpić miejsca hotelowi. Kiedyś chroniła miasteczko przed napaścią wikingów, ale teraz Elizabeth nie widziała sensu w dalszym istnieniu wieży. Wieża nie była ani ładna, ani interesująca pod względem historycznym. Zwyczajna, rozsypująca się ze starości kupa kamieni, w której murach znajdowali nocną kryjówkę wioskowi pijacy, za dnia zaś bawili się nastolatki. Saoirse mogła się znaleźć w obu tych grupach.

Wielu mieszkańców miasta jednak stanowczo sprzeciwiało się wybudowaniu hotelu na miejscu wieży. Twierdzono, że wiąże się z nią romantyczna legenda.

Mówiono, że zburzenie wieży spowoduje zniszczenie miłości na całym świecie.

Legendą zainteresowały się media i deweloperzy w końcu uznali, że wieża to bryła złota. Postanowili ją odnowić, przywrócić dawny blask i włączyć w kompleks hotelowy, jako historyczną ciekawostkę. Miłość miała na zawsze pozostać w Mieście Serc. Nowy hotel wzbudził ogromne zainteresowanie wszystkich, którzy ulegli urokowi legendy.

Elizabeth najchętniej osobiście przejechałaby buldożerem przez sam środek tej ruiny. Uważała, że idiotyczna bajeczka o miłosnym zaklęciu została wymyślona przez mieszkańców miasteczka, którzy po prostu nie chcieli zmian. Stworzyli więc legendę przyciągającą turystów i marzycieli, żeby w ten sposób chronić starą wieżę przed rozbiórką. Z drugiej strony, wykonanie projektu wnętrza w nowym hotelu byłoby dla niej wspaniałym zleceniem. Mały pensjonat mógł zapewnić miejsca pracy dla ludzi z Hartstown. Poza tym znajdował się w bardzo wygodnym miejscu, zaledwie kilka minut drogi samochodem od jej domu. Pracując nad tym projektem, nie musiałaby zostawiać Luke'a samego na zbyt długo.

Nim się urodził, Elizabeth podróżowała niemal przez cały czas. Nigdy nie zostawała w Baile na gCroíthe dłużej niż kilka tygodni. Uwielbiała swobodę poruszania się, możliwość podróży po całym świecie, pracy w różnych krajach.

Ostatnie zlecenie zawiodło ją aż do Nowego Jorku.

Po urodzeniu się Luke'a wszystko się zmieniło. Kiedy był niemowlakiem, Elizabeth nie mogła podróżować nawet po Irlandii, nie mówiąc już o wielkim świecie. Były to dla niej trudne lata. Usiłowała założyć firmę w Baile na gCroíthe i jednocześnie przyzwyczać się ponownie do roli matki. Nie miała wyboru, musiała zatrudnić Edith. Ojciec nie miał zamiaru jej pomagać, Saoirse zaś nie wykazywała najmniejszego zainteresowania swoim synem. Teraz Luke podrośł i zaczął chodzić do szkoły, Elizabeth zaś odkryła, że znalezienie pracy w rozsądnej odległości od domu stawało się z roku na rok trudniejsze. Chwilowa rozbudowa Baile na gCroíthe w końcu ustanie, a to, niestety, mogło oznaczać koniec jej firmy.

To, że opuściła piątkowe zebranie, nie powinno się zdarzyć. Żadna z jej dwóch pracownic nie potrafiła zaprezentować profesjonalnych umiejętności Elizabeth tak dobrze, jak ona sama. Becca była bardzo nieśmiałą i zastraszoną siedemnastolatką, która zaczęła pracować dla

Elizabeth w okresie przejściowym między szkołą a college'em. Miała to być praktyka, ale ostatecznie Becca postanowiła nie podejmować dalszej nauki. Była bardzo pracowita, dyskretna i cicha jak myszka, co niezwykle podobało się Elizabeth. Zatrudniła ją wkrótce po tym, gdy zawiodła ją Saoirse, przyjęta do pracy na pół etatu. Nie, Saoirse sprawiła jej więcej niż zawód.

Elizabeth rozpaczliwie potrzebowała wtedy pomocy do naprawienia szkód. Znowu.

Usiłowała trzymać siostrę przy sobie, w nadziei, że to pomoże jej stanąć na nogi. A osiągnęła tylko tyle, że Saoirse jeszcze bardziej się od niej oddaliła, stwarzając przy tym jak zwykle mnóstwo zamieszania i bałaganu.

Dwudziestopięcioletnia Poppy z kolei niedawno ukończyła studia na Akademii Sztuk Pięknych. Miała wiele cudownie niewykonanych pomysłów i była gotowa pomalować cały świat na kolor, którego jeszcze nie wymyśliła.

W biurze były tylko one trzy, ale Elizabeth często prosiła o pomoc panią Bracken, sześćdziesięcioośmioletnią geniuszkę krawiectwa i właścicielkę miejscowego sklepu tapicerskiego. Była niesamowitą marudą i nalegała, aby zwracać się do niej „pani Bracken”, nie „Gwen”, z szacunku dla jej drogiego zmarłego małżonka, pana Brackena, który, jak się czasem zdawało Elizabeth, nie otrzymał imienia przy narodzinach.

Był jeszcze Harry, pięćdziesięciodwuletni wszechstronnie utalentowany rzemieślnik, prawdziwa złota rączka. Umiał zrobić wszystko, od zawieszenia obrazu na ścianie do założenia instalacji elektrycznej w budynku. Nie potrafił jednak pojąć idei niezamężnej kobiety, która robiła karierę i matkowała dziecku, którego nie wydała na świat.

W zależności od budżetu klientów Elizabeth robiła wszystko, od wydawania poleceń malarzom i tapeciarskom do wykonywania całej pracy samodzielnie. Lubiła, gdy na jej oczach dokonywała się transformacja wnętrza, a przy okazji realizowała wrodzoną potrzebę udoskonalania i poprawiania.

To, że Saoirse pojawiła się tamtego poranka w domu Elizabeth, nie było zaskoczeniem. Często przybywała pijana i agresywna, gotowa zabrać ze sobą wszystko, co wpadnie jej w ręce – oczywiście chodziło o rzeczy, które można sprzedać, co automatycznie wykluczało Luke'a. Elizabeth nie wiedziała, czy problem jej siostry polegał tylko i wyłącznie na uzależnieniu od alkoholu. Już dawno nie rozmawiała z nią poważnie. Starła się jej pomóc, odkąd Saoirse skończyła czternaście lat. Wtedy w jej głowie jakby pstryknął jakiś przełącznik i stracili ją z ojcem dla innego świata. Elizabeth próbowała wysłać Saoirse do poradni, na odwyk, do lekarzy, dawała jej pieniądze, znajdowała pracę, zatrudniła ją sama, pozwoliła się jej wprowadzić do siebie, wynajmowała dla niej mieszkanie. Próbowała być jej przyjaciółką, wrogiem, śmiała się z nią i krzyczała na nią, ale nic nie działało.

Straciła Saoirse. Dla tej dziewczyny nie liczył się nikt poza nią samą.

Elizabeth nie mogła przestać myśleć o tym, jaką ironią było imię jej siostry.

Saoirse nie była wolna. Może tak jej się wydawało, ponieważ pojawiała się i znikwała, kiedy chciała, i nie była związana z nikim ani niczym na tej ziemi. Była jednak niewolnicą swoich nałogów. Oczywiście nie dostrzegała tego, a Elizabeth nie potrafiła otworzyć jej na to oczu.

Nie mogła zupełnie odciąć się od siostry, ale wyczerpała już wszystkie siły, pomysły i wiarę, że Saoirse kiedykolwiek się zmieni. Przez swój upór w ratowaniu siostry straciła przyjaciół i mężczyzn, których kochała. Wszyscy ze współczuciem patrzyli, jak Elizabeth jest bezustannie wykorzystywana, aż w końcu ich cierpliwość się kończyła. Elizabeth jednak nie czuła się ofiarą. Zawsze kontrolowała sytuację, wiedziała, co robi i dlaczego. Po prostu nie chciała porzucić siostry, która była w potrzebie. Nie zamierzała być taka jak matka. Ciężko pracowała nad sobą, żeby się w nią nie zmienić.

Elizabeth wyłączyła głos w telewizorze i w pokoju zapadła cisza. Przechyliła głowę na jedną stronę. Wydawało jej się, że coś usłyszała. Rozejrzała się po pokoju, ale wszystko było na miejscu, więc włączyła z powrotem głos.

I znowu coś usłyszała.

Wyciszyła telewizor i wstała z fotela.

Było piętnaście po dziesiątej i za oknem panował półmrok. Wyrzała do ogrodu, ale w zapadających ciemnościach dostrzegała tylko cienie i czarne kształty.

Szybko zasunęła zasłony i od razu poczuła się bezpieczniej w swoim beżowo-kremowym kokonie. Poprawiła szlafrok, owijając się nim jeszcze szczelniej, i wróciła na fotel. Podwinęła pod siebie nogi i objęła ramionami kolana. Pusta kanapa obita kremową skórą stała przed nią, jakby na coś czekała. Elizabeth zadrzała, podkręciła dźwięk i upiła nieco kawy. Aksamitny płyn spłynął po jej gardle i rozgrzał żołądek. Spróbowała znowu zagłębić się w świat telewizji.

Przez cały dzień czuła się dziwnie. Jej ojciec zawsze powiadał, że jeśli po plecach chodzą człowiekowi ciarki, to znak, iż coś musi się wydarzyć. Elizabeth nigdy w to nie wierzyła, ale teraz, kiedy wpatrywała się w ekran, usilnie starała się nie patrzeć na sofę i odsunąć od siebie uczucie, że ktoś się jej przygląda.

Ivan obserwował, jak Elizabeth wyłącza dźwięk w telewizorze, szybko odstawia kawę na stolik obok fotela i zrywa się na równe nogi. Znowu to samo, pomyślał. Rozszerzone strachem oczy skanowały pokój. Ivan przygotował się i przesunął na brzeg kanapy. Dżinsy zaskrzypiały na skórzanym obiciu.

Elizabeth podskoczyła i spojrzała w kierunku kanapy. Chwyciła czarny żelazny pogrzebacz oparty o wielki marmurowy kominek i obróciła się

na pięcie. Kostki jej dłoni pobielały, gdy zacisnęła ją na żelaznym pręcie. Powoli, na palcach obeszała pokój, rozglądając się z wyraźnym strachem. Skóra znowu zaskrzypiała pod spodniami Ivana i Elizabeth ruszyła w kierunku sof.

Ivan zerwał się z kanapy i schował w kącie. Ukrył się za zasłoną i obserwował stamtąd, jak Elizabeth zdejmuje z sof poduchy, mamrocząc pod nosem coś o myszach. Po dziesięciu minutach szukania położyła z powrotem wszystkie poduszki na miejsce.

Chwyliła filiżankę z kawą i powędrowała do kuchni, Ivan tuż za nią.

Obserwował ją od piątkowego lunchu. Luke ciągle chciał z nim grać i bawić się, a on myślał tylko o tym, żeby być blisko Elizabeth. Na początku pragnął się po prostu przekonać, czy ta kobieta potrafi go usłyszeć lub poczuć, ale po kilku godzinach poczuł się nią zafascynowany. Była obsesyjnie porządna. Zauważył, że nie wyszłaby z pokoju, nawet po to, żeby odebrać telefon lub otworzyć drzwi gościom, jeśli wszystko nie było dokładnie posprzątane i wytarte. Piła dużo kawy, często wyglądała przez okno, na ogród i co chwila strzepywała ze wszystkiego niewidoczne pyłki kurzu. I dużo myślała. Widział to w jej twarzy. Zmarszczone w koncentracji brwi i grymasy twarzy, jakby prowadziła rozmowę z ludźmi w jej głowie. Sądząc po aktywności jej czoła, owe konwersacje często zmieniały się w prawdziwe debaty.

Zauważył, że zawsze otaczała ją cisza. Nigdy nie słuchała muzyki ani radia, nie otwierała okna, żeby wpuścić do środka dźwięki lata – śpiew ptaków, warkot kosiarki. Rozmawiała z Lukiem bardzo rzadko, a i wtedy zazwyczaj wydawała mu polecenia lub odpowiadała, gdy prosił o pozwolenie na zrobienie czegoś. Żadnej zabawy. Telefon w domu dzwonił rzadko i nigdy nie pojawiali się tu goście. Zupełnie jakby konwersacje, które Elizabeth prowadziła w głowie, w zupełności jej wystarczały.

Większą część piątku i soboty spędził, podążając jej śladami. Wieczorami zasiadał na kremowej skórzanej kanapie i obserwował ją, gdy oglądała jedyny program telewizyjny, który jej się podobał. Oboje śmiali się lub jęczyli z rozpaczy w tych samych momentach, byli idealnie zsynchronizowani, tyle tylko, że Elizabeth nie zdawała sobie sprawy z obecności Ivana.

Poprzedniej nocy przyglądał się jej, gdy spała. Spała bardzo niespokojnie, nie dłużej niż trzy godziny. Resztę czasu spędzała, czytając książkę, którą odkładała po pięciu minutach, by wpatrywać się w przestrzeń. Potem znowu brała książkę do ręki, czytała od nowa te same strony, odkładała ją na bok, zamykała oczy, otwierała je, zapalała światło, gryzmoła szkice mebli i pokoiów, bawiła się kolorami, odcieniami, kawałkami materiałów, aż wreszcie znowu gasiła światło.

Ivan czuł się zmęczony samym patrzaniem na nią z miejsca, gdzie siedział w wiklinowym krześle w rogu pokoju. Wycieczki do kuchni po kawę również nie pomagały Elizabeth zasnąć. W niedzielę była na nogach od wczesnego rana.

Sprzątała, odkurzała, polerowała i doprowadzała do lśnienia i tak już nienagannie wysprzątanego domu. Spędziła na tym cały poranek, podczas gdy Ivan bawił się w berka z Lukiem w ogrodzie. Elizabeth wydawała się bardzo zdenerwowana widokiem małego biegającego po całym ogrodzie, zaśmiewającego się i krzyczącego pozornie do samego siebie. Potem przyłączyła się do nich w kuchni i przyglądała, jak gra w karty przy stole. Potrząsała głową, wyraźnie zmartwiona, kiedy szczegółowo wyjaśniał pustej przestrzeni zasady gry.

Kiedy jednak Luke poszedł spać o dziewiątej wieczorem, Ivan przeczytał mu bajkę o Tomciu Paluszkę szybciej, niż zrobiłby to zazwyczaj, a potem pospiesznie wyszedł, żeby dalej obserwować Elizabeth. Czuł, że jej zdenerwowanie rośnie wraz z upływem dni.

Umyła filiżankę, upewniając się, że jest czysta, zanim włożyła ją do zmywarki.

Wytarła mokry zlew ściereczką, którą następnie włożyła do stojącego w pomieszczeniu gospodarczym kosza z praniem. Po drodze starła niewidoczny pyłek z kilku rzeczy, podniosła z podłogi parę okruszków, wyłączyła wszystkie światła w kuchni, a potem rozpoczęła ten sam rytuał w dużym pokoju. Robiła dokładnie to samo przez ostatnie dwa wieczory.

Tym razem jednak, zanim wyszła z salonu, zatrzymała się gwałtownie tak, że Ivan o mały włos na nią nie wpadł. Jego serce waliło jak młotem. Czyżby go poczuła?

Odwróciła się powoli. Ivan wygładził koszulę, żeby jako tako się prezentować.

Kiedy spojrzała w jego kierunku, uśmiechnął się.

– Hej. – Poczuł się nagle bardzo zawstydzony.

Elizabeth potarła oczy zmęczonym gestem i otworzyła je znowu.

– Och, Elizabeth, dostajesz kręćka – szepnęła. Przygryzła wargę i ruszyła prosto na Ivana.

5

Dokładnie w tym momencie Elizabeth uznała, że traci zmysły. Wiedziała, że to się stanie. Najpierw matka i siostra, a teraz przyszła jej kolej. Przez kilka ostatnich dni czuła się bardzo niepewnie, jakby ktoś nieustannie ją obserwował. Zamknęła na klucz wszystkie drzwi, zasunęła zasłony, włączyła alarm. To powinno wystarczyć, ale zamierzała uczynić kolejny krok.

Przemierzyła szybkim krokiem salon, chwyciła pogrzebacz i wymaszerowała z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz. Ruszyła na górę. Już w sypialni spojrzała na inny pogrzebacz leżący na jej szafce nocnej, wyrwała oczami i zgasiła światło.

Naprawdę traciła zdrowy rozsądek.

Ivan wyszedł zza kanapy i rozejrzał się dookoła. Schował się tam, myśląc, że Elizabeth zamierza go pobić. Kiedy wybiegła z salonu, usłyszał chrobot klucza w zamku. Opadł na kanapę zawiedziony, jak nigdy przedtem. Elizabeth nadal go nie widziała.

Nie jestem zaczarowany. Nie potrafię skrzyżować ramion, skinąć głową, mrugnąć i zniknąć, a potem pojawić się nagle na szczycie regału z książkami. Nic podobnego. Nie mieszkam również w lampie, nie mam śmiesznych małych uszu, wielkich włochatych stóp ani skrzydeł. Nie zamieniam wypadających mleczaków na pieniądze, nie zostawiam prezentów pod choinką ani nie chowam po domu czekoladowych jajek wielkanocnych. Nie potrafię latać, wspinać się po ścianach budynków ani biegać szybciej niż światło. Nie potrafię również otwierać drzwi.

Ktoś musi to zrobić za mnie. Dorośli uważają, że to bardzo zabawne, choć momentami żenujące, kiedy ich pociechy otwierają przed nami drzwi publicznie. Nie rozumiem tego. Ja przecież nie śmieję się z dorosłych dlatego, że nie potrafią się wspinać na drzewa albo powiedzieć alfabetu od końca. Jest to dla nich fizycznie niemożliwe. Nie znaczy to, że są potworami albo dziwakami.

Elizabeth wcale nie musiała zamykać wieczorem salonu na klucz, bo i tak nie mógłbym nacisnąć klamki. Jak już mówiłem, nie jestem superbohaterem. Moją niezwykłą mocą jest dar przyjaźni. Słucham ludzi i tego, co chcą powiedzieć.

Rozumiem intonację ich głosu, słowa, których używają, a przede wszystkim słyszę to, czego nie mówią.

Tej nocy nie mogłem robić nic innego, jak tylko myśleć o moim nowym przyjacielu, Luke'u. Od czasu do czasu muszę robić takie rzeczy, tworzyć coś w rodzaju notatek w głowie, żeby potem wypełnić raport dla swoich szefów. Lubią mieć informacje o wszystkich zadaniach, w celach szkoleniowych. Cały czas zatrudniamy nowych ludzi. W zasadzie to pomiędzy jedną a drugą misją prowadzę wykłady dla kandydatów do pracy.

Tej nocy musiałem zastanowić się, dlaczego tutaj jestem. Co sprawiło, że Luke mnie zobaczył? Jaką mógł odnieść korzyść z mojej przyjaźni? Podchodzimy do naszej pracy bardzo poważnie i zawsze musimy przedstawić w firmie krótką historię naszych przyjaciół oraz wytyczone cele. Zawsze potrafiłem od razu zidentyfikować problem, ale tym razem scenariusz był nietypowy. Bo, widzicie, nigdy jeszcze nie zaprzyjaźniłem się z dorosłym. To oczywiście dla każdego, kto kiedykolwiek miał do czynienia z tym typem ludzi.

Zawsze trzymają się wyznaczonych planów i terminów, koncentrują się na najbardziej nieistotnych rzeczach, jakie można sobie wyobrazić, jak pożyczki czy wyciągi z konta. Przecież każdy wie, że nie pieniądze, ale otaczający ich ludzie wywołują u nich uśmiech i poczucie szczęścia. Tymczasem dorosłym zależy tylko na pracy. Nie chcą się bawić. Ja też pracuję bardzo ciężko, ale zabawa jest moim ulubionym zajęciem.

Przyjrzyjmy się dla przykładu Elizabeth; leży w łóżku i martwi się o podatki, rachunki za telefon, niarki dla dzieci i kolory farb. Jeżeli nie można pomalować ścian na magnoliowo, to co z tego? Przecież jest milion innych kolorów, które można wykorzystać. Jeżeli nie można zapłacić chwilowo rachunku za telefon, zawsze można napisać list do telekomunikacji i poinformować ich o tym. Dorośli zapominają, że zawsze jest kilka wyjść z sytuacji, a przede wszystkim o tym, iż takie rzeczy są naprawdę nieistotne. Powinni skoncentrować się na tym, co mają, a nie na tym, czego nie mają.

Ale znowu odchodzę od mojej opowieści.

Tej nocy, zamknięty w salonie Elizabeth, niepokoiłem się o moją pracę. Nigdy przedtem coś takiego mi się nie przydarzyło. Martwiłem się, ponieważ nie wiedziałem, dlaczego znalazłem się w tym domu. Sytuacja rodzinna Luke'a była skomplikowana, ale to normalna rzecz. Poza tym wiedziałem, że czuje się kochany.

Był szczęśliwy, lubił się bawić, sypiał dobrze w nocy, zjadał wszystkie posiłki, miał

fajnego przyjaciela o imieniu Sam, a kiedy mówił, słuchałem i słuchałem, usiłując dotrzeć do słów, których nie wypowiadał, i nie znalazłem niczego. Luke bał się swojej mamy, lubił mieszkać z ciotką i rozmawiać o warzywach z dziadkiem. Mimo to widział mnie codziennie i chciał się ze mną bawić, co oznaczało, że mnie potrzebuje.

Natomiast Elizabeth sypiała bardzo źle, mało jadła i ciągle otaczała ją cisza tak głośna, że niemal ogłuszająca. Nie miała nikogo bliskiego, a przynajmniej ja tego nie zauważyłem, a w tym, co mówiła, rozbrzmiewało wiele niewypowiedzianych słów.

Słyszała, jak podziękowałem jej za jedzenie, poczuła kilka razy mój oddech, usłyszała skrzywienie skórzanego obicia kanapy, kiedy się na niej wierciłem, ale nie mogła mnie zobaczyć. Nie potrafiła również znieść mojej obecności w domu.

Elizabeth zdecydowanie nie chciała się bawić.

Poza tym była dorosła. Denerwowała mnie. Nie wiedziała, co to prawdziwa radość, a uwierzcie mi, przez cały weekend usiłowałem ją wielokrotnie rozbawić. Nie mogłem zatem być tutaj po to, żeby jej pomóc. To byłoby niespotykane.

Ludzie zazwyczaj nazywają mnie niewidzialnym lub zmyślnym przyjacielem, zupełnie jakby otaczała mnie jakaś tajemnica. Czytałem wiele książek napisanych przez dorosłych, w których zastanawiali się, dlaczego dzieci mnie widzą, dlaczego wierzą we mnie tak bardzo i tak długo, a potem nagle przestają i wracają do normalnego zachowania. Oglądałem programy telewizyjne o tym, dlaczego dzieci wymyślają ludzi mojego pokroju.

Gwoli wyjaśnienia: nie jestem ani niewidzialny, ani zmyślny. Spaceruję ulicami, tak samo jak wy. Osoby pokroju Luke'a wcale nie postanawiają nagle, że zaczną mnie widzieć. Po prostu w pewnej chwili mnie dostrzegają. To ludzie tacy jak wy albo Elizabeth nie widzą mnie z wyboru, bo nie chcą.

6

Elizabeth obudziła się osiem po szóstej rano. Słońce wpadało przez okno sypialni, świecąc jej prosto w twarz.

Zawsze spała z odsłoniętymi zasłonami. Pozostało jej to z dzieciństwa spędzonego na farmie. Leżąc w łóżku, obserwowała wtedy ogród i bramę wejściową, za nią zaś kilometrową drogę dojazdową, prowadzącą przez pola. Mogła na niej zobaczyć mamę wracającą ze swoich wielkich

wypraw. Rozpoznawała ją po chodzie.

Dwadzieścia minut, jakie zajmowało jej dotarcie do farmy, zawsze wydawało się Elizabeth wiecznością.

Tak, ta droga miała swoje sposoby, żeby drażnić małą Elizabeth.

Przez okno słycać też było znajome skrzywienie bramy. Zardzewiałe zawiasy działały niczym transparent powitalny dla matki. Elizabeth i kochała tę bramę, i nienawidziła jej. Drażniła ją, zupełnie jak droga. Czasami, kiedy słyszała jej skrzywienie, biegła, żeby zobaczyć, kto przyszedł, i często odczuwała bolesny zawód, widząc listonosza.

Podczas nauki w college'u w internacie denerwowała współlokatorów i kochanków swoim nawykiem odsłaniania okien w nocy. Sama nie wiedziała, dlaczego tak się przy tym upiera – przecież nie czekała już na matkę. Teraz odsłonięte okno spełniało rolę budzika. Elizabeth wiedziała, że wpadające przez nie światło nie pozwoli jej zasnąć zbyt głęboko. Nawet we śnie pozostawała czujna i kontrolowała sytuację. Kładła się do łóżka, żeby odpocząć, a nie po to, aby śnić.

Zmrużyła oczy przed blaskiem i poczuła ból głowy. Potrzebowała kawy, i to szybko. Na zewnątrz, gdzieś nad łąką śpiewał głośno ptak. Daleko w tle odpowiedziało mu muczenie krowy. Pomimo idyllicznego poranka Elizabeth z przykrością pomyślała o dzisiejszym dniu. Musiała spróbować zorganizować ponowne spotkanie z deweloperami, którzy planowali budowę hotelu na wzgórzu.

Wiedziała, że jej szanse maleją, ponieważ po artykułach o planowanym hotelowym gniazdku miłośnym ze wszystkich stron świata zaczęli zgłaszać się do nich ludzie gotowi sprzedać im swoje pomysły na wystrój wnętrz. Zdenerwowana Elizabeth uznawała to za inwazję na jej terytorium.

Niestety, nie był to jej jedyny problem.

Ojciec zaprosił Luke'a na cały dzień na swoją farmę. Elizabeth była z tego powodu zadowolona. Problem w tym, że Brendan oczekiwał przybycia również drugiego sześciolatka, o imieniu Ivan. Będzie musiała dzisiaj rano porozmawiać o tym z Lukiem. Bała się, co może się stać, gdy mały przedstawi dziadkowi niewidzialnego przyjaciela.

Brendan miał sześćdziesiąt pięć lat, był wysoki, potężny, milczący i wiecznie ponury. Nie złagodniał z wiekiem, przeciwnie, stał się jeszcze bardziej rozgoryczony, zagubiony i smutny. Ten małostkowy człowiek nie chciał się zmienić ani otworzyć przed światem. Elizabeth mogłaby zrozumieć jego trudny charakter, gdyby był

szczęśliwy. Z tego jednak, co widziała, jego własne zachowanie i poglądy frustrowały go i czyniły coraz bardziej nieszczęśliwym. Ojciec był uparty, rzadko się odzywał, i to przeważnie do krów lub warzyw. Nigdy się nie śmiał, a kiedy już uznał, że ktoś zasłużył sobie na jego słowa, były to słowa pouczenia. Nie było sensu wdawać się z nim w dyskusję. Ojciec nie odzywał się z potrzeby konwersacji, ale po to, aby coś oznajmić.

Rzadko spędzał czas z Lukiem, ponieważ nie miał czasu na bzdury dziecięcego świata. Jediną rzeczą, którą lubił w swoim wnuku, to fakt, że dzieciak stanowił

niezapisaną księgę, gotową do wypełnienia informacjami. Luke nie posiadał wystarczającej wiedzy, aby kwestionować lub krytykować zasłyszane mądrości.

Bajki i zmyślane historie nie istniały w świecie ojca. Elizabeth przypuszczała, że to jedyna rzecz, w której są podobni.

Ziewnęła i przeciągnęła się, nadal niezdolna otworzyć oczy w blasku słońca.

Po omacku odszukała stojący na szafce budzik. Chociaż budziła się każdego poranka o tej samej porze, nigdy nie zapomniała włączyć alarmu. Potrąciła jakiś zimny i chłodny przedmiot, który upadł z głośnym hukiem na podłogę. Serce podskoczyło jej w piersi z przerażenia.

Wychyliła głowę za brzeg łóżka i dostrzegła pogrzebacz leżący na białym dywanie. Przypomniał jej o tym, że powinna dziś zadzwonić do Rentokilu, żeby usunęli z jej domu myszy. Czuli, że były w jej sypialni przez kilka ostatnich nocy, kiedy miała problemy ze snem, chociaż nie było to dla niej tak bardzo nietypowe.

Wzięła prysznic, ubrała się, obudziła Luke'a i zeszła na dół, do kuchni. Kilka minut później, z filiżanką espresso w dłoni, wybrała numer Rentokilu. Do kuchni wtoczył się zaspany Luke, z rozwichrzonymi włosami, ubrany w pomarańczowy podkoszulek, częściowo wetknięty w czerwone szorty. Stroju dopełniały skarpetki nie do pary i adidasy, których podeszwy migały światłkami przy każdym kroku.

– Gdzie jest Ivan? – wychrypiął, rozglądając się po kuchni nieprzytomnym wzrokiem. Był taki sam każdego poranka. Budził się przynajmniej przez godzinę, nawet jeżeli dawno już był ubrany. W zimie ocknięcie się zabierało mu jeszcze więcej czasu. Elizabeth przypuszczała, że orientował się, gdzie jest i co robi dopiero w połowie porannych zajęć w szkole.

– Gdzie jest Ivan? – powtórzył Luke.

Elizabeth uciszyła go, przykładając palec do ust i spoglądając na niego surowo.

Słuchała właśnie przedstawicielki Rentokilu. Luke wiedział, że Elizabeth nie wolno przeszkadzać, kiedy rozmawia przez telefon.

– Zauważyłam to dopiero podczas weekendu. Od piątku po południu, więc zasta...

– IVAN? – krzyknął Luke i zaczął zaglądać pod stół kuchenny, za zasłony i drzwi. Elizabeth wyróciła oczami. Znowu to samo.

– Nie, nie widziałam...

– NAAAAAAAAAN?!

– ...żadnej myszy, ale zdecydowanie mam wrażenie, że są w domu –

dokończyła Elizabeth, usiłując przyciągnąć uwagę Luke'a, żeby znów upomnieć go wzrokiem.

– IVAAAN, GDZIE JESTEŚ?! – krzyknął Luke.

– Odchody? Nie, nie widziałam odchodów – Elizabeth zaczęła się denerwować.

Luke przestał krzyczeć i nastawił uszu.

– CO MÓWISZ? NIE SŁYSZĘ CIĘ DOBRZE.

– Nie, nie mam żadnych pułapek na myszy. Proszę pani, jestem bardzo zajęta, nie mam czasu na odpowiadanie na pani dwadzieścia pytań.

Czy może pani przysłać kogoś, żeby sprawdził to wszystko za mnie? – rzuciła gniewnie Elizabeth.

Luke nagle wybiegł z kuchni na korytarz. Za chwilę usłyszała, jak wali w drzwi do salonu.

– CO TY TAM ROBISZ, IVAN? – pociągnął za klamkę.

Wreszcie Elizabeth zakończyła rozmowę z kobietą z Rentokilu i rzuciła słuchawkę na stół. Luke krzyczał na cały głos, stojąc tuż przy drzwiach salonu.

Zawrzała w niej złość.

– LUKE! NATYCHMIAST TU PRZYJDŹ! – wrzasnęła.

Walenie w drzwi ustało i mały przyczłapał do kuchni.

– NIE SZURAJ NOGAMI! – krzyknęła ze złością.

Luke zaczął podnosić stopy wyżej i małe lampki w podszewkach migotały przy każdym jego kroku. Stał tuż przed nią.

– Dlaczego zamknęłaś Iwana w salonie na całą noc? – spytał na tyle spokojnie i niewinnie, na ile potrafił opanować wyraźne zdenerwowanie.

Elizabeth milczała. Musiała zakończyć ten idiotyzm, i to natychmiast. Usiądą teraz razem i przedyskutują sprawę. Pod koniec zaś mały uszanuje jej życzenie.

Elizabeth wytłumaczy mu, że zachowuje się niemądrze i nie będą już więcej rozmawiać o niewidzialnych przyjaciółach.

– Poza tym Ivan chce wiedzieć, dlaczego zabrałaś ze sobą pogrzebacz do łóżka

– dodał Luke, czując się nieco pewniej, ponieważ Elizabeth na niego nie nakrzyczała.

– Ani słowa więcej o Iwanie, rozumiałeś?! – eksplodowała Elizabeth.

Luke pobrał na twarzy.

– ZROZUMIAŁEŚ?! – wrzasnęła. Nie dała mu nawet szansy na odpowiedź. –

Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma czegoś takiego jak Ivan. Nie bawi się z tobą w berka, nie je pizzy, nie ma go w dużym pokoju i nie jest twoim najlepszym przyjacielem, ponieważ nie istnieje.

Twarz Luke'a wykrzywiła się, jakby za chwilę miał się rozpląkać.

– Dzisiaj pojedziesz odwiedzić dziadka – ciągnęła Elizabeth. – Jeżeli usłyszę od niego, że wspomniałeś jednym słowem o Iwanie, będziesz miał poważne kłopoty.

Rozumiesz?

Luke zaczął cicho płakać.

– Rozumiesz? – powtórzyła.

Chłopiec pokiwał powoli głową. Po policzkach spływały mu łzy.

Elizabeth poczuła, że nie jest już wściekła, ale boli ją gardło od krzyku.

– A teraz usiądź przy stole. Przyniosę ci twoje płatki – powiedziała łagodniej.

Przygotowała mu porcję coco pops. Zazwyczaj nie pozwalała mu jeść takich słodkich śniadań, ale teraz czuła się winna, że nie porozmawiała z nim o Iwanie tak, jak to planowała. Wiedziała, że ma problemy z utrzymywaniem złości w ryzach.

Usiadła przy stole i obserwowała, jak mały wsypuje kakaowe prażynki do miski i chwiejnie nachyla karton z mlekiem nad miską. Biały płyn rozprysnął się na stole. Elizabeth powstrzymała się od nakrzyczenia za to na siostrzeńca, chociaż przecież wysprzątała i wypucowała wszystko zaledwie wczoraj.

Coś, co powiedział Luke, nie dawało jej spokoju, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, co to było. Oparła brodę o dłoń i obserwowała, jak mały je.

Przeżuwał powoli, z widocznym smutkiem. Panowała cisza, z wyjątkiem chrupania prażynek.

– Gdzie jest klucz od dużego pokoju? – spytał po kilku chwilach.

– Luke, nie mów z pełną buzią – upomniała go łagodnie. Wyjęła klucz z kieszeni, podeszła do drzwi salonu i otworzyła je. – Proszę bardzo, teraz Ivan może opuścić nasz dom – zażartowała i natychmiast tego pożałowała.

– Nie może – odparł ze smutkiem Luke. – Nie potrafi sam otworzyć drzwi.

Zapadło milczenie.

– Nie potrafi? – spytała Elizabeth.

Luke potrząsnął głową. Wyraźnie uważał, że to najnormalniejsza rzecz na świecie. Elizabeth dawno nie słyszała podobnej bzdury. Co to za niewidzialny przyjaciel, który nie potrafi przechodzić przez ściany i zamknięte drzwi? W każdym razie ona jemu nie zamierzała ich otworzyć. Wystarczy, że odblokowała zamek, co i tak było szczytem idiotyzmu z jej strony. Wróciła do kuchni i zaczęła się pakować do pracy. Luke skończył jeść płatki, włożył miskę do zmywarki, umył ręce, wytarł je w ręczniczek i ruszył w kierunku drzwi do salonu. Przekręcił klamkę, otworzył drzwi na oścież, uśmiechnął się szeroko do powietrza, przyłożył palec do ust, wskazał na ciocię drugą ręką i cicho zachichotał do siebie samego. Elizabeth przyglądała się temu z przerażeniem. Poszła do salonu i stanęła w drzwiach, za plecami chłopca.

Zajrzała do środka. Nikogo tam nie było.

Kobieta z Rentokilu powiedziała, że zazwyczaj myszy nie przychodzą do domu w czerwcu, i teraz, kiedy Elizabeth przyglądała się podejrzliwie dużemu pokojowi, zastanawiała się, co w takim razie mogło robić taki hałas.

Chichot Luke'a wybił ją z transu. Spojrzała w stronę kuchni i zobaczyła, jak siedzi przy stole, machając radośnie nogami i robiąc głupie miny do pustej przestrzeni. Naprzeciwko niego stało nakrycie ze świeżo nasypanymi prażynkami Coco Pops.

– O rany, ale ona jest zasadnicza – wyszeptalem do Luke'a, usiłując jeść moje coco pops tak, żeby tego nie zauważyła. Zazwyczaj nie szepczę w obecności rodziców, ale Elizabeth słyszała mnie kilka razy w ciągu kilku minionych dni, nie chciałem więc ryzykować.

Luke zachichotał i pokiwał głową.

– Zawsze taka jest?

Znowu pokiwał głową.

– Czy kiedykolwiek się z tobą bawi albo cię przytula? – spytałem,

przyglądając się, jak Elizabeth sprząta lśniące czystością blaty kuchenne, przesuwając przedmioty pół centymetra w prawą albo w lewą.

Luke pomyślał przez chwilę.

– Niezbyt często – odparł.

– Ale to okropne! Nie przeszkadza ci to?

– Edith mówi, że niektórzy ludzie nie potrafią się bawić i przytulać, ale to nie oznacza, że cię nie kochają. Po prostu nie potrafią tego okazać albo powiedzieć –

wyszeptalem w odpowiedzi Luke.

Elizabeth przyjrzała mu się nerwowo z drugiego końca kuchni.

– Kto to jest Edith?

– Moja niania.

– Gdzie ona jest?

– Na wakacjach.

– A kto się tobą opiekuje, kiedy ona jest na wakacjach?

– Ty – uśmiechnął się mały.

– Umowa stoi – wyciągnąłem do niego rękę. Luke chwycił ją. – Musimy to zrobić tak – wyjaśniłem, potrząsając jego dłonią gwałtownie i drgając całym ciałem, jakbym dostał konwulsji. Luke zaczął się śmiać i zrobił to samo. Roześmialiśmy się jeszcze bardziej, kiedy Elizabeth przestała sprzątać i spojrzała na nas szeroko otwartymi oczami.

– Zadajesz dużo pytań – wyszeptalem Luke.

– A ty udzielasz wielu odpowiedzi – odciąłem się i znowu się roześmieliśmy.

Bmw podskakiwało na nierównej drodze prowadzącej na farmę ojca. Elizabeth ze złością zaciskała dłonie na kierownicy, wiedząc, że boki świeżo umytego samochodu pokrywa coraz grubsza warstwa kurzu. Jak mogła żyć na tej farmie przez osiemnaście lat? Nie mieściło się to jej w głowie. Tutaj niczego nie można było doprowadzić do porządku.

Dziki fuksje tańczyły na wietrze, witając nadjeżdżających. Rosły wzdłuż drogi, ich kwiaty były niczym światła na pasie startowym, zwrócone ku nadjeżdżającym, jakby chciały się im dobrze przyjrzeć. Luke otworzył okno i wystawił rękę na zewnątrz.

Elizabeth modliła się, żeby na drodze nie pojawił się nagle żaden

nadjeżdżający z przeciwka wóz. Nie było tu miejsca na dwa samochody i żeby przepuścić kogokolwiek, musiałyby się cofnąć ponad pół kilometra. Czasami wydawało jej się, że to najdłuższa droga na świecie. Widziała doskonale, dokąd zmierza, ale często musiała się cofać, żeby dotrzeć do celu.

Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu.

Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy widziała matkę tak bardzo wyraźnie na początku drogi, ale musiała czekać całe dwadzieścia minut, żeby usłyszeć znajome skrzypienie bramy.

Dzięki Bogu, tym razem na drodze nie było żadnego ruchu. Tak czy siak, byli już spóźnieni. Prośba Elizabeth najwyraźniej odbiła się od uszu Luke'a niczym groch od ściany, ponieważ mały odmówił wyjścia z domu, zanim Ivan nie skończy swoich płatków. Potem nalegał, żeby przesunąć siedzenie pasażera i wpuścić Ivana do tyłu.

Rzuciła wzrokiem na siostrzeńca. Siedział tuż obok niej, z zapiętym pasem i ręką za oknem, nucąc tę samą piosenkę, którą śpiewał przez cały weekend. Wyglądał

na szczęśliwego. Elizabeth miała nadzieję, że wkrótce przestanie udawać, iż ma niewidzialnego przyjaciela, przynajmniej podczas pobytu u dziadka.

Widziała tatę czekającego na nich przy bramie. Znajomy widok. Znajoma czynność. Oczekiwanie. Miał na sobie te same brązowe spodnie, które Elizabeth pamiętała z dzieciństwa. Nogawki wetknął w ubłocone zielone kalosze, których nie zdejmował nawet w domu. Jego zielona bawełniana bluza była obszyta łatami z wyblakłego zielonego i błękitnego materiału. Na samym środku widniała dziura, spod której wзираł zielony podkoszulek. Na głowie ojciec miał tweedową czapkę, a jego twarz pokrywał posiwiały zarost. Jego oczy były szare i nieco szalone, a gęste brwi przykrywały niemal całkowicie powieki. W twarzy Brendana królował nos, z ogromnymi nozdrzami pełnymi szarych włosów. Jego twarz poznaczona była głębokimi zmarszczkami, dłonie wydawały się wielkie niczym szufle, ramiona zaś szerokie jak Dolina Dunloe[2]. Całe domostwo przy nim wydawało się niskie, jakby skartłowaciale.

Kiedy Luke zobaczył dziadka, przestał podśpiewywać i schował rękę do samochodu. Elizabeth zatrzymała się przed bramą, wyłączyła silnik i wyskoczyła na zewnątrz. Miała plan. Gdy tylko Luke wysiadł, zatrzasnęła drzwi od jego strony i zablokowała je, zanim miał szansę przesunąć siedzenie, aby wypuścić Ivana. Mały skrzywił się płacziwie, spoglądając na nią, a potem na samochód.

Brama skrzypnęła i żołądek Elizabeth ścisnął się boleśnie.

– Dzień dobry – zahuczał głęboki głos. Nie było to powitanie tylko stwierdzenie.

Dolna warga Luke'a zadrżała. Przycisnął twarz i dłonie do szyby na wysokości tylnego siedzenia samochodu. Elizabeth miała nadzieję, że nie zacznie się teraz awanturować.

– Nie zamierzasz się przywitać z dziadkiem, Luke? – spytała surowo, świadoma, że ona sama również powinna to zrobić.

– Cześć, dziadku – rzucił mały drżącym głosem, nie odrywając się od samochodu.

Elizabeth zastanawiała się, czy nie lepiej będzie otworzyć drzwi i wypuścić Ivana, żeby uniknąć sceny. Najwyraźniej Luke przechodził kolejną fazę dojrzewania i trzeba się było z tym pogodzić.

– Gdzie jest ten drugi? – spytał głośno Brendan.

– Drugi co? – Elizabeth chwyciła rękę Luke'a i próbowała go odwrócić. Jego błękitne oczy spoglądały na nią błagalnie. Ścisnęło jej się serce. Chłopiec wiedział, że nie powinien wszczynać awantury.

– Ten młodzieniec, który zna się na zagranicznych warzywach.

– Ivan – uściślił Luke ze smutkiem. Jego oczy wypełniły się łzami.

– Ivan nie mógł dzisiaj przyjechać, prawda, Luke? – zareagowała Elizabeth. –

Może innego dnia – dodała szybko. – No dobrze. Lepiej już pojedę do pracy, inaczej się spóźnię. Baw się dobrze z dziadkiem, Luke.

Mały spojrzął na nią i skinął niepewnie głową.

Elizabeth nienawidziła się za to wszystko, ale wiedziała, że powinna zapanować nad tą idiotyczną sytuacją.

– No to jedź już – Brendan machnął w jej kierunku tarninowym koszykiem, jakby odpędzając nieznośną muchę, i odwrócił się do niej plecami.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, było skrzyknięcie bramy, zanim zamknął ją za sobą z hukiem. W

drodze powrotnej musiała się cofnąć dwa razy, żeby przepuścić dwa traktory. W

lusterku wstecznym widziała Luke'a i ojca w ogrodzie. Brendan wyglądał przy małym chłopczyku niczym olbrzym.

Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ucieknie od tego domu. Czuła się tak, jakby ruch drogowy był niczym przypływ, który spychał ją ciągle na ten sam brzeg.

Pamiętała dzień, kiedy jako osiemnastoletnia dziewczyna cieszyła się perspektywą wyjazdu. Po raz pierwszy w życiu miała opuścić farmę z walizkami i wrócić dopiero na Gwiazdkę. Jechała na uniwersytet w Cork po wygranej walce z ojcem i utracie resztki szacunku, jaki dla niej miał. Zamiast cieszyć się wraz z nią, w dniu wyjazdu odmówił pożegnania. Jediną osobą, która stała przed bramą tego jasnego sierpniowego poranka, gdy Elizabeth oddalała się taksówką, była sześcioletnia Saoirse. Z włosami spiętymi w dwa potargane kucyki i bezzębnym szerokim uśmiechem machała zawzięcie swojej odjeżdżającej siostrze, szalenie z niej dumna.

Elizabeth zawsze wyobrażała sobie, że w takim momencie, przecinając łączącą ją z domem pępowinę, poczuje radość i ulgę. Tamtego dnia jednak wypełnił ją strach i troska – nie o to, co ją czekało, ale z powodu tego, co pozostawiała za sobą.

Nie mogła matkować Saoirse przez całe życie. Była młodą kobietą, która musiała posmakować wolności i odnaleźć swoje miejsce w życiu. Ojciec wreszcie powinien zająć się wychowaniem młodszego dziecka, czego przez tyle lat unikał.

Elizabeth miała nadzieję, że teraz, kiedy ci dwoje zostaną sami, ojciec zda sobie sprawę z ciążących na nim obowiązków i okaże swojej córce trochę miłości.

A jeśli tego nie zrobi? Obserwowała siostrzyczkę przez tylną szybę samochodu, czując się tak, jakby nigdy więcej miała nie zobaczyć Saoirse.

Dziewczynka machała gwałtownie, a oczy Elizabeth wypełniały się łzami nad tą małą kuleczką energii, którą pozostawiała samej sobie. Ogniste loki podskakujące na wietrze były widoczne z daleka. Co robi jej mała siostrzyczka, kiedy przestanie ją bawić machanie i zrozumie, że została sama z człowiekiem, który nigdy się nie odzywał, nigdy nie pomagał i nigdy nie okazywał miłości? Elizabeth miała ochotę poprosić taksówkarza, żeby zawrócił, ale powiedziała sobie, że musi być silna.

Powinna posmakować życia.

Na ciebie też przyjdzie pora, Saoirse, mówiły jej oczy, gdy spoglądała na nienacką w oddali figurkę. Obiecuj, że zrobisz to samo. Uciekniesz. Z oczami pełnymi łez Elizabeth obserwowała, jak farma maleje w lusterku wstecznym, aż wreszcie znika, gdy bmw dotarło do końca kilometrowej drogi.

Natychmiast ramiona Elizabeth rozluźniły się i zdała sobie sprawę, że niemal przez cały czas wstrzymywała oddech.

– No dobrze, Ivan – rzuciła, spoglądając w lusterko wsteczne na puste tylne siedzenie. – Wygląda na to, że pojedziesz ze mną do pracy. – A potem zrobiła coś bardzo dziwnego. Zachichotała jak dziecko.

7

Elizabeth przejechała przez kamienny most, który stanowił swoistą bramę wjazdową do miasta. Baile na gCroíthe kipiało energią. Wąską ulicę główną blokowały dwa autokary wycieczkowe, które usiłowały się minąć. W ich środku dostrzegała turystów z twarzami przyklejonymi do szyby, zachwycających się, pokazujących sobie coś palcami i pstrykających zdjęcia. Kierowca autokaru jadącego w kierunku Elizabeth oblizywał wargi w skupieniu, a na jego czole perlił się pot, gdy manewrował wielkim wozem na drodze zbudowanej dawno temu dla koni i powozów. Boki autokarów niemal się ze sobą stykały. Obok kierowcy siedział pilot wycieczki z mikrofonem, starając się zainteresować czymś o tak wczesnej porze stuosobową grupę słuchaczy.

Elizabeth zaciągnęła hamulec ręczny i westchnęła głośno. Takie sytuacje zdarzały się w lecie dość często i wiedziała, że potrwa to dłuższą chwilę. Wątpiła, że autokary się zatrzymają. Rzadko to robiły, chyba, że ktoś musiał skorzystać z toalety.

Ruch drogowy w Baile na gCroíthe nigdy nie ustawał. Elizabeth nie winiła przejezdnych, że nie chcą sobie tutaj urządzić postoju. Miasto było doskonałym punktem tranzytowym, ale nie zachęcało do zatrzymania się w nim na dłużej.

Autokary i busy przejeżdżające przez miasto zwalniały, żeby turyści mogli się dobrze rozejrzeć, ale potem kierowcy dociskali pedał gazu i czym prędzej wyjeżdżali.

Nie chodziło o to, że Baile na gCroíthe nie było interesujące. Miało w sobie wiele uroku. Jego mieszkańcy byli ogromnie dumni, ponieważ trzy lata z rzędu wygrywało konkurs na Najlepiej Utrzymane Miasto Irlandii. Wjeżdżających w jego granice od strony mostu witały ogromne rabaty. W całym mieście było pełno kwiatów, w donicach na parapetach okiennych i koszykach zwisających z lamp.

Wzdłuż głównej ulicy rosły rzędy drzew. Każdy budynek był pomalowany na inny kolor i razem wyglądały niczym pastelowa tęcza. Cieszyły oczy śmiałymi odcieniami miętozieleni, łososiowego różu, wrzosu, cytryny i błękitu. Chodniki zawsze były nienagannie czyste, a kiedy człowiek spojrzał ponad szare blaszane dachy domów, widział majestatyczne wzgórza, zupełnie jakby Baile na gCroíthe było otoczone kokonem zieleni, bezpieczne w łonie Matki Natury.

Bezpieczne albo przyduszone.

Biuro Elizabeth znajdowało się w bładoniebieskim budynku obok poczty i żółtego supermarketu. Pomieszczenia jej firmy mieściły się nad sklepem tapicerskim pani Bracken. Kiedyś był tu warsztat z narzędziami, prowadzony przez pana Brackena, ale po jego śmierci, dziesięć lat temu, Gwen postanowiła rozkręcić własny biznes. Podejmowała decyzje, opierając się wyłącznie na tym, co pomyślałaby sobie na ten temat jej zmarły mąż. Otworzyła sklep tapicerski, ponieważ „było to coś, czego życzyłby sobie pan Bracken”. Uparcie odmawiała uczestniczenia w przyjęciach, wszelkich weekendowych rozrywkach i angażowania się w jakiegokolwiek spotkania towarzyskie, ponieważ „pan Bracken by sobie tego nie życzył”. Zdaniem Elizabeth to, czego życzył sobie lub nie pan Bracken, idealnie odzwierciedlało filozofię życiową Gwen.

Autokary przesuwały się obok siebie centymetr po centymetrze, nadal blokując drogę. Korki na głównej ulicy Baile na gCroíthe tworzyły się wyłącznie wtedy, gdy usiłowały się na niej minąć dwa autobusy. Wreszcie kierowcom udało się wymanewrować i Elizabeth spojrzała z lekkim niesmakiem na pilota, który podskoczył na swoim siedzeniu, wyraźnie zadowolony, że ów nudny przestój zamieni się w ekscytującą wycieczkę po drogach irlandzkiej wsi. Turyści zaczęli klaskać i wiwatować.

Świętujący naród.

Zza szyb błysnęły flesze i ludzie z obu autokarów pomachali sobie na pożegnanie po ekscytującym porannym spotkaniu.

Elizabeth ruszyła, spoglądając w lusterko wsteczne. Radość turystów w mijającym ją autokarze szybko znikła, gdy zobaczyli przed sobą wąski kamienny most i zrozumieli, że muszą przygotować się na kolejny długotrwały postój.

Miasto jakby robiło to wszystko specjalnie. Witało cię z otwartymi ramionami, przyjmowało do serca i pokazywało swoje uroki. Można się tu poczuć jak dziecko w sklepie ze słodyczami, spoglądające na półki pełne kolorowych lśniących smakowitości, od których cieknie ślinka. Po chwili jednak właściciel zamyka po kolei wszystkie pudełka. Poznawszy piękno tego miasta, przybysz szybko zaczynał zdawać sobie sprawę, że kwieciste kolory to wszystko, co miało ono do zaoferowania.

Przez most łatwiej było wjechać niż wyjechać, ponieważ wyginał się pod dziwnym kątem. Elizabeth nie lubiła jeździć w tym kierunku.

Zupełnie jak z drogą do farmy ojca: nigdy nie mogła odjechać nią tak szybko, jak by chciała.

Podobnie miasto zawsze przyciągało ją z powrotem, chociaż Elizabeth walczyła z tym przez lata.

Kiedyś udało jej się przenieść do Nowego Jorku. Pojechała tam ze swoim chłopakiem, mając w perspektywie zlecenie na projekt wnętrza nocnego klubu.

Bardzo jej się spodobało w Wielkim Jabłku. Ludzie nie wiedzieli, kim jest, jak ma na imię, nie znali historii jej rodziny. Mogła kupować sobie dziesiątki rodzajów kawy i nie musiała znosić współczujących spojrzeń, jeżeli w jej życiu rozegrał się kolejny dramat. Nikt nie wiedział, że matka porzuciła ją we wczesnym dzieciństwie, siostra była szalona, a ojciec prawie się do niej nie odzywał. Uwielbiała Nowy Jork. Mogła tam być, kimkolwiek chciała. W Baile na gCroithe nie była w stanie uciec od swojej tożsamości.

Zdała sobie sprawę, że przez cały czas w drodze do biura nuciła pod nosem piosenkę, którą, zdaniem Luke'a, „wymyślił” Ivan. Nazwał ją „mruczanką”. Motyw aż nadto łatwo wpadał w ucho, radosny. Powstrzymała się od nucenia i zaparkowała samochód na poboczu. Przesunęła tylne siedzenie i sięgnęła po leżącą z tyłu aktówkę.

Wszystko po kolei: najpierw kawa. Baile na gCroithe nie zaznało jeszcze cudu Starbucksa. Dopiero w zeszłym miesiącu Joe pozwolił Elizabeth zabierać zamówioną kawę do biura, ale coraz bardziej denerwowało go to, że musi prosić o zwrot kubków.

Czasem Elizabeth wydawało się, że całemu miastu przydałby się zastrzyk kofeiny. W zimowe dni miała wrażenie, że Baile na gCroithe dopiero co wstało z łóżka i jeszcze nie do końca się obudziło. W lecie jednak na ulicach zawsze było pełno ludzi.

Weszła do fioletowej kawiarni Joego, która była prawie pusta. Miejscowi nie oswoili się jeszcze z koncepcją jedzenia śniadań poza domem.

– Ach, oto i nasza ulubienica! – zabrzmiał śpiewny głos Joego. – Z pewnością pragnie kawy.

– Dzień dobry, Joe.

Mężczyzna spojrzął na zegarek i postukał w szkiełko.

– Trochę jesteście spóźnieni, co? – spojrzął na nią z uniesionymi brwiami. –

Myślałem, że leżysz w łóżku z grypą. W tym tygodniu chyba wszyscy złapali bakcyła. – Starał się ściszyć głos, ale udało mu się jedynie wejść na wyższą tonację. –

Sandy O'Flynn zachorowała dziwnym trafem zaraz po tym, jak poprzedniej nocy wymknęła się z pubu z P.J. Flanaganem, który miał grypę w zeszłym tygodniu. Sandy leży w łóżku od weekendu – parszka. – Że niby odprowadzał ją do domu. Jasne!

Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych głupot.

Elizabeth poczuła, jak narasta w niej irytacja. Nie obchodziły ją plotki o mieszkańcach miasta, zwłaszcza że przez całe lata jej własna rodzina była ich głównym przedmiotem.

– Poproszę o kawę, Joe – rzuciła sucho, ignorując jego gadaninę. – Na wynos.

Ze śmietanką, a nie mlekiem – dodała, chociaż codziennie zamawiała dokładnie to samo. Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu portmonetki, dając Joemu do zrozumienia, że nie ma czasu na plotki.

Właściciel kawiarni powędrował powoli w kierunku puszki z kawą. Ku

niezadowoleniu Elizabeth sprzedawał tylko jeden rodzaj kawy – rozpuszczalną.

Elizabeth brakowało kawiarnianych różności, dostępnych w innych miastach.

Tęskniła za aksamitną, słodką waniliową kawą z paryskich kawiarni, kremowym bogatym aromatem orzechowym w tętniących życiem kawiarniach nowojorskich, intensywnym, gładkim smakiem makadamii w Mediolanie i jej ulubioną orzechową coco-mocą orzechową, z mieszanką czekolady i kawy z aromatem kokosowym, która przenosiła ją z ławki w Central Parku na Karaiby. Tutaj, w Baile na gCroithe, Joe nalewał wodę do starego czajnika na prąd. Elizabeth wywróciła oczami. Miała wątpliwości, czy doprowadzał wodę do wrzenia.

Joe wpatrywał się w nią, jakby zamierzał zapytać...

– Dlaczego przyszedł tak późno?

No właśnie.

– Spóźniłam się tylko pięć minut, Joe – rzuciła zirytowana.

– Wiem, wiem. Pięć minut dla ciebie to jak pięć godzin dla kogoś innego.

Jesteś pewna, że nie dorwał cię pożeracz czasu?

Wbrew sobie Elizabeth uśmiechnęła się z jego żartu. Joe zachichotał i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Tak lepiej – rzucił. Czajnik pstryknął, oznajmiając, że zagotował wodę. Joe odwrócił się, żeby przygotować kawę.

– Autokary mnie zatrzymały – powiedziała Elizabeth łagodnie, odbierając z dłoni Joego gorący kubek.

– A tak, widziałem je – skinął głową w kierunku okna. – Jajmsie nieźle sobie poradził z tym manewrem.

– Jajmsie? – Elizabeth zmarszczyła brwi, dodając do kawy śmietanki, która szybko rozpuściła się i wypełniła kubek od góry jasną warstwą.

Joe przyglądał się temu z niesmakiem.

– Jajmsie O'Connor, syn Jacka – wyjaśnił. – Jacka, którego córka Mary właśnie się zaręczyła z jakimś chłopakiem z Dublina. Jack mieszka w

Mayfair.

Pięcioro dzieci. Najmłodszego aresztowali w zeszłym tygodniu za rzucenie butelką wina w Josepha.

Elizabeth zamarła i wpatrzyła się w niego tępo.

– Josepha McCanna – powtórzył, patrząc na nią jak na wariatkę. – Syna Paddy’ego. Mieszka w Newtown. W zeszłym roku utonęła mu na mokradłach żona.

Jego córka Maggie twierdzi, że to był wypadek, ale podejrzewali rodzinę, z powodu kłótni. Nie chcieli jej pozwolić odejść z tym łobuzem z Cahirciveen.

Elizabeth położyła pieniądze na ladzie i uśmiechnęła się. Nie miała ochoty ani chwili dłużej brać udziału w tej dziwacznej konwersacji.

– Dziękuję, Joe – rzuciła, ruszając w stronę drzwi.

– W każdym razie Jaimsie był jednym z kierowców autokarów – ciągnął niewzruszony Joe. – Nie zapomnij przynieść kubka z powrotem – zawołał za nią. –

Kawa na wynos. Czy ktoś słyszał kiedykolwiek coś równie idiotycznego? – wymamrotał do siebie.

– Może pomyślałbyś o kupieniu ekspresu do kawy, Joe? – zawołała Elizabeth od progu. – Mógłbyś wtedy robić latte, cappuccino i espresso, zamiast kawy rozpuszczalnej – pokazała mu kubek.

Joe skrzyżował ramiona i oparł się o ladę.

– Elizabeth, jeżeli nie smakuje ci moja kawa, to jej nie pij – odparł znudzonym głosem. – Ja wolę herbatę. Jest jeden rodzaj herbaty, którą lubię. Nazywa się

„herbata”. Żadnych pokręconych nazw.

– Wiesz, jest wiele rodzajów herbaty – roześmiała się Elizabeth. – Chińska...

– Ach, uciekaj już, dziewczyno! – machnęła ręką. – Gdybyś dopięła swego, wszyscy pilibyśmy herbatę pałeczkami do ryżu i wrzucali czekoladę ze śmietaną do kawy, jakby to był deser. Skoro już jednak jesteśmy przy sugestjach, mam dla ciebie jedną. Kup sobie czajnik do biura i daj mi święty spokój.

– Zbankrutowałbyś – uśmiechnęła się Elizabeth, wychodząc.

Miasteczko właśnie przeciągało się leniwie i sennie wędrowało z sypialni do łazienki. Wkrótce weźmie prysznic, ubierze się i wreszcie obudzi. Jak zwykle, Elizabeth zrobiła wszystko z wyprzedzeniem, nawet mimo dzisiejszego spóźnienia.

Zawsze była pierwsza w pracy. Lubiła ciszę, spokój i bezruch biura o poranku.

Pomagało jej to skoncentrować się na zadaniach danego dnia, zanim w biurze pojawiły się dziewczęta i zanim rozpoczął się poranny ruch na drodze.

Elizabeth nie należała do gadatliwych śmieszek. Mówiła tylko wtedy, gdy miała coś do powiedzenia. Nie należała do kobiet, które często widziała i słyszała w restauracjach i kawiarniach, chichoczących i rozplotkowanych. Rozmowy o niczym po prostu ją nie interesowały.

Nie analizowała konwersacji, spojrzeń, min ani sytuacji. Nie istniała dla niej dwuznaczność. Nie lubiła debat i podgrzanych dyskusji. Teraz, siedząc w cichym biurze, doszła do wniosku, że zapewne z tego właśnie powodu nie miała zbyt wielu przyjaciół. Próbowала się angażować, zwłaszcza w czasach nauki w college’u, usiłowała się dostosować, ale szybko wyłączała się z bezsensownych pogawędek.

Nawet jako dziecko nie tęskniła za przyjaźnią. Lubiła być sama ze swoimi myślami, a potem, jako nastolatka, miała Saoirse. Podobała jej się samodyscyplina, to, że mogła na sobie polegać i zorganizować swój czas efektywniej, bo nikt jej w tym nie przeszkadzał. Po powrocie z Nowego Jorku postanowiła zorganizować proszony obiad dla sąsiadów w swoim nowym domu. Pomyślała, że spróbuje zacząć od nowa, zaprzyjaźni się z kimś, tak jak robi to większość ludzi. Ale właśnie tamtego wieczoru Saoirse zdecydowała się na jedną ze swoich niespodziewanych wizyt. W jednej chwili zdołała obrazić wszystkich gości Elizabeth. Oskarżyła Raya Collinsa o romans, wypomniała Bernie Conway, że ma wkładki silikonowe i nakrzyżdała na sześćdziesięcioletniego Kevina Smitha za to, że sprośnie na nią spoglądał.

Rezultatem jej gniewnych krzyków i machania rękami był płacz dziewięciomiesięcznego Luke’a, kilka czerwonych twarzy i spalona baranina.

Oczywiście sąsiedzi nie byli aż tak małostkowi, aby uznać Elizabeth za winną zachowania członków jej rodziny, jednak ona sama po tej historii po prostu się poddała. Nie zależało jej na towarzystwie aż tak bardzo, aby znosić upokorzenie i wstyd, tłumaczyć się i przepraszać.

Cisza była dla niej cenniejsza niż tysiąc słów. Mogła w niej odnaleźć spokój i jasność umysłu – z wyjątkiem godzin nocnych, kiedy myśli nie pozwalały jej zasnąć i odzywały się w głowie niczym głośnie dzwonki, przeszkadzając sobie nawzajem i zmuszając Elizabeth do otwarcia oczu.

W tej chwili martwiła się zachowaniem Luke’a. Ten cały Ivan za długo już siedział w głowie jej siostrzeńca. Przyglądała się małemu przez cały weekend, jak chodził, rozmawiał i grał sam ze sobą, chichocząc i zaśmiewając się, jakby wyśmienicie się bawił. Może powinna coś zrobić? Niestety, Edith wyjechała i nie mogła się rozprawić z nietypowym zachowaniem Luke’a we właściwy jej cudowny sposób, który zawsze odnosił skutek. Być może Elizabeth powinna wiedzieć, jak zareagować w takiej sytuacji. Po raz kolejny tajemnice macierzyństwa wyszczerzały do niej kły, a ona nie wiedziała, do kogo zwrócić się o pomoc. Wprawdzie odebrała swoją lekcję rodzicielstwa, ale nauczyła się tylko, czego nie robić. Do tej

pory kierowała się instynktem i chociaż popełniła kilka pomyłek, Luke wyrósł na dobrze wychowanego i zrównoważonego chłopca. A może jednak zrobiła coś nie tak? A jeśli Luke stanie się taki jak Saoirse? Nie wiedziała, na czym polegał jej błąd wychowawczy z siostrą. Jęknęła sfrustrowana i oparła głowę o biurko.

Włączyła komputer i upiła nieco kawy. Potem zaktywowała google, wpisała wyrażenie „niewidzialny przyjaciel” i kliknęła „wyszukiwanie”. Na ekranie wyskoczyła długa lista linków. Pół godziny później Elizabeth poczuła się nieco lepiej.

Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że niewidzialni przyjaciele byli bardzo popularnym zjawiskiem i nie stanowili zagrożenia, dopóki nie ingerowali w zwyczajne życie. Oczywiście już sam fakt pojawienia się niewidzialnego przyjaciela stanowi swego rodzaju ingerencję, ale internetowi specjaliści nie widzieli w tym żadnego problemu. Doradzali, aby Elizabeth wypytała Luke’a, co myśli i robi Ivan, ponieważ dzięki temu pozna sposób rozumowania chłopca. Zachęcali Elizabeth do stawiania nakrycia dla niewidzialnego gościa podczas posiłków i twierdzili, że nie ma sensu przekonywać chłopca, iż jego „przyjaciel” istnieje wyłącznie w jego wyobraźni. Poczuła ulgę, dowiadując się, iż niewidzialni przyjaciele są oznaką kreatywności, nie zaś osamotnienia lub stresu.

Mimo to nie potrafiła pojąć tej idei. Buntowała się przeciwko niej całą sobą.

Jej świat i kraina baśni to były całkowite przeciwieństwa i Elizabeth wiedziała, że trudno jej będzie odgrywać rolę kogoś, kto wierzy w bajki. Nie potrafiła gaworzyć do niemowląt, nie potrafiła chować się za dłońmi ani używać głosu misiowi. Nie była nawet w stanie wziąć udziału w psychodramie w college’u. Bała się gniewu ojca.

Dorastała w przekonaniu, że nie wolno jej udawać, naśladować matki. Wpajano jej to od wczesnego dzieciństwa, a teraz eksperci twierdzili, że powinna się zmienić.

Dopiła zimną kawę i przeczytała ostatnią linijkę na ekranie:

Niewidzialni przyjaciele znikają z życia dzieci maksymalnie po trzech miesiącach, niezależnie od tego, czy się interweniuje, czy nie.

Za trzy miesiące z radością przyjmie odejście Ivana i powróci do normalnego życia. Spojrzała na kalendarz i zakreśliła sierpień czerwonym kółkiem. Jeżeli do tego czasu Ivan nie wyniesie się z jej domu, sama go wyprosi.

8

Ivan roześmiał się, obracając się na skórzanym fotelu stojącym przy biurku w recepcji. Słyszał, jak Elizabeth rozmawia przez telefon, organizuje spotkanie swoim zwykłym, nudnym głosem dorosłego. Jednak gdy tylko odłożyła słuchawkę, zaczęła nucić pod nosem jego piosenkę. Ivan uśmiechnął się do siebie. To bardzo zaraźliwe: kiedy jakaś melodia wpadnie ci do głowy, wciąż ją podśpiewujesz.

Zaczął wirować na fotelu szybciej i szybciej, aż zakręciło mu się w głowie, a żołądek zaczął wywracać się na drugą stronę. Lubił tę zabawę. Wiedział, że Luke’owi też by się spodobała. Na wspomnienie jego smutnej twarzy przyciśniętej do szyby samochodu przerwał piruety i zamyslił się. Krzesło powoli zwolniło.

Ivan bardzo chciał odwiedzić farmę, a dziadek Luke’a wyglądał na człowieka, któremu przydałoby się nieco uśmiechu. Przypominał mu pod tym względem Elizabeth. Dwoje starych nudziarzy.

Mimo to rozłąka z Lukiem pozwoliła Ivanowi na bliższe przyjrzenie się Elizabeth. Pomoże mu to w napisaniu raportu. Za kilka dni miało się odbyć zebranie, na którym musiał zaprezentować pozostałym współpracownikom, czym się obecnie zajmuje. Takie były zasady. Miał jeszcze kilka dni, aby udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Elizabeth nie może go zobaczyć. Potem będzie mógł z czystym sumieniem skoncentrować się na Luke’u. Może mimo całego swojego doświadczenia przeoczył coś w sytuacji chłopca.

Zakręciło mu się w głowie, więc postawił stopę na podłodze, żeby się zatrzymać. Po namyśle jednak postanowił wyskoczyć z kręcącego się fotela, niczym z pędzącego samochodu. Przeturlał się dramatycznie po podłodze, zupełnie jak to robili kaskaderzy w filmach, przycupnął w kącie i spojrzał na stojącą w drzwiach wejściowych nastolatkę, która z otwartymi ustami przyglądała się wirującemu fotelowi.

Rozejrzała się po biurze, sprawdzając, czy jest tu ktoś jeszcze. Zmarszczyła brwi i podeszła do biurka ostrożnie, jakby stąpała po polu minowym. Położyła torebkę na biurku bardzo delikatnie i cicho, jakby nie chciała przeszkadzać kręcącemu się fotelowi. Sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje, i na palcach podbiegła, aby przyrzeć się bliżej siedzisku. Uniosła obie dłonie i wyciągnęła je przed siebie, jakby usiłowała poskromić dzikiego konia.

Ivan zachichotał.

Becca uznała, że poza fotelem wszystko w biurze jest w porządku. Podrapała się w głowę. Być może Elizabeth siedziała tutaj przed chwilą? Uśmiechnęła się na myśl o szefowej, z włosami upiętymi w ciasny kok, ubranej w elegancki czarny kostium i porządne buty, kręcącej się na fotelu jak dziecko i wymachującej nogami.

Nie, to niemożliwe. W świecie Elizabeth krzesła służyły do siedzenia. I dokładnie do tego Becca wykorzystała swoje krzesło. Zasiadła za biurkiem i zabrała się do pracy.

– Dzień dobry, kochane! – zawołał z progu cienki głosik nieco później tego poranka. Do pokoju weszła tanecznym krokiem Poppy, z włosami koloru śliwkowego, ubrana w dżinsowe dzwony obszyte kwiatami, ręcznie farbowany podkoszulek i platformy na nogach. Jak zwykle, każdy centymetr jej ciała był

opryskany farbą. – Jak minął weekend?

Poppy nie mówiła, tylko śpiewała, nie chodziła, tylko tańczyła po pokoju, machając dookoła rękami z wdziękiem słońca.

Becca skinęła głową na przywitanie.

– Doskonale! – Poppy stanęła przed nią i oparła ręce na biodrach. – Co robiłaś, Becca? Zapisalaś się do jakiejś grupy dyskusyjnej? Poszłaś na randkę i zagadałaś biednego faceta na śmierć, co?

Becca przerzuciła stronę książki, którą czytała, ignorując koleżankę.

– Nie, no to wspaniale! Wygląda na to, że świetnie się bawiłaś. Wiesz, uwielbiam te ciągłe przekomarzania się z tobą.

Becca odwróciła kolejną stronę.

– Nie, proszę, ani słowa więcej. Nie chcę już o tym słuchać. Co to... –

Odskoczyła nagle od biurka Bekki i zamilkła. Jej koleżanka nawet nie podniosła głowy znad lektury.

– Robi to przez cały poranek – rzuciła znudzonym tonem.

Poppy milczała jak zakłeta. Na kilka minut w biurze zapadła cisza. Becca czytała książkę, Poppy zaś wpatrywała się w fotel. Siedząca w gabinecie Elizabeth zaniepokoiła się tą niezwykłą ciszą. Wychyliła głowę przez drzwi.

– Wszystko w porządku?

Odpowiedział jej dziwaczny pisk.

– Poppy?

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Fotel! – rzuciła.

Elizabeth wyszła z gabinetu i podążyła za wzrokiem Poppy. Opryskany farbą fotel, którego chciała się już dawno pozbyć z biura, kręcił się ze skrzypieniem śrubek, przez nikogo niepopychany. Poppy roześmiała się nerwowo i podeszła bliżej wraz z Elizabeth, żeby przyjrzeć się zjawisku. Becca nadal czytała w milczeniu książkę, jakby wirujący fotel był rzeczą najnormalniejszą w świecie.

– Becca – na poły roześmiała się Elizabeth. – Widziałaś to?

– Kręci się przez ostatnie pół godziny – odparła Becca, nie odrywając wzroku od książki. – Zatrzymuje się i zaczyna znowu.

– Czy to jakiś nowy artystyczny wymysł, Poppy? – zmarszczyła brwi

Elizabeth.

– Chciałabym – odparła wciąż wstrząśnięta Poppy.

Przyglądały się fotelowi w milczeniu. Skrzyp, skrzyp, skrzyp.

– Może powinnam zawołać Harry'ego. Pewnie coś jest nie tak ze śrubami –

stwierdziła Elizabeth. Poppy uniosła brwi, pełna wątpliwości.

– Tak, jasne. Jestem pewna, że to śruby są temu winne – odparła sarkastycznie, przyglądając się oszalałemu kolorowemu fotelowi.

Elizabeth strząsnęła niewidoczny pyłek z marynarki i chrząknęła głośno.

– Wiesz, Poppy, naprawdę powinnas oddać ten fotel do tapicera. Nie sprawia najlepszego wrażenia na naszych klientach. Jestem pewna, że Gwen zrobi to dla ciebie ekspresowo.

– Ale przecież ten fotel ma tak wyglądać! – Poppy spojrzała na nią z rozwartymi szeroko oczami. – To wyrażenie mojej osobowości, przedłużenie mnie.

To jedyny przedmiot w tym pokoju, który mogę zindywidualizować – rozejrzała się dookoła ze wstrętem. – Pieprzony beżowy pokój – wymówiła to słowo jak przekleństwo. – Poza tym pani Bracken więcej czasu spędza na plotkach z jej psiapsiółkami, które nie mają nic więcej do roboty, jak tylko wpadać do niej z wizytą, niż na pracy.

– Wiesz, że to nieprawda. Poza tym pamiętaj, że nie wszyscy podzielają twoje gusta. Poza tym jako firma zajmująca się projektowaniem wnętrz, powinniśmy prezentować mniej... alternatywny wystrój, bardziej pasujący do tego, co ludzie chcieliby mieć w domu – przyjrzała się fotelowi. – Wygląda tak, jakby załatwił się na nim ptak cierpiący na niestrawność.

Poppy spojrzała na nią dumnie.

– Cieszę się, że w końcu ktoś zrozumiał, o co chodzi.

– W każdym razie i tak pozwoliłam ci już postawić tam parawan – skinęła głową w kierunku ekranu oddzielającego biurko Bekki od biurka Poppy, pomalowanego na wszystkie kolory tęczy.

– To prawda i tak się składa, że klienci uwielbiają ten parawan – odparła Poppy. – Miałam już w związku z nim trzy prośby od nich.

– O co? Żebyś go usunęła? – uśmiechnęła się Elizabeth.

Obie przyjrzały się w zamyśleniu płachcie niczym dziełu sztuki w muzeum.

Fotel nadal wirował. Nagle przechylił się i parawan przy biurku Poppy upadł na podłogę. Kobiety podskoczyły i cofnęły się nieco. Fotel zaczął zwalniać, aż wreszcie się zatrzymał. Poppy zasłoniła usta dłonią.

– To znak – wymamrotała.

Po drugiej stronie pokoju zazwyczaj cicha Becca zaczęła się głośno śmiać.

Elizabeth i Poppy spojrzyły na siebie zaskoczone.

– Hmm. – To wszystko, co była w stanie z siebie wydobyć Elizabeth, zanim odwróciła się i powoli weszła do swojego gabinetu.

Ivan leżał na podłodze na czymś, czego nie potrafił nazwać. Trzymał głowę w dłoniach, dopóki przestało mu się w niej kręcić. Miał migrenę i doszedł do wniosku, że chyba jednak kręcenie się w fotelu nie jest już jego ulubioną zabawą. Przyglądał

się ponuro, jak Elizabeth wycofuje się do swojego gabinetu, otwierając drzwi nogą.

Podniósł się i rzucił w ich kierunku, usiłując precyzyjnie się przez szparę, zanim drzwi zupełnie się zamkną. Dzisiaj nie pozwoli jej zatrzaskiwać mu drzwi przed nosem.

Usiadł w nieobrotowym fotelu naprzeciwko biurka Elizabeth i rozejrzał się wokoło. Czuł się jak uczeń wezwany na dywanik do gabinetu dyrektora szkoły. W

pokoju panowała przytłaczająca atmosfera. Było cicho i gość natychmiast tracił

pewność siebie. Nawet pachniało tu jak w gabinecie dyrektora, no, poza zapachem perfum Elizabeth, które uwielbiał.

Ivan zwiedził już kilka gabinetów dyrektorów szkół ze swoimi poprzednimi najlepszymi przyjaciółmi, wiedział więc bardzo dobrze, jak w nich jest. Podczas szkolenia powtarzano im, że nie muszą chodzić do szkoły ze swoimi przyjaciółmi.

Nie było takiej potrzeby, zasada zaś została wprowadzona dlatego, że dzieci pakowały się w kłopoty i szkoła wzywała rodziców. Mieli więc czekać na swoich przyjaciół przed wyjściem lub na dziedzińcu, aż zadzwoni dzwonek na przerwę.

Nawet jeżeli dzieci nie chciały się z nimi wtedy bawić, przynajmniej wiedziały, że przyjaciel jest w pobliżu. Dzięki temu nabierały pewności siebie i chętniej bawiły się z innymi dziećmi. Była to decyzja podjęta na podstawie wielu lat badań, ale Ivan zazwyczaj ignorował badania i statystyki. Jeżeli jego najlepszy przyjaciel potrzebował go w szkole, zawsze się tam pojawiał. Nie bał się łamania zasad.

Elizabeth siedziała za wielkim szklanym biurkiem na zbyt dużym dla niej skórzanym fotelu, ubrana w surowy czarny garnitur. Z tego, co wiedział Ivan, nie miała żadnych innych ubrań. Wszystko było brązowe, czarne lub szare, niezwykle stonowane i potwornie, ale to potwornie nieciekawe. Biurko było nienagannie wysprzątane i wypucowane na wysoki połysk. Stał na nim komputer z klawiaturą, obok zaś leżał gruby czarny terminarz i projekt, nad którym Elizabeth obecnie pracowała. Ivan pomyślał, że to porozrzucane skrawki materiału. Wszystko inne było poukładane w czarnych szafkach. Nie było tu żadnych ozdób, poza oprawionymi fotografiami pomieszczeń, które Elizabeth zapewne zaprojektowała. Podobnie jak w jej domu nic nie nosiło śladu jej osobowości. Tylko czerni, biel i szkło. Ivan poczuł się jak w statku kosmicznym.

Ziewnął. Elizabeth to z pewnością araidzun. Nie miała żadnych fotografii rodziny lub przyjaciół, żadnych pluszowych zabawek przyczepionych do komputera, ani nawet śladu obrazków, które namalował dla niej Luke podczas ostatniego weekendu, a przecież obiecała mu, że powiesi je u siebie w biurze. Jediną interesującą rzeczą była kolekcja kubków z kawiarni Joego, stojąca na parapecie.

Pewnie Joe nie byłby z tego powodu zadowolony.

Ivan pochylił się do przodu w swoim fotelu, oparł łokcie o biurko i położył

dłonie tuż obok jej dłoni. Twarz Elizabeth była skupiona, czoło gładkie, bez najmniejszej zmarszczki, chociaż zazwyczaj je tam widział. Lśniące usta, pachnące truskawkami, zaciskały się i rozluźniały. Nuciała cicho.

Znowu zmienił o niej opinię. Nie była już dyrektorką szkoły jak w obecności innych. Zmieniła się w spokojną, wyciszoną i pozbawioną trosk istotę, inaczej niż zazwyczaj, kiedy zostawała sam na sam ze swoimi myślami. Ivan domyślił się, że Elizabeth chwilowo o nic się nie martwi. Przyglądał jej się przez moment, a potem przeniósł wzrok na kartkę, którą miała przed sobą. W dłoni trzymała brązową kredkę i zamalowywała coś na szkicu sypialni.

Oczy Ivana rozjaśniły się. Uwielbiał zamalowywać obrazki. Podniósł się z fotela i obszedł biurko, stając za Elizabeth. Chciał się przyjrzeć, co robiła, i zobaczyć, czy udaje jej się nie wychodzić za kreski. Pochylił się nad jej ramieniem i oparł dłoń o biurko tuż obok Elizabeth, żeby się nie przewrócić. Był teraz tak blisko niej, że czuł

kokosowy zapach jej włosów. Wciągnął gwałtownie powietrze i poczuł, jak łaskocze go w nosie.

Elizabeth przerwała na chwilę rysowanie, zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, rozluźniła ramiona, odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie. Ivan zrobił

to samo i poczuł dotyk jej skóry na swoim policzku. Przeszył go dreszcz i poczuł się dziwnie, chociaż było mu bardzo przyjemnie. Zupełnie jak wtedy, gdy przytulał się do kogoś, a to naprawdę było wspaniałe uczucie. Przytulanie się było jego ulubionym zajęciem. Poczuł niezwykłą lekkość i trochę zakręciło mu się w głowie, ale nie tak, jak wtedy, gdy kręcił się na krześle. To było znacznie miłsze, dlatego rozkoszował się tym uczuciem przez dobre kilka minut. Wreszcie oboje otworzyli oczy w tym samym momencie i spojrzeli na rysunek na biurku. Dłoń Elizabeth powędrowała w kierunku brązowej kredki. Ivan jęknął.

– O nie, Elizabeth! Znowu brązowy? Daj spokój! Wybierz inny kolor, na przykład cytrynowy – wyszeptał jej do ucha, wiedząc, że i tak go nie usłyszy.

Jej palce zawisły nad kredką, jakby jakaś magnetyczna siła powstrzymywała ją przed wzięciem jej do ręki. Powoli odsunęła dłoń od brązowej pastelówki i przesunęła w kierunku cytrynowej. Uśmiechnęła się lekko, rozbawiona swoim wyborem, i ostrożnie ujęła kredkę w palce. Powoli zaczęła zamalowywać poduszki rozrzucone na łóżku i frędzle na zasłonach, przechodząc do większych przedmiotów, jak zagłówek, a wreszcie

fotel w rogu pokoju.

– Tak lepiej – wyszeptał Ivan z dumą.

Elizabeth uśmiechnęła się i znowu zamknęła oczy, oddychając głęboko i powoli.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Mogę wejść? – zaśpiewała Poppy.

Elizabeth otworzyła gwałtownie oczy i rzuciła na biurko cytrynową kredkę, jak zabójczą broń.

– Tak! – krzyknęła, usadawiając się wygodniej na fotelu. Jej ramię przez chwilę musnęło pierś Ivana. Elizabeth obejrzała się za siebie, dotknęła ramienia i spojrzała na Poppy, która właśnie w podskokach wpadła do pokoju, z oczami lśniącymi z podniecenia.

– Becca właśnie powiedziała mi, że masz kolejne spotkanie z tymi ludźmi od hotelu miłości. – Jej słowa podskakiwały w rytm niesłyszalnej melodii.

Ivan usiadł na parapecie za biurkiem Elizabeth i wyprostował nogi. Oboje skrzyżowali ramiona w tym samym czasie. Ivan uśmiechnął się.

– Poppy, proszę cię, nie nazywaj tego miejsca „hotelem miłości”. – Elizabeth, zmęczona, potarła oczy. Ivan poczuł się rozczarowany, słysząc jej zwykły monotony głos.

– Dobra, „hotel” – zaakcentowała przesadnie Poppy. – Mam kilka pomysłów.

Łóżka wodne w kształcie serc, wanny, kieliszki do szampanów wychylające się z szuflad szafek nocnych – mówiła podekscytowanym szeptem.

– Skrzyżowanie ery romantycznej z art déco. Caspar David Friedrich i Jean Dunand. Eksplozja bogatej czerwieni i purpury sprawiająca, że człowiek czuje się, jakby się znalazł w wysłanym aksamitem łonie. Wszędzie mnóstwo świeczek. Skrzyżowanie francuskiego buduaru z...

– Las Vegas – dokończyła za nią sucho Elizabeth.

Wybita z transu Poppy spojrzała na nią z nieskrywanym rozczarowaniem.

– Poppy – westchnęła Elizabeth. – Już o tym rozmawialiśmy. Naprawdę uważam, że powinnaś zostać przy naszych pierwotnych założeniach.

– Ach, no tak, ale one są takie nudne – Poppy przyłożyła ręce do serca, jakby przed chwilą ktoś ją postrzelił.

– Dobrze mówi! – Ivan zeskoczył z parapetu i zaczął klaskać. – Araizdun –

powiedział głośno do ucha Elizabeth.

Skrzywiła się i podrapała po uchu.

– Przykro mi, że tak myślisz, Poppy, ale, niestety, to, co ty uważasz za nudne, podoba się większości ludzi, którzy proszą nas o zaprojektowanie wnętrza ich domów.

Komfortowe, funkcjonalne i wyciszające. Ludzie nie chcą wracać po całym dniu pracy do domu krzyczącego kolorami, od których można dostać migreny. Wystarczy, że stresują się w pracy. Chcą, aby ich domy były spokojne, relaksujące i proste – była to przemowa, którą wygłaszała do wszystkich klientów. – Poza tym mówimy o hotelu, Poppy. Musimy zadowolić różnego rodzaju ludzi, nie tylko niewielką garstkę tych, którym spodobałoby się przebywanie w wysłanym aksamitem łonie – zakończyła śmiertelnie poważnie.

– Nie znam zbyt wielu ludzi, którzy nie przebywaliby kiedyś w wysłanym aksamitem łonie, a ty? Nie sądzę, żeby ktokolwiek był z tego wyłączony. Na pewno nie na tej planecie – próbowała dalej Poppy. – Może obudzi to w nich jakieś przyjemne wspomnienia?

Elizabeth spojrzała na nią ze wstrętem.

– Elizabeth! – jęknęła Poppy i opadła dramatycznie na fotel naprzeciwko biurka. – Musi być coś, co pozwolisz mi zrobić wedle mojego pomysłu. Czuję się potwornie ograniczana, jakby w tej atmosferze moim kreatywnym sokom nie wolno było krążyć i ...oooo, to bardzo ładne – wyszczebiotała nagle, pochylając się i przyglądając rysunkowi przed Elizabeth. – Czekolada i cytryna naprawdę świetnie ze sobą grają. Skąd akurat tobie przyszło do głowy to połączenie?

Ivan zbliżył się do Elizabeth i przykucnął, przyglądając się uważnie jej twarzy.

Elizabeth wpatrywała się w szkic, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Zmarszczyła brwi, ale potem jej twarz się wygładziła.

– Właściwie to nie wiem. Ja... – zamknęła na chwilę oczy i odetchnęła głęboko, jakby przypominając sobie tamto uczucie. – Chyba samo pojawiło się w mojej głowie.

Poppy uśmiechnęła się i pokiwała głową podekscytowana.

– Widzisz! Teraz rozumiesz, jak to jest ze mną. Nie mogę poskromić mojej kreatywności. Doskonale rozumiem, co miałaś na myśli. To coś w rodzaju instynktownego działania – jej oczy zalśniły. – Zupełnie jak miłość – dodała szeptem.

– Dobrze gada! – zgodził się Ivan, przyglądając się Elizabeth. Byli teraz tak blisko siebie, że nosem niemal dotykał jej policzka. To jego szept sprawił, że luźny kosmyk na skroni Elizabeth poruszył się jak na wietrze.

9

– Poppy, wołałaś mnie? – spytała Elizabeth zza piętrzących się na jej biurku próbek dywanów.

– Jeszcze raz powtarzam, nie! – nadeszła znudzona odpowiedź. – Bardzo proszę, powstrzymaj się od tych pytań. Przeszkadzasz mi, a właśnie mam zamówić dwa tysiące puszek farby magnoliowej do naszych przyszłych projektów. Może powinniśmy zrobić plan dostaw na następne dwadzieścia lat – wymruczała Poppy. – Bo przecież nie ma szans, żebyśmy w najbliższym czasie zmienili podejście do kolorów! – dodała

głośniej.

– Och, dobrze już. – Elizabeth uśmiechnęła się z rezygnacją. – Możesz zamówić też inny kolor.

Poppy niemal spadła z krzesła z zaskoczenia.

– Poproś o kilkaset puszek beżowego o nazwie „Jęczmień”.

– Ha, ha, ha! – odparła Poppy zgrzyliwie.

Ivan uniósł brwi i spojrzał na Elizabeth.

– Elizabeth. Elizabeth – zaśpiewał. – Czyżbyś przed chwilą zażartowała?

Myślę, że tak – spojrzał na nią, siedząc naprzeciwko, z łokciami na biurku.

Westchnął, poruszając luźnymi kosmykami włosów Elizabeth.

Kobieta zamarta, przesunęła oczami w lewo i w prawo, a potem wróciła do przerwanej pracy.

– Widzicie, jak ona mnie traktuje? – wykrzyknął Ivan dramatycznie,

przykładając dłoń do czoła. Udując, że mdleje, opadł na skórzany szezlong w rogu pokoju. – Jak powietrze – dokończył. Ułożył się wygodniej i wpatrzył w sufit. –

Zapomnijmy o gabinecie dyrektora. Bardziej przypomina mi to wizytę u psychoanalityka – popatrzył na pęknięcia na suficie. – Widzi pan, doktorze, wszystko przez to, że Elizabeth zaczęła mnie ignorować – rzucił głośno, z amerykańskim akcentem. – Poczułem się wtedy bardzo niekochany i samotny, tak bardzo, bardzo samotny – ciągnął, akcentując przesadnie niektóre słowa. – Zupełnie, jakbym nie istniał. Jakbym był niczym! – wykrzyknął dramatycznie. – Moje życie jest okropne – udał, że płacze. – To wszystko jej wina – przerwał i przyglądał się przez chwilę, jak Elizabeth dopasowuje kolory dywanów do tapicerki i wzorników farb. – To jej wina, że mnie nie widzi, ponieważ za bardzo się boi uwierzyć – dodał cicho. – Prawda, Elizabeth?

– Słucham? – krzyknęła Elizabeth.

– Co znaczy „słucham”? – odezwała się zirytowana Poppy. – Nic przecież nie mówiłam!

– Wołałaś mnie.

– Nie, nie wołałam. Chyba słyszysz głosy w swojej głowie. I błagam cię, przestań nucić tę cholerną piosenkę! – zapiszczała Poppy.

– Jaką piosenkę? – Elizabeth zmarszczyła brwi.

– Tę, którą mruyczysz pod nosem przez cały dzień. Doprowadza mnie do szału!

– Dziękuję bardzo! – Ivan wstał z szezlonga i uklonił się głęboko, zanim z powrotem opadł na siedzenie. – To ja wymyśliłem tę melodię.

Andrew Lloyd Webberze[3], ugryź się, wiesz gdzie.

Elizabeth wróciła do pracy. Znowu zaczęła nucić mruczankę, a potem nagle przerwała.

– Widzisz, Poppy? – krzyknął Ivan w stronę drugiego pokoju. – Wydaje mi się, że Elizabeth mnie słyszy – skrzyżował ramiona i zaczął kręcić młynka kciukami. –

Tak, myślę, że słyszy mnie doskonale. Prawda, Elizabeth?

– Chryste Przenajświętszy. – Elizabeth rzuciła próbki na biurko. – Becca, to ty do mnie mówiłaś?

– Nie – głos Bekki był ledwo słyszalny zza ściany.

Elizabeth poczerwieniała, zawstydzona, że robi z siebie taką idiotkę przed swoimi pracownikami.

– Becca, czy możesz przynieść mi kawę od Joego? – poprosiła oschle, usiłując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– A tak przy okazji, nie zapomnij jej powiedzieć, żeby zabrała ze sobą kilka tych kubków – wtrącił Ivan, bawiąc się doskonale. – Joe będzie uszczęśliwiony.

– Och – Elizabeth pstryknęła palcami, jakby właśnie coś sobie przypomniała. –

Możesz ze sobą zabrać kubek – wręczyła go Bekce. – Joe będzie... – przerwała, nagle zmieszana – ...uszczęśliwiony – dokończyła.

– O tak, Elizabeth słyszy mnie doskonale – zaśmiał się Ivan. – Po prostu nie chce się do tego przyznać przed samą sobą. Ten kontrolujący umysł po prostu jej na to nie pozwala. Dla niej wszystko jest białe lub czarne. I beżowe – dodał po namyśle.

– Ale ja zamierzam wprowadzić tu trochę zmian. Będziemy się wyśmienicie bawić.

Robiłaś to już kiedyś, Elizabeth? Bawiłaś się? – spojrzał na nią szelmowsko.

Spuścił nogi na ziemię i poderwał się z szezlonga. Przysiadł na brzegu biurka Elizabeth i spojrzał na wydruki internetowych informacji o niewidzialnych przyjaciółach. Zagwizdał i potrząsnął głową.

– Nie, chyba nie wierzysz w te bzdury, Lizzie? Mogę cię nazywać Lizzie?

Elizabeth skrzywiła się.

– Och, widzę, że nie lubisz być nazywana Lizzie, tak? – powiedział Ivan łagodnie.

Elizabeth przełknęła ślinę.

Ivan położył się na biurku, częściowo zasłaniając próbki dywanów, i podparł

głowę dłonią.

– Cóż, mam dla ciebie nowiny – wyszeptał. – Jestem jak najbardziej realny i nigdzie się nie wybieram, dopóki nie otworzysz oczu i mnie nie zobaczysz.

Elizabeth przerwała przeglądanie tablic kolorów farb i spojrzała przed siebie.

Rozejrzała się wokół, a potem utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie. Czowała spokój.

Dawno już nie była w takim stanie ducha. Wpadła w trans, i mogła jedynie wpatrywać się w przestrzeń, niezdolna mrugnąć ani spojrzeć w bok, w ciepłym kokonie poczucia bezpieczeństwa.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, że aż klamka walnęła o ścianę.

Elizabeth i Ivan podskoczyli ze strachu.

– Oooh, przepraszam, że przeszkadzam zakochanej parze! – zarechotała z progu Saoirse. Ivan zeskoczył z biurka.

Zdumiona Elizabeth natychmiast zaczęła sprzątać na biurku, w naturalnym odruchu paniki spowodowanej nagłym pojawieniem się siostry. Wyglądziła żakiet i przesunęła dłoń po włosach.

– Och, nie fatyguj się wyłącznie dla mnie. – Saoirse machnęła ręką, żując szybko gumę. – Jesteś taką pedantką. Wyluzuj się. – Przesunęła wzrokiem w dół i w górę, podejrzliwie lustrując przestrzeń tuż przy biurku. – Nie zamierzasz mnie przedstawić?

Elizabeth przyjrzała się siostrze zwężonymi w szparki oczami. Neurotyczne zachowanie Saoirse i jej sporadyczne ataki szału bardzo ją denerwowały. Alkohol czy nie, jej siostra zawsze była taka sama – trudna we współżyciu.

Właściwie to Elizabeth nigdy nie była w stanie określić, kiedy Saoirse jest trzeźwa, a kiedy pijana. Jej siostra nigdy nie odnalazła siebie; nie wykształciła osobowości ani nie zrozumiała, kim jest, czego chce, co uczyni ją szczęśliwą i co chciałaby osiągnąć w życiu. Nadal tego nie wiedziała. Stanowiła wybuchową mieszankę osobowości, z których żadna nigdy nie miała szansy ukształtować się do końca. Elizabeth zastanawiała się, kim byłaby jej siostra, gdyby udało jej się uniezależnić od alkoholu. Obawiała się jednak, że byłby to po prostu na długiej liście jeden problem mniej.

Bardzo rzadko zdarzało się, że Elizabeth przebywała w pokoju z Saoirse sam na sam, rozmawiała z nią jak wtedy, gdy były jeszcze dziećmi i wybiegały na pole, żeby łapać motyle do słoika. Motyle były piękne i zawsze ożywiały dom, ale nigdy nie chciały przysiąść na tyle długo, aby można je było pochwycić. Elizabeth zawsze się za czymś uganiała – a kiedy udało jej się pochwycić siostrę, Saoirse machała barwnymi skrzydłami paniki, usiłując za wszelką cenę się wyswobodzić.

Bardzo starała się zrozumieć siostrę, traktować ją ze współczuciem i miłością, na jaką zasługiwała. Tak poradził jej specjalista. Elizabeth chciała uzyskać porady z możliwie wielu źródeł, aby pomóc siostrze. Musiała poznać wszystkie magiczne słowa, które powinna wypowiadać do Saoirse podczas ich rzadkich spotkań. Nawet gdy była źle traktowana, zawsze starała się wykazywać zrozumienie i być miłą, ponieważ obawiała się, że utraci siostrę na dobre. Martwiła się, że Saoirse zupełnie wymknie się spod kontroli. Poza tym czuła się zobowiązana do opieki nad nią.

Przede wszystkim jednak była zwyczajnie zmęczona z bezsilności, patrząc, jak wszystkie piękne motyle w jej życiu odlatują w nieznane.

– Przedstawić komu? – spytała łagodnie.

– Och, przestań być taka protekcyjna. Jeżeli nie chcesz, żebyśmy się poznali, nie ma sprawy. – Saoirse usiadła w fotelu i spojrzała na (pusty) szezlong. –

Ona się mnie wstydzi, wiesz? Uważa, że przynoszę hańbę jej „dobremu imieniu”.

Wiesz, jak sąsiedzi lubią plotkować – roześmiała się gorzko. – A może boi się, że cię uwiodę? Poprzednim razem tak się to skończyło. On...

– Dobrze już, dobrze, Saoirse. – Elizabeth przerwała jej zabawę. – Cieszę się, że przyszłaś, ponieważ jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać.

Kolano Saoirse podskoczyło.

– Colm przyprowdził w piątek samochód i powiedział, że cię aresztowali. To poważna sprawa. Do przesłuchania wstępnego musisz naprawdę uważać na to, co robisz. Będzie dopiero za kilka tygodni i jeżeli w tymczasie postąpisz...

niewłaściwie, pogorszy to twoją sytuację i zwiększy wymiar kary.

Saoirse wyróciła oczami.

– Elizabeth, wyluzuj! Co niby mi zrobią? Zamkną mnie na kilka lat w więzieniu za przejażdżkę samochodem pożyczonym od własnej siostry? Nie mogą mi odebrać prawa jazdy, bo go nie mam, a jeżeli uznają, że nigdy nie będę mogła go dostać, i tak mnie to nie obchodzi, bo wcale nie chcę mieć prawa jazdy. Wlepią mi pewnie kilka tygodni jakichś robót społecznych. Wszystko będzie dobrze – strzeliła balonem z gumy, który przykleił się do jej ust.

Elizabeth spojrzała na nią szeroko rozwartymi ze zdumienia oczami.

– Saoirse, wcale nie pożyczylaś mojego samochodu. Zabrałaś go bez mojego pozwolenia i prowadziłaś, chociaż nie masz prawa jazdy. Daj spokój, przecież nie jesteś głupia. Dobrze wiesz, że to nie było w porządku. – Przerwała, usiłując się uspokoić. Tym razem udało jej się powiedzieć to, co zamierzała. Mimo to Saoirse jak zwykle nie zamierzała przyjąć jej argumentów do wiadomości. Elizabeth przełknęła głośno.

– Słuchaj – zaczęła się złościć Saoirse. – Mam dwadzieścia dwa lata i robię dokładnie to samo, co wszyscy ludzie w moim wieku. Dobrze się bawię. – Jej ton stał

się bardzo nieprzyjemny. – Tylko dlatego, że ty w moim wieku nie miałaś życia, nie oznacza, że muszę iść w twoje ślady. – Skrzydła motyla Saoirse trzepotały zajadle, jakby była uwięziona w słoiku i zaczynała jej brakować powietrza.

Nie miałam życia, bo byłam zajęta wychowywaniem ciebie, pomyślała

Elizabeth gniewnie. I najwyraźniej byłam fatalną opiekunką.

– Zamierzasz tu siedzieć i przysłuchiwać się naszej całej rozmowie? – rzuciła Saoirse opryskliwie w kierunku pustego szelonga.

Elizabeth zmarszczyła brwi i chrząknęła głośno.

– A co z tym, co powiedział Paddy? Nie ma znaczenia, czy sądzisz, że nie zrobiłaś nic złego. Gardaí uważa, że jest inaczej.

Saoirse podjęła żucie gumy i wpatrzyła się w Elizabeth zimnym spojrzeniem błękitnych oczu.

– Paddy to dupa do kwadratu. Nie ma żadnej podstawy, żeby oskarżyć mnie o cokolwiek. Chyba że dobra zabawa nagle stała się nielegalna... – Znow rozpaczliwe trzepotanie.

– Proszę cię, Saoirse – odparła Elizabeth łagodnie. – Proszę, wysłuchaj mnie.

Tym razem naprawdę zamierzają cię ukarać. Po prostu... przystopuj na trochę z...

m... z piciem, dobrze?

– Och, zamknij się. Ani słowa o tym – twarz Saoirse wykrzywiła się w grymasie wściekłości. – Zamknij się, zamknij się, zamknij się. Mam dosyć twojego gładzenia – wstała z fotela. – Nie mam żadnych problemów z piciem. Mam problem z tobą i tym, że uważasz się za ideał – otworzyła drzwi, żeby wszyscy ją dobrze usłyszeli. – A ty? – skinęła w kierunku szelonga. – Nie sądzę, żebyś został z nią zbyt długo. Oni wszyscy w końcu odchodzą, prawda, Lizzie? – wypluła to imię z nienawiścią.

Oczy Elizabeth zalśniły od łez wściekłości.

Saoirse zatrasnęła za sobą drzwi. Motylowi udało się podważyć wieczko słoika i był gotowy wydostać się na wolność. Huk zamykanych drzwi wstrząsnął

całym ciałem Elizabeth. Biuro nagle ucichło. Nawet samotna mucha, tłukąca się o szybę, przysiadła przestraszona. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Czego! – rzuciła gniewnie Elizabeth.

– Em... to ja, Becca – nadeszła cicha odpowiedź. – Przyniosłam kawę.

Elizabeth wygładziła fryzurę i otarła oczy.

– Wejdz.

Kiedy Becca wychodziła z pokoju, Elizabeth dostrzegła Saoirse maszerującą z powrotem przez recepcję.

– A tak przy okazji, zapomniałam cię poprosić o pożyczenie kilku euro – rzuciła dużo łagodniejszym głosem. Zawsze tak było, kiedy czegoś chciała.

– Ile? – Elizabeth ścisnęło się serce.

– Pięć dych – wzruszyła ramionami Saoirse.

Elizabeth zaczęła grzebać w torebce.

– Nadal mieszkasz w pensjonacie?

Saoirse skinęła głową.

Elizabeth wyciągnęła pięćdziesiąt euro, ale wstrzymała się z wręczeniem pieniędzy siostrze.

– Na co ci one? – spytała.

– Na narkotyki – odparła mądrze Saoirse. – Dużo, dużo narkotyków.

– Miałam na myśli... – Ramiona Elizabeth opadły z bezsilności.

– Na zakupy. Wiesz, chleb, mleko, papier toaletowy, takie tam. – Saoirse wyciągnęła szeleszczący banknot z dłoni Elizabeth. – Nie wszyscy podcierają sobie tyłki jedwabiem, wiesz? – podniosła kawałek materiału leżącego na biurku i rzuciła w Elizabeth. Wyszła, trzaskając drzwiami, pozostawiając Elizabeth stojącą samotnie na środku gabinetu i przyglądającą się, jak skrawek czarnego jedwabiu opada na biały dywan.

Elizabeth wiedziała, jak to jest, upadać.

10

Kilka godzin później Elizabeth wyłączyła komputer, posprzątała na biurku po raz dwudziesty tego dnia i zakończyła pracę. Becca i Poppy stały obok siebie, wpatrując się w przestrzeń. Elizabeth odwróciła się, aby zapytać, co przyciąga ich uwagę.

– Znowu to robi – zaśpiewała Poppy nerwowo.

Wszystkie trzy przyglądały się wirującemu fotelowi.

– Sądziś, że to pan Bracken? – spytała cicho Becca.

– Pan Bracken nie życzyłby sobie kręcenia się na fotelu – odparła Poppy, naśladując głos Gwen.

– Nie martwcie się, dziewczyny. – Elizabeth powstrzymała się od śmiechu. –

Poproszę Harry'ego, żeby jutro rano naprawił fotel. Lepiej idźcie już do domu.

Pożegnała się z nimi, a kiedy Poppy i Becca wyszły z biura, nadal wpatrywała się w fotel. Zaczęła do niego podchodzić, centymetr po centymetrze. Kiedy była już bardzo blisko, fotel nagle się zatrzymał.

– Tchórz – wymruczała Elizabeth.

Rozejrzała się, aby upewnić się, że jest sama. Z namysłem chwyciła podłokietniki i usiadła.

Nic się nie stało.

Podskoczyła parę razy, rozejrzała się na boki, zajrzała pod siedzenie. Nadal nic. Miała już wstać i wyjść z biura, kiedy fotel zaczął się obracać, najpierw powoli, stopniowo nabierając rozpędu. Zdenerwowana Elizabeth na początku rozważała, czy nie wyskoczyć z niego w biegu, ale w miarę jak wirował coraz szybciej i szybciej, zaczęła chichotać. Im szybciej kręcił się fotel, tym głośniej śmiała się Elizabeth. Nie pamiętała już, kiedy ostatnim razem czuła się tak młodo, ze stopami w powietrzu i rozwianymi włosami. Po kilku minutach fotel zwolnił i Elizabeth złapała oddech.

Jej uśmiech powoli znikł, a dziecinny chichot zamarł na ustach. Pozostała sama z kompletną ciszą w opustoszałym biurze. Zaczęła nucić i jej wzrok padł na zabałaganione biurko Poppy. Były tam książki o materiałach, pudełka z próbkami farb, szkice i magazyny o projektowaniu wnętrz. Elizabeth dostrzegła fotografię w złotej ramce. Widniała na niej Poppy, jej dwie siostry, trzech bracia i rodzice, wszyscy obejmujący się ramionami, niczym drużyna futbolowa. Byli do siebie bardzo podobni. Wszyscy mieli małe guzikowate nosy i zielone oczy, które zwiężały się w szparki, kiedy się śmiali. W rogu ramki był wetknięty pasek fotografii paszportowych Poppy i jej chłopaka, wyglądających się przed kamerą na pierwszych trzech zdjęciach. Na czwartym jednak patrzyli sobie miłośnie w oczy. Owa niepowtarzalna chwila została na zawsze utrwalona na kliszy.

Elizabeth przestała nucić i przełknęła ślinę. Pamiętała takie spojrzenie.

Nadal wpatrywała się w zdjęcie, próbując zapomnieć o przeszłości, ale po raz kolejny przegrała bitwę, pogrążając się w morzu wspomnień, które zalały jej umysł

potężną falą.

Zaczęła płakać. Ciche pochlipywanie wkrótce zmieniło się w bolesne jęki wydobywane z głębi zranionej duszy.

Słyszała swój ból.

Każda łza była wołaniem o pomoc, na które nigdy przedtem nikt nie

odpowiedział. I tym razem Elizabeth nie spodziewała się niczego innego. Ta myśl sprawiła, że rozplakała się jeszcze bardziej.

Zaznaczyła kolejny dzień w kalendarzu czerwonym flamastrem. Tym razem jej matka zniknęła na trzy tygodnie. Nie była to jej najdłuższa nieobecność, ale bardzo trudna do zniesienia dla małej Elizabeth. Ukryła kalendarz pod łóżkiem i położyła się spać. Trzy godziny temu ojciec wysłał ją do pokoju, ponieważ denerwowało go jej spacerowanie w tę i w tę przed oknem dużego pokoju. Od tamtej chwili Elizabeth zmagiła się z sennością. Nie chciała zamknąć oczu, żeby nie przegapić powrotu mamy.

Były to najlepsze chwile w jej życiu, ponieważ mama zawsze wtedy była w dobrym humorze, mówiła, że bardzo za nią tęskniła, obsypywała ją pocałunkami i ścisła, aż Elizabeth zapomniała, jak bardzo była przedtem smutna.

Jej matka przepływała przez pokoje, jakby jej stopy nie dotykały podłogi.

Wypowiadała słowa podnieconym szeptem tak cichym, że Elizabeth wydawało się, iż słyszy ogromną tajemnicę. Oczy matki lśniły radością, kiedy opowiadała córce o swoich przygodach i spotkanych ludziach. Elizabeth nie chciała za żadne skarby tego stracić.

Znowu wyskoczyła z łóżka i zimną wodą opryskała twarz nad umywalką. Nie zasypiaj, Elizabeth, nie zasypiaj. Oparła poduszki o ścianę i usiadła prosto, wpatrując się przez okno w ciemną drogę znikającą w ciemnościach. Nie miała wątpliwości, że matka wróci dziś wieczorem. Obiecała jej to, a przecież musiała dotrzymać obietnicy, bo następnego dnia były dziesiąte urodziny Elizabeth. Mama nie opuściłaby tego dnia za żadne skarby. Kilka tygodni temu przyrzekła Elizabeth, że będą jadły ciasta, maślane bułeczki i wszystkie słodczyce, jakich tylko zapragną. Nadmuchają balony w ulubionych kolorach Elizabeth, zabiorą je na pole i tam wypuszczą, obserwując, jak kolorowe bąble ulatują ku chmurom. Od dnia odejścia matki Elizabeth nie przestawała o tym myśleć. Ślinka jej ciekła na samą myśl o ciasteczkach ze ślicznym różowym lukrem i amarantowych balonach na białych tasiemkach, wędrujących po błękitnym niebie. Wszystko to miało nastąpić już jutro. Koniec czekania!

Wzięła do ręki *Pajęczynę Charlotty*, książkę, którą czytała nocami, żeby nie zasnąć. Zapaliła latarkę, żeby ojciec nie dostrzegł światła w jej sypialni. Kazał jej gasić lampę po ósmej wieczorem.

Po kilku stronach poczuła, że ciężą jej powieki. Zamknęła oczy, chcąc tylko przez chwilę odpocząć. Każdej nocy walczyła ze snem, bo zawsze właśnie podczas jej snu matka wymykała się z domu i wracała niezauważona. Elizabeth nie chciała spać nawet wtedy, gdy mama była w domu. Wolą siedzieć przy drzwiach sypialni, patrząc, jak śpi, lub pilnując, żeby nie zniknęła. Kiedy Elizabeth udawało się zapaść w sen, marzenia senne przywoływały ją do rzeczywistości, budziły, jakby robiła coś złego. Ludzie zawsze mówili ojcu, że jego córka jest za młoda na cienie pod oczami.

Książka wypadła z rąk śpiącej Elizabeth.

Furtka na zewnątrz zaskrzypiała.

Elizabeth otworzyła oczy.

Był jasny poranek. Serce zabiło jej gwałtownie. Usłyszała kroki na posypanej żwirem ścieżce i z radości poczuła zawrót głowy. Mama o niej nie zapomniała!

Elizabeth wiedziała, że nigdy nie opuści jej urodzin.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się miotać po pokoju, nie wiedząc, czy powinna otworzyć drzwi przed matką i przywitać ją wylewnie tak, jak zazwyczaj, czy zostać tutaj. Wybiegła na korytarz w koszuli nocnej. Przez pofałdowaną szybę w drzwiach dostrzegła zniekształcony zarys sylwetki. Podskoczyła ze zdenerwowania i podniecenia.

Drzwi do sypialni ojca otworzyły się. Elizabeth odwróciła się i spojrzała na niego radośnie. Odpowiedział jej nikłym uśmiechem i oparł się o framugę, spoglądając w kierunku drzwi wejściowych. Elizabeth spojrzała w tym samym kierunku, mnąc brzeg koszuli nocnej w małych rączkach. Otworzyła się skrzynka na listy, wypadły z niej dwie białe koperty, lądując na kamiennej podłodze. Sylwetka za drzwiami zaczęła znikać. Furtka skrzypnęła i zamknęła się. Elizabeth wypuściła brzeg koszuli nocnej i przestała podskakiwać. Nagle poczuła przeraźliwy chłód kamiennej podłogi.

Powoli przykucnęła i podniosła listy. Oba były zaadresowane do niej i serce znów przyspieszyło w piersi. Może jednak mama o niej nie zapomniała? Może zatrzymały ją jakieś niezwykle sprawy i nie była w stanie wrócić do domu na czas?

Na pewno wszystko wyjaśniła w liście. Elizabeth otworzyła obie koperty ostrożnie, żeby nie przerwać kartki z cennymi słowami od matki.

Znalazła pocztówki z życzeniami od dalekich krewnych.

Zgarbiła się i poczuła, jak jej serce ściska się z żalości. Odwróciła się, spojrzała na ojca i potrząsnęła głową. Z pociemniałą twarzą wpatrzył się gniewnie w przestrzeń. Spojrzeli na siebie znowu i przez jedną niezwykłą chwilę rozumieli się.

Elizabeth przestała czuć się samotna. Podeszła bliżej, żeby przytulić się do taty, ale on odwrócił się i wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Dolna warga Elizabeth zadrżała.

Nie będzie ciastek z różowym lukrem ani słodkich bułeczek. Amarantowe balony dryfujące ku niebu były tylko marzeniem. Tego dnia Elizabeth zrozumiała, że fantazjowanie i marzenie może złamać człowiekowi serce.

11

Syczenie gotującej się w garnku wody sprowadziło Elizabeth na ziemię.

Przebiegła kuchnię, zdjęła gamek z gazu i zmniejszyła płomień. Nakłuła widelcem gotującego się na parze kurczaka i warzywa, zastanawiając się, co dzisiaj działo się z jej głową.

– Luke, obiad! – zawołała.

Po pracy odebrała chłopca z farmy, chociaż nie miała najmniejszej ochoty jechać znienawidzoną drogą po tym, jak popłakała się w biurze. Nie przydarzyło jej się to od wielu lat. Nie rozumiała, co się z nią ostatnio działo. Co chwila się zamyślała, a przecież nigdy tego nie robiła. Zawsze panowała nad sobą, miała uporządkowane myśli, była zrównoważona i stabilna psychicznie. Z pewnością nie zachowywała się nigdy tak, jak dzisiaj w biurze.

Luke przyczłapał do kuchni, przebrany w piżamę ze Spidermanem. Spojrzał

smutno na stół.

– Znowu nie nakryłaś dla Ivana – powiedział.

Elizabeth otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale powstrzymała się na czas, przypominając sobie o poradach z internetu.

– Och, rzeczywiście – rzuciła. Luke spojrział na nią zaskoczony.

– Przepraszam, Ivan. – Elizabeth postawiła na stole trzeci talerz. Co za strata jedzenia, pomyślała, nakładając na niego porcję brokułów, kalafiora i ziemniaków. –

Jestem pewna, że Ivan nie jada kurczaka, więc to musi mu wystarczyć – umieściła półmisek z pozostałymi warzywami naprzeciwko swojego nakrycia.

– Nie – potrząsnął głową Luke. – Ivan mówi, że lubi kurczaka.

– Niech zgadnę. – Elizabeth odkroiła kawałek swojej porcji. – Kurczak jest jego ulubionym jedzeniem.

Luke uśmiechnął się.

– Mówi, że kurczak jest jego ulubionym rodzajem drobiu.

– No tak. – Elizabeth wywróciła oczami. Przyglądała się talerzowi Ivana, zastanawiając się, jakim sposobem Luke zdołał w siebie wepchnąć dodatkową porcję warzyw. Zazwyczaj miał trudności z dokończeniem własnej.

– Ivan powiedział, że dobrze się dzisiaj bawił w twoim biurze. – Luke wsadził

brokuły do buzi, przeżuł szybko i ze wstrętem. Połknął porcję i popił mlekiem.

– Doprawdy? – uśmiechnęła się Elizabeth. – A co w moim biurze było takiego zabawnego?

– Podobało mu się kręcenie na fotelu – odparł mały, próbując nadziać na widelec młody ziemniak.

Elizabeth przerwała przeżuwanie obiadu i ze zdziwieniem spojrzała na Luke'a.

– Co masz na myśli?

Luke włożył ziemniaka do ust i zaczął go gryźć.

– Powiedział, że wirowanie na fotelu Poppy jest jego ulubionym zajęciem.

Elizabeth po raz pierwszy zignorowała fakt, że Luke mówi z pełnymi ustami.

– Rozmawiałeś dzisiaj z Poppy? – spytała. Luke uwielbiał tę dziewczynę i czasami gawędził z nią, kiedy Edith dzwoniła do biura, żeby uzgodnić różne rzeczy z Elizabeth. Luke znał telefon do pracy na pamięć, ponieważ gdy tylko poznał cyfry, sama dopilnowała, aby się go nauczył. Możliwe, że zadzwonił, ponieważ stęsknił się za rozmową z Poppy. Tak, to musiało być to.

– Nie.

– A z Beccą?

– Nie.

Nagle kurczak zaczął przypominać w smaku teksturę. Przeknęła głośno kęs i odłożyła sztucce. Przyglądała się jedzącemu Luke'owi, zagubiona w myślach. Z

talerza Ivana nic nie zniknęło.

– Rozmawiałeś dzisiaj z Saoirse? – Przyjrzała mu się uważnie. Zastanawiała się, czy przypadkiem dzisiejsze dziwne zachowanie jej siostry w gabinecie nie miało czegoś wspólnego z nową obsesją Luke'a na temat Ivana. Znała Saoirse nader dobrze i wiedziała, że gdyby ta dowiedziała się o niewidzialnym przyjacielu, drwiłaby z Elizabeth bez końca.

– Nie.

Może to zwykły zbieg okoliczności. Może Luke po prostu zgadywał. Może, może, może. Gdzie podziała się nagle jej pewność siebie?

– Nie baw się warzywami, Luke. Ivan mówi, że warzywa są zdrowe. –

Postanowiła wykorzystać fakt istnienia Ivana.

Luke zaczął się śmiać.

– Co w tym zabawnego?

– Ivan mówi, że wszystkie mamy wykorzystują go, żeby ich dzieci jadły warzywa.

Elizabeth uniosła brwi i uśmiechnęła się.

– Możesz przekazać Ivanowi, że to dlatego, iż mamy wiedzą najlepiej, co jest dobre dla ich dzieci. – Jej uśmiech zbladł. Cóż, przynajmniej niektóre mamy.

– Sama mu powiedz – zachichotał Luke.

– W porządku. – Elizabeth spojrzała na puste miejsce przed sobą. – Skąd pochodzisz, Ivan? – spytała, pochylając się tak, jakby mówiła do dziecka.

Luke zaczął się śmiać jeszcze głośniejsze i Elizabeth poczuła się głupio.

– Powiedział Aniark Kejab – wykrztusił.

Teraz to Elizabeth się roześmiała.

– Doprawdy? A gdzie to jest?

– Daleko, daleko stąd.

– Jak daleko? Tak samo jak stąd do Donegal? – uśmiechnęła się.

Luke wzruszył ramionami, znudzony rozmową.

– Hej! – Elizabeth spojrzała na Luke'a i roześmiała się. – Jak to zrobicieś?

– Co?

– Zwinąłeś ziemniaka z talerza Ivana?

– Wcale nie zwinąłem – obruszył się Luke. – Ivan go zjadł.

– Nie bądź głu... – ugryzła się w język.

Później tego wieczoru Luke leżał na podłodze w salonie, bawiąc się i nucąc pod nosem mruczankę, a Elizabeth siedziała w fotelu z filiżanką kawy, oglądając telewizję. Dawno już nie spędzali w ten sposób czasu. Zazwyczaj każde z nich po obiedzie zajmowało się swoimi sprawami. Nie rozmawiali aż tyle przy jedzeniu, ale też przedtem Elizabeth nie starała się sprawić przyjemności siostrzeńcowi, dając się wciągnąć w głupie zabawy. Zaczęła żałować swojej decyzji.

Przyjrzała się Luke'owi, który rysował coś, leżąc na podłodze. Położyła dla niego specjalną matę, żeby nie pobrudził dywanu. Chociaż nie cierpiała, kiedy wynosił zabawki poza bawialnię, cieszyła się teraz, że mały bawił się czymś, co widziała. Nie ma tego złego i tak dalej. Przeniósła uwagę na program o remontach domów.

– Elizabeth. – Poczula, że mały paluszek stuka ją w ramię.

– Tak, Luke?

– Narysowałem to dla ciebie. – Mały wręczył jej jaskrawy rysunek. – To ja i Ivan w ogrodzie.

Elizabeth uśmiechnęła się i przyjrzała obrazkowi. Luke napisał imiona nad dwoma patykowatymi ludzikami. Zdziwiła się wzrostem Ivana. Był niemal dwa razy wyższy niż Luke, miał na sobie niebieski podkoszulek, błękitne dżinsy i tenisówki, czarne włosy i duże niebieskie oczy, jego twarz zaś chyba była porośnięta szczecią.

Trzymał za rękę Luke'a, uśmiechając się szeroko. Elizabeth zamarła, nie wiedząc, co powiedzieć. Czyżby ten niewidzialny przyjaciel był w tym samym wieku, co ona?

– Hmm, Ivan jest dość wysoki, jak na kogoś, kto ma tylko sześć lat, nie sądzisz? – Może Luke narysował go w powiększeniu, ponieważ Ivan był dla niego bardzo ważny?

Luke ze śmiechu zaczął się tarzać po dywanie.

– Ivan zawsze mówi, że sześć lat to wcale nie takie tylko. Poza tym nie ma sześciu lat – znowu się roześmiał. – Jest taki stary jak ty!

Elizabeth spojrzała na niego z przerażeniem. Stary jak ona? Co za przyjaciela wymyślił sobie Luke?

12

Przyjaciele są różni, mają różne rozmiary i kształty. Wszyscy o tym wiemy, więc dlaczego ci niewidzialni mieliby być inni?

Elizabeth wszystko to źle rozumiała. A właściwie to nic nie rozumiała, ponieważ o ile było mi wiadomo, w ogóle nie miała przyjaciół. Może dlatego, że szukała wyłącznie trzydziestoczteroletniej kobiety, która wyglądała, ubierała się i zachowywała tak samo jak ona. Po jej minie mogłem łatwo zgadnąć, co pomyślała, spoglądając na obrazek: że Luke powinien znaleźć sobie przyjaciela dokładnie takiego samego wzrostu i w takim wieku jak on sam. A przecież nie w ten sposób szuka się przyjaciół.

Najważniejsze jest nie to, jak wyglądamy, ale rola, jaką odgrywamy w życiu naszych bliskich. Ludzie wybierają szczególny rodzaj osób na powierników, ponieważ akurat takiego, a nie innego towarzystwa szukają w danym momencie swojego życia, a nie dlatego, że ich wzrost, wiek lub kolor włosów jest odpowiedni.

Nie zawsze tak się dzieje, jest przecież jakiś powód, że Luke widzi mnie, ale nie mojego kolegę Tommy'ego, który ma sześć lat i ciągly katar. Ja też nie widzę żadnych innych dorosłych mężczyzn bawiących się z Lukiem, a wy? To, że macie jednego niewidzialnego przyjaciela, nie oznacza, że widzicie ich wszystkich.

Posiadacie zdolność dostrzegania ich, ale ponieważ istoty ludzkie wykorzystują tylko dziesięć procent swojego mózgu, nie potrafią uwierzyć, ile jeszcze tkwi w nim możliwości.

Jest tyle pięknych rzeczy, które można dostrzec, jeżeli tylko umie się patrzeć.

Życie jest rodzajem obrazu. Bardzo dziwnego, abstrakcyjnego obrazu. Można spojrzeć na niego, zobaczyć jedynie chaos i resztę życia spędzić w przekonaniu, że jest właśnie takie. Jeżeli jednak uważnie się przyjrzyjecie temu obrazowi, skoncentrujecie się i uruchomicie wyobraźnię, życie może stać się czymś więcej.

Obraz może przekształcić się w morze, niebo, ludzi, budynki, motyla na kwiatku –

we wszystko oprócz tego chaosu, który mieliście przed oczyma.

Po wydarzeniach w biurze Elizabeth musiałem zwołać nadzwyczajne zebranie

„NP”. Pracuję już w tym zawodzie od wielu lat i myślałem, że wiem wszystko, ale najwyraźniej się myliłem. To, że Saoirse mnie dostrzegła i

odezwała się do mnie, naprawdę mną wstrząsnęło. niespotykane zjawisko! Elizabeth w pewnym sensie mnie wyczuwała, co było wystarczająco dziwne. Zaczynałem się jednak do tego przyzwyczajać. Ale Saoirse?

Oczywiście, często zdarza się, że widuje mnie kilka osób naraz, ale nigdy dorosły, a już na pewno nie dwoje dorosłych. Jedyną osobą w firmie, która zajmowała się dorosłymi, była Olivia – nie z zasady, po prostu jakoś tak się zawsze składało. Byłem zagubiony, naprawdę, więc poprosiłem szefową, żeby zgromadziła wszystkich pracowników na nadzwyczajne zebranie „NP.”

Spotkania „NP” służą temu, aby przedyskutować aktualną sytuację przyjaciół, podzucić pomysły i sugestie tym, którzy mają jakiś problem. Ja sam nigdy nie musiałem o nie prosić, więc szefowa była szczerze zaskoczona. Skrót nazwy oznaczał „na przykład”, ponieważ często rozważaliśmy przykładowe propozycje działań. Jednocześnie był skrótem od „Niewidzialnych Przyjaciół”. To ja wymyśliłem tę nazwę.

Na zebranie przybyło sześć osób z największym doświadczeniem w firmie.

Kiedy się pojawiłem z pokoju NP dobiegły mnie śmiechy i odgłosy zabawy. Nie spotykamy się w sali konferencyjnej bez okien, pełnej nudnych skórzanych foteli.

Wolimy luz. Im bardziej komfortowo wszyscy się czują, tym lepsze efekty myślenia.

Siadamy w kręgu na wygodnych różnorodnych siedzeniach. Ja na przykład lubię wielkie wypełnione grochem poduchy, jak ta w bawialni Luke’a. Olivia ma fotel na biegunach; mówi, że w ten sposób łatwiej jest jej robić na drutach.

Szefowa strasznie się szarogęsi. Żartują oczywiście. Tak naprawdę jest jedną z najmilszych osób na świecie i zdecydowanie wie wszystko o pracy najlepszych przyjaciół. Jest cierpliwa, troskliwa, słucha tego, co ludzie mają do powiedzenia, i rozumie więcej niż ktorekolwiek z nas. Ma na imię Opal i jest piękna.

Właśnie w tej chwili wpłynęła do pokoju, odziana w purpurową szatę, z lokami odgarniętymi z twarzy i upiętymi z tyłu, spływającymi na ramiona i plecy, cała obsypana lśniącem pyłem, który migotał przy każdym ruchu. We włosach miała wianek ze stokrotek, niczym tiarę, a także naszyjnik i bransoletki z tych samych kwiatków. Nosiła okrągłe różowe okulary, a jej uśmiech jaśniał tak bardzo, że w najczarniejszą noc mógłby posłużyć jako latarnia morska dla przybijających do brzegu statków.

– Piękne stokrotki, Opal – odezwała się cichutko Arnika zza moich pleców.

– Dziękuję ci, Arniko – uśmiechnęła się Opal. – Uplotyśmy to z małą Tarą dzisiaj rano, w jej ogrodzie. Wyglądasz bardzo sztywnie. Piękny kolor.

Arnika rozjaśniła się. Pracowała jako najlepszy przyjaciel już od wielu, wielu lat, ale wyglądała na sześciolatkę, taką jak Luke. Była mała, miała ogromne niebieskie oczy i blond włosy, które dzisiaj ufrizowała w piękne loki. Ubrała się w żółtą letnią sukienkę, pod kolor wpiętych we włosy wstążek. Na stopach miała lśniąca białe buciki, którymi wymachiwała, siedząc na swoim ręcznie wykonanym drewnianym krzeselku. Zawsze przypominało mi ono krzesło Jasia i Małgosi. Było żółte, pomalowane w serca i świeczki.

– Dziękuję, Opal. – Policzki Arniki się zaróżowiły. – Po zebraniu idę na przyjęcie z moją nową przyjaciółką.

– Naprawdę? – Opal uniosła brwi, wyraźnie pod wrażeniem. – To bardzo miłe.

Gdzie się ono odbędzie?

– W ogrodzie na tyłach domu. Wczoraj moja przyjaciółka dostała nowy zestaw do herbaty na swoje urodziny.

– To cudownie. A jak tam się mają sprawy z małą Maeve?

– Dziękuję, dobrze. – Arnika spojrzała na swoje uda.

Wszyscy powoli umilkli i przysłuchiwali się konwersacji Opal z Arniką. Opal nigdy nie nakazywała ludziom, żeby się uciszeli przed rozpoczęciem zebrania.

Zaczynała po prostu cicho mówić, wiedząc, że w swoim czasie pozostali zakończą rozmowy i uspokoją się. Zawsze powiadała, że ludziom potrzebny jest czas. Jeżeli dostaną go wystarczająco dużo, potrafią poradzić sobie sami z większością spraw.

Opal ciągle przyglądała się Arnice, która bawiła się wstążką przy sukience.

– Czy nadal tobą dyryguje, Arniko?

Arnika pokiwała głową, nagle posmutniała.

– Przez cały czas mówi mi, co mam robić, a kiedy psuje różne rzeczy i jej rodzice się denerwują, zrzuca całą winę na mnie.

Olivia, starsza przyjaciółka, bujająca się na swoim fotelu na biegunach, zagwizdała głośno.

– Wiesz, dlaczego Maeve to robi, prawda, Arniko? – spytała łagodnie Opal.

Arnika pokiwała głową.

– Moja obecność pozwala jej kontrolować innych ludzi. Maeve naśladuje w tym swoich rodziców. Rozumiem, dlaczego to robi i jakie to jest ważne, ale znoszenie takiego traktowania dzień w dzień jest jednak bardzo przykre.

Wszyscy pokiwali głową ze zrozumieniem. Znaliśmy to z autopsji. Dzieci lubiły rozstawiać nas po kątach, bo nikt inny by sobie na to nie pozwolił.

– Wiesz, że nie potrwa to już zbyt długo, Arniko – pocieszyła przyjaciółkę Opal. Arnika skinęła głową. Jej loki podskoczyły przy tym zabawnie.

– Bobby. – Opal spojrzała na małego chłopca siedzącego na deskorolce, w baseballówce przekreślonej daszką do tyłu. Przysłuchiwał się

rozmowie, jeżdżąc deską na boki. Słyszając swoje imię, zatrzymał się. – Powinieneś zaprzestać gier komputerowych z małym Anthonym. Wiesz dlaczego, prawda?

Mały chłopiec o twarzy aniołka pokiwał głową, ale kiedy się odezwał, jego głos wydawał się należeć do kogoś dużo starszego niż sześciolatek.

– Ponieważ Anthony ma tylko trzy lata i nie powinien podporządkowywać się rolowi rodzajowym. Musi bawić się zabawkami, nad którymi będzie miał kontrolę, które są elastyczne i wieloczynnościowe. Zbyt wiele innych gadżetów może zablokować jego rozwój.

– Jakimi zabawkami według ciebie powinien się bawić? – spytała Opal.

– Zamierzam się skoncentrować na zabawie, no wiesz, niczym szczególnym, pudełkami, pokrywkami na garnki albo tekturowymi rolkami po papierze toaletowym. Zrobimy sobie teatrzyk i tym podobne.

Wszyscy roześmialiśmy się radośnie. Rolki po papierze toaletowym to moje ulubione zabawki. Można z nimi zrobić tyle rzeczy.

– Bardzo dobrze, Bobby. Postaraj się o tym pamiętać, kiedy Anthony będzie cię chciał namówić na kolejną grę na komputerze. Tak jak Tommy... – przerwała, rozglądając się. – Właściwie to gdzie jest Tommy?

– Przepraszam za spóźnienie – zawołał ktoś głośno z progu. Tommy wbiegł do środka, z rękami założonymi do tyłu i ramionami poruszającymi się jak u człowieka pięćdziesiąt lat starszego ode mnie. Twarz i ręce miał umazane błotem, na kolanach i goleniach ślady po trawie, a na łokciach pełno zadrapań i strupów. Opadł na moją poduchę.

Opal roześmiała się.

– Witamy, Tommy. Jesteś bardzo zajęty, co?

– No! – odparł zadziornie Tommy. – Byliśmy z Johnno w parku. Kopaliśmy robaki – wytarł zasmarkany nos ramieniem.

– Bleeeee! – Arnika wykrzywiła się ze wstrętem i przysunęła krzesło bliżej Anthony'ego.

– Dobrze już, dobrze, księżniczko. – Tommy mrugnął do niej, opierając stopy na stole naprzeciwko, zastawionym gazowanymi napojami i ciasteczkami czekoladowymi. Arnika odwróciła wzrok i skoncentrowała się na Opal.

– Rozumiem, że John jest taki sam jak zwykle – stwierdziła Opal z rozbawieniem.

– No, dalej mnie widzi – odparł Tommy, jakby odniósł ogromne zwycięstwo. –

W tej chwili ma problem z łobuzami, Opal. Tak go zaszczuli, że nigdy nie powie rodzicom – potrząsnął smutno głową. – Boi się, że go skrytykują albo, co gorsza, zainterweniują. Poza tym wstydzi się, że w ogóle do tego dopuścił. Typowe emocje ogarniające słabszych, nad którymi znęcają się różne łobuzy.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – spytała zmartwiona Opal.

– Niestety, wszystko zaczęło się na długo, zanim się pojawiłem. John cierpi na chroniczne zastraszenie. Nauczył się podporządkowywać niesprawiedliwym żądaniom tych, których uznał za silniejszych, zaczął się identyfikować z łobuzami i znęcać nad słabszymi. Ale ja nie pozwolę mu sobą pomiatać – dodał twardo. – Jak wiesz, pracowaliśmy nad jego postawą, brzmieniem głosu i kontaktem wzrokowym, które wiele mówią o podatności człowieka na zastraszenie. Uczę go, jak mieć baczenie na podejrzanych osobników. Każdego dnia przechodzimy przez listę możliwych atrybutów – usiadł wygodniej i założył ręce za głowę. – Pracujemy nad Johnno i jego dojrzałym poczuciem sprawiedliwości.

– I kopiecie robaki – dodała Opal z uśmiechem.

Tommy puścił do mnie oko.

– Jamie-Lynn. – Opal zwróciła się do małej dziewczynki w dżinsowych ogrodniczkach i brudnych adidasach. Miała krótko obcięte włosy i siedziała na piłce futbolowej. – Jak się miewa mała Samantha? Mam nadzieję, że przestałyście już rozkopywać rabatki jej mamy.

Jamie-Lynn była chłopczycą i zawsze wciągała swoich przyjaciół w kłopoty.

Arnika z kolei przeważnie uczęszczała na herbatki w ślicznych sukienkach i bawiła się Barbie oraz kucykami My Little Pony. Jamie-Lynn otworzyła usta i zaczęła mówić coś niezrozumiałego. Opal uniosła brwi.

– Widzę, że nadal rozmawiacie z Samantha w swoim prywatnym języku.

Jamie-Lynn pokiwała głową.

– No trudno, ale bądź ostrożna. To niedobry pomysł, by używać go dużo dłużej.

– Nie martw się. Wiem, że Samantha uczy się mówić całe zdania i rozwija swoją pamięć, więc nie potrwa to już zbyt długo – odparła Jamie-Lynn, wracając do normalnego języka. Posmutniała. – Dzisiaj rano mnie nie zobaczyła, dopiero podczas lunchu.

Wszyscy posmutnieli, współczując Jamie-Lynn. Zaczęliśmy ją pocieszać, bo każde z nas wiedziało, jak to jest, gdy następuje początek końca.

– Olivia, jak tam pani Cromwell? – spytała łagodnie Opal.

Olivia przerwała robienie na drutach i bujanie się na fotelu. Potrząsnęła smutno głową.

– Nie zostało jej już zbyt dużo czasu. Wczoraj w nocy długo rozmawialiśmy o wycieczce, na którą pojechała z rodziną siedemdziesiąt lat temu, na plażę Sandymount. Wprowadziło to ją w dobry humor, ale gdy tylko dzisiaj rano oświadczyła swoim bliskim, że rozmawiała o tym ze mną, wszyscy wyszli. Uważają, że mówi o swojej ciotecznej babce Olivii, która umarła czterdzieści lat temu. Są przekonani, że pani Cromwell dostała bzika na starość. W każdym razie zostaną z nią do samego końca. Jak już mówiłam, nie zostało jej dużo czasu, a rodzina odwiedziła ją w ciągu

ostatniego miesiąca zaledwie dwa razy. Praktycznie nie ma przy sobie nikogo bliskiego.

Olivia zawsze poznawała przyjaciół w szpitalach, hospicjach i domach starców. Była w tym świetna. Pomagała ludziom przypominać sobie stare dobre czasy, wypełniać wspomnieniami bezsenne noce.

– Dziękuję, Olivio – uśmiechnęła się Opal, a potem zwróciła się do mnie.

– No dobrze, Ivan, jak leci w domu na Fuchsia Lane? O co chodziło z tym pośpiechem? Mały Luke wydaje się zadowolony z życia.

Usadowiłem się wygodniej na poduszce.

– Tak, z Lukiem wszystko w porządku. Jest kilka rzeczy, nad którymi musimy popracować, na przykład nad jego podejściem do sytuacji rodzinnej, ale to nic wielkiego.

– Dobrze. – Opal była zadowolona.

– Mam inny problem – rozejrzałem się dookoła. – Jego trzydziestoczeroletnia ciotka, która go zaadoptowała, czasem wyczuwa moją obecność.

Wszyscy zatchnęli się i spojrzeli po sobie z przerażeniem. Wiedziałem, że tak zareagują.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnąłem, usiłując nie sycić się dramatem, bo w końcu był to mój problem. – Mama Luke'a, która ma dwadzieścia dwa lata, przyszła dziś do biura Elizabeth i zobaczyła mnie. Odezwała się do mnie!

Znowu dojrzałem zaskoczenie u wszystkich, z wyjątkiem Opal, która

spoglądała na mnie wszystkowiedzącymi lśniącymi oczami. Poczułem się lepiej, ponieważ byłem pewny, że Opal wie, co robić. Zawsze wiedziała. Dzięki temu nie musiałem się czuć taki zagubiony.

– Gdzie był Luke, kiedy siedziałeś w gabinecie Elizabeth? – spytała z uśmiechem błąkającym się w kącikach jej ust.

– Na farmie u dziadka – wyjaśniłem. – Elizabeth nie chciała mnie wypuścić z samochodu. Bała się, że jej ojciec rozżłości się na Luke'a za to, iż ma niewidzialnego przyjaciela – wyjaśnienie pozbawiło mnie oddechu.

– Dlaczego nie poszedłeś do Luke'a na piechotę, gdy tylko udało ci się wysiąść? – spytał Tommy. Oczywiście Opal znowu zaliśniła. Co się z nią działo?

– Dlatego – odparłem.

– Dlaczego? – spytała Arnika.

Ona też?

– Jak daleko jest z biura do farmy? – spytał Bobby.

Dlaczego wszyscy zadawali te same pytania? Czy nie powinni się zastanawiać nad tym, dlaczego wszyscy ci dorośli mnie wyczuwali?

– Około dwóch minut drogi samochodem. Dwadzieścia minut spacerem –

odparłem, zagubiony. – O co chodzi z tymi pytaniami?

– Ivan – roześmiała się Olivia. – Nie zachowuj się jak naiwniak. Wiesz, że kiedy ktoś rozłącza cię z twoim przyjacielem, powinieneś go odnaleźć. Dwadzieścia minut marszu to nic w porównaniu z tym, ile się nachodziłeś za twoim poprzednim przyjacielem – zachichotała.

– Och, dajcie spokój! – uniosłem w górę ramiona. – Usiłowałem ustalić, czy Elizabeth mnie widzi, czy nie. Byłem zagubiony. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

– Nie martw się, Ivan – uśmiechnęła się Opal, przemawiając głosem

ociekającym słodyczą. – To bardzo rzadkie, ale zdarzało się wcześniej.

Wszyscy głośno jęknęli z zaskoczenia. Opal wstała, zebrała swoje notatki i przygotowała się do wyjścia.

– Gdzie idziesz? – spytałem zdumiony. – Nie powiedziałaś mi, co mam robić.

Opal zdjęła różowe okulary i spojrzała na mnie czekoladowymi oczami.

– To nie jest nagły przypadek. Nie potrzebujesz mojej rady. Musisz po prostu sobie zaufać, a kiedy przyjdzie czas, podejmiesz właściwą decyzję.

– Jaką decyzję? O czym? – spytałem, czując się jeszcze bardziej niepewnie niż na początku.

– Zrozumiesz, kiedy przyjdzie na to czas – uśmiechnęła się do mnie Opal. –

Powodzenia – z tymi słowy opuściła pokój zebrań. Wszyscy wpatrywali się we mnie z wyrazem zdziwienia w oczach. Zaskoczone twarze powstrzymały mnie przed proszeniem ich o radę.

– Przykro mi, Ivan. Ja też byłabym zagubiona w takiej sytuacji. – Arnika wstała, wygładziła sukienkę, uściśniła mnie mocno i pocałowała w policzek. – Lepiej już pójdę, inaczej się spóźnię.

Przeglądałem się, jak w podskokach zmierza do drzwi. Jej blond loki podskakiwały z każdym krokiem.

– Baw się dobrze na przyjęciu! – krzyknąłem na pożegnanie. – Podjmij właściwą decyzję – wymamrotałem do samego siebie, zastanawiając się nad słowami Opal. – Właściwą decyzję w jakiej sprawie?

A potem przyszła mi do głowy mroząca krew w żyłach myśl. Co, jeżeli mi się nie uda? Czy komuś stanie się krzywda?

Elizabeth usiadła ostrożnie na huśtawce w ogrodzie za domem. W dłoniach trzymała cytrynowy kubek z ciepłą kawą, oplatając go szczupłymi palcami. Słońce powoli zachodziło i do ogrodu wkradał się wieczorny chłód. Elizabeth wpatrzyła się w niebo, przepiękną panoramę chmur z waty cukrowej, róży, czerwieni i pomarańczy, jakby żywcem wyjęte z jakiegoś impresjonistycznego obrazu. Zza wzgórze za jej plecami sączyła się bursztynowa poświata. Taką samą widywała czasem nad łóżkiem Luke'a, gdy czytał przy świetle latarki.

Oddechnęła głęboko. Czerwony zachód słońca, usłyszała głos w swojej głowie.

– Wróży dobrą pogodę – dokończyła cicho.

Poczuła delikatny powiew, zupełnie jakby powietrze westchnęło.

Siedziała tu od ponad godziny. Po całym dniu spędzonym u dziadka Luke bawił się na górze ze swoim kolegą Samem. Elizabeth czekała na przybycie taty Sama. Nigdy przedtem nie spotkała tego mężczyzny. Zazwyczaj Edith kontaktowała się z rodzicami kolegów odwiedzających Luke'a. Elizabeth z niechęcią myślała o czekającej ją bzdurnej rozmowie o dzieciach.

Była za kwadrans dziesiąta wieczorem i słońce postanowiło zgasnąć na dobre.

Elizabeth bujała się na ławeczce, walcząc z nabiegającymi do oczu łzami, przełykając gulę, która rosła w jej gardle, i odpychając myśli, które wracały do niej upartą falą.

Czuła się tak, jakby walczyła z całym światem, który postanowił pokrzyżować jej plany. Zmagała się z ludźmi, którzy wprasali się w jej życie bez pozwolenia, z Lukiem i jego dziećmi, ze swoją siostrą i jej problemami, Poppy i jej pomysłami w pracy, Joem i jego kawiarnią, z konkurentami na płaszczyźnie zawodowej. Jej życie było nieustanną bitwą, a teraz siedziała tu, walcząc ze swoimi własnymi emocjami.

Poczuła się jak po sturundowej walce kickbokserskiej, podczas której przyjęła na siebie wszystkie ciosy, kuksańce i kopniaki przeciwnika. Była zmęczona. Bolały ją mięśnie, mechanizmy obronne puszczały i rany przestały się goić.

Z wysokiego muru oddzielającego posesję Elizabeth i jej sąsiadów zeskoczył

kot. Spojrzał czupurnie na Elizabeth lśnącymi w ciemnościach oczami. Wolny od trosk, pewny siebie, odważny, szczęśliwy powoli przemierzył ogród. Wskoczył na mur po przeciwnej stronie i zniknął w ciemnościach. Elizabeth zazdrościła mu tego, że mógł przychodzić i odchodzić, kiedy zapragnął, bez żadnych zobowiązań wobec nikogo, nawet najbliższych, którzy go kochali i opiekowali się nim.

Odepchnęła się stopą od ziemi. Huśtawka zaskrzybiała lekko. Rozświetlone intensywną czerwienią i złotem wzgórze wyglądało, jakby płonęło. Słońce schowało się już za nim całkowicie. Po drugiej stronie nieba księżyc czekał na swoją kolej.

Świerszcze gadały ze sobą hałaśliwie. Dzieci biegly do domów na noc. Samochody zatrzymywały się przed domami, trzaskały drzwi wejściowe, zamykały się okna i zasuwwały zasłony.

Wreszcie zapadła cisza. Elizabeth znowu była sama w ogrodzie, który w zapadających ciemnościach żył swoim własnym życiem. Poczuła się w nim jak gość.

Po raz kolejny przypomniała sobie zajścia dzisiejszego dnia. Cofnęła się myślami do wizyty Saoirse. Raz po raz odtwarzała całą sytuację, z coraz większymi szczegółami. Oni wszyscy w końcu odchodzą, prawda, Lizzie? To jedno zdanie kołatało w jej głowie niczym fragment piosenki ze zdartej płyty. Nie dawało jej spokoju niczym palec stukający ją w ramię, coraz mocniej i mocniej, najpierw ocierając skórę, potem ją rozrywając i wbijając się głębiej i głębiej, aż do serca – miejsca, które bolało najbardziej. Podmuch wiatru boleśnie dotknął niewidocznej rany.

Elizabeth zamknęła oczy i rozplakała się po raz drugi tego dnia. Oni wszyscy w końcu odchodzą, prawda, Lizzie?

Pytanie rozbrzmiewało w jej głowie, domagając się odpowiedzi. Wreszcie jej umysł eksplodował. TAK! – wykrzyczał. Tak, wszyscy w końcu odchodzą. Zawsze.

Każda osoba, której kiedykolwiek udało się rozjaśnić dni Elizabeth, ucieszyć jej serce, znikła tak szybko, jak kot, którego widziała przed chwilą. Zupełnie, jakby radość i szczęście było czymś w rodzaju specjalnej weekendowej nagrody. Jak lody.

Jej matka zrobiła dokładnie to samo, co zachodzące słońce: porzuciła ją, zabierając z jej życia światło i ciepło, pozostawiając jedynie chłód i ciemność.

Wujkowie i ciocie, którzy ją odwiedzali i pomagali, wyprowadzili się albo odeszli z tego świata. Przyjaźni nauczyciele w szkole mogli się nią zajmować tylko podczas roku szkolnego. Koledzy ze szkoły dorośli i sami usiłowali się odnaleźć w świecie.

Zawsze odchodzili z jej życia dobrzy ludzie, którzy nie obawiali się uśmiechać i kochać.

Elizabeth objęła ramionami kolana i płakała jak mała dziewczynka, która przewróciła się i rozcięła sobie kolano. Pragnęła, żeby pojawiła się matka, podniosła ją z ziemi i zaniósła do kuchni, a tam posadziła na parapecie i opatrzyła skaleczenie.

A potem, jak zawsze, żeby nosiła ją na rękach po pokoju, tańcząc i śpiewając, aż mała Elizabeth zapomni o bólu, a łzy na jej policzkach obeschną.

Pragnęła, aby Mark, jej jedyna miłość, wziął ją w ramiona, tak szerokie, że stawała się w nich prawdziwą kruszynką. Pragnęła zanurzyć się w jego miłości, kiedy kołysał ją łagodnie, jak kiedyś, szepcząc kojące słowa do jej ucha i głaszcząc po głowie. Wierzyła w jego słowa. Sprawił, że czuła, iż wszystko będzie dobrze, i leżąc w jego ramionach, wiedziała, że to prawda.

Im mocniej pragnęła tych rzeczy, tym bardziej płakała, ponieważ wiedziała, że w jej życiu pozostał jedynie ojciec, który nie mógł na nią patrzeć, bo tak bardzo przypominała mu jego żonę, siostra, która zapomniała o tym, że ma syna, i siostrzeniec, który spoglądał na nią codziennie z

nadzieją wielkimi, błękitnymi oczami, prosząc o miłość i czułość – uczucia, których ona sama nie otrzymała w nadmiarze i którymi nie potrafiła się teraz dzielić.

I kiedy tak Elizabeth płakała na rozbujaanej huśtawce, trzęsąc się na chłodnym wietrze, zastanawiała się, dlaczego pozwoliła, aby jedno zdanie wypowiedziane przez dziewczynkę, która nigdy nie zaznała w życiu wystarczająco dużo czułych matczynych pocałunków i uścisków, która nigdy nie dopuściła, aby z jej ust wydostały się jakiegokolwiek słowa miłości, było ciosem, od którego upadła, niczym skrawek czarnego jedwabiu dziś w jej biurze.

Niech cię diabli, Saoirse! Niech diabli wezmą ciebie i twoją nienawiść do życia, twój brak szacunku dla innych, zwłaszcza do własnej siostry. Niech cię diabli za to, że nawet nie próbujesz się starać, kiedy ja robię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Co dało jej prawo do takiej grubiańskiej odzywki? Jak mogła tak bezdusznie obrzucić ją obelgami? Głos w głowie Elizabeth przypominał jej, że to nie alkohol. To nigdy nie był alkohol tylko zranione serce.

Dziś wieczorem jednak rozkrzyczało się w Elizabeth jej własne zranione serce.

– Niech ktoś mi pomoże – jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach. – Błagam, niech ktoś mi pomoże – chlipała.

Ciche skrzypnięcie przesuwanych drzwi kuchennych sprawiło, że poderwała głowę z kolan. W progu stał mężczyzna, podświetlony od tyłu niczym anioł.

– Och – Elizabeth przeknęła głośno ślinę, zawstydzona, że ktoś przyłapał ją w takim momencie. Wylała oczy i wygładziła rozczochrane włosy. Wstała z huśtawki.

– Pan musi być tatą Sama – jej głos nadal drżał z emocji. – Jestem Elizabeth.

Mężczyzna milczał. Pewnie zastanawiał się, dlaczego zostawił swojego sześciolatniego syna pod opieką kobiety na tyle nieodpowiedzialnej, że pozwoliła swojemu małemu siostrzeńcowi otworzyć drzwi wejściowe i wpuścić do środka obcego człowieka o dziesiątej wieczorem.

– Przepraszam, nie słyszałam dzwonka do drzwi – przewiązała sweter ciaśniej w talii i skrzyżowała ramiona. Nie chciała jeszcze wchodzić w krąg światła, żeby nieznajomy nie zobaczył jej łez. – Jestem pewna, że Luke już powiedział Samowi o pana przybyciu, ale... – co, „ale”, Elizabeth? ... – ale pójde to sprawdzić – wymamrotała. Przemierzyła szybko ogród, ze spuszczoną głową, pocierając czoło dłonią tak, aby zasłonić oczy.

Kiedy była przy drzwiach, zmrużyła oczy w jasnym świetle, ale nie podniosła głowy. Nie chciała spoglądać w oczy temu mężczyźnie. Zdołała dostrzec jedynie parę błękitnych tenisówek Converse i nogawki wypłowiałych błękitnych džinsów.

14

– Sam, przyjechał po ciebie tata! – zawołała słabym głosem w stronę sypialni Luke’a. Nie usłyszała odpowiedzi, tylko stukot małych stópek na podeście schodów.

Westchnęła i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Miała opuchniętą twarz i potargane włosy, wilgotne od ciągłego poprawiania ich mokrymi od łez dłońmi.

Na szczycie schodów pojawił się zaspany Luke w piżamie Spidermana, której nie pozwalał jej prac i chował ją za swoim ulubionym misiem George’em. Potarł

oczy piąstkami i spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

– Co?

– Słucham, a nie co – poprawiła go odruchowo Elizabeth, a potem stwierdziła, że w jej chwilowym nastroju nie ma to najmniejszego znaczenia. – Tata Sama czeka na dole, więc powiedz mu, żeby się pospieszył.

– Ale... – zdumiony Luke podrapał się po głowie.

– Ale co?

– Tata Sama zabrał go, kiedy byłaś w ogrodzie... – przerwał i spojrzał nad ramieniem Elizabeth. Jego twarz rozjaśniła się w bezzębnym uśmiechu. – O, witaj tato Sama – zachichotał niekontrolowanie. – Sam zaraz zejdzie na dół – roześmiał się i uciekł z podestu.

Elizabeth nie miała wyboru, jak tylko odwrócić się i spojrzeć na tatę Sama. Nie mogła go unikać, kiedy czekał na swoje dziecko w jej domu. Wydało jej się, że przyglądał się chichoczącemu na podeście Luke’owi ze zdumieniem. Spojrzał na nią, wyraźnie zaniepokojony. Opierał się o framugę, z rękami wetkniętymi w tylne kieszenie wypłowiałych džinsów. Miał na sobie błękitny podkoszulek, a spod niebieskiej czapki wystawały kosmyki kruczoczarnych włosów. Mimo że ubierał się bardzo młodzieżowo, założyła, że jest w jej wieku.

– Proszę się nie martwić Lukiem – rzuciła lekko zaambarasowana zachowaniem siostrzeńca. – Jest dzisiaj trochę podekscytowany. Przykro mi, że zastał mnie pan w złym momencie – objęła się ramionami. – Zazwyczaj się tak nie zachowuję – otarła oczy drżącą ręką i szybko złożyła rozdygotane dłonie jak do modlitwy, żeby się uspokoić. Ogrom jej emocji zupełnie ją zdezorientował.

– Nie szkodzi – odezwał się mężczyzna głębokim, łagodnym głosem. –

Wszyscy miewamy złe dni.

Elizabeth zaczęła przygryzać policzek od wewnątrz. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem miała dobry dzień.

– Edith jest na wakacjach. Jestem pewna, że zazwyczaj kontaktował się pan z nią. Dlatego się wcześniej nie spotkaliśmy.

– Ach, Edith – uśmiechnął się mężczyzna. – Luke często o niej mówi. Bardzo ją lubi.

– Tak. – Elizabeth też się uśmiechnęła, zastanawiając się, czy mały kiedykolwiek wspominał o niej. – Może zechce pan usiąść? – Wskazała na duży pokój. Zaoferowała mu coś do picia i poszła do kuchni, aby przygotować dla niego szklankę mleka, dla siebie zaś filiżankę espresso. Stanęła w drzwiach do salonu zdumiona, widząc, że kręci się na ruchomym fotelu. Ten widok sprawił, że się uśmiechnęła.

Widząc ją w progu, mężczyzna przestał wirować na fotelu, wziął od niej szklankę z mlekiem i przeniósł się na skórzaną kanapę. Elizabeth usiadła w ogromnym fotelu. Zdawało się, iż niemal ją pochłania. Pomyślała z niesmakiem, że brudne buty taty Sama mogą ubrudzić kremowy dywan. Znienawidziła się za tę myśl.

– Przepraszam, ale nie wiem, jak ma pan na imię – powiedziała, usiłując nadać nieco jaśniejszy ton swojemu głosowi.

– Ivan.

Elizabeth zakrztusiła się kawą i wypluła ją na bluzkę. Ivan podskoczył i zaczął

ją klepać po plecach. Wpatrywał się w nią zaniepokojony, ze zmarszczonym czołem.

Elizabeth zakaszła, czując się naprawdę głupio. Odwróciła wzrok i chrząknęła kilka razy.

– Nic się nie stało, już w porządku – wymamrotała. – To zabawne, że ma pan na imię Ivan, bo... – przerwała. Co niby ma powiedzieć temu nieznanemu człowiekowi? Że jej siostrzeniec cierpi na przywidzenia? Niezależnie od porad internetowych nadal nie była pewna, czy zachowanie Luke'a można było uznać za normalne. – Och, to długa historia – machnęła zbywająco ręką i upiła nieco kawy. – Czym się zajmujesz, Ivan, jeżeli mogę spytać? – ciepła kawa spłynęła do żołądka, napętlając jej ciało znajomym uczuciem komfortu. Wracała do normalności, wybudzała się z odrętwienia spowodowanego smutkiem.

– Można powiedzieć, że zdobywaniem przyjaciół, Elizabeth.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jak my wszyscy – odparła. Mężczyzna zamyślił się nad jej słowami.

– Jak się nazywa twoja firma? – spytała.

– To dobra firma – ożywił się Ivan. – Uwielbiam swoją pracę.

– Dobra firma? – Zmarszczyła brwi. – Nie znam jej. Gdzie ma siedzibę? Tutaj, w Kerry?

Ivan puścił do niej oko.

– Ma siedzibę wszędzie, Elizabeth.

– To międzynarodowa firma? – zdziwiła się Elizabeth.

Ivan pokiwał głową i upił trochę mleka.

– Czym się zajmuje?

– Dziećmi – odparł szybko. – Poza Olivią, która pracuje ze starszymi ludźmi.

Ja jednak pracuję z dziećmi. Pomagam im. To znaczy do tej pory zajmowaliśmy się głównie dziećmi, ale teraz wygląda na to, że rozszerzamy działalność... tak sędzę...

– przerwał, postukał w szklankę paznokciem i spojrzał w dal zamyślony.

– To bardzo miłe – uśmiechnęła się Elizabeth. To by wyjaśniało jego ubiór i skłonność do zabaw. – Przypuszczam, że jeżeli na rynku robi się nisza, należy ją zająć. Powiększać firmę i zyski. Zawsze szukam sposobów na rozwój mojego biznesu.

– O jakim rynku mówisz?

– No wiesz, chodzi mi o starszych ludzi.

– Oni mają jakiś rynek? Doskonale. Zastanawiam się, gdzie on jest. Czy urządzają na nim targ? Kiedy? Może w niedzielę? Na targu zawsze można znaleźć fajne rzeczy. Tata mojego byłego przyjaciela, Barry'ego, często kupował używane samochody i je naprawiał. Za to mama Barry'ego kupowała zasłony i przerabiała je na ubrania. Wyglądała jak postać z *Dźwięków muzyki*. Dobrze, że ona też tutaj mieszka, ponieważ co niedzielę chciała „sięgać szczytów”, a ponieważ Barry był

moim najlepszym przyjacielem, musiałem w tym uczestniczyć, sama rozumiesz. Jak myślisz, kiedy on jest? Targ na rynku, a nie musical, ma się rozumieć. I gdzie?

Elizabeth przestała go słyszeć, tak bardzo się zamyśliła. Nie mogła się powstrzymać.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Przestała się wpatrywać w dno filiżanki z kawą i spojrzała Ivanowi w oczy.

Dlaczego wyglądał, jakby bardzo się nią przejmował? Kim był ten nieznajomy o łagodnym głosie, który sprawiał, że czuła się w jego towarzystwie niepewnie?

Każdy błysk w jego błękitnych oczach wywoływał u niej gęsią skórkę. Jego spojrzenie hipnotyzowało, a ton głosu był niczym ulubiona piosenka, którą chciała nagrać na płytę i odtwarzać bez końca. Kim był ten mężczyzna, który pojawił się w jej domu i zadawał jej pytania, których nie słyszała nawet od najbliższych? Wszystko w porządku?

Czy wszystko było w porządku? Poruszyła filiżanką, omywając kawą jej brzegi. Brązowy płyn uderzył w porcelanowe ścianki, rozpryskując się niczym morze na klifach Sleá Head. Pomyślała o tym i doszła do wniosku, że słyszała to pytanie ładnych kilka lat temu. Stwierdziła, że zapewne jej odpowiedź powinna brzmieć „nie”. Nic nie było w porządku.

Była zmęczona wtulaniem się w poduszki, sięganiem po koc, kiedy pragnęła ciepła, i przeżywaniem romantycznych chwil wyłącznie w snach. Nużyło ją oczekiwanie na koniec każdego dnia, żeby mogła obudzić się następnego poranka, z nadzieją, że ten dzień będzie lepszy, miłszy, lżejszy, chociaż nigdy nie był.

Elizabeth pracowała, płaciła rachunki i kładła się spać, chociaż rzadko udawało się jej zasnąć od razu. Każdego poranka ciężar na jej barkach stawał się coraz cięższy i cięższy i w końcu pragnęła już tylko szybkiego nadejścia nocy, żeby mogła wrócić do łóżka, wtulić się w poduszkę i ogrzać pod kołdrą.

Spojrzała na miłego nieznajomego o błękitnych oczach, który przyglądał się jej z uwagą. W jego spojrzeniu dostrzegła więcej troski niż kiedykolwiek u ludzi, których znała. Chciała mu opowiedzieć, jak się czuje, usłyszeć z jego ust, że wszystko będzie dobrze, że nie jest sama i teraz będą już na zawsze razem...

powstrzymała się. Marzenia, pobożne życzenia i nadzieje były nierealne. Musiała uspokoić umysł, powstrzymać go od podążania tą ścieżką. Miała dobrą pracę, oboje z Lukiem byli zdrowi i więcej nie potrzebowała. Spojrzała na Ivana i zastanowiła się, jak odpowiedzieć na jego pytanie.

Czy wszystko było w porządku?

Ivan upił nieco mleka ze szklanki.

Elizabeth roześmiała się lekko. Nad górną wargą mężczyzny pojawiły się wąsy tak wielkie, że sięgały aż do nosa.

– Tak, dziękuję, Ivan. Wszystko jest w porządku.

Nie wyglądał na przekonanego. Wytarł dłonią mleczne wąsy, przyglądając się jej uważnie.

– Jesteś projektantką wnętrz, tak? – spytał.

– Tak. Skąd wiesz? – zdziwiła się Elizabeth.

– Wiem wszystko. – Ivan spojrzał na nią figlarnie.

– Wszyscy mężczyźni wiedzą wszystko o wszystkim – uśmiechnęła się

Elizabeth i spojrzała na zegarek. – Nie wiem, co Sam robi tak długo. Twoja żona pomyśli pewnie, że uprowadziłam was obu.

– Och, nie jestem żonaty – odparł Ivan. – Kobiety? O nie! – wykrzywił się śmiesznie.

– Przepraszam – zaśmiała się Elizabeth. – Nie zdawałam sobie sprawy, że nie jesteście z Fioną małżeństwem.

– Fioną? – spytał skonfundowany Ivan.

– Matką Sama. – Elizabeth poczuła się głupio.

– Ach, z nią! – Ivan znowu wykrzywił się zabawnie. – Nie ma mowy! –

Pochylił się do przodu na sofie, która skrzypnęła pod jego dżinsami. Dźwięk wydał

się Elizabeth nader znajomy. – Wiesz, że Fiona przyrządza okropnego kurczaka? Sos kompletnie rujnuje mięso.

Ku swemu zdziwieniu Elizabeth znowu się roześmiała.

– To niezwykle powód, żeby kogoś nie lubić. – Zabawne, ale Luke narzekał

kiedyś z tego samego powodu po tym, jak został zaproszony do domu Sama na obiad w jeden z weekendów.

– Nie, jeżeli naprawdę się lubi kurczaka – odparł Ivan poważnie. – Kurczak to moje ulubione jedzenie – uśmiechnął się.

Elizabeth pokiwała głową, usiłując powstrzymać chichot.

– Dokładniej, kurczak jest moim ulubionym rodzajem drobiu.

To przepeliło czarę. Elizabeth wybuchła śmiechem. Luke musiał usłyszeć od niego niektóre powiedzonka.

– Co? – uśmiechnął się szeroko Ivan, odsłaniając rząd lśniących białych zębów.

– Ty – odparła Elizabeth, daremnie próbując się uspokoić. Nie mogła uwierzyć, że zachowuje się w taki sposób przy nieznajomym.

– Co, ja?

– Jesteś zabawny – stwierdziła radośnie.

– A ty jesteś piękna – zrewanżował się.

Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona. Jej policzki zapłonęły rumieńcem. Co on powiedział?

Zapadła cisza. Elizabeth poczuła się nieswojo. Zastanawiała się, czy powinna poczuć się urażona jego uwagą, czy też nie. Ludzie przeważnie nie mówili jej takich rzeczy i teraz nie wiedziała, jak zareagować.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Ivana. Nie był zażenowany ani

zawstydzony, zupełnie jakby mówił komplementy codziennie. Cóż, zapewne tak było, pomyślała cynicznie. Czarus i tyle. Chciała spojrzeć na niego z pogardą i wyższością, ale jakoś nie potrafiła uwierzyć, że Ivan mógłby być zwykłym lowelasem. Nie znał jej, spotkali się przecież zaledwie dziesięć minut temu, a zachowywał się jak jej najlepszy przyjaciel. Powiedział, że jest piękna, i nadal siedział w salonie, udając, że nic się nie stało. Rozglądał się wokół, jakby duży pokój był najwspanialszym miejscem na ziemi. Był niezwykle przyjazny, łatwo się z nim rozmawiało i

słuchało go. Mimo że powiedział jej komplement, chociaż przecież widział ją w starych ciuchach, z opuchniętą twarzą, czerwonymi oczami i przetłuszczonymi włosami, Elizabeth nie poczuła się zawstydzona. Im dłużej siedzieli w milczeniu, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że Ivan najzwyczajniej w świecie i bez żadnych podtekstów powiedział jej coś miłego.

– Dziękuję, Ivan – odparła uprzejmie.

– Ja też dziękuję.

– Za co?

– Powiedziałaś, że jestem zabawny.

– Ach, tak. Cóż... nie ma za co.

– Nie słyszysz zbyt wielu komplementów, prawda?

W tej chwili Elizabeth powinna wstać i zgodnie ze swoimi regułami wyprosić go za wścibstwo. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ nie poczuła się w żaden sposób urażona jego pytaniem. Westchnęła.

– Nie, niestety, nie.

Uśmiechnął się, patrząc na Elizabeth.

– W takim razie niech ten stanie się pierwszym z wielu w przyszłości. –

Elizabeth nie potrafiła zbyt długo znieść jego spojrzenia.

– Czy Sam będzie dzisiaj nocował u ciebie?

Ivan wywrócił oczami.

– Mam nadzieję, że nie. Jak na chłopca, który ma tylko sześć lat, strasznie chrapie.

Elizabeth uśmiechnęła się.

– Sześć lat to wcale nie ta... – przerwała i czym prędzej upiła łyk kawy.

Ivan uniósł brwi.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Nic ważnego – wymamrotała. Kiedy Ivan znów zaczął się rozglądać po pokoju, Elizabeth przyjrzała mu się uważniej. Nie mogła ustalić, ile miał lat. Był

wysoki, muskularny, męski, ale miał w sobie wiele chłopięcego uroku. Nie rozumiała go. Postanowiła nie owijać sprawy w bawełnę.

– Ivan, nie rozumiem jednej rzeczy – nabrała powietrza w płuca.

– A powinnaś. Nigdy nie daj się złapać na tym, że czegoś nie rozumiesz.

Elizabeth poczuła, że uśmiecha się i krzywi jednocześnie.

– W porządku – odparła. – W takim razie czy mogę spytać, ile masz lat?

– Oczywiście – odparł radośnie.

Zapadło milczenie.

– No więc?

– Co więc?

– Ile masz lat?

– Powiedzmy, że pewna znana nam osoba powiedziała mi, iż jestem tak samo stary, jak ty – uśmiechnął się Ivan.

Elizabeth roześmiała się. Tak przypuszczała. Najwyraźniej Luke nie oszczędził

Ivanowi żadnego ze swoich niesubtelnych komentarzy.

– Dzieci odmładzają, Elizabeth – spoważniał nagle i spojrzał jej głęboko w oczy. – Moim zadaniem jest opieka nad nimi, pomaganie im i po prostu bycie ich przyjacielem, kiedy tego potrzebują.

– Jesteś opiekunem społecznym? – spytała Elizabeth.

– Opiekunem, profesjonalnym przyjacielem, przewodnikiem... – rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – To dzieci wiedzą najlepiej, co się dzieje na tym świecie.

Widzą więcej niż dorośli, wierzą w więcej rzeczy, są bardziej szczerze i zawsze, ale to zawsze powiedzą ci prawdę.

Elizabeth pokiwała głową na znak, że się zgadza. Najwyraźniej Ivan kochał

swoją pracę jako ojciec i opiekun społeczny.

– To interesujące – pochylił się ku niej. – Dzieci uczą się więcej i szybciej niż dorośli. Wiesz dlaczego?

Elizabeth wiedziała, że jest doskonale naukowe wyjaśnienie tego zagadnienia, ale potrząsnęła przecząco głową.

– Ponieważ mają otwarty umysł. Chcą się uczyć, chcą wiedzieć – potrząsnął

głową ze smutkiem. – Dorośli uważają, że zjedli wszystkie rozumy. Dorastają i zapominają. Zamiast otworzyć umysły i rozwijać się, wybierają, w co wierzyć, a w co nie. A tego przecież nie można wybrać: albo się wierzy, albo nie. Dlatego właśnie dorośli uczą się wolniej, bo są bardziej cyniczni, tracą wiarę i chcą wiedzieć tylko to, co będzie im pomagało przeżyć dzień po dniu. Nie są zainteresowani niczym więcej.

Rzecz w tym, Elizabeth... – wyszeptał głośno, z rozszerzonymi, błyszczącymi z podniecenia oczami. Elizabeth poczuła gęsią skórę, zupełnie jakby za chwilę miała usłyszeć największy sekret życia. Pochyliła głowę w stronę Ivana. – Rzecz w tym, że to właśnie to *więcej* stanowi o życiu.

– Czyni życie jakim? – spytała szeptem.

– Po prostu je czyni – uśmiechnął się.

Elizabeth przełknęła gulę w gardle.

– I to wszystko?

– Co masz na myśli, mówiąc „i to wszystko”? – uśmiechnął się Ivan. – Co więcej możemy dostać niż życie? Czego więcej możesz pragnąć niż życia? To dar.

Życie jest wszystkim, a człowiek nie żyje pełnią życia, jeżeli nie wierzy.

– Wierzy w co?

Ivan wywrócił oczami.

– Och, Elizabeth, sama potrafisz to wydedukować.

Elizabeth chciała więcej tego, o czym mówił. Pragnęła, aby jej życie było jasne i pełne podniecających zdarzeń. Chciała wypuścić balony na polu jęczmienia i wypełnić pokój ciasteczkami z różowym lukrem. Jej oczy znowu wypełniły się łzami, a serce zabiło mocno w piersi. Nie chciała się rozplakać w obecności Ivana. Nie musiała się jednak martwić, ponieważ powoli podniósł się z kanapy.

– Zostawię cię z tą myślą – powiedział łagodnie. – Miło mi było spędzić z tobą ten czas, Elizabeth – wyciągnął rękę.

Kiedy podała mu dłoń, chwycił ją delikatnie i potrząsnął. Nie mogła powiedzieć ani słowa, ponieważ w jej gardle urosła olbrzymia gula.

– Powodzenia na jutrzejszym zebraniu – uśmiechnął się pokrzepiająco i wyszedł z pokoju. Drzwi zamknął za nim Luke.

– Na razie, Sam! – krzyknął głośno, roześmiał się i pognał na górę.

Tej nocy Elizabeth położyła się do łóżka z zatkanym nosem i obolałymi od płaczu oczami. Wtuliła się w poduszkę i okryła kołdrą. Przez okno wpadało do pokoju światło księżycy, tworząc na podłodze srebrną ścieżkę. Wpatrzyła się przez okno w ten sam srebrny rogal, który obserwowała jako dziecko, te same gwiazdy, o których marzyła, i nagle uderzyła ją myśl: nie wspomniała ani słowem Ivanowi o swoim jutrzejszym spotkaniu.

15

Elizabeth zdjęła walizkę z bagażnika taksówki i pociągnęła ją za sobą w kierunku terminalu lotniska Farranfore. Odetchnęła z ulgą. Wreszcie poczuła, że wraca do domu. Po zaledwie miesiącu w Nowym Jorku czuła się tam znacznie lepiej niż kiedykolwiek w Baile na gCroithe. Zaczęła zdobywać przyjaciół i, co ważniejsze, zaczęła pragnąć ich towarzystwa.

– Może chociaż raz samolot odleci na czas – stwierdził Mark, dołączając do niej w małej kolejce do odprawy. Elizabeth uśmiechnęła się i oparła czoło o jego pierś.

– Będę potrzebowała dodatkowych wakacji, żeby wypocząć po pobycie tutaj – zażartowała.

Mark zachichotał, pocałował ją w czubek głowy i przesunął dłonią po jej włosach.

– Odwiedziny u rodziny nazywasz wakacjami? – roześmiał się. – Pojedźmy na Hawaje zaraz po powrocie do Nowego Jorku.

Elizabeth spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

– Oczywiście, Mark. Rozumiem, że poinformujesz o tym mojego szefa. Wiesz przecież, że muszę natychmiast wrócić do projektu – dodała z determinacją.

Mark przyjrzał się jej uważnie.

– Powinnaś założyć własną firmę.

Elizabeth wywróciła oczami i znowu oparła czoło o jego pierś.

– Znowu zaczynasz – wymamrotała głosem stłumionym przez jego puchową kurtkę.

– Posłuchaj – palcem uniósł jej brodę do góry. – Pracujesz jak szalona całym dniami, rzadko bierzesz urlop, stresujesz się i po co?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć.

– Po co? – Nie pozwolił jej dojść do słowa. – Widzę, że nie umiesz

odpowiedzieć na to pytanie – uśmiechnął się. – Ja ci powiem, po co. Po to, żeby inni zbierali pochwały. Ty pracujesz, oni odcinają kupony.

– Przepraszam bardzo – roześmiała się dziwacznie Elizabeth. – Dobrze wiesz, że zarabiam duże pieniądze i dzięki temu, jeżeli zdecydujemy się zostać na dłużej w Nowym Jorku, w przyszłym roku będzie nas stać na ten dom, który widzieliśmy...

– Moja droga Elizabeth – przerwał jej Mark. – O tej porze za rok dom będzie już dawno sprzedany, a na jego miejscu wyrośnie wieżowiec, modny bar, w którym nie sprzedają alkoholu, albo restauracja, w której nie podają jedzenia. „Oryginalność”

– palcami pokazał znak cudzysłowu. Elizabeth roześmiała się. – Niewątpliwie zajmiesz się wystrojem wnętrza tego lokalu, z pewnością pomalujesz go na biało, w podłogę wmontujesz fluorescencyjne światła i stanowczo odmówisz wstawienia jakichkolwiek mebli, żeby nie daj Boże nie zagracały wnętrza – drażnił ją dalej. – Inni ludzie oczywiście zbiorą za to pochwały – spojrzał na nią z udawaną odrazą. –

Tak sobie wyobrażasz swoją karierę? To twoje dzieło, nikogo więcej, i nie powinnaś pozwalać innym przywłaszczać go sobie. Chciałbym móc

przyprowadzić naszych przyjaciół do takiego miejsca i powiedzieć: „Moi kochani, to Elizabeth wszystko urządziła. Zajęło jej trzy miesiące, białe ściany i żadne meble, ale jestem z niej dumny. Jak sądzicie, zrobiła dobrą robotę?”.

Elizabeth poczuła, że ze śmiechu boli ją brzuch.

– Nigdy nie pozwoliłabym im zburzyć tego domu – odparła. – Poza tym fakt pozostaje faktem. Bardzo dużo zarabiam w mojej pracy – stwierdziła.

– To już drugi raz, kiedy wspominasz o pieniądzach. Nie powodzi się nam najgorzej. Po co ci one? – spytał Mark.

– Na deszczowy dzień – odparła Elizabeth, poważniejąc. Pomyślała o Saoirse i ojcu. Tak, zdecydowanie, na bardzo deszczowy dzień.

– W takim razie dobrze, że już tutaj nie mieszkamy – Mark zauważył jej minę, kiedy wyglądała przez okno, za którym padało. – Inaczej byłabyś splukana.

Elizabeth nie mogła się oprzeć uczuciu, że ten tydzień był całkowitą stratą czasu. Nie spodziewała się wprawdzie komitetu powitalnego, transparentów czy kwiatów, ale ani Saoirse, ani jej ojciec nie byli w najmniejszym stopniu zainteresowani, czy była w domu, czy też nie i co się z nią działo. Nie wróciła jednak po to, aby opowiadać historie o swoim życiu w Nowym Jorku. Wróciła, żeby zobaczyć, jak się miewają.

Jej ojciec nadal się do niej nie odzywał, ponieważ odeszła z domu i opuściła go. Praca w innych częściach kraju, czasem przez kilka miesięcy, była już poważnym przewinieniem, ale wyjazd za granicę ojciec uznał za grzech śmiertelny. Przed wyjazdem Elizabeth upewniła się, że on i Saoirse będą mieli odpowiednią opiekę. Ku jej rozczarowaniu w zeszłym roku siostra rzuciła szkołę i Elizabeth musiała jej załatwić kolejną, ósmą już pracę w ciągu dwóch miesięcy. Tym razem miała układać produkty na półkach w miejscowym supermarkecie. Umówiła się również z sąsiadką, że dwa razy w miesiącu będzie zawoziła Saoirse do Killarney na spotkanie z psychologiem. Dla Elizabeth było to najważniejsze. Wiedziała, że Saoirse przystała na to wyłącznie ze względu na możliwość wyrwania się od czasu do czasu z klatki. A gdyby zdecydowała się porozmawiać o swoich uczuciach, co było prawdopodobne, przynajmniej byłby przy niej ktoś, kto umiałby ją wysłuchać.

Podczas odwiedzin nie zauważyła jednak obecności gosposi, którą wynajęła do pomocy ojcu. Dom na farmie był brudny, śmierdzący, zawilgocony. Po dwóch dniach spędzonych na sprzątanu Elizabeth poddała się. Zrozumiała, że nie ma takich środków czystości, które przywróciłyby mu blask zabrany ze sobą przez matkę.

Saoirse wyprowadziła się z farmy i zamieszkała w wynajmowanym domu z obcymi ludźmi o długich włosach i brodach. Spotkała ich na campingu podczas festiwalu muzycznego. Całymi dniami nie robili nic innego poza przesiadywaniem w kręgu przy starej wieży na wzgórzu, wylegiwaniem się na trawie, brzdąkaniem na gitarze i śpiewaniem piosenek o samobójstwie.

Elizabeth widziała siostrę tylko dwa razy podczas swoich odwiedzin. Pierwsze spotkanie było bardzo krótkie. W dniu przyjazdu Elizabeth otrzymała telefon z jedyne sklepu z damską odzieżą w Baile na gCroíthe. Przyłapali Saoirse na kradzieży podkoszulków. Elizabeth pojechała do sklepu, przeprosiła wszystkich z całego serca i zapłaciła właścicielce za ubranie. Gdy tylko wyszły ze sklepu, Saoirse uciekła. Za drugim razem spotkały się na nieco dłużej. Elizabeth pożyczyła Saoirse trochę pieniędzy i umówiła się z nią na lunch następnego dnia. Oczywiście musiała go zjeść sama. Ucieszyła się jednak, że siostra nieco przytyła, jej twarz się zaokrągliła, a ubrania nie wisały na niej jak kiedyś. Może samodzielność dobrze jej robiła?

Listopad w Baile na gCroíthe był bardzo smutnym miesiącem. Młodzi ludzie opuszczali miasto i wyjeżdżali do szkół i college'ów, turyści wracali do domów lub odwiedzali cieplejsze kraje. Nie było wielkiego ruchu w biznesie, niektóre sklepy zamykano, inne walczyły o przeżycie. Miasteczko stawało się bezbarwne, zimne i pospępne. Kwiaty już nie kwitły, aby rozjaśnić ulicę. Baile na gCroíthe sprawiało wrażenie miasta duchów. Elizabeth jednak cieszyła się z powrotu. Może dla jej małej rodziny nie miało znaczenia, czy była w domu, czy nie, ona jednak nie potrafiłaby bez nich żyć.

Mark i Elizabeth przesunęli się bliżej stanowiska odprawy. Przed nimi stała już tylko jedna osoba. Potem będą wolni. Wolni. Polecą do Dublina, a stamtąd do Nowego Jorku.

Telefon Elizabeth zadzwonił i jej żołądek ścisnął się instynktownie.

– Nie odbieraj. – Mark odwrócił się i spojrzał na dziewczynę.

Elizabeth wyciągnęła komórkę z torby i spojrzała na numer na wyświetlaczu.

– Nie odbieraj, Elizabeth – powtórzył zdecydowanym głosem.

– To irlandzki numer. – Elizabeth przygryzła wargę.

– Nie rób tego – poprosił.

– Ale coś się mogło zda... – Dzwonienie ustało.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się Mark z ulgą. Elizabeth odpowiedziała mu, słabym uśmiechem. Mark spojrzał na stanowisko odprawy i podszedł w jego kierunku. Dokładnie w tym samym momencie telefon zadzwonił znowu.

Ten sam numer.

Mark tymczasem rozmawiał z kobietą w stanowisku odpraw, jak zwykle

roześmiany i czarujący. Elizabeth ścisnęła komórkę w dłoń i wpatrywała się w wyświetlacz, aż telefon przestał dzwonić. Usłyszała piknięcie, oznajmiające nadejście nowej wiadomości w poczcie głosowej.

– Elizabeth, twój paszport. – Mark odwrócił się i spoważniał, widząc jej minę.

– Sprawdzę tylko wiadomość – Elizabeth zaczęła grzebać w torebce, szukając paszportu, z telefonem przyciśniętym do ucha.

„Witaj, Elizabeth, mówi Mary Flaherty z oddziału porodowego w szpitalu Killarney. Twoja siostra Saoirse została do nas przywieziona z bólami porodowymi, miesiąc przed wyznaczoną datą, jak zapewne zdajesz sobie sprawę. Prosiła, żeby cię zawiadomić, gdybyś chciała być z nią po...”.

Elizabeth nie wysłuchiwała wiadomości do końca. Stała wrośnięta w ziemię. Bóle porodowe? Saoirse? Przecież ona nie była w ciąży. Ponownie odsłuchiwała wiadomość. Miała nadzieję, że może ktoś dodzwonił

się pod niewłaściwy numer. Zignorowała prośby Marka o podanie paszportu.

– Elizabeth – zawołał bardzo głośno. – Paszport. Blokujesz kolejkę.

Elizabeth się odwróciła. Zobaczyła gniewne spojrzenia stojących za nią ludzi.

– Przepraszam – wyszeptwała, trzęsąc się jak osika.

– Co się stało? – Gniew Marka przerodził się w troskę.

– Przepraszam, halo! – zawołała asystentka z odprawy. – Zamierza pani odlecieć tym samolotem? – spytała najuprzejmiej, jak potrafiła.

Elizabeth potarła czoło, spojrzała na kartę pokładową Marka, leżącą na kontuarze, na jego twarz i znowu na kartę.

– Nie, nie mogę. – Wyszła z kolejki. – Przepraszam – zwróciła się do czekających ludzi, którzy spoglądali na nią nieco łagodniej. – Bardzo przepraszam –

przeniosła wzrok na Marka, stojącego nadal przy stanowisku odprawy, wyglądającego na bardzo... bardzo rozczarowanego. Nie tym, że nie chciała lecieć, ale nią samą.

– Proszę pana – zawołała asystentka, podając mu kartę pokładową. Mark odebrał ją nieuważnie i odszedł od stanowiska.

– Co się stało? – powtórzył.

Elizabeth poczuła gulę rosnącą w jej gardle.

– Chodzi o Saoirse – odparła słabo. – Zabrali ją do szpitala.

– Znowu za dużo wypila? – troska w jego głosie natychmiast znikła.

Elizabeth zastanawiała się długo nad odpowiedzią, jednak wstyd i zażenowanie z powodu ciąży siostry w końcu zwyciężyły.

– Tak sądzę – skłamała. – Nie jestem pewna – potrząsnęła głową, usiłując odpędzić natrętne myśli.

Mark wyraźnie się rozluźnił.

– Posłuchaj, pewnie znowu zrobią jej płukanie żołądka. To nic nowego, Elizabeth. Odpraw się i porozmawiamy o tym w kawiarni.

– Nie, nie, Mark. Muszę jechać – potrząsnęła głową. Jej głos drżał.

– Elizabeth, to prawdopodobnie nic poważnego – Mark uśmiechnął się. – Ile takich telefonów odbierasz w ciągu roku? Za każdym razem jest to samo.

– Tym razem to może być coś innego, Mark.

Coś, co rozsądna starsza siostra powinna wiedzieć, zauważyć.

– Nie pozwól jej ci tego robić. – Mark odstąpił od niej o krok.

– Czego?

– Nie pozwól, by zmuszała cię, byś przedkładała jej życie nad swoje.

– Nie bądź głupi, Mark. Saoirse jest moją siostrą, jest moim życiem. Muszę ją wspierać.

– Nawet jeżeli nic ją nie obchodzisz? Nawet jeżeli ona nigdy się o ciebie nie troszczy?

Jego słowa były niczym cios prosto w serce.

– Nawet wtedy. Bo mam ciebie. Ty się o mnie troszczysz. – Usiłowała rozładować nieco atmosferę, uszczęśliwić wszystkich dookoła. Jak zwykle.

– Nie mogę tego robić, jeżeli mi nie pozwolisz – jego oczy pociemniały z gniewu i bólu.

– Mark! – Elizabeth usiłowała się roześmiać, ale nie udało jej się. – Obiecuję, wrócę najwcześniejszym lotem, na jaki uda mi się dostać bilety. Po prostu muszę dowiedzieć się, co się stało. Pomyśl tylko. Gdyby to była twoja siostra, dawno już nie byłoby cię na lotnisku. Siedziałbyś u jej boku i nie prowadził tej idiotycznej rozmowy.

– Więc dlaczego jeszcze tu jesteś? – spytał zimno.

Gniew i łzy załazy Elizabeth niepowstrzymaną falą. Chwyciła walizkę i wyszła z budynku lotniska pojechała prosto do szpitala.

Poleciała do Nowego Jorku dwa dni później. Spakowała swoje rzeczy, złożyła wypowiedzenie w pracy i wróciła do Baile na gCroíthe z tak potwornym bólem serca, że prawie nie mogła oddychać.

16

Elizabeth miała trzynaście lat i właśnie zaczęła naukę w liceum. Oznaczało to, że musiała dojeżdżać do sąsiedniego miasta. Wstawała więc wcześniej rano przed wszystkimi i, ponieważ lekcje kończyły się późno, wracała do domu późnym wieczorem. Nie spędzała zbyt wiele czasu z jedenastomiesięczną Saoirse. Autobus szkolny wyrzucał ją na końcu drogi prowadzącej na farmę i musiała samotnie wędrować do drzwi, przy

których nikt nigdy jej nie witał.

Była zima i czy to rano, czy wczesnym wieczorem cały kraj spowijał mrok.

Elizabeth po raz trzeci w tym tygodniu szła drogą w zacinającym deszczu i ostrym wietrze. Szkolna spódniczka podwijiała się i tańczyła wokół nóg. Przed uleceniem w przestrzeń powstrzymywał ją plecak wyładowany książkami.

Nieco później siadła przy kominku w piżamie, usiłując się rozgrzać. Odrabiała pracę domową, jednym okiem spoglądając na Saoirse, która raczkowała po podłodze, chwytając w pulchne rączki wszystko co popadnie i wkładając do obślinionej buzi.

Ojciec był w kuchni, podgrzewał firmowy domowy gulasz warzywny. Znowu. Jedli to codziennie. Owsiankę na śniadanie, gulasz na obiad. Od czasu do czasu trafiał się gruby kawałek wołowiny lub świeża ryba, złapana przez tatę. Elizabeth uwielbiała te dni.

Saoirse zagulgotała i obśliniła się, machając rączkami i przyglądając się Elizabeth. Była szczęśliwa, że jej starsza siostra jest w domu. Elizabeth uśmiechnęła się i zagadała do niej po dziecięcemu. Potem wróciła do odrabiania lekcji. Chwytając się kanapy, Saoirse dźwignęła się i stanęła na nogach. Robiła to już od kilku tygodni.

Stała, chwiejąc się na nóżkach. Odwróciła się do Elizabeth.

– Dalej, Saoirse, potrafisz to zrobić. – Elizabeth odłożyła ołówek i skoncentrowała się na siostrze. Każdego dnia miała próbowała przejść przez pokój w kierunku Elizabeth, ale za każdym razem padała na pupę. Elizabeth koniecznie chciała zobaczyć, jak jej siostra wreszcie stawia swój pierwszy samodzielny krok.

Chciała zaśpiewać o tym i zatańczyć, jak to zrobiłaby matka, gdyby tu była.

Saoirse wypuściła powietrze z buzi, formując małe bąbelki na oślinionych ustach. Zagulgotała coś w swoim języku.

– Tak – pokiwała głową Elizabeth. – Chodź do mnie – wyciągnęła ramiona.

Saoirse puściła się kanapy i zaczęła iść, dalej i dalej. Elizabeth wstrzymała oddech, usiłując nie krzyknąć z radości. Bała się, że jej krzyki mogłyby przestraszyć małą i wytrącić ją z równowagi. Saoirse wpatrywała się w Elizabeth przez cały czas.

Elizabeth nigdy nie zapomni spojrzenia małej siostrzyczki, tej determinacji w jej wzroku. Wreszcie Saoirse udało się dotrzeć do Elizabeth, która chwyciła ją w ramiona i okręciła kilka razy, obcałowując ją. Saoirse chichotała i wypuszczała bąbelki śliny.

– Tato! Tato! – krzyknęła Elizabeth.

– Co? – odkrzyknął niecierpliwie.

– Chodź szybko! – Elizabeth zaczęła klaskać w ręce razem z Saoirse.

W drzwiach pojawił się Brendan z niepokojem na twarzy.

– Saoirse chodzi! Popatrz tylko! Saoirse, zrób to jeszcze raz. Idź do taty –

postawiła siostrę na podłodze i usiłowała ją zachęcić do kolejnego spaceru.

– Jezusie Nazareński – prychnął Brendan. – Myślałem, że to coś ważnego, że stało się coś złego. Nie zwracaj mi głowy takimi bzdurami! – odwrócił się i zniknął w kuchni.

Kiedy Saoirse uniosła głowę, chcąc pokazać swojej rodzinie, jaka jest mądra, i zobaczyła, że tata zniknął, jej twarzyczka posmutniała i mała z impetem usiadła na pupie.

Kiedy Luke postawił swój pierwszy krok, Elizabeth była w pracy. Edith zadzwoniła do niej w środku jakiegoś spotkania. Nie mogła rozmawiać z nią i usłyszała o wszystkim w szczegółach po powrocie do domu. Rozmyślając o tym teraz, zrozumiała, że zachowała się podobnie jak ojciec i zniecierpliwiała się za to. Jako dorosła osoba potrafiła zrozumieć reakcje Brendana. Nie chodziło o to, że nie był

dumny z córki albo nic go to nie obeszło. Przeciwnie, zależało mu aż za bardzo.

Problem w tym, że dzieci najpierw uczą się chodzić, a potem odchodzą.

Pocieszyła się myślą, że skoro pomogła Saoirse postawić swój pierwszy krok, teraz mogła pomóc jej stanąć na nogi po raz drugi.

Elizabeth obudziła się gwałtownie, zziębnięta i przerażona sennym

koszmarem. Księżyc zakończył swój obchód na tej półkuli i powędrował dalej, ustępując miejsca słońcu, które spoglądało z ojcowską troską na śpiącą Elizabeth.

Srebrnoniebieska pościwa kładąca się na jej pościeli zmieniała się w złoty strumień światła. Była czwarta trzydzieści pięć rano i Elizabeth poczuła się natychmiast rześka. Dźwignęła się na łokciach. Kołdra leżała częściowo na podłodze, zaplątana z drugiej strony w jej nogi. To była niespokojna noc dla Elizabeth. Sny zaczynały się i nigdy nie kończyły, przeskakując w kolejne scenariusze, nakładając się na siebie w dziwnym chaosie twarzy, miejsc i przypadkowych słów.

Była wykończona. Rozejrzała się po pokoju i poczuła narastającą irytację. Dwa dni temu wypucowała cały dom na wysoki połysk, ale znowu czuła potrzebę sprzątnięcia. Różne rzeczy leżały nie na swoim miejscu i ciągle ją to denerwowało.

Potała nos, który zaczął ją swędzić ze złości, i zrzuciła z siebie prześcieradła.

Natychmiast zabrała się za porządkowanie. Na łóżku miała dwanaście ozdobnych jaśków, dwa rzędy po sześć. Był to zestaw zwyczajnych poduszek, z kilkoma podłużnymi i okrągłymi, które kładła na wierzchu. Każda miała poszewkę z innego materiału, od króliczego futerka do irchy, w różnych

odcieniach kremowego, beżowego i kawowego.

Kiedy już uporządkowała poduszki na łóżku, upewniła się, że jej ubrania wiszą w odpowiedniej kolejności, od najciemniejszych po lewej do jasnych po prawej – jej garderoba nie obfitowała w kolory. W barwnej odzieży czuła się niczym neon.

Odkurzyła podłogę, wytarła kurze, wypolerowała lustro, wygładziła i wyprostowała trzy małe ręczniki do rąk w łazience, przez kilka minut składając je tak, aby ich paski były idealnie ułożone w stosunku do siebie. Krany łśniły, więc Elizabeth zabrała się za kafelki, szorując je z zawzięciem, aż zobaczyła w nich swoje odbicie. O wpół do siódmej skończyła sprzątać duży pokój oraz kuchnię. Nadal czuła się niespokojna, więc usiadła w ogrodzie z filiżanką kawy i zaczęła przeglądać projekty przygotowane na dzisiejsze spotkanie.

Spała trzy godziny.

Benjamin West wyrzucił oczami i zazgrzytał zębami. Jego szef spacerował po pokoju i narzekał, mówiąc z nowojorskim akcentem.

– Zrozum, Benji, po prostu...

– Benjamin – przerwał mu.

– ...mam już dosyć. Dosyć tego samego gówna. Wszyscy projektanci są tacy sami. Współczesne to, minimalistyczne tamto. Ładne mi art déco, Benji!

– Ben...

– W końcu, ile już obeszliliśmy miejscowych firm? – Zatrzymał się i spojrzał na Benjamina, który zajął do notatnika.

– Osiem, wyłączając piątkowe spotkanie z tą kobietą, która musiała nagle wyjść z pracy. Elizabeth...

– Nieważne – przerwał mu szef. – Jest taka sama jak cała reszta. – Machnął

ręką i odwrócił się, żeby wyrzucić przez okno na budowę. Jego cienki siwy warkocz przeciął powietrze.

– Mamy z nią jeszcze jedno spotkanie za pół godziny – powiedział Benjamin, spoglądając na zegarek.

– Odwołaj je. Nie obchodzi mnie, co ta kobieta chce nam pokazać. Ma taki sam purytański stosunek do projektów wewnątrz jak inni. Ile już hoteli zrobiliśmy razem, Benji?

– Benjamin – westchnął West. – Wiele.

– Właśnie! – Vincent pokiwał głową. – A ile z nich miało tak dobry widok z okna jak ten tutaj? – pokazał rozciągającą się za oknem scenografię.

Benjamin obrócił się na fotelu, zupełnie niezainteresowany panoramą. Byli opóźnieni. Widoki były piękne, ale wolałby, wyglądając przez okno, widzieć już stojący hotel, a nie wyłącznie wzgórze i jeziora. Był w Irlandii od dwóch miesięcy, a oddanie hotelu do użytku przewidziane było na koniec sierpnia, czyli za trzy miesiące. Urodzony w Haxton, w Colorado, ale mieszkający w Nowym Jorku, myślał, że udało mu się wreszcie uciec od klaustrofobicznego uczucia, jakie wywoływały w nim małe miasteczka. Najwyraźniej się mylił.

– I co? – Vincent zapalił cygaro i zaciągnął się dymem.

– To piękny widok – odparł Benjamin znużonym tonem.

– To fantastyczny widok i nie zamierzam jakiemuś nowomodnemu

projektantowi wewnątrz wejść tutaj i zmienić to miejsce w miejski hotel, jakich zrobiliśmy już miliony.

– Co ci chodzi po głowie, Vincent? – Od dwóch miesięcy Benjamin słyszał

tylko o tym, czego nie chce jego szef.

Vincent, ubrany w szary łśniący garnitur, podszedł do swojej teczki, otworzył

ją, wyciągnął folder i rzucił w kierunku Benjamina.

– Spójrz na te artykuły. To miejsce jest cholerną kopalnią złota. Chcę tego, czego pragną ludzie, nie jakiegoś przeciętnego hotelu. Musi być romantyczny, zabawny, artystyczny, nic z tych klinicznie czystych, współczesnych bzdur. Jeżeli wejdzie tu kolejna osoba z takim samym gównianym pomysłem, sam zaprojektuję te cholerne wnętrza – odwrócił poczerwieniałą twarz ku oknu i wydmuchnął dym z ust.

Benjamin wyrzucił oczami na ten dramatyczny popis.

– Chcę prawdziwego artysty – ciągnął jego szef. – Szaferka kolorystycznego, kogoś kreatywnego, z odrobiną talentu. Niedobrze mi się już robi od słuchania tych wszystkich gości w garniturach, opowiadających o kolorach, jakby to były jakieś wykresy kołowe, kiedy sami nigdy nie wzięli do ręki pędzla. Chcę van Gogha projektów wewnątrz... – przerwało mu pukanie do drzwi. – Kto? – spytał szorstko, nadal czerwony od swej gniewnej tyrały.

– Zapewne Elizabeth Egan przyszła na spotkanie.

– Chyba ci powiedziałem, że masz je odwołać.

Benjamin zignorował szefa i podszedł do drzwi.

– Dzień dobry – rzuciła Elizabeth, wchodząc do pokoju w towarzystwie śliwowowłosej Poppy, opryskanej farbą i obciążonej folderami, gubiącej po drodze próbki dywanów i materiałów.

– Dzień dobry. Jestem Benjamin West, kierownik projektu. Spotkaliśmy się w piątek. – Ucisnęła dłoń Elizabeth.

– Tak. Bardzo przepraszam, że musiałam tak nagle wyjść – odparła szybko, nie patrząc mu w oczy. – Mogę pana zapewnić, że to nietypowa sytuacja. – Spojrzała na szamoczącą się z folderami kobietę. – To jest Poppy, moja asystentka. Mam nadzieję, że nie będą panowie mieli nic

przeciwko jej obecności – dodała.

Poppy zaczęła przesuwając foldery pod pachę, żeby podać rękę na przywitanie.

W rezultacie kilka z nich upadło z hukiem na podłogę.

– O cholera! – wyrwało jej się. Elizabeth obróciła się na pięcie i spojrzała na nią z wściekłością.

– Nic się nie stało – roześmiał się Benjamin. – Pomogę pani.

– Panie Taylor – rzuciła głośno Elizabeth, podchodząc do Vincenta z wyciągniętą dłonią. – Miło mi znowu pana widzieć. Przepraszam za poprzednie spotkanie.

Vincent odwrócił się od okna, spojrzał na czarny kostium Elizabeth i z prychnięciem wypuścił kłąb dymu z ust. Nie uściśnął jej ręki, tylko ponownie spojrzał w okno.

Elizabeth poczerwieniała, opuściła dłoń i zwróciła się w kierunku stołu.

– Ivan! – wykrzyknęła. Poppy skrzywiła się i rozejrzała dookoła.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Benjamin. – Ludzie zawsze to robią.

Mam na imię Benjamin, pani Egan.

– Och nie, nie chodzi o pana – roześmiała się Elizabeth. – Mówiłam do niego –

podeszła do stołu. – Co ty tu robisz? Nie wiedziałam, że masz coś wspólnego z hotelami. Mówiłeś, że pracujesz z dziećmi.

Vincent uniósł brwi i zaczął jej się przyglądać z uśmiechem. Zapadła cisza.

Nagle roześmiał się dobrodusznie, a potem straszliwie rozkaszał.

– Dobrze się pan czuje, panie Taylor? – spytała z niepokojem Elizabeth.

– Tak, pani Egan. Czuję się doskonale. Miło mi panią poznać – wyciągnął rękę na przywitanie.

Poppy i Elizabeth zaczęły rozkładać swoje projekty na stole.

– Może ta tutaj nie jest znowu tak daleko od obcięcia własnego ucha? –

wymruczał Vincent do ucha Benjamin.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła recepcjonistka z kawą.

– Miło cię było znowu zobaczyć, Ivan. Do zobaczenia – rzuciła Elizabeth, kiedy za kobietą zamykały się drzwi.

– Poszedł sobie, tak? – spytała Poppy sucho.

– Nie ma obaw – roześmiał się Benjamin, przyglądając się Elizabeth z podziwem. – Pani szefowa doskonale pasuje do naszego profilu.

Podśluchiwałyście pod drzwiami, prawda?

Poppy spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Nie szkodzi. Nie będziecie miały z tego powodu kłopotów – rzekł Benjamin z uśmiechem. – Słyszałyście naszą rozmowę, prawda?

Poppy zamyśliła się przez chwilę, a potem powoli skinęła głową, nadal wyglądając na nieco zagubioną.

Benjamin zachichotał i spojrzał w bok.

– Wiedziałem. Spryciara! – Przyjrzał się Elizabeth pogrążonej w rozmowie z Vincentem.

– Lubię cię, Elizabeth, naprawdę – powiedział Vincent. – Podziwiam twoją ekscentryczność.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

– Rozumiesz, twoje dziwactwo. Takie rzeczy świadczą o geniuszu, a ja chcę w mojej drużynie geniuszy.

Elizabeth skinęła głową, kompletnie nie rozumiejąc, o czym mówi ten człowiek.

– Nie jestem jednak przekonany do twoich pomysłów – ciągnął Vincent. –

Zupełnie nie. Nie podobają mi się.

Zapadła cisza.

Elizabeth poruszyła się niepewnie na fotelu.

– W porządku – usiłowała zachować profesjonalny spokój. – Co dokładnie ma pan na myśli?

– Miłość.

– Miłość? – powtórzyła tępo Elizabeth.

– Tak. Miłość. – Vincent odchylił się w fotelu i złożył dłonie na brzuchu.

– Ma pan na myśli miłość – powiedziała kamiennym głosem Elizabeth, spoglądając na Benjamin, jakby szukała potwierdzenia.

Mężczyzna popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– To znaczy, mnie osobiście nie obchodzi miłość – rzucił Vincent. – Jestem żonaty od dwudziestu pięciu lat. – Miałem na myśli irlandzką klientelę. To oni chcą miłości. Gdzie to jest? – Rozejrzał się i sięgnął po leżące na stole wycinki artykułów.

Przesunął je w kierunku Elizabeth.

Po kilku minutach przerzucania ich Elizabeth odezwała się. W jej głosie Benjamin wyczuł rozczarowanie.

– Rozumiem. Pan chce hotelu tematycznego.

– Mówisz tak, jakby było to w złym guście – machnął ręką Vincent.

– Tak, ponieważ moim zdaniem hotele tematyczne są w złym guście – odparła twardo Elizabeth. Nie mogła zapomnieć o swoich zasadach, nawet dla tak popłatnego zlecenia.

Benjamin i Poppy spojrzeli na Vincenta, czekając na odpowiedź. Czuli się jak na meczu tenisowym.

– Elizabeth – odparł Vincent z uśmiechem błakającym się w kącikach jego ust. – Jesteś piękną młodą kobietą i chyba powinnaś wiedzieć, że miłość nie jest tematem, tylko uczuciem, nastrojem, emocją.

– Rozumiem. – Elizabeth nie sprawiała wrażenia, jakby rzeczywiście pojmowała. – Chce pan sprawić wrażenie, że w hotelu mieszka miłość.

– Właśnie! – wykrzyknął wyraźnie ucieszony Vincent. – Ale to nie ja, to ludzie tego pragną – postukał palcem w artykuły.

Elizabeth chrząknęła.

– Panie Taylor. Jest czerwiec – przemówiła, jakby zwracała się do dziecka. –

Sezon ogórkowy. Gazety nie mają o czym pisać, ukazują więc skrzywiony obraz opinii publicznej. Nieadekwatny, rozumie pan? Niereprezentujący nadziei i życzeń Irlandczyków. Próba spełnienia oczekiwań mediów może okazać się ogromnym błędem.

Vincent nie był zadowolony.

– Niech pan posłucha. Hotel znajduje się w cudownym miejscu, gdzie są wspaniałe widoki, jest w pobliżu ślicznego miasteczka z dostępem do wielu rozrywek na świeżym powietrzu. Chcę, żeby moje projekty pozwalały połączyć przyrodę z funkcjonalnością, aby krajobraz stał się częścią wyglądu wewnątrz. Przy użyciu naturalnych tonacji, jak ciemnej zieleni, brązów i kamienia, możemy...

– Słyszałem to już wcześniej – prychnął Vincent. – Nie życzę sobie, żeby hotel zlewał się ze wzgórzami, tylko żeby się wyróżniał. Nie chcę, żeby goście czuli się jak hobbity, śpiące w kopcach trawy i błota – rzucił gniewnie cygareto na popielniczkę.

Straciła go, pomyślał Benjamin. Szkoda. Naprawdę się starała. Obserwował, jak wyraz twarzy Elizabeth zmienia się, gdy zrozumiała, że traci możliwość uzyskania kontraktu.

– Panie Taylor – rzuciła szybko. – Nie słyszał pan jeszcze wszystkich moich propozycji.

Vincent mruknął gniewnie i spojrzął znacząco na wysadzany diamentami rolex.

– Masz trzydzieści sekund.

Elizabeth zastygła na dobre dwadzieścia z nich, aż wreszcie zrezygnowana spojrzała z wyraźnym bólem w bok.

– Poppy, opowiedz panu o swoim projekcie – westchnęła.

– Hurra! – Poppy podskoczyła z podniecenia na krześle. – W porządku. Co pan powie na łóżka wodne w kształcie serc, wanny, kieliszki do szampanów wyglądające z szuflad szafek nocnych. Skrzyżowanie ery romantycznej z art déco. Eksplozja bogatej czerwieni i purpury, sprawiająca, jakby człowiek znalazł się w wysłanym aksamitem łonie. Wszędzie mnóstwo świeczek. Skrzyżowanie francuskiego buduaru z...

Poppy nawijała, a Vincent potakiwał radośnie, spijając słowa z jej ust.

Benjamin spojrzął na Elizabeth, która trzymała głowę w dłoniach i krzywiła się na każde słowo Poppy. Wymienili zdesperowane spojrzenia.

A potem uśmiechnęli się do siebie.

17

– O mój Boże! O mój Boże! – piszczała Poppy z radości, skacząc w kierunku samochodu Elizabeth. – Chciałam podziękować za inspirację Damienowi Hirstowi, Egonowi Schielemu – wytarła niewidoczną łzę z kącika oczu. – Także Banksy'emu i Robertowi Rauschenbergowi za cudowną twórczość, która sprawiła, że mój kreatywny umysł rozwinął się niczym pączek i za...

– Przestań – syknęła Elizabeth przez zaciśnięte zęby. – Nadal nas obserwują.

– Eee, nieprawda, nie bądź taką paranoiczką – w głosie Poppy zabrzmiała nutka frustracji. Odwróciła się, żeby spojrzeć na kabinę za ich plecami.

– Nie odwracaj się, Poppy! – Elizabeth przemówiła do niej, niczym do krnąbrnego dziecka.

– A dlaczego nie? Przecież nie pa... o rany, patrz. CZEEEEEEŚĆ! DZIĘKI! –

zamachała entuzjastycznie rękoma.

– Jesteś pewna, że chcesz stracić pracę? – spytała groźnie Elizabeth, nie odwracając się. Jej słowa wywarły taki sam efekt, jak na Luke'a, kiedy groziła mu, że zabierze jego Playstation. Poppy natychmiast przestała podskakiwać i resztę drogi do samochodu pokonała w milczeniu.

Elizabeth czuła na sobie spojrzenie dwóch par oczu.

– Nie mogę uwierzyć, że dostałyśmy to zlecenie – rzuciła Poppy, kiedy już wsiadły do wozu. Przyłożyła dłoń do serca.

– Ja też nie – wymamrotała Elizabeth, zapinając pas i włączając silnik.

– Co się dzieje, marudo? Sądząc z twojej reakcji można by sądzić, że nie udało się nam niczego załatwić – obruszyła się Poppy, sadowiąc się wygodnie i odpływając w świat marzeń.

Elizabeth zastanowiła się nad słowami asystentki. Właściwie to nie udało jej się niczego załatwić. Był to rodzaj zwycięstwa, które w ogóle nie

cieszyło.

I dlaczego spotkała tam Ivana? Przecież powiedział jej, że pracuje z dziećmi.

Co hotel miał wspólnego z dziećmi? Niestety, Ivan nie został wystarczająco długo, żeby udzielić wyjaśnień. Wyszedł z pokoju zaraz po pojawieniu się sekretarki, nie żegnając się z nikim poza Elizabeth. Zastanowiło ją to. Może miał jakieś interesy z Vincentem, ona zaś przerwała ich spotkanie na ważne tematy. Pewnie dlatego na samym początku Vincent był taki obcesowy i zamyślony. Cokolwiek zaszło, powinni ją poinformować. Była zła na Ivana, że nie powiedział jej o tym poprzedniego wieczoru. Musiała zaplanować sobie pewne rzeczy i nie cierpiała wszelkich zakłóceń.

W mieście zostawiła podekscytowaną Poppy i poszła do Joego na kawę.

Chciała pomyśleć w samotności.

– Dzień dobry, Elizabeth! – wykrzyknął tak głośno, że trójka klientów podskoczyła na krzesłach z zaskoczenia.

– Poproszę o kawę, Joe.

– Dla odmiany, co?

Elizabeth uśmiechnęła się sztywno. Wybrała stolik przy oknie, z widokiem na główną ulicę. Usiadła plecami do okna. Nie lubiła obserwować przechodniów, a poza tym chciała pomyśleć.

– Przepraszam, pani Egan – odezwał się ktoś z silnym amerykańskim akcentem. Spojrzała w górę zaskoczona.

– Pan West?

– Proszę mi mówić Benjamin – uśmiechnął się i wskazał na krzesło obok niej.

– Czy mogę się przysiąść?

Elizabeth przesunęła na bok dokumenty.

– Chce się pan czegoś napić?

– Marzę o kawie.

Elizabeth wyciągnęła kubek w kierunku Joego.

– Joe, poproszę dwa duże frappuccino o smaku mango.

Oczy Benjamin rozjaśniły się.

– Żartuje pani! Nie sądziłem, że sprzedają tu... – przerwał, widząc, jak Joe stawia przed nimi dwa kubki kawy z mlekiem, która przelała się za brzegi i rozprysnęła na stole. – Och – dokończył zawiedziony.

Elizabeth przyjrzała się mu. Wyglądał dość niechlujnie. Miał falujące włosy, policzki zaś, brodę i szyję pokrywała czarna szczecina, aż do włochatej piersi.

Ubrany był w upačkane błotem stare džinsy i równie ubłoconą džinsową kurtkę.

Stroju dopełniały robocze buty piaskowego koloru, które pozostawiły ślady od drzwi do stolika i teraz zostawiały pod stołem coraz większą kupkę suchego błota.

Benjamin miał brud za paznokciami i kiedy położył dłonie na stole, Elizabeth poczuła potrzebę spojrzenia w bok.

– Gratuluję dzisiejszej prezentacji. – Benjamin wydawał się bardzo szczęśliwy.

– Odnosiłaś duży sukces. Udało ci się. Jak to się u was mówi: *sláinte*, tak? – Uniósł w toaście swój kubek z kawą.

– Słucham? – rzuciła Elizabeth chłodno.

– *Sláinte*. Powiedziałem coś nie tak? – spytał z niepokojem.

– Tak – odparła sfrustrowana. – To znaczy nie, ale nie mówię o tym –

potrzęsła głową. – Nie udało mi się, jak to pan stwierdził, panie West. Ten kontrakt nie był łutem szczęścia.

Benjamin zaczerwienił się lekko.

– Och, nie to miałem na myśli, naprawdę. I proszę mi mówić Benjamin. „Pan West” brzmi zbyt oficjalnie. – Poruszył się niepewnie na krześle. – Pani asystentka, Poppy... – spojrzał w bok, jakby szukając słów. – Jest bardzo utalentowana i ma wiele nietuzinkowych pomysłów. Vincent generalnie wyznaje podobne przekonania, co ona. Czasem za bardzo go ponosi i muszę sprowadzać go na ziemię. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby budowa została zakończona w terminie i nie przekroczyła planowanego budżetu. Dlatego planuję to, co moim zdaniem jest niezbędne i po prostu przekonuję Vincenta, że nie mamy pieniędzy na ekstrawagancje w stylu pomysłów Poppy.

Serce Elizabeth przyspieszyło.

– W takim razie Vincent potrzebuje projektanta, na którego go stać. Panie West, po co pan tu przyszedł? Chce mnie pan przekonać, żebym zrezygnowała z projektu? – spytała chłodno.

– Nie – westchnął. – Mam na imię Benjamin – podkreślił. – Nie, nie usiłuję pani przekonać, żeby zrezygnowała pani z projektu – dodał takim tonem, że Elizabeth poczuła się głupio. – Po prostu chcę pani pomóc. Widzę przecież, że wcale nie jest pani zadowolona z pomysłu Poppy.

Szczerze powiedziawszy, nie sędzę, aby tubylcy potrafili go docenić – wskazał dłonią na ludzi w kawiarni.

Elizabeth usiłowała sobie wyobrazić Joego spożywającego niedzielny lunch w

„aksamitnym łonie”. Nie, zdecydowanie to by nie wyszło. Nie w tym mieście.

– Zależy mi na projektach, nad którymi pracuję – ciągnął Benjamin. –

Uważam, że ten hotel ma olbrzymi potencjał. Nie chcę, żeby wyglądał jak sanktuarium Moulin Rouge w stylu Las Vegas. – Elizabeth osunęła się nieco na krześle. – Przeszedłem tutaj, żeby z panią porozmawiać, ponieważ podoba mi się pani projekt – stwierdził zdecydowanym tonem. – Jest elegancki, funkcjonalny i komfortowy, współczesny, ale nie przesadnie. Takie wnętrza spodobają się większości klientów. Pomysł Vincenta i Poppy jest zbyt tematyczny i wyalienuje automatycznie trzy czwarte populacji tego kraju. Niemniej może postarałaby się pani dodać do swojego projektu nieco więcej kolorów? Zgadzam się z Vincentem, że to miejsce musi wyglądać jak hotel, nie jak Shire. Nie chcemy, aby ludzie mieli wrażenie, iż muszą podróżować boso do Macgillycuddy’s Reeks[4], żeby wrzucić pierścień do gorącej czeluści.

Elizabeth poczuła się urażona. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie zdążyła.

– Sądzi pani, że będzie mogła popracować nad tym z Poppy? – spytał

Benjamin, nie przejmując się jej reakcją. – Wie pani, o co mi chodzi? Stonować jej pomysły... i to sporo?

Elizabeth spodziewała się ukradkowego ataku na jej projekt, ale Benjamin West był tu, żeby jej pomóc. Chrząknęła dla dodania sobie odwagi, czuła się dziwnie. Wreszcie odzyskała równowagę.

– Cóż, bardzo się cieszę, że rozumiemy się pod tym względem, ale... – Skinęła na Joego, prosząc o jeszcze jedną kawę i zamyśliła się nad sposobem, w jaki mogłaby połączyć swoje naturalne zestawy kolorystyczne z eksplozją barw Poppy.

Benjamin potrząsnął gwałtownie głową, kiedy Joe zaoferował mu dolewkę.

Jego napój nadal stał przed nim nietknięty.

– Pijesz dużo kawy – powiedział, kiedy właściciel kawiarni postawił przed Elizabeth kolejny kubek.

– Pomaga mi myśleć. – Elizabeth upiła nieco napoju.

Zapadła cisza.

– Okay, mam pomysł – zawołała Elizabeth, wybudzając się z transu.

– No, no! Szybka jesteś – uśmiechnął się Benjamin.

– Słucham? – zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Powiedziałem, że...

– W porządku – przerwała mu Elizabeth, zapatrzona w swoje pomysły. –

Powiedzmy, że pan Taylor ma rację, legenda jest żywa i ludzie rzeczywiście chcą postrzegać to miejsce jako kołyskę miłości i tym podobne bzdury – skrzywiła się, wyraźnie nieprzekonana do pomysłu. – Oznacza to, że jest popyt, na który musimy odpowiednio zareagować. Dlatego pomysły Poppy mogą zdać egzamin, ale tylko jeśli ograniczymy je do minimum. Apartament małżeński, tu i ówdzie małe przytulne kąpki dla zakochanych, reszta zaś może zostać wykonana według mojego projektu – zakończyła radośnie. – Z dodatkiem żywych barw – dodała już nieco mniej zachwycona.

Benjamin uśmiechnął się.

– Omówię to z Vincentem – powiedział. – Posłuchaj... to, co powiedziałem wcześniej, o tym, że ci się udało... nie chodziło mi o to, że nie masz talentu. Miałem na myśli cały ten szalony występ. – Zakreślił kółko na skroni brudnym palcem.

Dobry nastrój Elizabeth natychmiast prysł.

– Słucham? – spytała.

– No wiesz – Benjamin uśmiechnął się szeroko. – To udawanie, że widzisz duchy.

Elizabeth wpatrzyła się w niego tępo.

– Wiesz, ten facet przy stole. Ten, z którym rozmawiałaś. Pamiętasz, o czym mówię?

– Ivan? – spytała niepewnie Elizabeth.

– O właśnie! – Benjamin pstryknął palcami i podskoczył na krześle, chichocząc. – Ivan. Tajemniczy wspólnik.

Elizabeth wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

– Wspólnik?

Benjamin roześmiał się jeszcze bardziej.

– Tak właśnie. Tylko nie mów mu tego. Jeżeli kiedykolwiek się dowie, spalę się ze wstydu.

– Nie martw się – odparła sucho Elizabeth, zaszokowana informacją. –

Zobaczę się z nim później, ale nie wspomnę mu o niczym ani słowem.

– Ja też nie – parsknął śmiechem Benjamin.

– Zobaczymy – naburmuszyła się Elizabeth. – Tak się składa, że rozmawiałam z nim zeszłej nocy i w ogóle o niczym mi nie powiedział.

Benjamin spojrzął na nią wstrząśnięty.

– Nie sądzę, żeby tego typu rzeczy były aprobowane przez Taylor

Constructions. Prywatne kontakty między pracownikami są źle widziane. W końcu nigdy nie wiadomo. Być może dostałaś tę pracę właśnie dzięki Ivanowi – otarł oczy i uspokoił się nieco. – To zabawne, z jakich powodów czasami zostajemy zatrudnieni.

Elizabeth otworzyła usta ze zdumienia.

– Uważam, że skoro byłaś w stanie zrobić coś takiego, musisz bardzo kochać swoją pracę – ciągnął Benjamin, spoglądając na nią z podziwem. – Ja chyba nie byłbym do tego zdolny. – Znów zatrzęsł się od śmiechu.

Elizabeth wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Czyżby oskarżał ją o sypanie z Ivanem po to, żeby dostała to zlecenie? Całkowicie odebrało jej mowę.

– W każdym razie bardzo mi miło cię poznać. – Benjamin wstał. – Jestem szczęśliwy, że znaleźliśmy sposób na stonowanie Moulin Rouge. Porozmawiam o tym z Vincentem. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem. Masz mój numer telefonu? – spytał, poklepując się po kieszeniach spodni. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął ciekący długopis, który pozostawił plamę na samym dole kieszeni.

Chwycił serwetkę i niedbałym charakterem pisma naskrobał swój numer. – To moja komórka, a to numer do biura – wręczył jej serwetkę, po czym podał jej ciekący długopis. – Możesz mi podać swoje zamiary? Tak będzie szybciej. Inaczej musiałbym przegrzebać stertę dokumentów.

Elizabeth nadal była wściekła i obrażona, ale sięgnęła do torebki, wyciągnęła portfel na wizytówki ze złotą ramką i wręczyła mu jedną z nich. Postanowiła, że tym razem go nie spoliczkuje. Potrzebowała tego zlecenia, dla Luke'a, dla firmy. Dlatego powstrzyma się przed komentarzem.

Benjamin zaczerwienił się lekko.

– Ach, no tak – odebrał od Elizabeth wizytówkę i ciekący długopis. – To chyba lepszy pomysł. – Wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Elizabeth zerknęła na jego palce ubrudzone tuszem, z czarnym brudem za paznokciami, i poczuła obrzydzenie.

Kiedy wyszedł z kawiarni, rozejrzała się dookoła zdeorientowana.

Zastanawiała się, czy ktoś jeszcze był świadkiem całej tej sceny. Napotkała spojrzenie Joego. Mężczyzna mrugnął do niej porozumiewawczo, jakby dając do zrozumienia, że zna tajemnicę Elizabeth.

Po pracy planowała odebrać Luke'a z domu Sama i chociaż wiedziała, że Ivan nie mieszka z Fioną, miała nadzieję, że jednak go tam zastanie.

Oczywiście tylko po to, żeby powiedzieć mu, co sobie myśli na temat tego wszystkiego.

18

Błąd numer jeden – pojawienie się na spotkaniu Elizabeth. Nie powinienem tego robić. Ta sama zasada zabrania nam chodzenia do szkoły z naszymi młodszymi przyjaciółmi i powinienem doskonale zdawać sobie sprawę, że w przypadku Elizabeth praca jest odpowiednikiem szkoły. Powinienem puknąć się w głowę.

Zrobiłem to zresztą, co Luke uznał za wielce zabawne i zaczął mnie naśladować.

Teraz od nieustannego pukania rozbolała go głowa. Dlatego przestałem.

Po wyjściu z zebrania poszedłem na piechotę do domu Sama, gdzie przebywał

Luke. Usiadłem na trawie w ogrodzie, obserwując, jak chłopcy przepychają się żartobliwie. Miałem nadzieję, że nie skończy się to wszystko płaczem.

Przy okazji uprawiałem mój ulubiony sport. Myślałem.

Było to konstruktywne myślenie, ponieważ zdałem sobie sprawę z kilku rzeczy. Jedną z nich było to, że poszedłem na dzisiejsze spotkanie, ponieważ tak podpowiedział mi instynkt. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego moja obecność mogłaby w jakikolwiek sposób pomóc Elizabeth, ale musiałem postępować zgodnie z przeczuciami. Poza tym założyłem, że i tak mnie nie zobaczy. Rozmowa z nią poprzedniej nocy była tak niezwykła i niespodziewana, że dzisiaj wydała mi się tylko wytworem mojej wyobraźni.

Tak, zdaję sobie sprawę z ironii tej wypowiedzi.

Byłem bardzo szczęśliwy, że mnie dostrzegła. Kiedy zobaczyłem ją na huśtawce w ogrodzie, samotną i zagubioną, wiedziałem, że jeżeli kiedykolwiek ma mnie zobaczyć, to właśnie wtedy. Coś wisiało w powietrzu. Wiedziałem, że potrzebuje mnie zobaczyć i przygotowałem się na ewentualność, że pewnego dnia tak się właśnie stanie. Nie byłem jednak gotowy na dreszcz, który przeszedł mnie, kiedy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Było to bardzo dziwne, ponieważ obserwowałem Elizabeth już od czterech dni i byłem przyzwyczajony do widoku jej twarzy. Znałem jej rysy na pamięć i widziałem ją wyraźnie, gdy zamykałem oczy.

Miała mały pieprzyk na lewej skroni, jedną kość policzkową nieco wyżej niż drugą, dolną wargę większą niż górną, a na granicy włosów nad czołem wyrastał jej delikatny puszek. Wiedziałem to wszystko bardzo dobrze, ale to naprawdę dziwne, jak inaczej zaczynają wyglądać ludzie, kiedy spogląda się im w oczy, nie sądzicie?

Nagle wydają się kimś innym. Moim zdaniem powiedzenie, że oczy są oknami duszy jest bardziej niż prawdziwe.

Nigdy przedtem się tak nie czułem, ale uznałem, że to z powodu niezwykłości sytuacji. Dotychczas nie zaprzyjaźniłem się z osobą w wieku Elizabeth i prawdopodobnie po prostu się zdenerwowałem. Było to dla mnie nowe doświadczenie, ale przystałem na nie z radością.

Są dwie rzeczy, które przytrafiają mi się nader rzadko – dezorientacja i zmartwienie. Jednak tego słonecznego dnia, gdy czekałem w ogrodzie u Sama, martwiłem się, to mnie zdezorientowało, a to, że byłem zdezorientowany, zmartwiło mnie jeszcze bardziej. Miałem nadzieję, że nie zaszkodziłem Elizabeth w kwestiach zawodowych. Dowiedziałem się tego wkrótce, wieczorem, gdy bawiłem się ze słońcem w chowanego. Próbowano się schować za domem Sama, spowijając mnie cieniem. Przesuwałem się więc po całym ogrodzie, siadając na każdej słonecznej plamie, dopóki nie znikły zupełnie. Mama Sama zażywała kąpeli po ćwiczeniach tanecznych przy kasecie wideo, które wykonywała w salonie. Było to bardzo zabawne.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, otworzył je Sam, poinstruowany, że wolno mu otworzyć drzwi tylko dla Elizabeth.

– Witaj, Sam – usłyszałem jej głos. Elizabeth pojawiła się w hallu. – Jest twój tata?

– Nie, siedzi jeszcze w pracy – odparł Sam. – Bawimy się z Lukiem w ogrodzie.

Usłyszałem kroki w korytarzu, stukot obcasów na drewnianej podłodze i gniewny głos, kiedy Elizabeth pojawiła się w ogrodzie.

– Ach tak, więc jest w pracy? – rzuciła, stając na brzegu ogrodu, z rękoma na biodrach i spoglądając na mnie surowo.

– No tak – odparł zdezorientowany Sam i wrócił do zabawy z Lukiem.

W pozornie apodyktycznej postawie Elizabeth było coś tak rozczulającego, że się uśmiechnąłem.

– Czy coś cię bawi, Ivan?

– Wiele rzeczy – odparłem, siadając na ostatniej plamie słonecznej. Chyba wygrałem grę w chowanego ze słońcem. – Ludzie opryskani wodą z kałuży przez przejeżdżające obok nich samochody, łaskotanie mnie o tutaj – pokazałem na mój bok. – Chris Rock, Eddie Murphy w *Gliniarzu z Beverly Hills 2* i...

– O czym ty mówisz? – Zmarszczyła brwi i podeszła bliżej.

– O rzeczach, które mnie bawią.

– Co ty wyrabiasz?

– Usiłuję sobie przypomnieć, jak się robi wianek ze stokrotek. Ten, który zrobiła Opal, wyglądał bardzo ładnie. – Spojrzałem na nią. – Opal jest moją szefową.

Nosi taki na głowie – wyjaśniłem. – Może chcesz usiąść? Trawa jest sucha. – Nadal zrywałem stokrotki.

Usadowienie się na trawie zajęło jej trochę czasu. Robiła miny i wierciła się, jakby siedziała na szpilkach. Po strzepnięciu niewidocznego pyłka ze spodni i nieudanych próbach siadania na własnych dłoniach, żeby nie pobrudzić spodni trawą, spojrzała na mnie znowu z gniewem.

– Czy coś jest nie w porządku, Elizabeth? Widzę, że chyba tak.

– Cóż za niezwykła spostrzegawczość.

– Dziękuję. To część mojej pracy, ale miło mi, że potrafiłaś to docenić. –

Wyczułem jej sarkazm.

– Mam z tobą do pomówienia, Ivan.

– Mam nadzieję, że o czymś zabawnym – zacząłem pleść wianek. – To kolejna śmieszna rzecz. Rozmowy o czymś zabawnym. Czasem boją, ale też sprawiają, że dużo się śmiejesz. Życie jest zabawą. Hmmm...

Elizabeth spojrzała na mnie zagubiona.

– Ivan, przyszedłem tutaj, żeby podzielić się z tobą moimi myślami na temat całej tej sprawy. Po tym, jak wyszedłeś ze spotkania, rozmawiałam z Benjaminem.

Powiedział mi, że jesteś ich współnikiem, i oskarżył o coś niesłychanego, ale nie zamierzam nawet o tym dyskutować – prychnęła ze złością.

– Przyszedłaś, żeby podzielić się ze mną swoimi myślami – powtórzyłem. – To cudowne stwierdzenie. Dzielenie się jest piękną rzeczą, myśli zaś jednym z najpotężniejszych elementów istoty ludzkiej. Jeżeli twój umysł ma myśl, w którą wierzy, twoje ciało może to osiągnąć. Dzielenie się z kimś swoimi myślami jest...

bardzo ci dziękuję, Elizabeth. To niezwykle, że ludzie zazwyczaj usiłują się podzielić swoimi myślami z kimś, na kogo są źli albo kogo nie lubią. Przecież powinni to robić z bliskimi. To kolejna zabawna rzecz. Ale twoje myśli... to cudowny prezent – zawiąłem ostatnią lodyżkę i uformowałem wianek. – Dam ci ten wianek w zamian za twoje myśli. – Włożyłem kwietną bransoletkę na jej nadgarstek.

Elizabeth siedziała na trawie bez ruchu, w milczeniu spoglądając na stokrotki.

Potem uśmiechnęła się, a kiedy przemówiła, jej głos był bardzo łagodny:

– Czy kiedykolwiek ktoś gniewał się na ciebie dłużej niż przez pięć minut?

Spojrzałem na zegarek.

– Tak. Ty. Gniewałaś się na mnie od dziesiątej rano aż do teraz.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wczoraj, że pracujesz z Vincentem Taylorem?

– roześmiała się.

– Ponieważ to nieprawda.

– Ale Benjamin powiedział, że jesteś ich współnikiem.

– Kim jest Benjamin?

– Kierownikiem projektu. Powiedział, że jesteś cichym współnikiem.

Uśmiechnąłem się.

– Można to pewnie tak nazwać. Benjamin wyraził się ironicznie, Elizabeth.

Nie mam nic wspólnego z tą firmą. Jestem tak cichy, że nie mówię ani słowa.

– Cóż, chyba nie znam cię od tej strony – uśmiechnęła się Elizabeth. – Jesteś aktywnie zaangażowany w ten projekt?

– Pracuję z ludźmi, Elizabeth, nie z budynkami.

– W takim razie o czym do diabła mówił Benjamin? – spytała. – To dziwny człowiek, Benjamin West. O czym rozmawialiście z Vincentem, zanim się pojawiłam? I co dzieci mają wspólnego z hotelem?

– Jesteś bardzo wścibska – roześmiałem się. – Nie rozmawiałem z Vincentem Taylorem o żadnych interesach. Ale zadałaś bardzo dobre pytanie. Co twoim zdaniem dzieci powinny mieć wspólnego z hotelem?

– Absolutnie nic – zaśmiała się Elizabeth i nagle przerwała w obawie, że mnie obraziła. – Sądysz, że hotel powinien być przyjazny dla dzieci?

– A nie uważasz, że wszystko i wszyscy powinni być przyjaźni dla dzieci?

– Znam kilka wyjątków – odparła sprytnie Elizabeth, spoglądając na Luke'a.

Wiedziałem, że myśli o Saoirse i jej ojcu, a może nawet o sobie samej.

– Porozmawiam jutro z Vincentem w sprawie bawialni lub czegoś w tym rodzaju... – zamyśliła się. – Nigdy wcześniej nie projektowałam pokoiów dla dzieci.

Czego mogłybyście chcieć?

– Szybko się domyślisz, Elizabeth. Sama przecież kiedyś byłaś dzieckiem.

Czego wtedy chciałaś w swoim pokoju?

Jej oczy pociemniały, uciekła spojrzeniem w bok.

– Teraz jest inaczej. Dzieci nie chcą tego, czego ja pragnęłam w dzieciństwie – powiedziała. – Czasy się zmieniły.

– Nie tak bardzo, jak myślisz. Dzieci zawsze chcą tego samego.

– Na przykład czego?

– Może ty mi powiesz, czego pragnęłaś jako dziecko, a ja ocenię, czy jesteś na dobrej drodze.

– Zawsze coś kombinujesz, Ivan, prawda? – roześmiała się cicho.

– Tak – uśmiechnąłem się. – Opowiedz mi.

Wpatrywała się w moje oczy, walcząc ze sobą, ale po kilku chwilach odetchnęła głęboko.

– Kiedy byłam dzieckiem, siadałyśmy z mamą w każdy sobotni wieczór w kuchni z kredkami, krepiną i blokiem rysunkowym i opracowywałyśmy plan na niedzielę. – Jej oczy zaślniły, kiedy przypominała sobie te miłe chwile. – Byłam tak podekscytowana, że przypinałam te plany na ścianie sypialni i zmuszałam się do zaśnięcia, żeby poranek nastął szybciej. – Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy wyrwała się z transu wspomnień. – Tego jednak nie można wprowadzić do bawialni. Dzisiaj dzieci chcą grać w PlayStation, Xbox i tym podobne rzeczy.

– Co było w waszych planach na niedzielę?

Elizabeth spojrzała w dal.

– Marzenia, które nigdy nie mogły się spełnić. Mama obiecywała mi, że będziemy leżały na polu w nocy, patrząc na spadające gwiazdy i wypowiadając życzenia, które ukrywałyśmy w sercu. Rozmawiałyśmy o kąpielach w ogromnej wannie wypełnionej po brzegi płatkami kwiatów wiśni, o smakowaniu promieni słonecznych, o bieganiu pod zraszczami, które latem nawadniały trawę, o kolacjach przy świetle księżyca na plaży i bieganiu na bosaka po piasku – Elizabeth roześmiała się na to wspomnienie. – Kiedy to słyszę, wydaje mi się to głupie, ale taka była właśnie matka. Szukająca zabawy, przygody, dzika, nieposkromiona, beztroska, jeżeli nie odrobinę ekscentryczna. Zawsze chciała zobaczyć nowe rzeczy, poczuć je, wypróbować, odkryć.

– Musiały być wspaniałe. – Byłem zachwycony jej mamą. Smakowanie promieni słonecznych biło na głowę nawet rolki papieru toaletowego.

– No nie wiem. – Elizabeth spojrzała w bok i przełknęła z trudem ślinę. –

Nigdy nie zrealizowałyśmy żadnego z tych planów.

– Założę się jednak, że w wyobraźni robiłaś to milion razy.

– Była jedna rzecz, którą zrobiliśmy. Zaraz po urodzeniu Saoirse mama zabrała mnie na pole, rozłożyła koc i urządziła piknik. Jadłyśmy świeżo upieczony ciemny chleb, posmarowany dżemem truskawkowym. – Elizabeth zamknęła oczy i wciągnęła powietrze przez nos. – Ciągle pamiętam ten zapach i smak – potrząsnęła głową zdziwiona. – Zabawne, ale matka wybrała na piknik łąkę, na której pasły się krowy. Siedziałyśmy na środku pola z naszymi kanapkami, otoczone przez ciekawskie zwierzęta.

Roześmieliśmy się oboje.

– Wtedy właśnie powiedziała mi, że zamierza odejść. To miasto było dla niej za małe, za ciasne. Nie powiedziała tego dokładnie w ten sposób, ale pewnie tak się czuła. – Głos Elizabeth zadrżał. Przerwała opowiadanie i zaczęła obserwować Luke'a i Sama, ganiających się po trawie. Wiedziałem jednak, że wcale ich nie widzi.

Wyłączyła się.

– Tak czy siak... – Znowu powrócił dorosły ton. Chrząknęła. – To nieistotne i nie ma nic wspólnego z hotelem. Nie wiem nawet, jak to się stało, że ci o tym opowiedziałam – była bardzo zawstydzona. Z pewnością nigdy przedtem nie zwierzała się z tego nikomu. Milczałem, żeby mogła sobie to wszystko poukładać w głowie.

– Czy między tobą a Fioną dobrze się układało, kiedy jeszcze byliście razem?

– spytała, nadal nie patrząc mi w oczy po swoich zwierzeniach.

– Fioną?

– Tak. Z kobietą, która nie jest twoją żoną – uśmiechnęła się lekko i chyba rozluźniła.

– Fiona się do mnie nie odzywa – odparłem, nadal nie rozumiejąc, dlaczego Elizabeth sądzi, że jestem tatą Sama. Będę musiał o tym porozmawiać z Lukiem. Nie chciałem, żeby brała mnie za kogoś innego, niż jestem.

– Czyli wasza znajomość skończyła się źle?

– Żeby móc się skończyć, musiałaby się najpierw zacząć – odparłem szczerze.

– Znam to uczucie. – Wywróciła oczami i roześmiała się. – Cóż, przynajmniej macie z tego jedną dobrą rzecz – znowu spojrzała na bawiących się chłopców.

Mówiła o Samie, ale czułem, że tak naprawdę myśli o Luke'u. Bardzo mnie to ucieszyło.

– Ivan, nigdy przedtem nie opowiadałam o tym nikomu – powiedziała, zanim wyszliśmy z domu Sama. – Nigdy. – Przełknęła głośno ślinę. – Nie wiem, co mnie napadło.

– Wiem – uśmiechnąłem się. – To był bardzo duży prezent z myśli. Uważam, że zasłużyłaś na jeszcze jeden wianek. – Wręczyłem jej kolejną bransoletkę.

Kolejny błąd: wsuwając ją na jej nadgarstek poczułem, że dzielę się z nią moim sercem.

19

Od dnia, w którym podarowałem Elizabeth bransoletki ze stokrotek – i moje serce – dowiedziałem się o niej dużo więcej niż jej wspomnienia sobotnich wieczorów z matką. Zdałem sobie sprawę, że jest niczym jedna z sercówek, które widuje się przyczepione do skał na plaży Fermoy. Kiedy się im przyglądasz, widać, że odstają od powierzchni, ale gdy tylko ich dotykasz lub zbliżasz się do nich zbyt blisko, zamykają się i przywierają kurczowo do skały. Taka właśnie była Elizabeth: otwarta, dopóki ludzie zachowywali odpowiedni dystans, lecz gdy się zbliżali, zamykała się w sobie i za nic nie chciała się znowu otworzyć. Owszem, zrobiła to tamtego dnia w ogrodzie, ale kiedy pojawiłem się następnego dnia, zachowywała się tak, jakby była zła na mnie za to, że opowiedziała mi o swoich prywatnych sprawach.

Typowa Elizabeth – gniewała się na wszystkich, nie wyłączając siebie. W tej sytuacji była prawdopodobnie również zażenowana. Nieczęsto mówiła ludziom o sobie, chyba że rozmawiała z klientami o firmie.

Teraz, kiedy mnie widziała, trudno mi było spędzać czas z Lukiem. Myślę, że zaczęłaby się niepokoić, gdybym zapukał do jej drzwi i spytał, czy mogę się pobawić z małym. Wymyśliła sobie, że przyjaciele dzieci muszą być w odpowiednim wieku.

Luke'owi na szczęście to nie przeszkadzało. Był zajęty zabawą z Samem, a jeżeli postanawiał włączyć w grę również mnie, frustrowało to jego koleżkę, ponieważ mnie nie widział. Myślę, że w pewnym sensie przeszkadzałem Luke'owi w zabawie z przyjacielem i nie sądzę, żeby przejmował się moją nieobecnością. Myślę, że zdawał

sobie sprawę, że nie przybyłem tu dla niego. Już wam mówiłem, że dzieci zawsze wiedzą, co się dzieje, czasem nawet wcześniej niż my sami.

Jeżeli chodzi o Elizabeth, gdybym tak po prostu wmaszerował do jej salonu o dwunastej w nocy, oszalałaby z wściekłości. Nowy rodzaj przyjaźni oznaczał nowe granice. Musiałem być subtelny, pojawiać się znacznie rzadziej, ale nadal we właściwych momentach. Tak jak w dorosłych przyjaźniach.

Nie podobało mi się, że Elizabeth nadal uważała mnie za tatę Sama. Nie mam pojęcia, skąd się to przekonanie wzięło, ale rozwijało się bez mojego udziału. Nigdy nie kłamię moim przyjaciołom, więc wiele razy usiłowałem wytłumaczyć Elizabeth, że nie jestem tatą Sama. Jedna z naszych rozmów przebiegła w następujący sposób: – Skąd pochodzisz, Ivan?

Był to wieczór po powrocie Elizabeth z pracy. Skończyła właśnie spotkanie z Vincentem Taylorem w sprawie hotelu. Podobno poszła do niego, powiedziała, że rozmawiała z Ivanem, czyli ze mną, i oboje doszliśmy do wniosku, że hotel potrzebuje bawialni dla dzieci, aby rodzice mieli dla siebie więcej czasu na romantyczne chwile. Vincent podobno śmiał się tak bardzo, że w końcu poddał się i wyraził zgodę. Elizabeth nadal nie rozumiała, dlaczego uważał jej pomysł za tak zabawny.

Wyjaśniłem jej, że Vincent nie ma zielonego pojęcia, kim jestem, ale ona tylko wywróciła oczami i oskarżyła mnie o zbytnią tajemniczość. Tak czy owak, była zadowolona z wyniku negocjacji i nietypowo chętna do rozmowy. Zastanawiałem się, kiedy zaczniesz zadawać mi pytania o inne

rzeczy niż o firmę, ile mamy pracowników i jakie obroty. Zanudzała mnie na śmierć. Wreszcie jednak spytała, jak się nazywa moje rodzinne miejsce.

– Aniark Kejab.

– Coś mi to przypomina. Słyszałam już tę nazwę. – Elizabeth zmarszczyła czoło. – Gdzie to jest?

– Milion kilometrów stąd.

– Baile na gCroíthe jest milion kilometrów od wszystkiego. Aniark Kejab... –

powtórzyła. – Co to znaczy? To nie po angielsku ani po irlandzku, prawda?

– To ułtdo.

– Ułtdo? – powtórzyła, unosząc brwi. – Naprawdę, Ivan, czasem jesteś równie nieznośny jak Luke. Chyba podłapuje swoje powiedzonka od ciebie.

Zachichotałam.

– Właściwie to nie chciałam ci tego wcześniej mówić. – Elizabeth pochyliła się ku mnie. – Wydaje mi się, że Luke się na tobie wzoruje.

– Naprawdę? – Bardzo mi to pochlebiło.

– Tak, ponieważ... cóż – przerwała, szukając właściwego słowa. – Proszę cię, nie myśl, że mój siostrzeniec zwariował, ale w zeszłym tygodniu wymyślił sobie niewidzialnego przyjaciela – roześmiała się nerwowo. – Był u nas w domu na obiedzie kilka dni z rzędu, bawili się w ogrodzie, grali we wszystko od piłki nożnej, przez komputery do kart, uwierzyłbyś? Najśmieszniejsze jest jednak to, że ów przyjaciel ma na imię Ivan.

Wpatrzyłem się w nią bez słowa i Elizabeth zaczęła się wycofywać.

Zaczerwieniła się strasznie.

– Właściwie to wcale nie jest zabawne, tylko niedorzeczne. Po prostu pomyślałam sobie, że Luke bardzo cię ceni i uważa za wzór do naśladowania... stąd zmyślanie. W każdym razie Ivana już nie ma. Opuścił nas. Zostaliśmy sami. To prawdziwa tragedia, sam rozumiesz. Z tego, co rozumiałam, mógł u nas gościć nawet do trzech miesięcy – wykrzywiła usta. – Dzięki Bogu, że odszedł.

Zaznaczyłam w kalendarzu na czerwono przewidywaną datę jego zniknięcia –

dodała, nadal czerwona ze wstydu. – Właściwie to zabawne, ponieważ odszedł

dokładnie wtedy, kiedy ty się pojawiłeś. Myślę, że może przestraszył się... Ivana –

roześmiała się, ale widząc moją ściągniętą twarz, zamilkła. – Ivan, dlaczego prowadzę monolog? – westchnęła.

– Ponieważ ja słucham.

– No dobrze, skończyłam, więc teraz ty możesz coś powiedzieć – rzuciła zdenerwowana.

Roześmiałem się. Elizabeth zawsze się wściekała, kiedy czuła się głupio.

– Mam pewną teorię.

– Doskonale. Może się nią ze mną podzielisz. Chyba że planujesz umieścić mnie i mojego siostrzeńca w betonowym budynku z kratami w oknach, w instytucji prowadzonej przez siostry zakonne.

Spojrzałem na nią z przerażeniem.

– No mów! – roześmiała się.

– Kto powiedział, że Ivan zniknął?

Elizabeth wyglądała na wstrząśniętą.

– Nikt, ponieważ przede wszystkim w ogóle się nie pojawił.

– Owszem, zrobił to, dla Luke'a.

– Mały go wymyślił.

– Może nie.

– W każdym razie ja go nie widziałam.

– Widzisz mnie.

– Co to ma wspólnego z niewidzialnym przyjacielem Luke'a?

– Może to ja jestem przyjacielem Luke'a. Tak przy okazji, nie lubię, kiedy się mnie nazywa niewidzialnym. To nie jest poprawne politycznie.

– Ale przecież ja cię widzę.

– O to chodzi. Nie rozumiem, dlaczego ludzie uparli się z tą

„niewidzialnością”. Skoro ktoś mnie widzi, w takim razie chyba nie jestem niewidzialny, prawda? Pomyśl o tym. Czy Ivan, przyjaciel Luke'a, i ja kiedykolwiek znajdowaliśmy się w tym samym pokoju w tym samym czasie?

– Z tego, co wiem, może być tam dokładnie w tej chwili, zajadając się oliwkami – roześmiała się Elizabeth i nagle urwała, zdając sobie sprawę, że wcale się nie uśmiecham. – O czym ty mówisz, Ivan?

– To bardzo proste, Elizabeth. Powiedziałaś, że Ivan zniknął w dniu mojego pojawienia się tutaj.

– Tak.

– Nie sądzisz, że może to ja jestem Ivanem, a ty po prostu nagle zaczęłaś mnie widzieć?

Elizabeth wyglądała na bardzo rozgniewaną.

– Nie, ponieważ jesteś prawdziwym człowiekiem z prawdziwym życiem. Masz żonę, dziecko i...

– Fiona nie jest moją żoną, Elizabeth.

– W takim razie była żoną. Nie o to chodzi.

– Nigdy się z nią nie ożeniłem.

– To nie moja sprawa.

– Chcę powiedzieć, że Sam wcale nie jest moim synem – powiedziałem

głośnie i bardziej stanowczo, niż zamierzałem. Dzieci rozumiały takie rzeczy znacznie lepiej. Dorośli zawsze komplikowali sprawy.

Rysy twarzy Elizabeth złagodniały. Wyciągnęła rękę i przykryła nią moją dłoń.

Jej dotyk był delikatny. Miała skórę miękką niczym niemowlę i długie, smukłe palce.

– Ivan – przemówiła łagodnie. – Luke również nie jest moim synem –

uśmiechnęła się. – To cudownie, że mimo wszystko zajmujesz się Samem.

– Nie, nie, nic nie rozumiesz, Elizabeth. Nie jestem znajomym ani Fiony, ani Sama. Nie widzą mnie, w przeciwieństwie do ciebie. W ogóle mnie nie znają. Cały czas usiłują ci to wytłumaczyć. Dla nich nie istnieję. Nie widzi mnie nikt poza tobą i Lukiem.

Oczy Elizabeth wypełniły się łzami. Ścisnęła mnie mocniej.

– Rozumiem – powiedziała drżącym głosem. Przykryła moją dłoń oboma

swoimi i ścisnęła jeszcze serdeczniej. Walczyła z myślami. Widziałem, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafi. Jej brązowe oczy wpatrywały się we mnie. Po chwili milczenia wreszcie znalazła sposób na wyrażenie swojej myśli. Jej twarz złagodniała.

– Ivan, nie masz pojęcia, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Ja też czasem czuję się niewidzialna dla innych ludzi, wiesz? – powiedziała tęsknie. – Zupełnie jakby nikt mnie nie znał, nikt nie widział prawdziwej mnie... poza tobą.

Wyglądała tak smutno, że musiałem ją objąć. Mimo to czułem ogromne

rozczarowanie, że mnie nie rozumiała. Dziwne, ponieważ moje przyjaźnie nie powinny koncentrować się na mnie ani tym, czego chcę. Nigdy przedtem nie czułem się w ten sposób.

Tej nocy zacząłem się zastanawiać nad wydarzeniami minionego dnia i zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy w całym życiu znalazłem kogoś, kto rozumiał mnie całkowicie. Elizabeth była moim jedynym prawdziwym przyjacielem. To bardzo ważne dla każdego, kto kiedykolwiek doświadczył tak całkowitego połączenia z drugą istotą, nawet, jeżeli trwało ono tylko pięć minut. Po raz pierwszy poczułem, że nie pochodzę z zupełnie innego świata. Znalazła się bowiem osoba, którą lubiłem i szanowałem, której oddałem moje serce i która czuła to samo, co ja.

Wszyscy doskonale wiecie, czego doświadczyłem tej nocy.

Nie byłem samotny.

Miałem wrażenie, jakby ktoś dał mi skrzydła.

20

Pogoda zmieniła się przez noc. W zeszłym tygodniu lipcowe słońce wypaliło trawę, wysuszyło ziemię i wywabiło na zewnątrz chmary irytujących os. A w sobotni wieczór wszystko się zmieniło. Pociemniało i na niebie pojawiły się chmury. Typowa irlandzka pogoda: jednego dnia upał, następnego – deszcz i wichura.

Przewidywalnie nieprzewidywalna.

Elizabeth zadrżała w łóżku i naciągnęła kołdrę pod brodę. Nie włączyła ogrzewania, bo choć było chłodno, nigdy nie używała go w lecie. Na zewnątrz wiatr szamotał koronami drzew, które rzucały przerażające cienie na ściany sypialni. Silne podmuchy wiatru rozbrzmiewały niczym uderzenia gigantycznych fal o skały.

Wewnątrz domu trzaskały i łomotały drzwi, targane przeciągami. Ławka w ogrodzie bujała się szaleńczo, skrzypiąc i jęcząc jak potępieniec. Wszystko poruszało się gwałtownie, nieregularnie, niekonsekwentnie – bez rytmu i sensu.

Elizabeth myślała o Ivanie. Zastanawiała się, dlaczego ją tak do niego ciągnie i co sprawia, że zwierza mu się ze swoich największych sekretów. Dlaczego zaprosiła go do swego domu i swoich myśli?

Lubiła samotność. Nie tęskniła za towarzystwem – z wyjątkiem Ivana. Może powinna to jakoś opanować? W końcu Fiona mieszkała zaledwie kilka przecznic od niej. Ich zażyłość, chociaż byli tylko przyjaciółmi, mogła sprawić przykrość Fionie i Samowi. Elizabeth zaś bardzo polegała na Fionie, gdy potrzebowała kogoś do opieki nad Lukiem.

Jak zwykle usiłowała odepchnąć od siebie te myśli, udać, że wszystko jest tak, jak zwykle, że nic się w niej nie zmieniło, a mury, które zbudowała wokół siebie, wcale się nie kruszyły, wpuszczając do środka nieproszonych gości. Nie chciała tego, nie potrafiła sobie radzić ze zmianami. Wreszcie skoncentrowała się na jedynej rzeczy, która pozostała niezmienna nawet przy tej wichurze.

Księżyc obserwował ją uważnie, kiedy wreszcie zapadła w niespokojny sen.

– Kukuryku!

Elizabeth otworzyła jedno oko, zdezorientowana. W pokoju było bardzo jasno.

Otworzyła drugie oko i dostrzegła, że słońce wróciło na swój tron, rozpromieniając bezchmurne niebo. Korony drzew nadal tańczyły szaleńczo.

Prawdziwa ogrodowa dyskoteka.

– Kukuryku!

Znowu to samo. Rozespana, zwlokła się z łóżka i wyjrzała przez okno. W ogrodzie stał Ivan z dłońmi przytkniętymi do ust, naśladując pianie koguta.

– Kukuryku!

Elizabeth zakryła dłonią usta, ukrywając uśmiech, i otworzyła okno. Do pokoju wpadł wiatr.

– Ivan, co ty robisz?

– Pobudka! – odrzyknął. Wiatr skradł końcówkę słowa i pognął na północ.

– Jesteś szalony! – krzyknęła.

W jej sypialni pojawił się Luke. Wyglądał na przestraszonego.

– Co się dzieje?

Elizabeth skinęła głową, żeby wyjrzał przez okno. Widząc na dole Ivana, chłopiec wyraźnie się uspokoił.

– Cześć, Ivan! – krzyknął.

Ivan spojrzał na niego i uśmiechnął się. Puścił czapkę, którą przytrzymywał na głowie, i pomachał do nich ręką. Baseballówka natychmiast odfrunęła w silnym podmuchu wiatru. Wszyscy roześmiali się, obserwując, jak tańczy po całym ogrodzie. Wreszcie Ivan złapał obłamaną gałąź i za jej pomocą przytrzymał czapkę na ziemi.

– Ivan, co ty tu robisz? – spytał Luke.

– Dzisiaj jest dzień Jinny Joe! – oznajmił Ivan, rozkładając szeroko ramiona.

– O czym on mówi? – Luke spojrzał zdziwiony na Elizabeth.

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami.

– Co to jest dzień Jinny Joe? – spytał Ivana Luke.

– Zejdźcie na dół, to wam pokażę! – odparł Ivan. Jego ubranie trzepotało śmiesznie w podmuchach wiatru.

– Jesteśmy jeszcze w piżamach! – zachichotał Luke.

– Więc się przebierzcie! Włóżcie na siebie byle co. Jest szósta rano, nikt was nie zobaczy!

– Chodź! – zawołał podniecony Luke do Elizabeth, zsuwając się z parapetu.

Wybiegł z sypialni i za kilka minut wrócił w swetrze, z jedną nogą w spodniach od dresu i adidasach założonych lewy na prawą nogę.

Elizabeth roześmiała się na ten widok.

– Chodź, prędko! – wysapał mały w pośpiechu.

– Uspokój się, Luke.

– Nie! – chłopiec otworzył szafę Elizabeth. – Ubieraj się. **DZIŚ JEST DZIEŃ**

JINNY JOE! – wykrzyknął, rozdziawiając buzię w bezzębnym uśmiechu.

– Ale Luke... – zaczęła niepewnie Elizabeth. – Gdzie my mamy właściwie iść?

– No ładnie. Chciała, żeby sześciolatek zagwarantował jej poczucie bezpieczeństwa.

Luke wzruszył ramionami.

– W jakieś fajne miejsce – rzucił.

Elizabeth zastanowiła się nad tym. W oczach siostrzeńca widziała podniecenie i sama była zaintrygowana. Wbrew sobie sięgnęła po dres i wybiegła na zewnątrz z Lukiem. Gwałtowny podmuch ciepłego wiatru na chwilę zaparł jej dech w piersiach.

– Szybko, do Batmobilu! – zarządził Ivan, czekający już na nich przed drzwiami wejściowymi.

– Dokąd? – spytała zdezorientowana Elizabeth.

– Do samochodu – wyjaśnił Luke.

– Gdzie jedziemy?

– Po prostu prowadź, ja pokieruję tobą i powiem, kiedy się zatrzymać. To niespodzianka.

– Nie – odparła Elizabeth, jakby była to najbardziej idiotyczna rzecz, jaką usłyszała w życiu. – Nie wsiądę do samochodu, dopóki nie dowiem się dokładnie, dokąd jedziemy – naburmuszyła się.

– Robisz to codziennie – rzucił cicho Ivan. Elizabeth zignorowała go.

Luke otworzył drzwi Ivanowi i wszyscy wsiedli do środka.

Elizabeth czuła się bardzo niewygodnie w tej sytuacji. Nie lubiła jechać w nieznaną. Na każdym zakręcie miała ochotę zawrócić, a potem zastanawiała się, dlaczego właściwie tego nie zrobiła.

Po dwudziestu minutach jazdy krętymi drogami zdenerwowana Elizabeth posłuchała ostatniej wskazówki Ivana i wyjechała na łąkę, która według niej wyglądała dokładnie tak samo jak tuzin innych, mijanych po drodze, tyle tylko, że stąd widać było Atlantyk. Zignorowała jednak scenery i obrażona wpatrzyła się we wsteczne lustro. Błoto przysnęło spod kół na boki jej lśniącego czystością samochodu.

– Rany, co to jest? – Luke pochylał się do przodu między dwoma siedzeniami i pokazał coś przed nimi.

– Luke, przyjacielu, to właśnie są Jinny Joe – oznajmił radośnie Ivan.

Elizabeth spojrzała przed siebie i zobaczyła tysiące nasion dmuchawców wirujących na wietrze. Puszyste białe punkciki lśniły w promieniach słońca, dryfując w kierunku uwięzionej w samochodzie trójki niczym tysiące snów.

– Wyglądają jak wróżki – zawołał zdumiony Luke.

Elizabeth wyróciła oczami.

– Wróżki – mruknęła. – Jakie ty książki czytujesz? To nasiona dmuchawca, Luke!

Ivan spojrzał na nią ze złością.

– Skąd wiedziałem, że to powiesz? – rzucił zirytowany. – Cóż, przynajmniej udało mi się tu ciebie przyciągnąć. To już coś.

Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona. Nigdy przedtem nie odezwał się do niej tak nieprzyjemnym tonem.

– Luke – zwrócił się do małego Ivana. – Te nasiona są również znane jako irlandzkie stokrotki, ale nie są to tylko i wyłącznie nasiona dmuchawca. Większość normalnych ludzi – rzucił Elizabeth nieprzyjemne spojrzenie – nazywa je Jinny Joe.

Unoszą na wietrze życzenia. Trzeba takie nasionko złapać w dłoń, wypowiedzieć życzenie i wypuścić je, żeby mogło je dostarczyć w odpowiednie miejsce.

Elizabeth parsknęła ironicznie.

– Rany – wyszeptał Luke. – Ale dlaczego ludzie to robią?

– Mądry chłopczyk! – roześmiała się Elizabeth. Ivan zignorował ją zupełnie.

– Setki lat temu ludzie jadalili zielone liście mleczu, bo są one bardzo bogate w witaminy – wyjaśnił. – Stąd łacińska nazwa, która oznacza „oficjalne lekarstwo na wszelkie dolegliwości”. Z tego powodu ludzie uważają dmuchawce za dobry omen i wypowiadają życzenia do ich nasionek.

– Czy te życzenia się spełniają? – spytał chłopiec z nadzieją.

Elizabeth spojrzała gniewnie na Ivana, który nabijał głowę jej siostrzeńca fałszywymi nadziejami.

– Tylko te, które dotrą do celu. Kto to wie? Przecież nawet poczta czasem gubi listy, prawda, Luke?

Mały pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Dobra! Chodźmy je złapać!

– Wy sobie idźcie, a ja poczekam w samochodzie – rzuciła Elizabeth, wpatrując się przed siebie.

Ivan westchnął.

– Eliza...

– Zaczekam tutaj – powtórzyła zdecydowanym tonem. Włączyła radio i rozparła się wygodnie w fotelu na dowód, że nigdzie się nie wybiera. – Uważam, że to idiotyczne nabijać mu głowę tymi kłamstwami – rzuciła gniewnie do Ivana, kiedy Luke wygramolił się z samochodu. – A co mu powiesz, kiedy żadne z jego życzeń się nie spełni?

– Skąd wiesz, że się nie spełni?

– Bo kieruję się zdrowym rozsądkiem. Tobie najwyraźniej go brakuje.

– Masz rację, nie słucham głosu rozsądku. Nie chcę wierzyć w to, w co pozostali. Mam swoje własne myśli i opinie, które nie zostały mi wbite do głowy lub wycytane w książkach. Ja uczę się z doświadczeń. Ty boisz się doświadczyć czegokolwiek i dlatego zawsze będziesz skazana wyłącznie na swój zdrowy rozsądek. Nic więcej.

Elizabeth spojrzała za okno, licząc w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić.

Nienawidziła tego hippisowskiego chlamu. Wbrew temu, co powiedział Ivan, uważała, że właśnie dokładnie to podejście jest rzeczą, której można nauczyć się wyłącznie z książek, napisanych i czytanych przez ludzi całe życie uganiających się za czymś, co pomoże im się oderwać od nudy ich własnego życia. Musieli wierzyć, że życie to coś więcej niż tylko ciąg przyczynowo-skutkowy.

– Wiesz, Elizabeth, że dmuchawiec jest również uważany za zioło miłosne?

Niektórzy powiadają, że jeżeli zdmuchniesz jego nasiona, wiatr uniesie je do twojej miłości. Jeżeli zrobisz to, wypowiadając jednocześnie życzenie i uda ci się jednym tchem zdmuchnąć cały puch z główki dmuchawca, życzenie się spełni.

Elizabeth zmarszczyła gniewnie brwi.

– Przestań wygadywać te bzdury, Ivan.

– Dobrze. Dzisiaj tylko ja i Luke będziemy łapać marzenia. Myślałem, że ty też zawsze tego chciałaś – powiedział Ivan.

Elizabeth uciekła wzrokiem w bok.

– Wiem, co chcesz zrobić, ale nie uda ci się. Opowiedziałam ci o moim dzieciństwie w absolutnym zaufaniu. Dużo mnie kosztowało wyznanie ci niektórych rzeczy. Nie mówiłam ich po to, żebyś teraz próbował zabawić się moim kosztem – syknęła.

– To nie jest zabawa – odparł cicho Ivan i wysiadł z samochodu.

– Dla ciebie wszystko jest zabawą! – rzuciła gniewnie. – Powiedz mi, jakim cudem tyle wiesz o nasionach dmuchawca i jaki jest sens tych wszystkich głupawych informacji?

Ivan pochylił się, zaglądając do samochodu przez otwarte drzwi.

– Myślę, że to dość oczywiste. Jeżeli wierzysz, że coś zanieśie twoje życzenia we właściwe miejsce, wiesz dokładnie, skąd pochodzi i do jakiego celu powinno dotrzeć – zatrzasnął drzwi.

Elizabeth obserwowała, jak biegnie na pole z Lukiem.

– Skoro tak, skąd dokładnie się wzięłeś, Ivan? – spytała na głos. – I do jakiego celu dążysz?

21

Elizabeth przyglądała się, jak Luke biegnie po wysokiej trawie, podskakując i nurkując w powietrzu, aby schwytać nasionka dmuchawca dryfujące niczym małe pierzaste kulki.

– Mam jedno! – usłyszała jego krzyk.

– Wypowiedz życzenie – zawołał radośnie Ivan.

Luke zamknął nasionko w obu dłoniach i zacisnął mocno powieki.

– Chcę, żeby Elizabeth wysiadła z samochodu i pobawiła się w łapanie Jinny Joe! – wrzasnęła ile sił w płucach. Uniósł pulchną rączkę ku niebu i uwolnił puszek na wiatr, który natychmiast uniósł nasionko w przestworza.

Ivan spojrzał na Elizabeth z uniesionymi brwiami.

Widziała nadzieję wypisaną na malutkiej twarzyczce Luke'a, ale nie mogła się zmusić do wyjścia z samochodu. Luke nie powinien wierzyć w bajki, ten barwny świat kłamstw. Nie mogła przyłożyć do tego ręki.

Znów zaczęła obserwować, jak mały biegnie przez łąkę z szeroko rozwartymi ramionami. Chwycił nasionko, zacisnął piąstkę i wykrzyczał dokładnie to samo życzenie. Poczula, jak coś ścisną ją w piersi i zaczęła szybciej oddychać. Luke i Ivan patrzyli na nią z nadzieją w oczach. Elizabeth zaczęła czuć presję.

Polegali na niej. To przecież tylko zabawa. Musiała tylko wysiąść z samochodu. Próbowała to sobie tłumaczyć, ale cała sprawa znaczyła dla niej dużo więcej. Nabije głowę dziecka myślami i marzeniami, które nigdy się nie spełnią. Ta jedna chwila radości zgotuje mu życie pełne rozczarowań. Zacisnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że pobiełały jej kostki.

Luke znowu podskoczył z radością, usiłując chwycić kolejne nasionko.

Powtórzył swoje życzenie co sił w płucach, tym razem dodając:

– Bardzo, bardzo, bardzo proszę, Jinny Joe!

Wyciągnął ramię, przybierając pozę Statui Wolności i uwolnił puszek na wiatr.

Ivan nie robił nic, po prostu stał na polu, obserwując wszystko w milczeniu.

Coś w jego wzroku, jego postawie bardzo pociągało Elizabeth. Widziała, jak na twarzy Luke'a pojawia się frustracja i rozczarowanie. Chwycił kolejny puszek, zacisnął gniewnie między dłońmi, powtórzył życzenie i uwolnił, usiłując kopnąć małe nasionko.

Tracił wiarę i Elizabeth nienawidziła siebie za to, że jest tego przyczyną.

Oddechnęła głęboko i sięgnęła do klamki. Twarzyczka Luke'a rozjaśniła się natychmiast i zaczął biegać za kolejnymi nasionkami. Kiedy Elizabeth wędrowała powoli przez łąkę, fuksy tańczyły szalony taniec, niczym kibice machający czerwonymi i fioletowymi flagami, witając na polu kolejnego gracza.

Brendan Egan niemal wylądował w rowie, przejeżdżając powoli traktorem obok łąki i widząc niezwykle obrazek. Na środku pola, z roziskrzonym oceanem i niebem za plecami, tańczyło dwoje ludzi. Jedną z nich była kobieta z długimi czarnymi włosami, które wiatr tarmosił i owijał wokół twarzy i szyi. Pokrzykiwała i piszczała z radości, biegając po łące z małym dzieckiem, usiłując chwycić nasiona dmuchawca, dryfujące na wietrze.

Brendan zatrzymał ciągnik i wstrzymał oddech, wstrząśnięty, jakby zobaczył

ducha. Dygotał, obserwując nader znajomy widok w zaskoczeniu i przerażeniu, aż ktoś za nim zatrąbił na niego. Powoli włączył silnik i ruszył dalej.

Benjamin wracał do Killarney. Była szósta trzydzieści rano. Podziwiał widok oceanu, kiedy nagle stojący na środku drogi traktor zmusił go do gwałtownego zatrzymania. W kabinie siedział starszy człowiek z twarzą bladą jak kreda, spoglądając w dal. Benjamin podążył za jego wzrokiem i uśmiechnął się, gdy zobaczył Elizabeth Egan tańczącą z małym chłopcem na łące pełnej dmuchawców.

Kobieta śmiała się i pokrzykiwała wesoło, podskakując z rozbawieniem. Ubrana była w dres i miała rozpuszczone włosy, które zwykle nosiła ściśnięte w surowy kok.

Benjamin nie wiedział, że Elizabeth ma syna. Obserwował, jak podnosi go do góry, pomagając mu dosięgnąć czegoś w powietrzu, a potem

huśtającym ruchem opuszcza go na ziemię. Mały blondynek zachichotał z radości i Benjamin uśmiechnął się jeszcze szerzej. Podobał mu się ten widok. Mógłby się tak przyglądać przez cały poranek, ale trąbienie za jego plecami wyrwało go z transu. Traktorzysta włączył

silnik i ruszył, a Benjamin za nim. Jechali powoli drogą, nadal obserwując Elizabeth.

Wymyślanie niewidzialnych mężczyzn i tańczenie o wpół do siódmej rano w niedzielę na łące... Benjamin nie potrafił powstrzymać śmiechu. Podziwiał Elizabeth za jej energię i radość życia. Wydawało się, że nie obchodzi ją opinia innych ludzi.

Kiedy podjechał bliżej, zobaczył ją jeszcze wyraźniej. Na twarzy Elizabeth wypisana była czysta i absolutna radość. Wyglądała jak odmieniona.

22

Elizabeth kręciło się w głowie z zachwytu, kiedy wracała samochodem do domu z Lukiem i Ivanem. Ostatnie dwie godziny spędzili na łące, biegając i chwytając to, co Ivan z uporem nazywał Jinny Joe. Kiedy już się zmęczyli, opadli na wysoką trawę, wdychając świeże poranne powietrze przesycone zapachem morza.

Elizabeth nie pamiętała, kiedy ostatnim razem tak bardzo się śmiała. Właściwie to chyba nigdy.

Ivan miał niespożytą energię i nieustannie wymyślał jakieś nowe, ekscytujące zabawy. Elizabeth nie czuła podniecenia życiem od bardzo dawna, a właściwie od dzieciństwa. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czekała na coś tak bardzo, że aż czuła łaskotanie w żołądku. Dzięki Ivanowi przypomniała sobie to uczucie. Kiedy przebywała w jego towarzystwie, czas upływał bardzo szybko, czy to, jak teraz, gdy biegali po polach, czy, jak to często bywało, po prostu siedzieli w milczeniu. Kiedy się pojawiał, chciała, żeby czas zwolnił, a gdy odchodził, czuła, że nie może się doczekać następnego razu.

Chwyła dziś wiele nasion dmuchawca i jednym z jej wielu życzeń było to, aby chwile spędzone z Ivanem dzisiejszego dnia trwały jak najdłużej i żeby wiatr nie ustał. Chciała się sycić tą chwilą razem z Lukiem.

Porównała swoje emocje do dziecięcej miłości, bardzo silnej, niemal obsesyjnej, ale z dodatkową głębią. Pociągało ją w Ivanie absolutnie wszystko –

sposób, w jaki mówił, w jaki się ubierał, słowa, których używał, jego niewinność połączona z ogromną wiedzą i mądrością życiową. Zawsze mówił właściwe rzeczy, nawet kiedy Elizabeth nie chciała ich słyszeć. Ciemność zniknęła z jej życia i nagle zobaczyła światło nadziei. Ivan wniósł ze sobą przejrzystość i jasność. Był

uosobieniem nadziei i Elizabeth czuła, że może wreszcie dzięki niemu jej życie stanie się dobre. Nie fantastyczne czy pełne szczęścia, po prostu znośne. To jej wystarczało.

Ivan wypełniał jej myśli przez cały czas. Przypominała sobie w nieskończoność wszystkie z nim rozmowy. Zadawała mu wiele pytań, a on zawsze odpowiadał szczerze. Potem jednak, gdy już leżała w łóżku, uświadamiała sobie, że nie dowiedziała się o nim niczego więcej. Wyczuwała jednak, że mają pokrewne dusze, że są dwojgiem ludzi niczym tańczące na wietrze nasiona dmuchawca przepelnione życzeniami.

Oczywiście bała się własnych marzeń. Oczywiście wszystko w niej buntowało się przeciwko nadziei i wierze, ale chociaż się starała, nie potrafiła opanować gwałtownego bicia serca, kiedy Ivan jej dotykał. Nie umiała powstrzymać się przed szukaniem go wzrokiem. Nie potrafiła usunąć go z myśli. Przychodził nieproszony, wchodził z butami w jej życie, ale mimo to Elizabeth raz po raz otwierała przed nim drzwi.

Lubiła z nim być, podobało jej się to, jak się przy nim czuła, uwielbiała jego milczenie i jego słowa.

Zakochiwała się w Ivanie.

W poniedziałek rano Elizabeth wkroczyła do kawiarni Joego rażnym krokiem, nucąc pod nosem melodię, którą podśpiewywała już od tygodnia i która chyba zagnieżdżyła się na dobre w jej głowie. O wpół do dziewiątej roito się tu od turystów, którzy przyszli zjeść śniadanie, zanim autokary zabiorą ich do następnego miejsca wycieczki. W pomieszczeniu panował gwar, przez który przebijały się urywki niemieckich zdań. Joe krzątał się, zbierając brudne naczynia, zanosząc je do kuchni i wracając stamtąd z talerzami pełnymi irlandzkich śniadań, które przyrządzała jego żona.

Elizabeth poprosiła go gestem o kawę, na co Joe skinął szybko głową. Nie miał dziś czasu na pogaduszki. Elizabeth rozejrzała się za wolnym miejscem i jej serce przyspieszyło, kiedy w kącie dostrzegła Ivana. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Czuła podniecenie rozlewające się po całym jej ciele, kiedy torowała sobie drogę do niego.

– Witaj. – Zauważyła zmianę tonu w swoim głosie i nie była z tego zadowolona.

– Dzień dobry, Elizabeth. – Ivan uśmiechnął się. W jego głosie również pobrzmiwały nowe nuty.

Oboje to poczuli i bez słowa wpatrzyli się w siebie.

– Zająłem dla ciebie stolik – powiedział.

– Dzięki.

Znów uśmiechy.

– Chcesz coś zjeść? – Przy stoliku pojawił się Joe z długopisem i notatnikiem.

Elizabeth zazwyczaj nie jadła śniadania, ale widząc, jak Ivan przegląda menu, pomyślała, że chyba może się dzisiaj nieco spóźnić do pracy.

– Czy mogę dostać drugą kartę, Joe?

Mężczyzna spojrział na nią dziwnym wzrokiem.

– Po co ci druga karta?

– Żebym mogła coś wybrać – odparła.

– A ta tutaj jest nie w porządku? – spytał naburmuszony, wskazując rozłożone na stole menu.

– Dobrze już, dobrze – wycofała się Elizabeth. Pochyliła się ku Ivanowi, żeby przeczytać menu. Joe spojrział na nią podejrzliwie.

– Chyba wezmę irlandzkie śniadanie. – Ivan oblizał wargi.

– Dla mnie to samo – poprosiła Elizabeth Joego.

– To samo co?

– Irlandzkie śniadanie.

– W porządku. Irlandzkie śniadanie i kawa.

– Nie – Elizabeth zmarszczyła czoło. – Dwa irlandzkie śniadania i dwie kawy.

– Jemy za dwoje, co? – spytał Joe, lustrując ją od stóp do głów.

– Nie! – wykrzyknęła Elizabeth. Spojrzała przepaszająco na Ivana, kiedy Joe oddalił się od stolika. – Przepraszam za niego. Czasem zachowuje się dziwnie.

Joe wrócił z dwoma kawami, przyjrzał się jej podejrzliwie i pośpieszył do kolejnego stolika.

– Tłoczno tu dzisiaj. – Elizabeth nawet za nim nie spojrziała.

– Naprawdę? – Ivan nie odrywał od niej wzroku. Elizabeth poczuła łaskotanie w żołądku.

– Lubię, kiedy miasto jest pełne ludzi. Ożywa wtedy. Nie wiem, jak wygląda Aniark Kejab, ale tutaj naprawdę można się znudzić widokiem tych samych osób.

Turyści zmieniają scenerię, sprawiają, że można się ukryć.

– Dlaczego chcesz się ukrywać?

– Ivan, całe miasto o mnie wszystko wie. Znają historię mojej rodziny lepiej niż ja sama.

– Ja nie słucham miasta, tylko ciebie.

– Wiem. W lecie to miejsce jest niczym wielkie drzewo, silne i piękne.

Niestety, w zimie opadają wszystkie liście i drzewo pozostaje nagie. Nic już człowieka nie osłania, nie daje mu prywatności. Zawsze czuję się wtedy wystawiona na widok publiczny.

– Nie lubisz tutaj mieszkać?

– Nie o to chodzi. Po prostu to miasto potrzebuje jakiegoś ożywienia, kopniaka w tyłek. Siedzę tu każdego poranka i marzę o wylaniu mojej kawy na wszystkie ulice, żeby wreszcie się obudziły.

– Więc dlaczego tego nie zrobisz?

– Co masz na myśli?

Ivan wstał.

– Elizabeth Egan. Wstań i pójdz ze mną. Zabierz ze sobą kawę.

– Ale...

– Żadnych ale. Po prostu chodź. – Z tymi słowy wyszedł z kawiarni.

Zdezorientowana Elizabeth podążyła za nim, zabierając ze sobą kubek kawy.

– I co teraz? – spytała, upijając tyk.

– Teraz przyszedł czas, żebyś zaoferowała miastu zastrzyk kofeiny – oznajmił

Ivan, spoglądając na opustoszałą ulicę. Elizabeth wpatrzyła się w niego nic nie rozumiejąc.

– No dalej. – Postukał w jej kubek. Odrobina kawy z mlekiem wylała się na chodnik. – Oj, przepraszam – dodał z udawaną powagą.

– Wyglupiasz się, Ivan – roześmiała się Elizabeth.

– Dlaczego tak sądzisz? To przecież był twój pomysł. – Znowu stuknął w kubek, tym razem mocniej, wylewając więcej kawy na ulicę. Elizabeth krzyknęła cicho i odskoczyła, żeby brązowy płyn nie pobrudził jej butów.

Przyciągnęła uwagę kilku turystów w kawiarni.

– Dalej, Elizabeth!

Było to idiotyczne, bezsensowne, szalone i kompletnie niedojrzałe. Elizabeth nie widziała w tym sensu, ale przypomniała sobie, jak dobrze bawiła się na łące, jak się śmiała, jak uskrzydłona była przez całą resztę dnia. Chciała znowu się tak poczuć.

Przechyliła kubek z kawą, wylewając ją na ziemię. U jej stóp utworzyła się mała kałuża, która wkrótce popłynęła strumyczkiem pomiędzy kostkami bruku w dół ulicy.

– No nie, w ten sposób nie obudzisz nawet komara! – drażnił ją Ivan.

– W takim razie odsuń się. – Uniosła brwi wyczekująco.

Ivan wycofał się na bezpieczną odległość, a Elizabeth wyciągnęła ramię i obróciła się szybko wokół własnej osi. Kawa wytrysnęła fontanną z kubka.

– Co ty wyrabiasz, Elizabeth? Zrobiłem niedobrą kawę? – spytał głośno Joe, stając w drzwiach kawiarni. Wyglądał na zaniepokojonego. – Psujesz mi opinię w oczach tych ludzi. – Skinął w kierunku turystów obserwujących ją zza okna.

Ivan roześmiał się.

– Chyba potrzebna nam jeszcze jedna kawa – powiedział.

– Jeszcze jedna kawa? – spytała zaskoczona Elizabeth.

– W porządku. – Joe wycofał się do środka.

– Przepraszam, ale co ta pani robi? – spytał go jakiś turysta.

– Ona? Em... – zająknął się Joe. – To taki zwyczaj, który mamy w Baile na gCroíthe. W każdy poniedziałkowy poranek po prostu... – spojrzał na Elizabeth, stojącą samotnie na ulicy i zaśmiewającą się radośnie, gdy rozlewała kawę na chodniku. – Lubimy rozlewać kawę na ziemię, rozumie pan. To bardzo dobrze robi...

kwiatom – dokończył, patrząc, jak brązowy płyn zrasza doniczki. – Kwiaty – powtórzył przerażony.

Mężczyzna uniósł brwi z zainteresowaniem i uśmiechnął się rozbawiony.

– W takim razie poproszę o pięć kaw dla moich przyjaciół.

Joe spojrzął na niego niepewnie, ale gdy turysta wręczył mu pieniądze, rozjaśnił się w uśmiechu.

– Pięć kaw, już się robi.

Kilka chwil później do Elizabeth dołączyła piątka nieznajomych, którzy zaczęli tańczyć obok niej, pokrzykując, śmiejąc się i rozlewając kawę na chodnik.

Elizabeth i Ivan rozchichotali się jeszcze bardziej. W końcu uciekli z grupki turystów, ze zdumieniem, ale i rozbawieniem kultywujących idiotyczny irlandzki zwyczaj rozlewania kawy na ziemię.

Elizabeth rozejrzała się dookoła ze zdumieniem. Właściciele sklepów stali w drzwiach, obserwując poruszenie w kawiarni Joego. W domach pootwierały się okna, z których wychyliły się ciekawskie głowy. Samochody zwalniały, bo ich pasażerowie chcieli przyrzeć się niezwykłemu zjawisku. Na ulicy utworzył się korek i kierowcy stojący na samym końcu zaczęli trąbić sfrustrowani. W ciągu kilku chwil uspione miasteczko ożyło.

– Co się stało? – spytał Ivan, ocierając oczy z łez śmiechu. – Dlaczego przestałaś się śmiać?

– Czy dla ciebie nie istnieje coś takiego jak marzenia, Ivan? Czy niektóre rzeczy nie mogą pozostać tylko i wyłącznie w głowie? – Elizabeth wydawało się, że ten mężczyzna mógł spełnić wszystkie marzenia. No, prawie wszystkie. Spojrzała w jego błękitne oczy i poczuła, jak serce wali jej w piersi.

Ivan spojrzął w dół i podszedł nieco bliżej. Wyglądał bardzo poważnie, starzej niż zazwyczaj, zupełnie jakby w ciągu ostatnich kilku sekund zobaczył i nauczył się czegoś nowego. Dotknął delikatnie dłonią jej policzka i przysunął głowę bliżej.

– Nie – wyszeptał i pocałował ją w usta tak delikatnie, że kolana ugięły się pod Elizabeth. – Wszystko musi się spełnić.

Joe spojrzął za okno i roześmiał się, widząc podskakujących i rozlewających kawę turystów. Po drugiej stronie ulicy stała Elizabeth. Joe podszedł bliżej do okna, żeby przyrzeć się jej uważnie. Trzymała głowę uniesioną wysoko ku niebu, miała zamknięte oczy, a na twarzy wyraz niezwykłego szczęścia. Jej włosy, zazwyczaj związane z tyłu w ścisły kok, były rozpuszczone i falowały w lekkich podmuchach wiatru. Wyglądała, jakby upajała się słońcem.

Joe przysięgłby, że w tej właśnie chwili zobaczył w twarzy Elizabeth odbicie jej matki.

23

Minęła długa chwila, zanim Elizabeth i Ivan oderwali się od siebie. Kiedy to się stało, Elizabeth niemal w podskokach ruszyła do biura. Jej wargi łaskotały przyjemnie i czuła, że gdyby podniosła stopy odrobinę wyżej, oderwałaby się od ziemi i uleciała ku niebu. Nuciała radośnie znajomą melodię i usiłowała nie odpląnąć w marzenia. Wpadła na panią Bracken, która stała w progu swojego domu, przyglądając się turystom po drugiej stronie ulicy.

– Jezu Chryste! – Elizabeth podskoczyła przerażona.

– To Syn Boży, który oddał swoje życie na krzyżu, aby dać wiarę Słowu Bożemu i zapewnić ci lepsze życie, dlatego nie wzywaj Jego imienia nadaremno –

upomniała ją pani Bracken. Skinęła w kierunku kawiarni. – Co wyrabiają ci cudzoziemcy?

Elizabeth przygryzła wargę, usiłując powstrzymać śmiech.

– Nie mam pojęcia. Może powinna się pani do nich przyłączyć?

– Pan Bracken nie byłby zadowolony z takiego zachowania. Na pewno nie. –

Pani Bracken musiała wyczuć coś w głosie Elizabeth, ponieważ spojrzała na nią czujnie i przez chwilę studiowała jej twarz. – Wyglądasz jakos inaczej – uznała wreszcie.

Elizabeth zignorowała ją i roześmiała się, widząc, jak Joe z miną winowajcy usiłuje wycierać kawę z chodnika.

– Byłaś w wieży? – spytała oskarżycielsko wdowa.

– Oczywiście, pani Bracken. Projektuję wnętrze hotelu, przecież pani wie. Tak przy okazji, zamówiłam materiały, powinny się pojawić za trzy tygodnie. Będziemy miały dwa miesiące na przygotowanie wszystkiego. Będzie pani w stanie znaleźć kogoś do pomocy?

Pani Bracken spojrzała na nią zwężonymi w szparki oczami.

– Masz rozpuszczone włosy.

– I co w związku z tym? – Elizabeth weszła do sklepu z tapicerką, żeby sprawdzić, czy dotarło już zamówienie.

– A to, że pan Bracken zawsze powiadał: „Strzeż się kobiety, która drastycznie zmienia swoje uczesanie”.

– Nie nazwałabym rozpuszczenia włosów drastyczną zmianą uczesania.

– Elizabeth Egan. Ze wszystkich ludzi na świecie, u ciebie rozpuszczenie włosów jest zmianą bardziej niż radykalną. Tak przy okazji – dodała szybko, nie dopuszczając Elizabeth do głosu: – Jest pewien problem z zamówieniem, które nadeszło dziś rano.

– Jaki problem?

– Kolor – wypowiedziała to słowo jak przekleństwo. – Czerwony – dodała z rozwartymi szeroko oczami.

Elizabeth uśmiechnęła się.

– Malinowy, nie czerwony. Poza tym co jest złego w odrobinie koloru?

– Ona się pyta, co jest złego w odrobinie koloru – zawołała pani Bracken oktawę wyżej niż zwykle. – Jeszcze w zeszłym tygodniu twój cały świat był brązowy.

To ta wieża cię zmienia. Ten Amerykanin, prawda?

– Och, proszę nie zaczynać tych bzdur o magii wieży – zbyła ją Elizabeth. –

Jeździłam tam przez cały tydzień i wszystko, co widziałam, to stare sypiące się mury.

– Sypiące się mury są w porządku. – Pani Bracken przyjrzała się jej podejrzliwie. – To ten Amerykanin chce je wyburzyć.

Elizabeth wyróciła oczami.

– Do widzenia, pani Bracken. – Pobiegła na górę do biura.

Przywitała ją para nóg, wystających spod biurka Poppy. Męskich nóg, dodajmy, odzianych w brązowe spodnie i buty, które poruszały się i wierciły.

– Czy to ty, Elizabeth? – zawołał ktoś tubalnie.

– Tak, Harry – uśmiechnęła się Elizabeth. Dziwne, ale ludzie, którzy zazwyczaj ją irytowali, dzisiaj wydawali jej się niezwykle uroczy. Ivan sprawił, że inaczej patrzyła na świat.

– Dokręcam śrubki w fotelu. Poppy powiedziała, że w zeszłym tygodniu zachowywał się dziwnie.

– To prawda. Dziękuję, Harry.

– Nie ma problemu. – Jego nogi wsunęły się pod biurko i zniknęły, kiedy Harry usiłował się podnieść z podłogi. Uderzył się przy tym w głowę.

Wreszcie zza biurka wynurzyła się łysa głowa okolona siwymi pasemkami włosów, wyglądających jak spaghetti.

– Ach, tutaj jesteś – rzucił. W rękę trzymał klucz francuski. – Już nie powinien się sam kręcić. To zabawne, że w ogóle coś takiego się stało – sprawdził fotel jeszcze raz, a potem spojrzał na Elizabeth z tym samym wyrazem twarzy, z jakim badał fotel.

– Wyglądasz inaczej.

– Nie, nadal jestem tą samą Elizabeth – odparła, ruszając do swojego gabinetu.

– To przez włosy. Rozpuściłaś je. Zawsze uważałem, że kobiety powinny nosić rozpuszczone włosy i...

– Dziękuję, Harry. Czy to już wszystko? – przerwała mu Elizabeth

zdecydowanym głosem, kończąc rozmowę.

– Ach, no tak. Dobrze. – Harry zaczerwienił się nieco, pomachał jej na pożegnanie i ruszył po schodach w dół. Bez wątplenia zamierza oplotkować teraz Elizabeth z panią Bracken.

Usiadła za biurkiem. Usiłowała skoncentrować się na pracy, ale zamiast tego dotknęła palcami warg i pograżyła się we wspomnieniu pocałunku Ivana.

– No dobra – rzuciła Poppy, wchodząc do gabinetu i stawiając na biurku skarbonkę. – Widzisz to?

Elizabeth pokiwała głową. Becca stanęła w drzwiach.

– Mam plan. – Poppy zazgrzytała zębami. – Za każdym razem, kiedy zaczniesz nucić tę cholerną piosenkę, będziesz musiała wrzucić monetę do świnki-skarbonki.

Elizabeth uniosła brwi z rozbawieniem.

– Poppy, czy to ty zrobiłaś tę świnkę? – Spojrzała na wykonaną z masy papierowej skarbonkę. Dziewczyna powstrzymała uśmiech.

– Zeszłej nocy było bardzo spokojnie. Za spokojnie. Ale tak poważnie, to już zaczyna być nader irytujące, Elizabeth, uwierz. Nawet Becca ma tego dosyć – dodała błagalnie.

– Czy to prawda, Becca?

Policzki dziewczyny zaróżowiły się. Szybko wyszła z gabinetu, nie chcąc brać udziału w konfrontacji.

– Dzięki za poparcie – mruknęła Poppy.

– Kto dostanie te pieniądze? – spytała Elizabeth.

– Świnka. Zbiera fundusze na nowy chlewik. Zanuć piosenkę i wspomóż świnkę. – Rzuciła skarbonkę w kierunku Elizabeth.

– Uciekaj już! – Elizabeth z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Chwilę później, kiedy wszyscy zasiedli do pracy, Becca wpadła do gabinetu Elizabeth i postawiła świnkę na biurku.

– Płać! – zażądała, z rozwartymi z gniewu oczami.

– Znowu nuciłam? – spytała zaskoczona Elizabeth.

– Tak – syknęła zniecierpliwiona dziewczyna i wypadła z gabinetu.

Później, po południu, przyprowadziła gościa.

– Witam, pani Collins. – Elizabeth poczuła, jak żołądek ściska się jej z nerwów. Pani Collins prowadziła pensjonat, w którym przez kilka ostatnich tygodni mieszkała Saoirse. – Proszę usiąść – wskazała krzesło.

– Dziękuję – pani Collins skorzystała z zaproszenia. – Proszę mi mówić Margaret. – Rozejrzała się po pokoju jak przestraszone dziecko, które zostało wezwane do gabinetu dyrektora. Dłonie trzymała ciasno splecione na podołku, jakby obawiała się czegośkolwiek dotknąć. Bluzkę miała zapiętą pod samą szyję. – Przyszłam do pani w sprawie Saoirse. Obawiam się, że nie byłam w stanie przekazać jej ostatnich pani listów i wiadomości telefonicznych – powiedziała niepewnie, bawiąc się rąbkiem koszuli. – Saoirse nie pojawiła się w pensjonacie od trzech dni.

– Och. – Elizabeth poczuła się zażenowana. – Dziękuję za informację, Margaret, ale nie ma powodu do niepokoju. Zapewne niedługo Saoirse do mnie zadzwoni – miała już dosyć dowiadywania się wszystkiego ostatnia i tego, że o poczynaniach jej własnej rodziny informowali ją obcy ludzie. Mimo że Ivan wypełniał jej myśli, Elizabeth starała się nadal mieć baczenie na siostrę. Za kilka tygodni miało się odbyć przesłuchanie w sądzie, ale nie mogła znaleźć Saoirse ani w pubie, ani na farmie, ani w pensjonacie.

– Właściwie nie o to chodzi. Po prostu mamy teraz duży ruch. Wielu turystów przyjeżdża do miasta i szuka miejsc do spania. Potrzebujemy pokoju Saoirse.

– Tak, oczywiście. – Elizabeth odchyliła się w fotelu, czując się idiotycznie.

Oczywiście. – To całkowicie zrozumiałe. Przyjadę po pracy, żeby odebrać jej rzeczy.

– To nie będzie konieczne. – Margaret uśmiechnęła się słodko. – CHŁOPCY! – krzyknęła.

Do gabinetu wmaszerowali z walizkami jej dwaj nastoletni synowie.

– Pozwoliłam sobie spakować rzeczy Saoirse – ciągnęła Margaret z

uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Teraz pozostaje już tylko wypłacenie mi zaległej opłaty za trzy dni i wszystko załatwione.

Elizabeth zastygła.

– Margaret, jestem pewna, że to zrozumiesz. Saoirse sama odpowiada za siebie. To, że jestem jej siostrą, nie oznacza, że automatycznie należy oczekiwać ode mnie regulowania jej rachunków. Na pewno niedługo wróci, jestem przekonana.

– Och, wiem, Elizabeth. – Margaret uśmiechnęła się szerzej, odsłaniając zęby ubrudzone nieco różową szminką. – Biorąc jednak pod uwagę, że mój pensjonat jest jedynym miejscem, które zgodziło się przyjąć Saoirse, jestem pewna, że będziesz skłonna zapłacić...

– Ile? – przerwała jej gniewnie Elizabeth.

– Piętnaście za noc.

Elizabeth wyciągnęła z torebki portmonetkę.

– Posłuchaj, Margaret – westchnęła. – Chyba nie mam go...

– Przyjmuję również czek – odparła pospiesznie Margaret.

Elizabeth wypisała czek i po raz pierwszy od jakiegoś czasu przestała myśleć o Ivanie, za to zaczęła się martwić o Saoirse. Zupełnie jak za dawnych czasów.

O dziesiątej wieczorem w centrum Manhattanu Elizabeth i Mark wyglądali przez ogromne czarne okna znajdującego się na sto czternastym piętrze baru, którego wnętrze zaprojektowała Elizabeth. Dziś wieczór otwierano Klub Zoo, całe piętro poświęcone motywom zwierzęcym – odciski łap, pokryte futrem kanapy i poduszki oraz wielkie donice z egzotycznymi roślinami i bambusem. Elizabeth nienawidziła tego typu projektów, ale otrzymała polecenie i musiała się do niego zastosować. Klub okazał się ogromnym sukcesem. Wszyscy dobrze się tu bawili tego wieczoru, zaś występ bębniarzy i nieustanny gwar dodawały nocy atmosfery. Elizabeth i Mark stuknęli się kieliszkami z szampanem i spojrzeli na rozciągające się za oknem morze wieżowców, podświetlonych niczym szachownice. W dole ulicami sunęły rzędy żółtych taksówek.

– Za twój kolejny sukces. – Mark wznosił toast, upijając nieco szampana.

Elizabeth uśmiechnęła się, czując przepelniającą ją dumę.

– Jesteśmy bardzo daleko od domu, prawda? – rzuciła zamyślona, podziwiając widok za oknem, w którym odbijało się wnętrze klubu.

Dostrzegła Henry'ego Hakalę, który przeciskał się ku niej przez tłum.

– Henry, to Mark Leeson, mój narzeczony. Mark, to Henry Hakala, właściciel Klubu Zoo – przedstawiła ich sobie Elizabeth.

– Więc to ty zatrzymywałaś moją dziewczynę do późna w nocy? – zażartował

Mark, ściskając dłoń Henry'ego.

– Uratowała mi życie – roześmiał się Henry. – Trzy tygodnie na zrobienie tego wszystkiego! – Pokazał na salę udekorowaną tapetami w zebry, na odciski łap lampartów naklejone na drewniane podłogi, ogromne rośliny w chromowanych donicach i bambusy przed barem. – To była trudna wykończeniówka, mało czasu.

Wiedziałem, że Elizabeth da sobie radę, ale nie spodziewałem się, że wyjdzie jej aż tak dobrze. – Wyglądał na szczerze wdzięcznego. – Za chwilę zaczną się przemówienia. Chciałem powiedzieć tylko kilka słów, wspomnieć kilka nazwisk inwestorów i podziękować wszystkim wspaniałym ludziom, którzy pracowali nad tym projektem. Nie odchodź nigdzie, Elizabeth, bo za kilka minut staniesz się bohaterką nocy.

– Och, daj spokój – zarumieniła się Elizabeth.

– Uwierz mi, po tym wszystkim dostaniesz sto razy więcej ofert – rzucił Henry i ruszył do mikrofonu udekorowanego winnym pnączem.

– Przepraszam, pani Egan – do Elizabeth podszedł człowiek z obsługi. – Ktoś do pani dzwoni. Telefon jest w recepcji.

– Do mnie? – zdziwiła się Elizabeth. – Telefon do mnie? Jest pan pewien?

– Pani jest panią Egan, prawda?

Pokiwała głową zdezorientowana. Kto mógł dzwonić do niej tutaj?

– To młoda kobieta. Twierdzi, że jest pani siostrą.

– Ach – jej serce zabiło gwałtownie. – Saoirse? – spytała zaszokowana.

– Tak właśnie – odparł młody człowiek z wyraźną ulgą. – Nie byłem pewien, czy dobrze zapamiętałem.

Elizabeth wydało się nagle, że muzyka stała się głośniejsza, a od loskotu bębnow za chwilę eksploduje jej głowa. Widziała wszystko jak przez mgłę. Saoirse nigdy do niej nie dzwoniła. Musiało się stać coś bardzo złego.

– Uspokój się, Elizabeth – powiedział Mark stanowczo. – Powiedz tej kobiecie, że pani Egan jest w tej chwili zajęta – zwrócił się do barmana.

– To twój wieczór, Elizabeth. Chcę, żebyś dobrze się bawiła – dodał łagodnie.

– Nie, niech pan jej tego nie mówi – wyjąkała Elizabeth. W Irlandii była chyba trzecia nad ranem. Dlaczego Saoirse dzwoniła o tak późnej porze? – Odbiorę telefon, dziękuję.

– Elizabeth, za chwilę przemówienie – przypomniał Mark. Rozmowy powoli cichły i wszyscy zaczęli gromadzić się wokół mikrofonu. – Nie możesz tego opuścić

– syknął. – To twoja chwila.

– Nie, Mark, muszę iść – zadrzała i zostawiła go, ruszając w stronę telefonu.

– Halo? – rzuciła w słuchawkę zaniepokojona.

– Elizabeth? – Saoirse płakała.

– Saoirse, co się stało? – serce podeszło Elizabeth do gardła.

– Ja tylko chciałam... – przerwała Saoirse.

– Chciałaś co? Czy wszystko w porządku? – spytała Elizabeth pośpiesznie.

– ...na końcu chciałem podziękować wspaniałej Elizabeth Egan z Morgan Designs za zaprojektowanie tego wnętrza i wyposażenie go tak cudownie w ciągu niezwykle krótkiego czasu – zahuczał głos Henry'ego. – Elizabeth stworzyła coś zupełnie odmiennego, dzięki czemu Zoo stanie się najpopularniejszym, najmodniejszym i najnowocześniejszym klubem w mieście. Gwarantuję, że ludzie będą ustawiali się w długich kolejkach, aby się tu dostać. Elizabeth, pokaż się nam, niech wszyscy dowiedzą się, kim jesteś, żeby mogli mi ciebie ukraść!

Goście rozejrzeli się w milczeniu, szukając chwalonej projektantki.

– To dziwne. Była tu jeszcze przed sekundą – zahuczał Henry. – Może ktoś już zdołał ją wykraść do kolejnej roboty.

Sala wybuchnęła śmiechem.

Elizabeth spojrzała w kierunku sali i zobaczyła Marka, który stał samotnie z dwoma kieliszkami szampana, wzruszał ramionami i śmiał się do ludzi, którzy go zagadywali. A raczej udawał, że się śmieje.

– Saoirse – podjęła Elizabeth łamiącym się głosem. – Proszę, powiedz mi, czy stało się coś złego? Znowu masz kłopoty?

Milczenie. Saoirse przestała chlipać i jakby zebrała się w sobie.

– Nie – warknęła. – wszystko w porządku. Baw się dobrze na tym swoim przyjęciu. – Rozłączyła się.

Elizabeth westchnęła i powoli odłożyła słuchawkę.

Przemówienia już się skończyły i w sali ponownie rozbrzmiały bębny i rozmowy.

Ani Elizabeth, ani Mark nie mieli jednak ochoty na dalsze świętowanie.

Elizabeth jechała drogą prowadzącą na farmę ojca. Wyszła z pracy wcześniej i zaczęła szukać Saoirse. Nikt nie widział jej od kilku dni, nawet stali bywalcy pubów, co było naprawdę niezwykle.

Zawsze trudno było wytłumaczyć ludziom, jak dotrzeć na farmę, która była całkowicie odizolowana od reszty miasta. Droga nie miała nawet swojej nazwy, co zresztą Elizabeth uważała za właściwe. Była zapomniana przez ludzi. Listonosze i mleczarze, którzy dopiero zaczynali pracę, przez dobrych kilka dni szukali ich adresu, politycy nigdy nie przychodzili do nich na rozmowy przedwyborcze. Nie docierali do nich kołędnicy i dzieci chodzące po domach w Halloween. Kiedy Elizabeth była mała, usiłowała wmówić sobie, że matka po prostu zgubiła się i nie mogła odnaleźć drogi powrotnej. Pamiętała, jak kiedyś podzieliła się tą myślą z ojcem, który uśmiechnął się słabo w odpowiedzi.

– Wiesz, Elizabeth, chyba nie odeszłaś daleko od prawdy – odparł.

Było to jedyne wytłumaczenie, jakie mogła znaleźć. Jeżeli w ogóle było jakiegokolwiek wytłumaczenie.

Nigdy nie rozmawiali o zniknięciu matki. Sąsiedzi i krewni cichli, kiedy w pobliżu pojawiała się Elizabeth. Nikt nie chciał jej powiedzieć, gdzie odeszła matka, a ona nie pytała. Nie lubiła też tej krępującej ciszy, ani zmieszania ojca, który wychodził z domu, za każdym razem, kiedy wspominano imię matki. Skoro wszyscy czuli się lepiej, nie mówiąc o matce, Elizabeth postanowiła się dostosować. Jak zwykle.

Zresztą chyba nie chciała poznać prawdy. Znacznie bardziej atrakcyjna była tajemnica okrywająca zniknięcie mamy. Elizabeth wymyślała różne historie, wyobrażając sobie matkę w rozmaitych egzotycznych i ekscytujących miejscach.

Zasypiała, wyobrażając ją sobie na bezludnej wyspie, jedzącą banany i orzechy kokosowe, wysyłając do Elizabeth listy w butelce. Mała sprawdzała brzeg oceanu każdego dnia, używając do tego lornetki ojca. Szukała butelek z kawałkiem papieru w środku.

W innej historii mama stawiała się gwiazdą hollywoodzką. Elizabeth spędzała całe godziny z nosem niemal przyklejonym do telewizora, nie opuszczając żadnej niedzielnej popołudniówki i wyczekując wielkiego debiutu mamy. Wreszcie jednak znużyło ją czekanie, wyglądanie, szukanie butelek, kurczowe trzymanie się nadziei, wyobrażanie sobie różnych scenariuszy i niezadawanie pytań. Koniec końców przestała o tym myśleć.

Sylwetka stojącą w oknie dawnej sypialni Elizabeth nie poruszyła się.

Zazwyczaj ojciec czekał na Elizabeth w ogrodzie. Od lat nie wchodziła do domu.

Odczekała przed bramą kilka minut, a kiedy ani ojciec, ani Saoirse nie wyszli na zewnątrz, otworzyła ją. Skrzywienie starych zawiasów wywołało u niej gęsią skórę. Chwiejąc się w pantoflach na wysokich obcasach na nierównej dróżce, ruszyła w stronę domu. Pomiedzy kamiennymi płytami rosły chwasty, przyglądając się ciekawie obcej osobie wkraczającej na ich teren.

Elizabeth zapukała dwukrotnie w zielone drzwi z odlażącą farbą i szybko cofnęła rękę, jakby dotyk ją poparzył. Nikt nie odpowiedział, chociaż wiedziała, że ktoś siedzi w sypialni po prawej. Wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi. Przywitał ją znajomy zatęchły zapach, który kojarzyła z dzieciństwem. Zastygła na kilka minut.

Kiedy już poradziła sobie z falą emocji, którą w niej obudził, weszła do środka.

– Halo? – chrząknęła.

Nic.

– Jest tu kto? – krzyknęła głośniej. Jej dorosły kobiecy głos wydawał się nie na miejscu w domu jej dzieciństwa.

Ruszyła w stronę kuchni z nadzieją, że ojciec usłyszy ją i wyjdzie z jej starej sypialni. Nie miała ochoty tam wchodzić.

Obcasy stuknęły głośno o kamienną podłogę. Kolejny obcy dźwięk w tym domu. Wstrzymała oddech, wchodząc do kuchni i jadalni. Wszystko było takie jak dawniej, a jednak inne. Zapachy, zegar na kominku, cerata na stole, dywan, fotel przy kominku, czerwony czajnik na zielonej podstawce, zasłony. Wszystko pozostało na swoim miejscu – postarzałe i wyblakłe – ale było tam, gdzie zawsze. Zupełnie jakby od kiedy Elizabeth odeszła, nikt tu nie mieszkał. Może tak właśnie było, może rzeczywiście nikt tak naprawdę tu nie mieszkał?

Stała na środku pokoju, przyglądając się ozdobom, wyciągając rękę, aby ich dotknąć, ale nie dotykała. Nic nie zmieniło miejsca. Czuli się jak w muzeum. Nawet dźwięki płaczu, śmiechu, klótni i miłości wisiały nadal w powietrzu niczym dym papierosowy.

Wreszcie nie mogła już dłużej tego znieść. Musiała porozmawiać z ojcem, dowiedzieć się, gdzie jest Saoirse. Nie miała wyboru, jak tylko wejść do swojego dawnego pokoju. Powoli przekreśliła mosiężną klamkę, nadal poluzowaną, jak w dzieciństwie. Pchnęła drzwi, otwierając je. Nie weszła jednak do środka ani nie rozejrzała się dookoła. Stała w progu, spoglądając na ojca, który siedział nieruchomo w fotelu przed oknem.

24

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Usiłowała nie wdychać zapachu panującego w pokoju, ale wdierał się w jej nozdrza i zbierał w gardle, zapierając dech.

– Tato? – wychrypiła.

Nie poruszył się, patrzył prosto przed siebie.

– Tato? – Jej serce zatrzymało się na chwilę. W swoim głosie usłyszała panikę.

Nie namyślając się, weszła do pokoju i podbiegła do niego. Opadła na kolana i przyjrzała się jego twarzy. Jej serce przyspieszyło.

– Tatusiu? – wyrwało się jej w panice. Dziecięce błaganie. Wydawało jej się takie realne. To słowo coś oznaczało. Wyciągnęła ręce i położyła jedną dłoń na jego policzku, drugą zaś na ramieniu. – Tato, to ja. Dobrze się czujesz? Odezwij się – prosiła drżącym głosem. Jego skóra była

ciepła.

Brendan mrugnął i Elizabeth odetchnęła z ulgą. Powoli odwrócił głowę i spojrzął na nią.

– Ach, Elizabeth. Nie słyszałem, kiedy wchodziłaś. – Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z drugiego pokoju. Był cichy, łagodny, zniknęły gdzieś surowe szorstkie tony.

– Wołałam cię – odparła spokojnie. – Przyjechałam tutaj drogą. Nie widziałeś mnie?

– Nie – odparł zaskoczony, spoglądając w okno.

– Więc na co patrzyłeś? – Ona również spojrzała w okno i widok, jaki ujrziała, zaparł jej dech w piersiach.

Cała sceneria – ścieżka, brama prowadząca do ogrodu i długa droga natychmiast wprowadziły ją w taki sam trans, w jakim był ojciec. Wróciły do niej wszystkie nadzieje i marzenia z przeszłości. Na parapecie stała fotografia matki.

Nigdy przedtem jej tutaj nie było. Elizabeth sądziła, że jej ojciec pozbył się wszystkich zdjęć mamy.

Jej wizerunek odebrał Elizabeth mowę. Już dawno temu nie widziała jej zdjęć.

Właściwie we wspomnieniach Elizabeth mama straciła już dawno rysy twarzy. Była rozmazana, zamglona, bardziej jak uczucie niż obraz. Jej widok był prawdziwym szokiem. Zupełnie jakby patrzyła na siebie. Lustrzane odbicie.

– Co ty robisz, tato? – spytała wstrząśnięta, kiedy odzyskała już mowę.

Nie poruszył się, nie mrugnął, po prostu wpatrywał się w przestrzeń.

– Widziałem ją, Elizabeth – odparł dalekim, niemal nieznanym głosem.

– Kogo? – spytała. Jej serce waliło niczym młotem. Dobrze wiedziała, kogo ojciec ma na myśli.

– Gráinne, twoją matkę. Widziałem ją, a przynajmniej tak myślę. Już tak dawno temu odeszła, że nie byłem pewien, czy to ona. Wyciągnąłem więc fotografię, żeby sobie przypomnieć. Żeby pamiętać, kiedy będzie szła drogą.

Elizabeth przełknęła gulę rosnącą w gardle.

– Gdzie ją widziałeś, tato?

– Na łące – odparł nieco cienie, wyraźnie wstrząśnięty.

– Na łące? Jakiej łące?

– Na magicznej łące. – Jego oczy zalśniły, kiedy przypominał sobie owo wydarzenie. – Na łące marzeń. Była taka szczęśliwa. Tańczyła i śmiała się tak jak zawsze. Nie postarzała się ani o jeden dzień – na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. – Ale przecież powinna, prawda? Powinna być starsza, tak jak ja.

– Jesteś pewien, że to była ona, tato? – Cała się trzęsła.

– O tak, to ona. Tańczyła na wietrze niczym nasiona dmuchawca, a słońce oświetlało ją, jakby była aniołem. Tak, to była ona, na pewno. – Wyprostował się w fotelu, opierając ręce o podłokietniki. Wyglądał na bardziej zrelaksowanego niż zwykle. – Było z nią dziecko, ale to nie była Saoirse. Nie, Saoirse już jest dorosła – przypomniał sobie. – To chyba był chłopiec, mały blondasek, zupełnie jak syn Saoirse... – Zmarszczył krzaczaste brwi.

– Kiedy ją widziałeś? – spytała Elizabeth zarazem z przerażeniem i ulgą, zdając sobie sprawę, że to ją ojciec widział na łące.

– Wczoraj – uśmiechnął się na wspomnienie. – Wczoraj rano. Niedługo do mnie wróci.

Łzy napłynęły do oczu Elizabeth.

– Siedzisz tutaj od wczoraj, tato?

– Tak, to nic. Niedługo ona tu przyjdzie, ale musiałem sobie przypomnieć jej twarz. Czasem już jej nie pamiętam, wiesz?

– Tato – wyszeptala Elizabeth. – Czy nie było tam kogoś jeszcze?

– Nie – uśmiechnął się Brendan. – Tylko ona i chłopiec. On też wyglądał na bardzo szczęśliwego.

– Chodzi mi o to, że wczoraj rano byłem na łące. – Elizabeth chwyciła go za rękę. Jej dłoń wydawała się taka mała, dziecięca przy jego ogromnej dłoni. – To mnie widziałeś, tato. Łapałam nasiona dmuchawca z Lukiem. Był tam jeszcze mężczyzna.

– Nie – potrząsnął głową. – Nie było tam żadnego mężczyzny. Gráinne nie była z żadnym mężczyzną. Niedługo do mnie wróci.

– Tato, daję słowo, że to byłem ja, Luke i Ivan. Może się pomyliłeś – dodała najłagodniej, jak potrafiła.

– Nie! – krzyknął ojciec rozpaczliwie. Elizabeth podskoczyła przestraszona.

Spojrzał na nią z odrazą. – Ona do mnie wróci! – wpatrzył się w nią natarczywie. –

Wynoś się! – wrzasnął, machając ręką i odtrącając jej dłoń.

– Co? – Jej serce zabiło gwałtownie. – Dlaczego, tato?

– Kłamiesz! – wypluł z siebie z nienawiścią. – Nie było na polu żadnego mężczyzny. Dobrze wiesz, że ona tam jest, i próbujesz ją trzymać z dala ode mnie –

syknął. – Nosisz te swoje garnitury, siedzisz za biurkiem i nie wiesz niczego o tańczeniu na łące. Jesteś kłamczuchą, zatruwasz to miejsce. Wynoś się! – powtórzył

ciszej.

Elizabeth spojrzała na niego zszokowana.

– Poznałam mężczyznę, tato. Wspaniałego, pięknego mężczyznę, który nauczył mnie wszystkich tych rzeczy... – zaczęła wyjaśniać.

Przysunął twarz tak blisko, że prawie stykali się nosami.

– WYNOŚ SIĘ STĄD! – wrzasnął.

Roztrzęsiona Elizabeth zerwała się na równe nogi. Po jej policzkach toczyły się łzy. Pokój zawirował i dostrzegła wszystko to, czego nie chciała zobaczyć – stare lalki, pluszowe misie, książki, małe biureczko, starą koldrę. Wybiegła, nie chcąc na to patrzeć. Nie była w stanie więcej znieść. Trzęsącymi się dłońmi szamotała się z zamkiem, ścigana przez coraz głośniejsze wrzaski ojca.

Wreszcie otworzyła drzwi i wybiegła do ogrodu, wdychając świeże powietrze.

Pukanie w okno sprawiło, że odwróciła się i spojrzała w górę. Jej ojciec machał na nią z wściekłością, jakby chciał ją wypędzić z ogrodu.

Gwałtownie nabrała powietrza i płacząc, otworzyła bramę. Zostawiła ją otwartą. Nie chciała już więcej słyszeć znajomego skrzypienia zawiasów.

Pobiegła do samochodu i odjechała tak szybko, jak potrafiła. Nie patrzyła w lusterko wsteczne. Nie chciała widzieć tego miejsca. Nie chciała już więcej przemierzać tego szlaku rozczarowań.

Dosyć oglądania się za siebie.

25

– Co się stało? – spytał ktoś z progu drzwi prowadzących na patio. Elizabeth siedziała przy stole kuchennym z twarzą w dłoniach, nieruchoma niczym jezioro Muckcross w bezwietrzny dzień.

– Jezus! – wymamrotała bez tchu. Nie spojrzała na niego, ale zaczęła się zastanawiać, jak Ivan to robi, że zawsze pojawia się w chwilach, gdy najmniej się go spodziewa, ale najbardziej go potrzebuje.

– Jezus? Zrobił ci coś? – Ivan wszedł do kuchni.

Elizabeth spojrzała na niego.

– Właściwie to mam problem z jego ojcem – odparła.

Ivan podszedł bliżej. Potrafił pokonywać granice, ale nigdy w zagrażający komuś sposób.

– Często to słyszę.

Elizabeth otarła oczy i rozmazany tusz. Zmięła chusteczkę.

– Czy ty nigdy nie pracujesz?

– Pracuję przez cały czas. Mogę? – Wskazał na krzesło naprzeciwko niej.

Skinęła głową.

– Przez cały czas? Więc to jest dla ciebie praca? Jestem jeszcze jednym beznadziejnym przypadkiem, którym musisz się dzisiaj zająć? – spytała sarkastycznie, ocierając łzę z policzka.

– Nie ma w tobie nic beznadziejnego, Elizabeth. Niemniej jesteś przypadkiem, już ci to powiedziałem – odparł poważnie. Elizabeth roześmiała się.

– Psychicznym przypadkiem?

Ivan posmutniał. Znów go nie zrozumiała.

– Czyli to twój strój roboczy. – Wskazała na jego ubranie.

Ivan spojrzał na siebie zaskoczony.

– Masz to na sobie każdego dnia – uśmiechnęła się. – Zatem musi to być twój strój roboczy, chyba że jesteś kompletnym brudasem, pozbawionym wyobraźni.

Ivan spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczami.

– Elizabeth, absolutnie nie brakuje mi wyobraźni. – Chyba nie zdawał sobie sprawy, co sugeruje. – Chcesz porozmawiać o tym, dlaczego jesteś taka smutna?

– Nie. Zawsze koncentrujemy się na mnie i moich problemach. Teraz dla odmiany porozmawiajmy o tobie. Co dzisiaj robieś? – spytała, usiłując zebrać się do kupy. Ich poranny pocałunek wydawał się teraz tak bardzo odległym wydarzeniem.

Myślała o tym przez cały dzień, martwiła się, czy ktoś jej przypadkiem nie widział.

Ku jej zdziwieniu jednak nikt w miasteczku, które dowiaduje się wszystkiego szybciej niż Sky News, nie wspominał ani słowem o tajemniczym mężczyźnie.

Chciała znowu pocałować Ivana i przestraszyła się swojego pragnienia.

Próbowała je od siebie odpędzić, ale nie potrafiła. W Iwanie było coś czystego, bez skazy, chociaż z drugiej strony był silny i doświadczony, wiedział wiele o życiu. Był

niczym lekarstwo, którego nie powinna brać, ale po które sięgała, jakby była uzależniona. Kiedy tego popołudnia opadł ją smutek,

przygnębienie i znużenie, wspomnienie ich pocałunku było niczym balsam na jej bolejącą duszę. Teraz chciała ponownie przeżyć ów moment, w którym opuściły ją wszystkie troski.

– Co dzisiaj robiłem? – Ivan zaczął kręcić młynka kciukami. – Rano

obudziłem Baile na gCroíthe, pocałowałem bardzo piękną kobietę, a potem spędziłem resztę dnia niezdolny do niczego innego, jak tylko myślenie o niej.

Twarz Elizabeth rozjaśniła się. Jego świdrujące błękitne spojrzenie ogrzało jej serce.

– A ponieważ nie mogłem przestać myśleć, usiadłem i cały czas rozmyślałem –

ciągnął Ivan.

– O czym rozmyślałeś?

– Wyłączając tę piękną kobietę?

– Właśnie – roześmiała się.

– Nie chciałaś wiedzieć.

– Potrafię dużo znieść.

Ivan wyglądał na nieprzekonanego.

– No dobrze, skoro rzeczywiście chcesz wiedzieć. – Zaczepnął powietrza w płuca. – Myślałem o Pożyczaczach.

– O czym? – zmarszczyła czoło.

– O Pożyczaczach – powtórzył w zamyśleniu.

– To jakiś program telewizyjny? – spytała Elizabeth, czując rosnącą w niej złość. Przygotowała się na szept o słodkich drobnostkach, jak w filmach, a nie na tę nieromantyczną konwersację.

– Tak. – Wywrócił oczami, nie zauważając zmiany w tonie jej głosu. –

Oczywiście jeżeli chcesz się odnieść do tej komercyjnej ich strony. – Wydawał się zły. – Myślałem nad tym długo i intensywnie i doszedłem do wniosku, że oni wcale nie pożyczali, tylko kradli. Kradli otwarcie i wszyscy dobrze to wiedzą, ale nikt nigdy o tym nie mówi. Pożyczyć, znaczy wziąć coś co należy do innego człowieka, użyć tej rzeczy, a potem ją zwrócić. A czy oni kiedykolwiek cokolwiek komuś oddali? Nie przypominam sobie, żeby Zielony Zegar kiedykolwiek oddał coś Pożyczającym, a ty? Zwłaszcza jedzenie. Jak można pożyczyć jedzenie? Jedzenie się zjada i koniec, nie można go oddać – usiadł z założonymi rękami, wyraźnie zły. – I co? Ktoś nakręcił film o tej bandzie złodziei, a my? My robimy tylko dobre rzeczy, ale ludzie gardzą nami, nazywają nas wytworami wyobraźni i niewidzialnymi – wykrzywił się i pokazał palcami cudzysłów. – No nie, naprawdę...

Elizabeth wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami. Nastąpiła długa chwila milczenia. Ivan rozejrzał się dookoła, potrząsnął głową w gniewie, a potem spojrzał na Elizabeth.

– Co znowu?

Milczenie.

– Och, nieważne – machnął ręką. – Powiedziałem, że nie chcesz tego wiedzieć.

Wystarczy o moich problemach. Proszę, powiedz mi, co się stało?

Elizabeth odetchnęła głęboko. Problem Saoirse oderwał ją od niezrozumiałej rozmowy o Pożyczaczach.

– Saoirse zniknęła. Joe, człowiek, który trzyma palec na pulsie Baile na gCroíthe, powiedział mi, że wyjechała z grupą ludzi, z którą się ostatnio zadawała.

Dowiedział się o tym od rodziny jednego z mężczyzn z tej grupy, chłopaka Saoirse.

Problem w tym, że mojej siostry nie ma już od trzech dni i nikt nie wie, gdzie jest.

– Och. A ja tu gadam o moich głupich problemach. Poinformowałaś o tym policję?

– Nie miałam wyboru – odparła ze smutkiem. – Czułam się okropnie, ale musieli się dowiedzieć, że wyjechała, w razie gdyby nie pojawiła się na przesłuchaniu w sądzie za kilka tygodni, a jestem przekonana, że tak właśnie się stanie. Muszę poprosić prawnika, żeby wystąpił w jej imieniu, a nie będzie to wyglądało zbyt dobrze. – Potarła twarz zmęczonym gestem.

Ivan chwycił jej dłonie i ukrył w swoich.

– Wróci – powiedział z przekonaniem. – Może nie na przesłuchanie, ale wróci.

Uwierz mi, nie musisz się martwić. – Jego głos był łagodny, lecz przesycony pewnością.

Elizabeth wpatrzyła się w jego oczy, szukając ukrytej w nich prawdy.

– Wierzę ci – powiedziała. W głębi duszy jednak bała się. Bała się zaufać Ivanowi. Bała się uwierzyć. Wszystkie jej nadzieje i marzenia zostaną ujawnione, zawisną nad nią niczym chorągiewki, wystawione na widok publiczny. A potem przyjdą burze i wichury, które poszarpią i zniszczą te chorągiewki nadziei.

Elizabeth nie miała siły na spędzanie kolejnych lat przy oknie, na spoglądanie na drogę, czekanie na powrót bliskiej osoby. Była zmęczona i musiała zamknąć oczy.

Gdy następnego ranka opuściłem dom Elizabeth, postanowiłem udać się prosto do Opal. Właściwie zdecydowałem o tym na długo, zanim wyszedłem z domu.

Zaniepokoiło mnie coś, co powiedziała Elizabeth. Właściwie wszystko, co mówiła, wywoływało we mnie dziwny niepokój. Kiedy przebywałem z nią, byłem niczym jeź – kłujący i wrażliwy, zupełnie jakby wszystkie moje zmysły nagle się wyostrzyły. To zabawne, ale zawsze myślałem, że i tak jestem bardzo wrażliwy – profesjonalny najlepszy przyjaciel powinien taki być – lecz teraz rozkwitło we mnie jedno uczucie, którego przedtem nie doświadczyłem. Miłość.

Oczywiście kochałem moich przyjaciół, ale nie w ten sposób. Moje serce nigdy nie waliło przy nich młotem, jak wtedy, kiedy patrzyłem na Elizabeth. Z nimi nie chciałem być przez cały czas – i wcale nie chciałem być z Elizabeth dla niej.

Zdałem sobie sprawę, że chciałem z nią być dla siebie. Miłość obudziła w moim ciele zmysły, o których nie miałem pojęcia, że w ogóle istnieją.

Chrząknąłem, poprawiłem ubranie i wszedłem do gabinetu Opal. Aniark Kejab nie zna drzwi, ponieważ nie ma tu nikogo, kto mógłby je otworzyć. Jest jeszcze inna przyczyna – są toporne, niegościnnie, używa się ich po to, aby odizolować ludzi w środku lub na zewnątrz pomieszczenia, a my nie popieramy takich zachowań. Mamy otwarte biura, które stwarzają przyjazną atmosferę. Chociaż muszę przyznać, że drzwi w kolorze fuksji z uśmiechającą się skrzynką pocztową, prowadzące do domu Elizabeth należały do najbardziej przyjaznych drzwi, jakie kiedykolwiek widziałem.

Teoria o drzwiach trochę się zatem sypała. Elizabeth sprawiła, że zacząłem kwestionować wiele rzeczy.

Opal nie podniosła nawet głowy, żeby na mnie spojrzeć.

– Witaj, Ivan – powiedziała.

Siedziała za biurkiem, ubrana w purpurę, jak zwykle. Włosy związała z tyłu i posypała błyszczącym pyłem, więc cała jej głowa połyskiwała z każdym poruszeniem. Na wszystkich ścianach gabinetu wisiały setki oprawionych w ramki fotografii radośnie uśmiechniętych dzieci. Podobne zdjęcia znajdowały się na półkach, na stoliku do kawy, szafce, kominku i parapecie. Wszędzie, gdzie spojrzałem, napotykałem rzędy zdjęć ludzi, z którymi pracowała Opal i z którymi zaprzyjaźniła się w przeszłości. Jej biurko było jedyną wolną powierzchnią w tym miejscu. Stała na nim tylko jedna fotografia. Była tam już od lat, zwrócona do Opal, tak że nikt nigdy nie miał szansy zobaczyć, kto na niej jest. Wiedzieliśmy, że jeżeli spytamy, zapewne nam odpowie, ale nikt z nas nie chciał zachować się nieuprzejmie.

Nie musieliśmy tego wiedzieć, a zatem nie było potrzeby pytać. Niektórzy ludzie zupełnie tego nie rozumieją. Można rozmawiać z innymi osobami na bardzo istotne tematy i nie być wścibskim. Są pewne granice, coś w rodzaju niewidzialnego pola otaczającego każdą istotę ludzką i nie wolno jej przekraczać. Ani ja, ani nikt inny nie zrobiliśmy tego w stosunku do Opal. Niektórzy ludzie po prostu tego nie pojmują.

Elizabeth nie spodobałby się ten pokój, pomyślałem, rozglądając się dookoła.

Natychmiast usunęłaby stąd wszystko, odkurzyła, wypolerowała na wysoki szpitalny połysk. Nawet w kawiarni musiała ustawić solniczkę, pieprzniczkę i cukierniczkę w trójkąt na samym środku stołu. Zawsze przestawiała rzeczy centymetr w lewo lub w prawo, do przodu i do tyłu, aż przestawały ją denerwować i znowu mogła się skoncentrować. To zabawne, ale czasem odstawiała je dokładnie w to samo miejsce, w którym stały poprzednio. To wiele mówiło o Elizabeth.

Dlaczego znowu zacząłem o niej myśleć? Cały czas mi się to zdarzało. W

sytuacjach zupełnie z nią niezwiązanych myślałem o niej i sprawiałem, że stawała się częścią scenariusza. Czasem nagle zaczynałem się zastanawiać, co ona by sobie pomyślała, co by poczuła, co by zrobiła lub powiedziała, gdyby była w takiej chwili ze mną. Tak to się kończy, kiedy dzielisz się z kimś swoim sercem – ta osoba zagrzeżdza się w twoich myślach i powoli anektuje je wyłącznie dla siebie.

W każdym razie zdałem sobie sprawę, że stoję przed biurkiem Opal, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa od chwili, kiedy tu wszedłem.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – spytałem wreszcie.

Opal spojrzała na mnie i uśmiechnęła się wszechwiedzącym uśmiechem.

– Spodziewałam się ciebie. – Jej wargi wyglądały jak dwie duże poduszki.

Były purpurowe, dokładnie w kolorze jej togi. Pomyślałem o tym, jak się czułem, kiedy pocałowałem usta Elizabeth.

– Ale przecież nie umawiałem się z tobą – zaprotestowałem. Wiedziałem, że mam intuicję, ale Opal pod tym względem była niezrównana.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała z uśmiechem.

– Myślałem, że i tak już to wiesz, bez pytania – odparłem sarkastycznie, siadając na fotelu obrotowym. Przypomniał mi się taki sam fotel w biurze Elizabeth i znowu zacząłem myśleć o niej i o tym, jak to jest, kiedy ją przytulał, śmieję się z nią i słyszę, jak oddycha w nocy.

– Pamiętasz sukienkę, którą Arnika miała na sobie w zeszłym tygodniu, na zebraniu? – zacząłem.

– Tak.

– Wiesz, skąd ją wzięła?

– Dlaczego pytasz? Też chcesz taką mieć? – spytała Opal z figlarnym błyskiem w oczach.

– Tak – odparłem, ściskając dłonie. – To znaczy nie – dodałem szybko.

Odetchnąłem. – Chciałem powiedzieć... gdzie mogę znaleźć jakieś ubrania na zmianę dla siebie? – uf, wreszcie się przełamalem.

– W dziale z odzieżą, dwa piętra niżej – odparła Opal.

– Nie wiedziałem, że mamy dział z odzieżą – powiedziałem zaskoczony.

– Zawsze tam był. – Opal przyjrzała mi się badawczo. – Czy mogę zapytać, po co ci to wszystko?

– Nie wiem – wzruszyłem ramionami. – Po prostu Elizabeth... wiesz, ona...

emm... ona jest inna niż moi dotychczasowi przyjaciele. Zwraca uwagę na takie rzeczy, rozumiesz?

Opal powoli pokiwała głową.

Czułem, że powinienem jej to wyjaśnić bardziej szczegółowo. Milczenie sprawiało, że czułem się niepewnie.

– Widzisz, dzisiaj Elizabeth powiedziała, że moje ubranie jest albo strojem roboczym, albo jestem brudasem bez wyobraźni – westchnąłem, przypominając sobie rozmowę. – Akurat wyobraźni mi nie brakuje.

Opal uśmiechnęła się.

– Brudasem też nie jestem – ciągnąłem. – Zacząłem się więc zastanawiać nad kwestią stroju roboczego – przyjrzałem się swojemu ubraniu. –

Może Elizabeth ma rację?

Opal ściągnęła usta.

– W zasadzie to Elizabeth też nosi jakby strój roboczy. Zawsze ubiera się na czarno, w takie same kostiumy, jej makijaż jest maską, włosy zawsze ma spięte w ciasny kok. Nic w niej nie jest wolne, swobodne. Pracuje cały czas i traktuje to tak poważnie. – Spojrzałem wstrząśnięty na Opal, ponieważ zdałem sobie z czegoś sprawę. – Dokładnie jak ja, Opal.

Opal milczała.

– A ja przez cały ten czas mówiłem o niej arazidun.

Opal roześmiała się lekko.

– Chciałem ją nauczyć radości, zabawy, jak zmienić wygląd, ubranie, przestać nosić maskę, odmienić jej życie, żeby odnalazła szczęście. Jak mogę tego dokonać, skoro jestem dokładnie taki sam jak ona?

– Rozumiem to. – Opal pokiwała głową. – Ty również wiele uczysz się od Elizabeth, doskonale to widzę. Ta kobieta budzi w tobie nowe uczucia, ty zaś pokazujesz jej, jak można żyć inaczej.

– W niedzielę łapaliśmy Jinny Joe – powiedziałem cicho. Zgadzałem się z Opal.

– Wiem. – Otworzyła szafkę stojącą za jej plecami i uśmiechnęła się.

– Och, wspaniale. Dotarły – odparłem uradowany, widząc nasionka dmuchawca spoczywające w słoiku.

– Przyleciało między innymi jedno z twoich życzeń, Ivan – powiedziała Opal poważnie.

Poczułem, że się czerwienię.

– Wiesz, że wczoraj Elizabeth spała nieprzerwanie przez sześć godzin? To pierwszy raz w jej życiu.

– Powiedziała ci to, Ivan? – Opal spojrzała na mnie łagodnie.

– Nie, widziałem jej... – przerwałem. – No dobrze, zostałem na noc, ale przytulałem ją tylko, dopóki nie zasnęła. To nic wielkiego. Prosiła mnie o to – nie byłem pewien, kogo chcę przekonać do moich słów. – W gruncie rzeczy robię to cały czas z innymi przyjaciółmi. Czytam im bajki na dobranoc, zostaję z nimi, dopóki nie zasną, a czasem nawet śpię u nich na podłodze. To żadna różnica.

– Tak sądzisz?

Nie odpowiedziałem.

Opal chwyciła pióro wieczne z purpurowym piórkiem na szczycie i wróciła do kaligrafowania.

– Jak długo jeszcze twoim zdaniem będziesz musiał z nią pracować?

Tu mnie miała. Moje serce wykonało dziwny taniec. Opal nigdy przedtem nie pytała mnie o taką rzecz. W naszej pracy nie liczył się czas tylko naturalny rozwój wypadków. Czasem wystarczył jeden dzień, innym razem potrzeba było wielu miesięcy. Kiedy twoi przyjaciele byli gotowi, wszystko dobiegało końca. Nigdy przedtem nie musieliśmy wyznaczać sobie jakichkolwiek ograniczeń czasowych.

– Dlaczego pytasz?

– Och – wydawała się nieco zdenerwowana. – Tak się zastanawiam. Interesy zawodowe... jesteś najlepszym pracownikiem, jakiego mam, Ivan, i chcę, żebyś pamiętał, że na świecie jest dużo więcej ludzi, którzy cię potrzebują.

– Wiem o tym – odparłem z mocą. W głosie Opal usłyszałem niespotykane wcześniej tony, negatywne tony, które zabarwiły powietrze na niebiesko i czarno. Nie podobało mi się to wcale a wcale.

– Doskonale – rzekła z wymuszoną radością. Wiedziała, że wygląda to sztucznie. – Możesz to podrzucić do laboratorium analitycznego w drodze do działu odzieżowego? – wręczyła mi słoik z Jinny Joe.

– Oczywiście. – Odebrałem od niej słoik. W środku były trzy nasionka, jedno Luke'a, jedno Elizabeth, ostatnie zaś moje. Leżały na dnie, odpoczywając po długiej podróży na wietrze. – Do widzenia – rzuciłem dziwnym tonem, wycofując się z gabinetu Opal. Czułem się tak, jak byśmy

przed chwilą się pokłócili, chociaż wcale tak nie było.

Powędrowałem korytarzem do laboratorium, dociskając mocno przykrywkę słoika, żeby marzenia nie uciekły. W laboratorium zastałem Oskara, biegnącego dookoła z wyrazem paniki na twarzy.

– Otwórz drzwiczki! – wrzasnęła, przebiegając obok drzwi, z rękami

wysuniętymi do przodu. Jego fartuch łopotał niczym u postaci z filmu rysunkowego.

Odstawiłem słoik w bezpieczne miejsce i pospiesznie otworzyłem drzwi do klatki. Oskar ruszył w moim kierunku i w ostatnim momencie odskoczył na bok, robiąc unik przed czymś, co go goniło, tak sprytnie, że to coś znalazło się w klatce.

– Ha! – zawołał triumfalnie, zatraskując drzwiczki, przekręcając klucz i grożąc palcem klatce. Jego czoło zroszone było potem.

– Co to było, do stu piorunów? – spytałem, podchodząc bliżej.

– Uwważaj! – krzyknął Oskar. Odskoczyłem czym prędzej. – To nie są pioruny.

– Otarł czoło chusteczką.

– A co to jest?

– Nigdy nie widziałeś spadającej gwiazdy, Ivan?

– Oczywiście, że tak. – Okrążyłem klatkę. – Tyle że nie aż z tak bliska.

– No tak. – Głos Oskara ociekał słodyczą. – Zawsze widzujesz je z daleka, takie piękne i jasne, tańczące na nocnym niebie, i wypowiadasz życzenia. Niestety – dodał

nieprzyjemnym tonem – zapominasz o Oskarze, który potem musi zbierać twoje życzenia z tych gwiazd.

– Przepraszam, Oskar, naprawdę zapomniałem. Nie sądziłem, że gwiazdy są takie niebezpieczne.

– A dlaczego? – warknął. – Uważasz, że płonący asteroid oddalony miliony kilometrów od ziemi przyleci do mnie sam i pocałuje mnie w policzek? Zresztą nieważne. Co mi przyniosłeś? Och, doskonale. Słoik z Jinny Joe. Właśnie tego potrzebowałem po zabawie w berka z tą ognistą kulą. Coś, co wykazuje odrobinę szacunku – krzyknął w stronę klatki. Ognista kula podskoczyła gniewnie w odpowiedzi.

Odsunąłem się jeszcze dalej od klatki.

– Co to było za życzenie? – Trudno mi było uwierzyć, że ta kula ognia może pomóc komukolwiek.

– To zabawne, że pytasz – skrzywił się Oskar. – Ta tutajniosła życzenie, żeby gonić mnie po całym laboratorium.

– Tommy? – usiłowałem się nie roześmiać.

– Tak przypuszczam – rzucił gniewnie. – Nie mogę jednak narzekać, ponieważ było to dwadzieścia lat temu, kiedy Tommy zaczynał i nic jeszcze nie wiedział o tej pracy.

– Dwadzieścia lat? – spytałem zaskoczony.

– Tyle czasu zajęło dotarcie gwiazdy na miejsce. – Oskar otworzył słoik i wyciągnął z niego Jinny Joe dziwnym przyrządem. – W końcu, jeżeli weźmiemy pod uwagę miliony lat świetlnych odległości, dwadzieścia lat to całkiem szybko.

Zostawiłem Oskara z Jinny Joe i ruszyłem do działu odzieżowego. Właśnie mierzyli tam Olivię.

– Witaj, Ivan – powiedziała zaskoczona.

– Cześć, Olivia. Co robisz? – Obserwowałem, jak krawcowa mierzy jej cieniutki nadgarstek.

– Robię przymiarki do sukni, Ivan. Biedna pani Cromwell odeszła zeszłej nocy

– wyjaśniła smutno. – Pogrzeb jest jutro, a byłam już na tyłu, że moja czarna suknia się zniszczyła.

– Przykro mi. – Wiedziałem, że Olivia bardzo lubiła panią Cromwell.

– Dziękuję, ale życie musi toczyć się dalej. Dziś rano w hospicjum pojawiła się kobieta, która potrzebuje mojej pomocy. Muszę się nią zająć.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– A co ciebie tutaj sprowadza?

– Moja nowa przyjaciółka Elizabeth jest kobietą. Zwraca uwagę na moje ubranie.

Olivia zachichotała.

– Chcesz podkoszulek w innym kolorze? – spytała krawcowa. Wyciągnęła czerwoną koszulkę z szuflady.

– Em... nie. – Przystąpiłem z nogi na nogę i rozejrzałem się po półkach, sięgających sufitu. Na każdej z nich widniała plakietka z imieniem.

Pod rzędem ślicznych sukienek zobaczyłem imię Arniki. – Myślałem o czymś bardziej...

eleganckim.

Olivia uniosła brwi w zdziwieniu.

– W takim razie musisz zrobić przymiarki do garnituru, Ivan.

Ustaliliśmy, że dostanę czarny garnitur z niebieską koszulą i krawatem. To moje ulubione kolory.

– Coś jeszcze, czy to już wszystko? – spytała Olivia z filuternym błyskiem w oku.

– Właściwie to... – Ściszyłem głos i rozejrzałem się. Nie chciałem, żeby krawcowa mnie usłyszała. Olivia przysunęła głowę bliżej. –

Zastanawiałem się, czy mogłabyś mnie nauczyć stepu irlandzkiego[5]?

Elizabeth wpatrywała się w niewykończoną ścianę, upstrzoną łatami gipsu.

Czuła się zagubiona. Ściana nie mówiła jej absolutnie nic. Była dziewiąta nad ranem i na budowie krzżeli się mężczyźni w kaskach ochronnych, pobrudzonych luźnych dżinsach, kraciastych koszulach i roboczych butach na grubej podeszwie. Biegali dookoła, dźwigając na plecach przeróżne materiały. Wyglądali niczym armia mrówek. Pokrzykiwania, śmiechy, piosenki i pogwizdywanie odbijały się zwielokrotnionym echem w pustej skorupie hotelu, którą Elizabeth powinna wypełnić swoimi pomysłami. Dźwięki przetaczały się po korytarzach niczym huk pioruna, gromadząc się w pomieszczeniu, które miało być w przyszłości bawialnią dla dzieci.

Teraz to wnętrze było bezbarwne, ale za kilka tygodni będą tu szaleć pociechy gości, otoczone kokonem ciszy pozostałych pokoi. Może Elizabeth powinna obłożyć ściany materiałem dźwiękoszczelnym? Nie miała pojęcia, co ma zrobić, aby wywołać uśmiech na małych twarzyczkach dzieci, kiedy będą tu wchodziły zdenerwowane i smutne z powodu rozłąki z rodzicami. Wiedziała wiele o szeszlach, ekranach plazmowych, marmurowych posadzkach i drewnie wszelkiego gatunku. Potrafiła projektować wnętrza szykowne, współczesne, eleganckie, prowokujące, pełne splendoru i dostojeństwa. To jednak nie robi wrażenia na dzieciach. Elizabeth zdawała sobie sprawę, że kilka układanek, puzzli, klocków lego i dużych poduch wypełnionych grochem wywarłoby znacznie lepszy efekt.

Mogła wynająć murarza i malarza do wykonania jej zlecenia, poprosić Poppy o drobne wskazówki, ale lubiła mieć nad wszystkim bezpośrednią pieczę.

Postawiła dziesięć puszek podstawowych kolorów w rzędzie na podłodze, otworzyła wieczka i umieściła obok każdej z nich pędzel. Rozłożyła na podłodze białe prześcieradło i upewniając się, że jej robocze dżinsy nie będą miały żadnej styczności z brudną podłogą, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na środku pokoju i wpatrzyła się w ścianę. Nie potrafiła jednak myśleć o niczym innym, tylko o Saoirse.

Saoirse zaprzętała jej myśli bez przerwy, każdego dnia.

Zastanawiała się, jak długo tu siedziała. Pamiętała jak przez mgłę

budowniczych wchodzących i wychodzących z pokoju, zbierających swoje narzędzia, przyglądających się jej z zaciekawieniem, gdy wpatrywała się zahipnotyzowana w pustą ścianę. Miała wrażenie, że cierpi na projektancki odpowiednik zaniku weny twórczej. W jej głowie nie pojawiały się żadne wizje, żadne obrazy, żadne kolory. Umysł Elizabeth wypełniała... pustka. Zupełnie jakby jej myśli odbijały się od owej bezpłciowej, zagipsowanej ściany.

Poczuła czyjąś obecność i odwróciła się. W wejściu stał Benjamin.

– Przepraszam, normalnie bym zapukał, ale... – rozłożył ręce. – Nie ma drzwi.

Elizabeth uśmiechnęła się na przywitanie.

– Podziwiasz moją pracę?

– To ty to zrobiłeś? – Spojrzała na ścianę.

– Moje najwspanialsze dzieło – odparł. Oboje przyrzekli się w milczeniu białemu murowi.

– Nie przemawia do mnie – westchnęła Elizabeth.

– Ach, nie masz pojęcia, jak trudno jest stworzyć dzieło, które do nikogo nie przemawia. Zawsze znajdzie się ktoś, kto wymyśli jego interpretację, a to? –

Wzruszył ramionami. – Nic. Żadnej symboliki.

– Objaw czystego geniuszu, panie West.

– Benjamin – skrzywił się. – Ciągłe ci powtarzam, nazywaj mnie po imieniu.

Inaczej czuję się jak nauczyciel matematyki.

– W porządku, możesz do mnie mówić pani Egan.

Zobaczył, jak jej usta rozciągają się w dyskretnym uśmiechu. Odwróciła głowę, aby znowu spojrzeć na ścianę.

– Sądzisz, że dzieci mogłyby polubić bawialnię w tym stanie? – spytała z nadzieją.

– Hmm – mruknął w zamyśleniu. – Gwoździe wystające z listew

przypodłogowych stałyby się szczególną atrakcją. Nie mam pojęcia – przyznał. –

Pytasz niewłaściwą osobę. Dzieci to dla mnie obcy gatunek, z którym nie jestem w bliskich stosunkach.

– Ja też nie – wymamrotała Elizabeth z poczuciem winy, myśląc o tym, że nie potrafiła dotrzeć do Luke'a tak jak Edith. Chociaż trzeba przyznać, że od chwili, gdy poznała Ivana, zaczęła spędzać z małym więcej czasu. Poranek na łące z Lukiem i Ivanem był dla niej przełomowym momentem. Mimo to, gdy była sam na sam z siostrzeńcem, nie potrafiła się z nim bawić. To Ivan budził w niej dziecko, radość życia.

Benjamin przysiadł, opierając się ręką na zakurzonej podłodze.

– Ani trochę w to nie wierzę. Masz syna, prawda?

– Nie, nie mam... To mój siostrzeniec. – odpowiedziała. – Zaadoptowałam go, ale dzieci są ostatnią rzeczą na świecie, którą rozumiem. –

Wszystko, co dzisiaj mówiła, było kompletnie bez ładu i składu. Tęskniła za Elizabeth, która potrafiła prowadzić rozmowę bez wplatania w nią komentarzy z życia prywatnego. Ostatnio jednak chyba otworzyła się brama jej serca i nie miała kontroli nad wypływającymi zeń emocjami.

– W niedzielę rano wydawało mi się, że doskonale wiesz, czego chce twój siostrzeniec – powiedział łagodnie Benjamin, spoglądając na nią zmienionym wzrokiem. – Przejeżdżałem akurat obok łąki, na której tańczyliście.

Elizabeth zaczerwieniła się jak burak.

– Najwyraźniej widziałeś nas nie tylko ty, ale i cała reszta miasta. To był pomysł Ivana – dodała szybko.

– Zawsze przypisujesz zasługi Ivanowi? – roześmiał się Benjamin.

Zamyśliła się nad odpowiedzią, ale Benjamin nie dał jej dojść do głosu.

– Myślę, że może powinnaś posiedzieć tu trochę i spróbować postawić się w sytuacji dzieci – powiedział. – Wykorzystaj swoją bogatą wyobraźnię. Gdybyś ty była mała, co chciałabyś robić w tym pokoju?

– Poza tym, żeby stąd uciec i jak najszybciej dorosnąć?

Benjamin podniósł się z podłogi.

– Jak długo jeszcze planujesz zatrzymać się w Baile na gCroíthe? – spytała szybko Elizabeth. Uznała, że im dłużej Benjamin zostanie, tym dłużej będzie mogła odkładać przyznanie się przed samą sobą, że po raz pierwszy w życiu nie ma zielonego pojęcia, jak zaprojektować wnętrze pokoju.

Benjamin wyczuł, że Elizabeth potrzebuje rozmowy, więc opadł z powrotem na zakurzoną podłogę. Elizabeth musiała odepchnąć od siebie myśl o milionach pełzających po nim roztoczy.

– Planuję wyjechać stąd, gdy tylko wyschnie ostatnia warstwa farby i zostanie wbity ostatni gwóźdź.

– Widać od razu, że zakochałeś się w tym miejscu – zauważyła ironicznie Elizabeth. – Nie robią na tobie wrażenia zapierające dech w piersi krajobrazy Kerry?

– Owszem, są bardzo ładne, ale oglądałem je przez ostatnie pół roku.

Przydałaby mi się filiżanka porządnej kawy, więcej niż jeden sklep, w którym mógłbym kupić ubranie, i możliwość chodzenia ulicami miasta, w którym ludzie nie będą mi się przyglądać, jakbym właśnie uciekł z zoo.

Elizabeth roześmiała się. Benjamin uniósł ręce do góry.

– Nie chciałem, żeby zabrzmiało to obraźliwie. Irlandia jest wspaniałym krajem, ale... po prostu nie jestem fanem małych miasteczek.

– Ja też nie... W takim razie, skąd uciekłeś?

– Z Nowego Jorku.

Elizabeth potrząsnęła głową.

– Nie masz nowojorskiego akcentu.

– I tu mnie masz. Pochodzę z Haxtun w Colorado. Na pewno słyszałaś o tym miejscu. Jest znane z wielu rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Na przykład z niczego – uniósł brwi. – To małe miasteczko w wielkiej zakurzonej niecce. Tysiąc mieszkańców, wszyscy są farmerami.

– Nie podobało ci się tam?

– Nie, nie podobało – odparł stanowczo. – Można powiedzieć, że cierpiałem na klaustrofobię – dodał z uśmiechem.

– Znam to uczucie – pokiwała głową Elizabeth. – Zupełnie jak tutaj.

– Faktycznie, tutaj jest bardzo podobnie. – Benjamin wyjrzał przez okno i rozluźnił się. – Wszyscy machają do ciebie, kiedy ich mijasz. Nie mają pojęcia, kim jesteś, ale i tak machają.

Elizabeth nie zdawała sobie z tego sprawy aż do tej chwili. Wyobraziła sobie ojca na polu, w czapce zasłaniającej mu twarz, unoszącego rękę i machającego do przejeżdżających samochodów.

– Machają do ciebie na polach, na ulicach – ciągnął Benjamin. – Farmerzy, staruszki, dzieci, nastolatki, niemowlęta i seryjni mordercy. Znam to wszystko na pamięć, do bólu – spojrzał na nią błyszczącym wzrokiem. – Nawet kierowcy machają do ciebie dwoma palcami znad kierownicy, kiedy przechodzi się przez ulicę. Daję słowo, jeżeli człowiek przestaje się pilnować, wyjeżdża z takiego miejsca, machając do krów.

– Które zapewne by odpowiedziały tym samym.

Benjamin roześmiał się głośno.

– Myślałaś kiedyś o wyjeździe?

– Zrobiłam więcej. – Elizabeth spoważniała. – Ja też wyprowadziłam się do Nowego Jorku, ale mam tu zobowiązania – skończyła szybko, spoglądając w bok.

– Chodzi o twojego siostrzeńca, tak?

– Tak – odparła cicho.

– Cóż, jedna dobra rzecz w małych miasteczkach to ta, że kiedy wyjeżdżasz, wszyscy za tobą tęsknią i zauważają twoją nieobecność.

Spojrzeli na siebie przez moment.

– Zapewne masz rację – odparła Elizabeth. – To ironia losu, że oboje przeprowadziliśmy się do wielkiego miasta, w którym otaczało nas

więcej budynków i ludzi niż można sobie wyobrazić, a wszystko po to, żeby odizolować się od tych ostatnich.

– Taaak. – Benjamin wpatrywał się w nią bez zmużenia oka. Elizabeth wiedziała, że jej nie widzi. Był pogrążony w swoim własnym świecie i wyglądał na zagubionego. – No tak – wyrwał się z zamyślenia. – Miło mi było znowu z panią pogawędzić, pani Egan.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Lepiej już pójdę i pozwolę ci się dalej wpatrywać w ścianę. – Wstał i ruszył w kierunku wyjścia. Zatrzymał się w progu. – Tak przy okazji, nie chciałbym cię wprawić w zakłopotanie... – Elizabeth poczuła ściskanie w żołądku. – Naprawdę, nie mam absolutnie nic złego na myśli, ale czy chciałabyś się kiedyś ze mną spotkać prywatnie? Byłoby miło dla odmiany porozmawiać z pokrewną duszą.

– Oczywiście. – Elizabeth spodobało się jego niewymuszone zaproszenie.

Żadnych oczekiwań.

– Może wiesz o jakimś fajnym miejscu? Pół roku temu, zaraz po przyjeździe tutaj popełniłem błąd, pytając Joego, gdzie jest najbliższy bar sushi. Musiałem mu wytłumaczyć, że chodzi o surową rybę. Skierował mnie nad jezioro, mniej więcej godzinę jazdy samochodem stąd i powiedział, żebym spytał o faceta o imieniu Tom.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem. Był to dźwięk nader znajomy od kilku dni.

– To jego brat, rybak – wyjaśniła.

– Aha. Do zobaczenia następnym razem.

Pokój znowu opustoszał i Elizabeth stanęła wobec starego dylematu.

Zastanowiła się nad tym, co Benjamin powiedział o wyobraźni i postawieniu się w pozycji dziecka. Zamknęła oczy i przywołała wspomnienia odgłosów zabawy, krzyków, śmiechu, płaczu i awantur, głośniego stukania zabawek, tupotu nóg, głuchych odgłosów upadania na podłogę, zdziwioną ciszę, a potem zawrodozenie.

Wyobraziła sobie, że jest dzieckiem, siedzi sama w pokoju i nie zna tu nikogo. Nagle zrozumiała, że jest coś, czego by chciała w takiej sytuacji.

Przyjaciela.

Otworzyła oczy i tuż obok siebie na podłodze dostrzegła wizytówkę. Pokój nadal był pusty i cichy. Ktoś musiał się tu zakraść, kiedy miała zamknięte oczy, i zostawić karteczkę obok niej. Podniosła wizytówkę, na której widniał czarny odcisk kciuka. Nie musiała czytać; wiedziała, że to od Benjamin.

Może wyobraźnia zadziałała? Wygląda na to, że właśnie znalazła w obcej bawialni przyjaciela.

Wsunęła wizytówkę do kieszeni spodni, zapomniała o Benjaminie i zaczęła znowu wpatrywać się w puste ściany.

Nic. Nadal nic.

28

Elizabeth usiadła przy szklanym stole w lśniącej czystością kuchni, otoczona błyszczącymi granitowymi blatami, wypolerowanymi szafkami z orzecha. Właśnie skończyła szorowanie marmurowej posadzki w całym pomieszczeniu, ale jej myśli nie nabrały dzięki temu przejrzystości. Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła się ku niemu, sądząc, że to Saoirse, ale to tylko Edith chciała się dowiedzieć, jak miewa się Luke.

Saoirse nadal się nie odezwała, a ojciec czekał w sypialni Elizabeth na powrót żony. Siedział, jadł i spał w tym samym fotelu już od niemal dwóch tygodni. Nie chciał rozmawiać z Elizabeth, nie pozwolił jej nawet podejść do drzwi wejściowych.

Poprosiła więc gosposię, żeby zaglądała do niego, gotowała mu codziennie coś ciepłego i ogarniała dom. Czasami ojciec wpuszczał ją do środka, czasem nie. Młody człowiek, który pracował z nim na farmie, przejął wszystkie obowiązki. Kosztowało to Elizabeth dużo pieniędzy, wiedziała, że nie stać jej na to wszystko. Nie mogła jednak zrobić nic innego. Nie potrafiła pomóc swoim najbliższym, jeżeli nie chcieli jej pomocy. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że była do nich trochę podobna.

Wszyscy mieszkali razem. Dziewczynki dorastały w tym samym miejscu, ale mimo to osobno. Teraz nadal przebywali w tym samym mieście. Nie komunikowali się ze sobą zbyt często, ale gdy ktoś odchodził... miało to znaczenie. Byli związani niewidzialną liną, która stała się przedmiotem szarpaniny.

Elizabeth nie potrafiła powiedzieć Luke'owi o zmianach, chociaż oczywiście mały domyślał się, że coś się stało. Ivan miał rację; dzieci posługiwały się w takich przypadkach szóstym zmysłem. Luke jednak był dobrym chłopcem i gdy tylko wyczuł smutek Elizabeth, cichutko wycofał się do swojej bawialni, skąd doszły ją ciche odgłosy stukania klocków.

Nie umiała powiedzieć mu nic poza tym, żeby umył ręce, wysławił się poprawnie i przestał szurać nogami. Nie potrafiła wyciągnąć do niego ramion, przytulić go, powiedzieć „kocham cię”, chociaż próbowała na swój sposób sprawić, aby czuł się bezpiecznie i wiedział, że jest dla niej ważny. Zdawała sobie jednak sprawę, czego tak naprawdę chce Luke. Była kiedyś w jego sytuacji, wiedziała, jak to jest być przytulany, ukochany, całowany w czoło i kołyszany w ramionach.

Wiedziała, jak to jest, przez kilka minut czuć się bezpiecznie, wiedzieć, że jest ktoś, kto się tobą opiekuje i że nie trzeba radzić sobie samemu w życiu.

W ciągu kilku ostatnich tygodni Ivan pozwolił jej poznać to uczucie. Całował

ją w czoło i kołysał do snu. Elizabeth odpływała w sen, nie czując się samotna, nie pragnęła już wyglądać przez okno, czekać, szukać.

Ivan, słodki, słodki Ivan, pozostawał dla niej tajemnicą. Nie знаła nikogo, kto potrafiłby jej pomóc zrozumieć, kim właściwie jest, pomóc jej stanąć na własne nogi.

Zabawne, ale człowiek, który żartobliwie mówił o niewidzialności, chyba rzeczywiście nosił czapkę niewidkę. Otwierał przed nią mapę, pokazywał drogę, ale Elizabeth nie miała pojęcia, dokąd on sam idzie, skąd pochodzi i kim jest. Lubił

rozmawiać o jej problemach, pomagał jej zaleczyć rany, budować nową, lepszą Elizabeth, ale ani razu nie wspomniał o sobie. Zupełnie jakby była dla niego chwilową odmianą życia. Zastanawiała się, co będzie, kiedy ów czas odmiany dobiegnie końca.

Czuła, że ich chwile razem są bardzo cenne i chciała przeżywać każdą minutę, jakby miała być ostatnia. Ivan wydawał się zbyt cudowny, żeby mógł być prawdziwy.

Każda chwila z nim przesycona była magią i Elizabeth założyła, że coś tak dobrego nie może trwać wiecznie. W jej życiu nie przetrwały żadne dobre uczucia. Ludzie, którzy rozjaśniali jej życie, nie wytrzymywali z nią zbyt długo. Elizabeth ze strachem oczekiwała w każdej chwili odejścia Ivana. Czuła, że tak właśnie się stanie.

Kimkolwiek był Ivan, leczył ją, uczył uśmiechu, radości, śmiechu. Zastanawiała się, co ona może mu dać w zamian. Obawiała się, że ten cudowny mężczyzna o łagodnym spojrzeniu pewnego dnia zrozumie, że Elizabeth nie ma mu nic do zaoferowania.

Tak było z Markiem. Po prostu nie mogła mu dać więcej siebie, bez odsunięcia się od rodziny. Tego właśnie od niej oczekiwał; żeby oderwała się od bliskich, odcięła pępowinę. Ale ona nie potrafiłaby tego zrobić. Nigdy. Saoirse i jej ojciec wiedzieli, jak poruszać sznurkami i Elizabeth przez całe życie była ich marionetką. W

rezultacie została sama, wychowywała dziecko, którego nigdy nie chciała, gdy tymczasem miłość jej życia mieszkała w Ameryce. Mark ożenił się i miał dziecko.

Nie widziała się z nim ani nic o nim nie słyszała od pięciu lat. Kilka miesięcy po tym, jak wróciła na dobre do Irlandii, odwiedził ją podczas wycieczki do kraju z wizytą u rodziny.

Te pierwsze miesiące były najtrudniejsze. Elizabeth chciała przekonać Saoirse, żeby zajęła się wychowaniem dziecka, mimo że ta protestowała i twierdziła, że mały nic ją nie obchodzi. Elizabeth jednak nie zamierzała dopuścić, aby jej siostra zaprzepaściła szansę wychowywania własnego syna.

Ojciec nie dawał sobie z tym rady. Nie był w stanie znieść ciągłego płaczu niemowlaka, kiedy Saoirse bawiła się w mieście całymi nocami. Elizabeth sądziła, że przypominało mu to lata, kiedy pozostał sam z niemowlakiem na ręku, którego ostatecznie przekazał pod opiekę dwunastoletniej córki. Teraz postąpił tak samo; wyrzucił Saoirse z domu, zmuszając ją do pojawienia się u Elizabeth z kołyską i pakunkami. Tego właśnie dnia Mark postanowił ją odwiedzić. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej życie i Elizabeth wiedziała, że straciła go na zawsze.

Wkrótce potem Saoirse uciekła z domu, pozostawiając dziecko. Elizabeth bardzo poważnie zastanawiała się nad oddaniem małego do adopcji. Jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Może miało to coś wspólnego z jej strachem przed poddaniem się. Miała obsesję na punkcie dążenia do perfekcji i nie mogła zrezygnować ze swoich starań, aby pomóc Saoirse. Poza tym jakaś jej część chciała dowiedzieć, że potrafi wychować dziecko, że to nie ona jest winna takiego zachowania młodszej siostry. Nie chciała powtórzyć swoich wcześniejszych błędów, wychowując Luke'a. Mały zasługiwał na dużo więcej.

Przekłęta pod nosem, zgniatając kolejny szkic w kulkę i rzucając ją do kosza po drugiej stronie pokoju. Nie trafiła. Nie zносиła nieporządku, więc wstała i wrzuciła śmieć do kosza.

Stół kuchenny pokryty był papierem, kredkami, książeczkami dla dzieci i wydrukami postaci z filmów rysunkowych. Elizabeth udało się jedynie rysować jakieś bezsensowne gryzmoły. Nie wystarczyło to do urządzenia bawialni, a już z pewnością nie stanowi podwalin całego nowego świata, który planowała stworzyć.

Pomyślała o Iwanie, i stało się to, co zwykle; rozległ się dzwonek do drzwi i Elizabeth wiedziała, że to on.

Zerwała się na nogi, poprawiła fryzurę, wygładziła ubranie, sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Zgarnęła kredki i papier i zatańczyła po kuchni w panice, zastanawiając się, gdzie je ukryć. Kilka kartek wysunęło się jej z ręki. Przeklinając, pochyliła się, żeby je zebrać. Reszta papieru wyślizgnęła się jej z dłoni, opadając na podłogę niczym liście w podmuchu jesiennego wiatru.

Kłęcząc na podłodze, dostrzegła w progu czerwone tenisówki Converse.

Zgarbiła się i zaczerwieniła ze wstydu.

– Witaj, Ivan. – Nie chciała mu spojrzeć w oczy.

– Witaj, Elizabeth. Powrót do dzieciństwa? – spytał rozbawiony.

– Jak to miło ze strony Luke'a, że cię wpuścił – odparła sarkastycznie. – To zabawne, że kiedy proszę go o pomoc, natykam się na opór. – Zebrała rozsypane kartki i wstała. – Jesteś ubrany na czerwono. – Przyjrzała się jego baseballówce, podkoszulkowi i butom.

– To prawda. Ubieranie się w inne kolory stało się moim ulubionym zajęciem.

Sprawia, że czuję się jeszcze szczęśliwszy.

Elizabeth spojrzała na swoją czarną garsonkę i zastanowiła się nad jego słowami.

– Co tam masz? – spytał, wyrwijając ją z zamyślenia.

– Och, nic takiego – wymamrotała Elizabeth, układając kartki w równy plik.

– Popatrzmy, co tu mamy: Donald Duck, Mickey Mouse... Kubuś Puchatek, samochody wyścigowe... a to co? – Kolejną kartkę obejrzał ze wszystkich stron.

– Nic takiego. – Elizabeth wyrwała mu ją z ręki.

– To wcale nie jest nic takiego. Nic takiego wygląda tak – wpatrzył się w nią tępo.

– Co ty wyprawiasz? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

– Pokazuję ci, jak wygląda nic takiego – rozłożył ręce.

Elizabeth odsunęła się od niego, przewracając oczami.

– Czasem jesteś gorszy niż Luke. Zamierzam napić się wina. Czego się napijesz? Piwa, wina, brandy?

– Okelma poproszę.

– Czy mógłbyś przestać mówić wspaniale? – warknęła, wręczając mu szklanekę z białym płynem. – Mleko, dla odmiany, co? – dodała zirytowana, wrzucając kartki do kosza.

– Nie. Zawsze piję mleko – odparł wesoło, przyglądając się Elizabeth nieco podejrzliwie. – Dlaczego ta szafka jest zamknięta na klucz?

– Em... żeby Luke nie dobrał się do alkoholu. – Nie mogła z siebie wydusić, że to zabezpieczenie przed Saoirse. Luke sam nauczył się chować klucz w swoim pokoju, kiedy jego matka pojawiała się w domu.

– Aha. Co robisz dwudziestego dziewiątego? – Ivan przysiadł na wysokim stołku barowym przy stole śniadaniowym i zaczął się przyglądać, jak Elizabeth przestawia butelki, bardzo skoncentrowana.

– Jaki to dzień? – Zamknęła szafkę i zaczęła grzebać w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu.

– Sobota.

Zaróżowała się i skoncentrowała na butelce.

– W sobotę jestem umówiona.

– Gdzie?

– W restauracji.

– Z kim?

Czuła się tak, jakby przesłuchiwał ją Luke.

– Z Benjaminem Westem – odparła, nadal odwrócona plecami do Ivana. Nie potrafiłaby spojrzeć mu w oczy, ale wiedziała, dlaczego czuje się tak niemilo.

– Dlaczego spotykasz się z nim w sobotę? Nie pracujesz w soboty – powiedział Ivan.

– Nie chodzi o pracę. Benjamin nie zna tu nikogo i postanowiliśmy, że zjemy razem jakiś dobry obiad! – Nalała czerwonego wina do kryształowego kieliszka.

– Obiad? – spytał zdumiony. – Zamierzasz iść na obiad z Benjaminem? – zapiszczał.

Elizabeth odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Czy to jakiś problem?

– On jest brudny i śmierdzi – odparł Ivan.

Elizabeth otworzyła usta i zastygła. Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Pewnie je rękami, jak dzikus! – ciągnął Ivan. – Albo jak jaskiniowiec, w połowie człowiek, a w połowie zwierzę. Na pewno poluje na...

– Przestań! – Elizabeth roześmiała się. Ivan przerwał tyradę.

– O co tak naprawdę chodzi? – spytała, unosząc brwi i upijając nieco wina.

Przestał wiercić się na stołku i wpatrzył w nią. Nie odwróciła wzroku.

Widziała, jak przetyka. Jego grdyka poruszyła się w dół i w górę.

Nagle dostrzegła w nim dużego i silnego mężczyznę. Jej serce przyspieszyło.

Nie odrywali od siebie spojrzenia, niezdolni do wykonania żadnego ruchu.

– O nic nie chodzi.

– Ivan, jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, zrób to – odparła zdecydowanym głosem. – Jesteśmy dorośli. – Kąciki jej ust drgnęły lekko, gdy wypowiadała to zdanie.

– Elizabeth, umówisz się ze mną w sobotę?

– Przecież gdybym odwołała spotkanie z Benjaminem w tak krótkim czasie, byłoby to bardzo niegrzeczne z mojej strony. Nie możemy się

umówić innego wieczoru?

– Nie – odparł zdecydowanie, zeskakując ze stołka. – To musi być dwudziesty dziewiąty lipca. Przekonasz się, dlaczego.

– Nie mogę...

– Możesz – przerwał jej obcesowo. Chwycił ją pod łokcie. – Możesz robić to, co tylko chcesz. Spotkajmy się w Cobh Cúin o dziesiątej wieczorem w sobotę.

– Cobh Cúin? I dlaczego tak późno?

– Zobaczysz, dlaczego – powtórzył. Dotknął lekko daszka swojej czapki i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Zanim wyszedłem z domu, zajrzałem do Luke'a, który siedział w bawialni.

– Witaj, nieznajomy – rzuciłem, opadając na poduchę.

– Cześć, Ivan. – Luke oglądał telewizję.

– Tęskniłeś za mną?

– Nie – uśmiechnął się.

– Chcesz wiedzieć, gdzie byłem?

– Całowałaś się z moją ciotką. – Luke zamknął oczy i zaczął wydymać usta w udawanym pocałunku, zanim upadł na plecy i zaniósł się śmiechem.

– Hej! – Byłem wstrząśnięty. – Dlaczego tak myślisz?

– Bo ją kochasz – roześmiał się Luke i wrócił do oglądania kreskówek.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Nadal jesteś moim przyjacielem?

– Uhm – odparł Luke. – Ale to Sam jest moim najlepszym przyjacielem.

Udałem, że strzelił mi prosto w serce.

Luke spojrział na mnie z nadzieją w ogromnych niebieskich oczach.

– Czy ciocia jest teraz twoją najlepszą przyjaciółką? – spytał.

– A chciałbyś, żeby tak było? – spytałem ostrożnie.

Luke pokiwał głową z zapalem.

– Dlaczego?

– Bo wtedy jest fajniejsza, nie dyryguje mną tak bardzo i pozwala mi malować w białym pokoju.

– Dzień Jinny Joe był fajny, prawda?

Znów pokiwał głową.

– Nigdy nie widziałem, żeby się tak bardzo śmiała.

– Czy Elizabeth przytula cię często i bawi się z tobą?

Luke spojrział na mnie, jakbym powiedział najgorszą bzdurę na świecie.

Westchnąłem ciężko, nieco zaniepokojony faktem, iż bardzo mała część mnie poczuła ulgę z tego powodu.

– Ivan?

– Tak, Luke?

– Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że nie możesz tu zostać przez cały czas? Że musisz zająć się innymi przyjaciółmi, więc nie powinienem być smutny, kiedy odejdziesz?

– Tak – przełknąłem z trudem. Bałem się tego dnia.

– Co się stanie z ciotką Elizabeth, kiedy odejdziesz?

W tym momencie poważnie zaniepokoiłem się nagłym bólem w środkowej części mojej klatki piersiowej.

Wszedłem do gabinetu Opal w nowym czerwonym podkoszulku i czarnych dżinsach, trzymając ręce w kieszeniach. Czerwony pasował dzisiaj do mnie. Byłem zły. Nie podobał mi się ton głosu Opal, kiedy mnie wezwała.

– Ivan. – Odłożyła wieczne pióro i spojrzała na mnie bez jasnego uśmiechu, którym zawsze mnie witała. Wyglądała na zmęczoną, miała cienie pod oczami, a jej loki zwisały luźno, okalając twarz.

– Opal – odparłem, naśladowując jej ton. Usiadłem, krzyżując kolana.

– Czego uczysz studentów na zajęciach o ingerencji w życie swoich przyjaciół?

– Pomagaj, nie przeszkadzaj, wspieraj, nie buntuj się, pomagaj i słuchaj, nie...

– zacząłem znudzonym tonem.

– Wystarczy – przerwała moją wyliczankę podniesionym głosem. – Pomagaj, nie przeszkadzaj, Ivan – jej słowa zawisły w powietrzu. – Zmusiłeś Elizabeth, żeby odwołała obiad z Benjaminem Westem. Mogła zdobyć przyjaciela, Ivan – patrzyła na mnie oczami czarnymi jak węgiel. Odrobina więcej gniewu i z pewnością by zapłonęły. – Chciałam ci przypomnieć, że ostatni raz Elizabeth Egan umówiła się z kimkolwiek prywatnie, a nie w sprawach zawodowych pięć lat temu. Pięć lat temu, Ivan – podkreśliła. – Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zmusiłeś ją do odwołania tego spotkania?

– Ponieważ Benjamin jest brudny i śmierdzi – roześmiałem się.

– Ponieważ jest brudny i śmierdzi – powtórzyła Opal. Poczuję się głupio. –

W takim razie powinieneś pozwolić jej dojść do tego wniosku samej. Nie przekraczaj granic, Ivan. – Z tymi słowy wróciła do pisania, skrobiąc coś zawzięcie piórem.

– O co chodzi, Opal? – spytałem. – Powiedz mi, o co tak naprawdę chodzi.

Spojrzała na mnie z gniewem i smutkiem.

– Jesteśmy bardzo zajęci, Ivan, i powinieneś pracować tak szybko, jak tylko możesz, zamiast siedzieć komuś na głowie i niszczyć to, co zrobiłeś dobrego. O to tak naprawdę chodzi.

Wstrząśnięty jej reprimendą ruszyłem w milczeniu do wyjścia. Nie wierzyłem ani przez sekundę, że rzeczywiście o to jej chodziło. Cokolwiek się działo w jej własnym życiu, było jej prywatną sprawą. Zmieni zdanie na temat odwołanego spotkania Elizabeth z Benjaminem, gdy tylko się dowie, co zaplanowałem na dwudziestego dziewiątego.

– Jeszcze jedno, Ivan! – zawołała za mną Opal.

Zatrzymałem się przed drzwiami i odwróciłem.

– Chciałabym, żebyś przyszedł tu w poniedziałek i przejął na jakiś czas dowodzenie – powiedziała, nie przerywając pisania.

– Dlaczego? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nie będzie mnie przez kilka dni. Musisz mnie zastąpić.

To się nigdy przedtem nie zdarzyło.

– Ale przecież jestem w środku rozpoczętej pracy.

– Dobrze wiedzieć, że nadal to tak nazywasz – warknęła. Potem westchnęła, odłożyła pióro i spojrzała na mnie. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. –

Jestem pewna, że sobotni wieczór okaże się takim sukcesem, iż w następnym tygodniu nie będziesz musiał iść do pracy – powiedziała łagodnie. Zapomniałem, że jestem na nią zły i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że w każdej innej sytuacji przyznałbym jej rację.

29

Ivan skończył nakrywać do stołu, zerwał rosnącą dziko fuksję i umieścił ją w małym wazoniku na środku obrusu. Zapalił świeczkę i przyglądał się, jak płomień szarpie się na wietrze, niczym pies na łańcuchu biegający po ogrodzie. Cobh Cúin było ciche, zgodnie z nazwą, która dosłownie oznaczała cichą zatoczkę. Mieszkańcy ochrzcili to miejsce setki lat temu i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Jedynym słyszalnym tu odgłosem było ciche pluskanie wody i szmer przesuwanego się piasku. Ivan zamknął oczy i zaczął się kiwać w takt tych odgłosów. Przywiązana do pomostu mała łódź rybacka podskakiwała na falach, od czasu do czasu uderzając o drewniane pale.

Granatowe niebo zaczynało już czernieć. Kilka nieśmiałych młodocianych pasemek chmur próbowało dogonić swoje starsze, większe kuzynki, które odplynęły stąd kilka godzin temu. Gwiazdy migotały jasno. One też wiedziały, co się ma wydarzyć. Ivan poprosił szefa kantyny w pracy, żeby mu pomógł tego wieczoru. Był

to ten sam kucharz, który urządzał herbatki w ogrodach innych przyjaciół, ale tym razem przeszedł samego siebie. Stworzył najsmakowitszy poczęstunek, jaki Ivan potrafił sobie wyobrazić. Na przystawki zaserwuje foie gras z tostami przyciętymi w zgrabne małe kwadraciki, potem irlandzkiego łososia morskiego gotowanego w czosnku ze szparagami, na deser zaś mus z białej czekolady polany sosem malinowym. Ciepły wiatr znad morza nosił aromaty posiłku, igrając z powonieniem Ivana i drażniąc jego kubki smakowe.

Nerwowo poprawił sztucce, chociaż nie było takiej potrzeby. Zaciśnął nowy błękitny jedwabny krawat, poluźnił go, rozpiął pierwszy guzik granatowej marynarki, a potem zapiął go znowu. Przez cały dzień był tak zajęty aranżowaniem spotkania, że nie miał czasu myśleć o uczuciach, które się w nim kotłowały. Spojrzał na zegarek, a potem na ciemniejące niebo. Miał nadzieję, że Elizabeth się pojawi.

Elizabeth jechała wolno wąską, krętą drogą, niewiele widząc w narastających ciemnościach. Polne kwiaty muskały boki samochodu. Smugi przednich reflektorów wydobywały z mroku ćmy, komary i nietoperze. Zbliżała się do morza. Nagle czarny całun uniósł się i otworzył się przed nią niezwykle świat.

Bezmiar hebanowego morza lśnił w świetle księżyca. W małej zatoczce, przywiązana do drewnianego pomostu, do którego prowadziły schody, kołysała się mała łódź rybacka. Piasek był jedwabście brązowy. Przyplływ gładził brzeg zatoczki, ale to nie ten widok zaparł jej dech w piersiach: na środku plaży, obok pięknie nakrytego dla dwojga stołu, stał Ivan w eleganckim nowym garniturze. Migocący płomień świecy rzucał cienie na jego uśmiechniętą twarz.

Ten widok omal nie wycisnął jej z oczu łez. Przypominał matkę, której wizerunek zapadł jej głęboko w pamięć. Pamiętała podniecone szepty o

kolacjach na plaży przy świetle księżycy. Słyszała je tak często, wypowiedane z takim zapałem, że marzenia matki stały się marzeniami Elizabeth. A teraz w owym obrazie, wymalowanym tak wyraziście w jej wspomnieniach, pojawił się Ivan. Elizabeth zrozumiała wreszcie, co to znaczy, że człowiek nie wie, czy się śmiać, czy płakać.

Ivan podszedł z dumą do samochodu. Jego błękitne oczy lśniły w świetle księżycy. Zignorował jej łzy, a raczej zaakceptował je.

– Moja droga – uklonił się teatralnie. – Kolacja przy świetle księżycy jest gotowa.

Elizabeth otarła oczy i uśmiechnęła się. Poczuli, że mogłaby teraz pokochać cały świat. Chwyliła jego wyciągniętą dłoń i wysiadła z samochodu.

Ivan był oczarowany.

– Elizabeth, wyglądasz pięknie.

– Ubieranie się na czerwono jest teraz moim ulubionym zajęciem – odparła, naśladując go. Pozwoliła się poprowadzić do stolika.

Po dłuższym zastanowieniu się i wątpliwościach Elizabeth kupiła wreszcie czerwoną suknię, która pasowała do jej szczupłej figury i podkreślała kształty, z czego Elizabeth nie zdawała sobie sprawy. Zakładała ją i zdejmowała przed wyjściem przynajmniej pięć razy. W tak jaskrawym kolorze czuła się zbyt wyeksponowana.

Żeby nie czuć się jak światła drogowe, okryła ramiona czarnym kaszmirowym szalem.

Krawędzie białego irlandzkiego obrusa trzepotały na wietrze. Włosy laskotały szyję Elizabeth. Piasek pod jej stopami był chłodny i miękki niczym puszysty dywan, osłonięty przed ostrym wiatrem przez ściany zatoczki. Ivan odsunął krzesło i pomógł

Elizabeth usiąść. Sięgnął po serwetkę owiniętą wokół łodygi fuksji i położył na kolanach młodej kobiety.

– Ivan, to bardzo piękne, dziękuję ci – wyszeptała, jakby obawiając się, że zagłuszy chlupotanie wody.

– Dziękuję, że przyszedł – uśmiechnął się, nalewając jej czerwonego wina. – A teraz przystawki. Mamy foie gras. – Sięgnął pod stół i wyciągnął dwa talerze przykryte srebrnymi pokrywkami. – Mam nadzieję, że lubisz foie gras – dodał, marszcząc czoło.

– Uwielbiam – uśmiechnęła się.

– Uff – rozluźnił się. – Fua gra... Tak naprawdę to nie jest żadna gra. –

Przyjrzał się uważnie swojemu talerzowi.

– Foie gras to wątróbka z tuczonych gęsi – roześmiała się Elizabeth, smarując tost. – Dlaczego wybrałeś tę zatoczkę? – spytała, otulając się szczelniej szalem.

– Ponieważ jest tu cicho i daleko od ulicznych świateł – wyjaśnił.

Elizabeth pomyślała, że lepiej nie zadawać więcej pytań. Ivan postępował

zgodnie ze swoimi dziwacznymi pomysłami.

Po obiedzie spojrzął na Elizabeth, która trzymała obiema dłońmi kieliszek wina i wpatrywała się tęsknie w morze.

– Elizabeth – powiedział cicho. – Położysz się ze mną na piasku?

– Tak – odparła schrypniętym głosem. Serce biło jej gwałtownie. Nie wyobrażała sobie lepszego zakończenia tego wieczoru. Pragnęła go dotykać, tęskniła za jego objęciami. Podeszła do brzegu i usiadła na chłodnym piasku. Ivan stanął obok.

– Musisz położyć się na plecach – powiedział głośno, spoglądając na nią.

– Słucham? – Spojrzała na niego zdziwiona. Otuliła się szczelniej szalem.

– Jeżeli się nie położysz, nic nie pójdzie tak, jak powinno – powtórzył, kładąc ręce na biodrach. – Zobacz. To się robi w ten sposób. – Usiadł obok niej, a następnie położył się na piasku. – Musisz położyć się na plecach, Elizabeth. Najlepiej w ten sposób.

– Doprawdy? – Elizabeth zesztwniała i podciągnęła stopy, zamierzając wstać.

– Czy to wszystko – zatoczyła krąg ramieniem – było po to, żebym położyła się na plecach, jak to pięknie ująłeś? – spytała urażona.

Twarz Ivana wyrażała bezgraniczne zdumienie.

– Ja... – zająknął się, usiłując znaleźć odpowiednie słowa. – Po prostu podczas szczytowania najlepiej jest leżeć na plecach – odparł niepewnie.

– Ha! – Włożyła buty i rozgniewana ruszyła z trudem po piasku w stronę samochodu.

– Elizabeth, popatrz! – wykrzyknął Ivan podekscytowany. – Zaczyna się szczytowanie. Popatrz!

– O nie! – jęknęła, wspinając się po wydmie. – Naprawdę jesteś odrażający!

– To wcale nie jest odrażające! – zawołał spanikowany Ivan.

– Wszyscy faceci to mówią – wymamrotała Elizabeth, szukając kluczyków w torebce. Nic nie widziała w ciemnościach, więc odwróciła się w stronę księżycy i zastygła z otwartymi ustami. Czarna kopuła nieba wyglądała niczym gwiazdny ul.

Gwiazdy świeciły jaśniej niż zwykle, niektóre z nich spadały.

Ivan leżał na plecach, wpatrując się w niebo.

– Och. – Elizabeth poczuła się głupio. Cieszyła się, że ciemności skrywają jej twarz, która przybrała kolor sukni. Potykając się, wróciła na

plażę, zdjęła buty i podeszła do Ivana. – To piękne – wyszeptala.

– Byłoby jeszcze piękniejsze, gdybyś się położyła na plecach, tak jak ci mówiłem – naburmuszył się, krzyżując ramiona i nie odrywając wzroku od nieba.

Elizabeth zakryła usta, usiłując nie roześmiać się w głos.

– Nie wiem, z czego się tak śmiesz. To nie o tobie powiedziano, że jesteś odrażająca.

– Myślałam, że planujesz coś zupełnie innego – zachichotała, siadając obok niego.

– A z jakiego niby innego powodu miałbym prosić cię, żebyś położyła się na plecach? – spytał bez cienia domysłu, a potem spojrzał na nią. –

Och! – wykrzyknął

cienkim głosem, przedrzeźniając ją.

– Zamknij się. – Elizabeth rzuciła w niego torebką, uśmiechając się. – Och, popatrz – dostrzegła spadającą gwiazdę. – Co się tu dzisiaj dzieje?

– To Delta Akwarydy – odparł, jakby to wszystko wyjaśniał. – Rój meteorów z gwiazdozbioru Wodnika – wyjaśnił, gdy Elizabeth nie zareagowała. – Zazwyczaj są aktywne między piętnastym lipca i dwudziestym sierpnia, ale szczyt aktywności przypada na dwudziestego dziewiątego lipca. Dlatego właśnie musiałem się z tobą umówić dzisiaj, z dała od świateł – spojrzał na nią. – Zatem owszem, wszystko było po to, żebyś położyła się na plecach.

Przyglądali się sobie w milczeniu, aż niezwykła aktywność na niebie ponownie przyciągnęła uwagę Elizabeth.

– Nie zamierzasz wypowiedzieć życzenia? – spytał Ivan.

– Nie – odparła cicho. – Nadal czekam, żeby spełniło się to zanesione przez Jinny Joe.

– Och, nie martw się – odparł poważnie. – Realizacja zabiera trochę czasu, ale nie będziesz czekała zbyt długo.

Elizabeth roześmiała się i wpatrzyła z nadzieją w niebo.

– Saoirse się odezwała? – spytał kilka minut później, wiedząc, że Elizabeth myśli o siostrze. Pokręciła lekko głową.

– Wróci do domu.

– Tak, ale w jakim stanie? – spytała niepewnie. – Jak to się dzieje, że inne rodziny potrafią być razem? Nawet jeżeli mają problemy, udaje im się nie wciągać w to sąsiadów? – Myślała o szeptach, jakie słyszała od kilku dni o zachowaniu jej ojca i zniknięciu siostry. – Na czym polega ich sekret?

– Widzisz to zbiorowisko gwiazd, o tam? – Ivan wyciągnął rękę ku niebu.

Elizabeth spojrzała we wskazanym kierunku, zawstydzona, że znudziła go rozmową o swojej rodzinie tak bardzo, aż postanowił zmienić temat. Skinęła głową.

– Większość meteorów z roju pojawia się w tym samym miejscu nieba, zwanym radiantem, i podróżuje stamtąd w różnych kierunkach.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. – Przekręcił się na bok i spojrzał na nią. – Gwiazdy są jak ludzie, Elizabeth. Nam się wydaje, że pochodzą z tego samego miejsca, a to wcale nie oznacza, że tak jest. To iluzja perspektywy stworzona przez odległość. Nie wszystkie rodziny potrafią trzymać się razem – dodał. – Ludzie poruszają się w przeróżnych kierunkach. To, że pochodzimy z tego samego punktu, jest nieporozumieniem.

Podróżowanie w różnych kierunkach leży w naturze każdego stworzenia.

Elizabeth spojrzała w niebo, usiłując przekonać się, czy Ivan ma rację.

– Cóż, ja dałabym się oszukać – powiedziała cicho, obserwując, jak co sekundę z ciemności wyłaniają się kolejne spadające gwiazdy.

Zadrżała i owinęła się ściślej szalem. Z każdą godziną piasek robił się chłodniejszy.

– Zimno ci? – spytał Ivan z niepokojem.

– Trochę – przyznała.

– No dobrze. – Poderwał się na nogi. – Noc się jeszcze nie skończyła. Czas na rozgrzewkę. Mogę pożyczyć kluczyki do twojego samochodu?

– Tylko nie odjedź nim, dobrze? – zażartowała, podając mu je.

Ivan wyciągnął coś spod stołu i zaniósł do samochodu. Chwilę później z jego wnętrza dobiegła muzyka. Ivan zaczął podskakiwać. Elizabeth zachichotała nerwowo.

– Ivan, co ty robisz?

– Tańczę! – odparł urażony.

– Co to za taniec? – Wyciągnęła rękę, żeby Ivan pomógł jej wstać.

– Step irlandzki – objaśnił, zakreślając wokół niej taneczne kółka na piasku. –

Nazywamy go także szuraniem lub tańcem na piasku, co oznacza, że twoja matka nie była szalona, gdy chciała szurać nogami na piasku!

Elizabeth zasłoniła usta dłonią. Łzy szczęścia napłynęły jej do oczu, kiedy zdała sobie sprawę, że oto spełnia się jej kolejne marzenie z dzieciństwa.

– Dlaczego spełniasz wszystkie sny mojej mamy? – spytała, przyglądając mu się uważnie.

– Żebyś nie uciekła tak jak ona w poszukiwaniu ich spełnienia – odparł, biorąc ją za rękę. – Chodź, dołącz do mnie.

– Nie wiem jak!

– Po prostu naśluduj mnie. – Odwrócił się do niej tyłem, przesadnie kręcąc biodrami.

Elizabeth podciągnęła suknię do kolan i zaczęła w świetle księżycy tańczyć na piasku, śmiejąc się do utraty tchu.

– Sprawiasz, że jestem szczęśliwa, Ivan – sapnęła, opadając na piasek.

– To mój obowiązek – uśmiechnął się szeroko.

Gdy wypowiedział te słowa, jego uśmiech zbladł i Elizabeth dostrzegła w jego wzroku cień smutku.

30

Elizabeth zsunęła z ramion suknię i pozwoliła jej opaść na podłogę. Owinęła się ciepłym szlafrokiem, spięła włosy na czubku głowy i usadowiła się w łóżku z filiżanką kawy. Chciała, żeby był z nią Ivan. Pomimo wcześniejszych protestów, pragnęła, aby tam, na plaży, wziął ją w ramiona. Wyglądało jednak na to, że im bardziej się do niego zbliżała, tym bardziej się od niej dystansował.

Po obserwacji tańczących na niebie gwiazd i po ich własnej sesji tanecznej, w drodze do domu Ivan zamknął się w sobie. Poprosił, żeby wysadziła go w dowolnym miejscu miasteczka, aby mógł sam dotrzeć do domu. Jeszcze nie zabrał jej do siebie, nie przedstawił swojej rodzinie i przyjaciołom.

Elizabeth nigdy przedtem nie interesowali bliscy jej partnerów. Uważała, że skoro ona jest szczęśliwa w towarzystwie swojego mężczyzny, nie ma znaczenia, czy lubi jego bliskich. Z Ivanem jednak było inaczej. Czuła, że musi poznać jego drugą stronę, zobaczyć, jakie ma relacje z innymi ludźmi, żeby wreszcie stał się dla niej postacią trójwymiarową. Zawsze ta sprawa była kością niezgody pomiędzy nią a jej chłopakami, ale dopiero teraz Elizabeth zrozumiała, o co im chodziło.

Po wysadzeniu Ivana w miasteczku, Elizabeth obserwowała go w lusterku wstecznym, ciekawa, w którą stronę odejście. Rozejrzał się w lewo i w prawo po opustoszałych ulicach i zaczął iść po lewej stronie drogi w kierunku wzgórz i hotelu.

Po kilku metrach zatrzymał się, zawrócił i powędrował w przeciwnym kierunku.

Przeszedł przez ulicę i ruszył pewnie w kierunku Killarney, ale nagle zatrzymał się, skrzyżował ramiona i usiadł na kamiennym parapecie sklepu rzeźniczego.

Wyglądało na to, że Ivan nie wie, gdzie jest jego dom, a jeśli nawet wie, nie zna do niego drogi.

Dobrze rozumiała, jakie to uczucie.

W poniedziałek po południu Ivan stanął przed drzwiami gabinetu Opal i przez dobre dziesięć minut chichotał, słuchając narzekań Oskara. Było to bardzo zabawne, ale musiał się nieco pospieszyć. Był umówiony z Elizabeth o szóstej wieczorem i zostało mu tylko dwadzieścia minut. Nie widział jej od spotkania na plaży. Był to najwspanialszy wieczór w jego bardzo długim życiu. Po wszystkim usiłował odejść, zniknąć z Baile na gCroithe, zając się kimś innym, kto potrzebował jego pomocy, ale nie potrafił. Nie przyciągał go nikt poza Elizabeth, i to z siłą większą, niż kiedykolwiek doświadczył. Tym razem to nie tylko jego umysł się zaangażował – serce również.

– Opal. – Poważny głos Oskara przerwał jego rozmyślenia. – Naprawdę potrzebuję więcej ludzi do pomocy w przyszłym tygodniu.

– Tak, rozumiem to i już poprosiłam Suki, żeby pomogła ci w laboratorium –

odparła Opal łagodnie, ale zdecydowanie. – W tej chwili nie możemy zrobić nic więcej.

– To nie wystarczy! – zdenerwował się Oskar. – W sobotę miliony ludzi obserwowało spadające gwiazdy. Wiesz, ile życzeń dotrze do nas za kilka tygodni? –

Nie czekał na odpowiedź, a Opal nie zamierzała jej udzielać. – To niebezpieczna procedura, Opal, i potrzebuję więcej rąk do pomocy. Suki jest niezwykle wydajna, jeśli chodzi o pracę administracyjną, ale nie ma odpowiednich kwalifikacji do przeprowadzania analizy. Jeżeli nie dostanę nikogo do pomocy, będziesz musiała poszukać sobie nowego laboranta – zagroził, wybiegając z biura. – Po latach nauki, aby zostać meteorologiem, utkwilem w takiej robocie – mamrotał gniewnie, znikając w korytarzu.

– Ivan! – zawołała Opal.

– Jak ty to robisz? – spytał, wchodząc do biura. Miał wrażenie, że jej wzrok potrafi przenikać ściany.

Spojrzała na niego znad biurka i uśmiechnęła się słabo. Ivan wstrzymał

oddech. Opal wyglądała na bardzo zmęczoną. Miała przekrwione, podkrążone oczy, jakby nie spała od tygodni.

– Spóźniłeś się – powiedziała łagodnie. – Miałeś tu być o dziewiątej rano.

– Naprawdę? – spytał zdezorientowany. – Przyszedłem tylko po to, żeby zadać ci jedno pytanie. Muszę zaraz wyjść – dodał. *Elizabeth, Elizabeth, Elizabeth*, zaśpiewały jego myśli.

– Umówiliśmy się, że mnie dzisiaj zastąpisz, pamiętasz? – powiedziała zdecydowanym głosem Opal, wstając zza biurka i obchodząc je.

– O nie, nie, nie! – Ivan szybko wycofał się w stronę drzwi. – Chciałbym ci pomóc, Opal, naprawdę. Pomaganie jest moim ulubionym zajęciem, ale teraz nie mogę. Mam w planach spotkanie z klientką i nie mogę się nie pojawić. Wiesz, jak to jest.

Opal oparła się o biurko, skrzyżowała ramiona i przechyliła głowę na bok.

Zamrugnęła i zamknęła zmęczone powieki. Minęła, zdałoby się, cała wieczność, zanim otworzyła je z powrotem.

– Czyli Elizabeth jest twoją klientką, tak? – spytała zmęczonym głosem.

Otaczały ją dziś ciemne kolory. Ivan widział, jak powoli rozplývają się w powietrzu wokół niej, dalej i dalej.

– Jest moją klientką – powtórzył mniej pewnie. – Naprawdę nie mogę się z nią nie spotkać dziś wieczór.

– Prędeż czy później będziesz się musiał z nią pożegnać – rzuciła Opal tonem, który zmroził go całkowicie. Przełknęła głośno ślinę i przestąpił z nogi na nogę. – Co ty na to? – spytała, kiedy nic nie odpowiedział.

Ivan zaczął się zastanawiać. Serce waliło mu w piersi, jakby za chwilę miało podejść mu do gardła i wyskoczyć przez usta. Oczy wypełniły się łzami.

– Nie chcę – odparł cicho.

– Słucham? – Opal opuściła powoli ramiona.

Ivan pomyślał o życiu bez Elizabeth i dodało mu to odwagi.

– Nie chcę się z nią żegnać. Chcę zostać z nią na zawsze, Opal. Sprawia, że czuję się szczęśliwszy niż kiedykolwiek, a przy mnie ona czuje się tak samo.

Zostawić coś takiego byłoby przecież złe, nie sądzisz? – Uśmiechnął się szeroko na wspomnienie chwil z Elizabeth.

Twarz Opal złagodniała.

– Och, Ivan. Wiedziałaś, że to się stanie. – W jej głosie brzmiała litość i wcale mu się to nie podobało. Wolałby gniew. – Myślałam jednak, że spośród wszystkich ludzi ty jeden już dawno podjąłeś dobrą decyzję.

– Jaką decyzję? – twarz Ivana ściągnęła się na myśl, że mógł zrobić coś niewłaściwego. – Pytałem cię, co mam zrobić, ale ty nie chciałaś mi powiedzieć – panikował.

– Powinieneś od niej odejść dawno temu, Ivan – odparła ze smutkiem. – Nie mogłam ci tego nakazać. Sam powinieneś dojść do tego wniosku.

– Ale przecież nie mogłem jej zostawić. – Ivan usiadł na fotelu przed biurkiem.

Ogarnął go potworny smutek. – Ciągle mnie widziała – wyszeptał. – Nie mogę odejść, dopóki mnie widzi.

– To ty sprawiłeś, że zaczęła cię widzieć, Ivan! – wykrzyknęła Opal.

– Nieprawda. – Wstał i odszedł od biurka. Był zły, że Opal zasugerowała coś takiego. Nigdy nie wymuszał na ludziach przyjaźni.

– Chodziłeś za nią, obserwowałeś całymi dniami, pozwoliłeś, żeby załążek związku między wami rozkwitł w pełni. Znalazłeś coś niezwykłego i sprawiłeś, że ona również to poczuła.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – wyrzucił z siebie gniewnie, przemierzając pokój w tę i w tę. – Nie wiesz, co czujemy – zatrzymał się, podszedł do Opal i spojrzał jej prosto w oczy, hardo zadzierając głowę. – Dzisiaj zamierzam powiedzieć Elizabeth Egan, że ją kocham i chcę z nią spędzić resztę życia – wyraźnie akcentował każde słowo. – Będąc z nią, nadal mogę pomagać innym ludziom.

– Nie, Ivan. Nie możesz! – Opal ujęła twarz w dłoń.

– Powiedziałas mi, że nie ma takiej rzeczy, której nie mogę zrobić – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Nikt inny cię nie widzi, tylko ona! Elizabeth tego nie zrozumie. To się nie uda. – Opal była wyraźnie zdenerwowana.

– Jeżeli to, co powiedziałaś o zmuszeniu Elizabeth do zobaczenia mnie jest prawdą, to mogę sprawić, że inni też zaczną mnie dostrzegać. Elizabeth rozumie mnie jak nikt inny. Czy wiesz, jakie to uczucie? – Był podekscytowany taką perspektywą. Mógł sprawić, żeby wszystko się udało. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć siódma. Miał dziesięć minut. – Muszę jej powiedzieć, że ją kocham. – Ruszył w kierunku drzwi z pewnością siebie i determinacją.

– Doskonale wiem, jak się czujesz, Ivan – rzuciła Opal.

Ivan zatrzymał się gwałtownie, odwrócił i potrząsnął głową.

– Nie możesz tego wiedzieć, Opal, chyba że sama coś takiego przeżyłaś.

Inaczej nie możesz zrozumieć.

– Przeżyłam to – odparła cicho i niepewnie.

– Co takiego? – Przyjrzał się jej podejrzliwie zwężonymi w szparki oczami.

– Przeżyłam to – powtórzyła tym razem z mocą. Złożyła dłonie na brzuchu. –

Zakochałam się w mężczyźnie, który rozumiał mnie lepiej niż ktokolwiek w całym moim życiu.

Zapadła cisza, kiedy Ivan usiłował przetrawić właśnie usłyszaną informację.

– W takim razie powinnaś mnie zrozumieć – powiedział wreszcie, podchodząc bliżej, mocno podekscytowany. – Może dla ciebie to się nie skończyło dobrze, Opal, ale dla mnie... kto wie? – uśmiechnął się szeroko. Rozłożył ramiona. – Może to jest to?!

Opal wpatrywała się w niego ze smutkiem w zmęczonych oczach, bez uśmiechu.

– Nie – potrząsnęła głową. – Pokażę ci coś, Ivan. Zapomnij o biurze, chodź ze mną. To będzie twoja ostatnia lekcja.

Ivan spojrział na zegarek.

– Ale Eliza...

– Zapomnij na razie o Elizabeth – przerwała mu łagodnie. – Jeżeli postanowisz nie zastosować się do mojej rady, spotkasz się z Elizabeth jutro, pojutrze i każdego dnia do końca jej życia. Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje. – Wyciągnęła do niego rękę. Ivan ujął ją niechętnie. Jej skóra była chłodna.

31

Elizabeth siedziała u dołu schodów i wyglądała przez okno na ogród przed domem. Zegar na ścianie w kuchni wskazywał szóstą pięćdziesiąt. Ivan nigdy się przedtem nie spóźniał i Elizabeth martwiła się, że coś mu się stało, chociaż w tej chwili gniew chyba przeważał nad troską. Sądząc po jego zachowaniu sobotniej nocy, prawdopodobnie po prostu się rozmyślił.

Myślała o Iwanie cały poprzedni dzień. Zastanawiała się, dlaczego nie poznała jego rodziny, przyjaciół lub współpracowników, dlaczego unikał kontaktów intymnych. Kiedy tak zmagала się w środku bezsennej nocy z owymi myślami, zdała sobie sprawę, że stara się nie dopuszczać do siebie prostego wniosku: Ivan był już z kimś związany albo nie chciał się z nikim wiązać.

Dotychczas odsuwała na bok te przeczucia. Po raz pierwszy w życiu nie planowała, nie wiedziała, dokąd zmierza jej znajomość. Było to bardzo nietypowe i nie czuła się dobrze w tej sytuacji. Lubiła stabilność i rutynę, których brakowało Ivanowi. Była przekonana, że ich związek nie ma przyszłości. Mimo to siedziała na schodach, czekając na wolnego ducha, dokładnie jak jej ojciec.

Nigdy nie rozmawiała z Ivanem o swoich obawach. Dlaczego? Ponieważ kiedy byli razem, wszystkie obawy znikaly jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ivan przychodził, brał ją za rękę i prowadził ku kolejnemu, ekscytującemu etapowi jej życia. Chociaż czasami podążała za nim z oporami, często pełna niepokoju, w jego obecności czuła się bardzo pewnie i bezpiecznie. Dopiero kiedy zostawała sama, tak jak teraz, patrzyła krytycznie na wszystko, co się zdarzyło.

Postanowiła, że zdystansuje się od Iwana. Dzisiaj wieczorem przeprowadzi z nim decydującą rozmowę. Byli do siebie podobni jak dzień i noc; jej życie zdominowały konflikty, Ivan zaś najwyraźniej chciał ich za wszelką cenę unikać.

Kiedy mijały kolejne sekundy pięćdziesiątej pierwszej minuty jego spóźnienia, Elizabeth pomyślała, że chyba w ogóle nie będzie musiała z nim rozmawiać.

Siedziała na schodach w nowych kremowych luźnych spodniach i koszuli, w kolorach, których nigdy przedtem nie nosiła i czuła się coraz bardziej głupio, że słuchała Iwana, że mu wierzyła, że niewłaściwie odczytała sygnały i, co gorsza, że się w nim zakochała.

Gniew chwilowo przeważał nad bólem. Ostatnią rzeczą, której chciała Elizabeth, było pozostanie w domu i zgoda na to, aby znów ją zdominował. Nie dopuści do tego. Była dobra w spychaniu bólu na bok.

Chwyciła słuchawkę i wybrała numer.

– Benjamin? Mówi Elizabeth – powiedziała szybko. – Co powiesz na sushi dziś wieczorem?

– Gdzie jesteśmy? – spytał Ivan, wędrując słabo oświetloną brukowaną uliczką w centrum Dublina. Nierówna powierzchnia była pełna kałuż. W okolicy stały głównie hurtownie i budynki przemysłowe. Pomiędzy nimi widniał dom z czerwonej cegły.

– Wygląda dość niezwykle wśród tych gmachów – zauważył Ivan. – Trochę samotnie i nie na miejscu – uznał.

– Właśnie tam idziemy – powiedziała Opal. – Właściciel domu odmówił jego sprzedaży właścicielom otaczających go zakładów. Został w nim, gdy wybudowali te wielkie budynki.

Ivan przyjrzał się małowielkiemu domkowi.

– Pewnie zaoferowali mu sporą sumę. Mógł sobie za to kupić piękną

posiadłość na Hollywood Hills. – Spojrzął pod nogi, kiedy wpadł do kałuży, opryskując brudną wodą swoje nowe czerwone tenisówki. –

Uwielbiam brukowane uliczki.

Opal leciutko się zaśmiała.

– Och, Ivan, nie można cię nie pokochać, wiesz o tym? – odeszła, nie czekając na odpowiedź. Może i dobrze, ponieważ Ivan nie był pewien, jak zareagować.

– Co będziemy robić? – spytał po raz dziesiąty od czasu, gdy wyszli z biura.

Stanęli teraz dokładnie naprzeciwko wejścia do domu, po drugiej stronie ulicy. Ivan przyjrzał się Opal.

– Czekać – odparła cicho. – Która godzina?

– Elizabeth będzie na mnie wściekła – westchnął Ivan, spoglądając na zegarek.

– Właśnie minęła siódma.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otworzyły się drzwi do domu z czerwonych cegieł. W progu, opierając się o framugę, stanął okulały stary człowiek.

Wpatrzył się w dal, zupełnie, jakby spoglądał w przeszłość.

– Chodź ze mną – powiedziała Opal. Przeszła przez ulicę i weszła do domu.

– Opal! – syknął Ivan. – Nie można wchodzić do domu obcych ludzi – Opal jednak zniknęła już w środku.

Ivan szybko przebiegł przez ulicę i zatrzymał się przy drzwiach.

– Em... dobry wieczór, jestem Ivan – wyciągnął rękę w kierunku staruszka, który nadal opierał się o framugę, wpatrzony przed siebie zwilgotniałymi oczami.

– No tak – rzucił Ivan niepewnie, cofając rękę. – W takim razie pozwól pan, że się tu wślizgnę i dołączę do Opal – mężczyzna nawet nie mrugnął. Ivan wszedł do środka. Wewnątrz pachniało starością. Tykanie zegara było na najgłośniejszym dźwiękiem. Wnętrza wypełniał czas, długie życie spędzone na słuchaniu tych odgłosów.

Opal stała w salonie, przyglądając się oprawionym w ramki fotografiom, które zdawały się wypełniać cały pokój.

– Niemal tak zagracone jak w twoim biurze – zażartował Ivan. – No powiedz wreszcie, o co chodzi?

– Powiedziałam ci wcześniej, że wiem, co czujesz. – Opal spojrzała na niego i uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Tak.

– Powiedziałam, że wiem, jak to jest zakochać się.

Ivan pokiwał głową.

Opal westchnęła ciężko i znów złożyła dłonie razem, jakby szykowała się na trudne wyznanie.

– To jest dom człowieka, w którym się zakochałam.

– Och! – zachłysnął się Ivan.

– Nadal przychodzę tu codziennie – wyjaśniła, rozglądając się po pokoju.

– Ten staruszek nie ma nic przeciwko temu, że wchodzisz tu nieproszona?

Opal uśmiechnęła się lekko.

– To on jest tym człowiekiem, w którym się zakochałam, Ivan.

Ivan otworzył usta ze zdziwienia. Drzwi wejściowe zamknęły się i oboje usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. Deski zaskrzypiały pod nogami starca.

– Nie wierzę! – syknął Ivan. – Ten staruszek? Przecież on jest wiekowy. Ma...

przynajmniej osiemdziesiąt lat! – wyszeptał zaszokowany.

Mężczyzna wszedł do salonu. Zatrzymał go potworny kaszel, który wstrząsał

raz po raz jego sylwetką. Zamrugął oczami z bólu i powoli, opierając się na podłokietnikach fotela, usiadł w nim.

Ivan spojrzał na niego, a potem na Opal, nieudolnie usiłując ukryć niesmak.

– Nie widzi cię ani nie słyszy. Jesteście dla niego niewidzialni – rzuciła głośno Opal. To, co powiedziała potem, na zawsze zmieniło życie Ivana. Szesnaście prostych słów, które słyszał codziennie, ale nigdy w tej kolejności. Opal odchrząknęła i powiedziała z lekkim drżeniem w głosie, w rytm tykania zegara. – Pamiętaj, Ivan, czterdzieści lat temu, kiedy się poznaliśmy, nie był wielkowy.

Wyglądał tak młodo jak ja.

Przyglądała się twarzy Ivana, na której pojawiały się przeróżne emocje, od niezrozumienia, przez szok i niedowierzenie do litości, a w końcu, gdy zrozumiał

swoją sytuację, do rozpaczy. Zbladł i zachwiał się. Opal podbiegła do niego i podtrzymała go. Chwycił się jej ramienia rozpaczliwie i spojrzal na nią z niewymownym bólem.

– To właśnie usiłowałam ci wytłumaczyć, Ivan – wyszeptała. – Możecie być szczęśliwi z Elizabeth w waszym prywatnym kokonie miłości, ale zapominasz, że każdego roku ona będzie się starzała, a ty nie.

Ivan zaczął się trząść i Opal przytuliła go mocniej.

– Przykro mi, Ivan. Naprawdę bardzo mi przykro – zaczęła go łagodnie kołysać, kiedy plakał, plakał i plakał bez końca.

– Poznaliśmy się w podobnych okolicznościach jak ty i Elizabeth – wyjaśniła mu później, kiedy już się uspokoił.

Siedzieli w fotelach w salonie Geoffreya, ukochanego Opal. On również zajmował jeden z nich, wpatrując się w okno w milczeniu, czasem rozglądając się dookoła i zanosząc się atakami okropnego kaszlu. Za każdym razem Opal miała odruch, aby podbiec do niego i pomóc mu.

Mięła chusteczkę w dłoniach, a kiedy opowiadała swoją historię, oczy miała pełne łez, mokre policzki. Loki wiszały żałośnie po bokach jej twarzy.

– Popelniam wszystkie błędy, które ty zrobiłeś – chlupnęła, usiłując się uśmiechnąć. – Nawet to, co chciałeś zrobić dziś wieczór.

Ivan przełknął głośno ślinę.

– Kiedy go poznałam, miał czterdzieści lat. Byliśmy ze sobą przez kolejne dwadzieścia, dopóki nie stało się to zbyt trudne.

Ivan spojrzal na nią szeroko rozwartymi oczami. W jego sercu pojawiła się nadzieja.

– Nie, Ivan – Opal potrząsnęła głową, ale ton jej głosu tak naprawdę go przekonał. Gdyby powiedziała to z mocą, Ivan zapewne by się

zburntował, ale powstrzymał go ból w jej głosie. – To się nie uda – nie musiała mówić nic więcej.

– Wygląda na to, że dużo podróżował – zauważył Ivan, spoglądając na zdjęcia.

Widniał na nich Geoffrey przed wieżą Eiffila, przed Krzywą Wieżą w Pizie, Geoffrey leżący na złotym piasku w jakimś egzotycznym kraju, uśmiechnięty, zdrowy i szczęśliwy na każdym zdjęciu. – Przynajmniej potrafił się jakoś pobierać i sam cieszyć się tymi rzeczami – uśmiechnął się zachęcająco.

Opal spojrzala na niego zdziwiona.

– Ależ ja zawsze tam z nim byłam, Ivan.

– Doprawdy? To mile – odparł z zaskoczeniem. – To ty robiłaś zdjęcia?

– Nie – posmutniała. – Jestem na tych fotografiach. Nie widzisz mnie?

Ivan potrząsnął powoli głową.

– Och... – Przyjrzała się im, wyraźnie dostrzegając zupełnie co innego niż on.

– Dlaczego Geoffrey przestał cię widzieć? – spytał Ivan, obserwując, jak starszek tyka garść lekarstw i popija ją wodą.

– Ponieważ się zmieniał. Prawdopodobnie dlatego ty też nie widzisz mnie na zdjęciach. On pragnie innej osoby. Bliskość, która kiedyś była między nami, zniknęła

– wyjaśniła Opal.

Geoffrey wstał z fotela, chwycił laskę i pokuśtykał w kierunku drzwi.

Otworzył je i stanął w progu.

– Chodźmy, już czas. – Opal wstała i wyszła na korytarz. Ivan spojrzal na nią pytająco.

– Kiedy zaczęliśmy się widywać, odwiedzałam go co wieczór od siódmej do dziewiętej – wyjaśniła. – Ponieważ zorientował się, że nie mogę otworzyć drzwi, zawsze czekał na mnie w progu. Robi to co wieczór, od kiedy spotkailiśmy się po raz pierwszy. Dlatego nie chciał sprzedać domu. Sądzi, że to jedyny sposób, żebym go odnalaza.

Ivan obserwował starego człowieka z trzęsącymi się nogami, który wpatrywał się znowu w przestrzeń, być może wspominając dzień, kiedy wykłupał się z Opal na plaży albo razem z nią wjeżdżał na wieżę Eiffila. Ivan nie chciał, żeby to samo przytrafiło się Elizabeth.

– Dobranoc, moja Opal – przemówił starzec schrypiętym głosem.

– Dobranoc, mój ukochany. – Opal pocałowała go w policzek. Geoffrey zamknął oczy. – Do zobaczenia jutro.

32

Wszystko było jasne. Wiedziałem, co muszę teraz zrobić. Powiniennem dokończyć to, co zacząłem i dlatego się tu pojawiłem: uczynić życie Elizabeth jak najlepszym. Teraz jednak, kiedy się tak bardzo zaangażowałem, będę musiał jej pomóc zaleczyć nie tylko stare rany, ale również nowe, które sam jej zadałem przez własną głupotę. Byłem na siebie zły za to, że narobiłem bałaganu, że straciłem perspektywę i że zostałem przyłapany. Uczucie gniewu chwilowo przesłaniało ból i w gruncie rzeczy byłem z tego powodu zadowolony. Jeżeli miałem pomóc Elizabeth, musiałem zapomnieć o własnych uczuciach i zrobić to, co było dla niej najlepsze. To, co powiniennem zrobić od samego początku. Niestety, takie jest życie: ludzie uczą się na własnych błędach. Będę miał mnóstwo czasu, żeby poradzić sobie z bólem po utracie Elizabeth.

Wędrowałem całą noc, rozmyślając o kilku ostatnich tygodniach i o całym moim życiu. Nigdy przedtem tego nie robiłem – nie rozmyślałem o swoim życiu. Nie było istotne dla osiągnięcia celu, chociaż powinno być.

Następnego poranka znalazłem się na Fuchsia Lane. Usiadłem na murku otaczającym ogród Elizabeth, w tym samym miejscu, gdzie siedziałem ponad miesiąc temu, kiedy poznałem Luke’a. Drzwi w kolorze fuksji nadal uśmiechały się do mnie, więc pomachałem im w odpowiedzi. Przynajmniej one nie były na mnie złe.

Elizabeth z pewnością tak. Nie lubiła, kiedy ludzie spóźniali się na zebrania w sprawach zawodowych, co dopiero na randki. Wystawiłem ją do wiatru, niechący –

nie dlatego, że chciałem ją skrzywdzić, ale z miłości.

Wyobraziłem sobie, że nie spotykacie się z kimś dlatego, że bardzo go kochacie.

Wyobraziłem sobie, że raniacie kogoś, sprawiacie, że czuje się samotny i niekochany, ponieważ uznaliście, że tak będzie dla tej osoby najlepiej.

Wszystkie te nowe reguły gry sprawiły, że wątpilem w moje zdolności jako najlepszego przyjaciela. Nie rozumiałem ich, przerastały mnie. Były prawami, przeciwko którym buntowało się całe moje jestestwo. Jak miałem nauczyć Elizabeth nadziei, szczęścia, radości i miłości, skoro sam chyba przestałem w to wierzyć? Wiedziałem, że istnieje, ale wraz z możliwością pojawia się też niemożliwość. Nowe wyrażenie w moim słowniku.

O szóstej rano drzwi koloru fuksji otworzyły się. Wstałem, niczym uceńr na widok wchodzącej do klasy nauczycielki. Z domu wyrzuciła się Elizabeth, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła wybrukowaną ścieżką. Miała na sobie znowu czekoladowobrązowy dres, jedyny nieoficjalny strój w jej garderobie. Włosy spięła niedbale, nie była umalowana i nigdy nie widziała mi się piękniejsza niż w tej właśnie chwili.

Niewidzialna dłoń chwyciła mnie za serce i ścisnęła je. Zabolalo.

Elizabeth uniósła głowę, zobaczyła mnie i zatrzymała się. Nie uśmiechnęła się jednak tak jak zwykle. Ręka trzymająca moje serce zacisnęła się jeszcze mocniej.

Przynajmniej nadal mnie widziała, a to było teraz najważniejsze. Ludzie czasem nie wiedzą, jakie to szczęście, że mogą kogoś spojrzeć prosto w oczy. Właściwie to zapomnijcie o szczęściu – ludzie nie mają pojęcia, jakie to ważne zostać zauważonym, nawet jeżeli towarzyszy temu gniew. Kiedy ludzie cię ignorują, traktują cię jak powietrze, wtedy należy się martwić. Elizabeth zazwyczaj odsuwa od siebie problemy, traktuje je, jakby były niewidzialne, nigdy nie staje z nimi twarzą w twarz. Najwyraźniej jednak ja byłem problemem wartym rozwiązania.

Podeszła do mnie z ramionami skrzyżowanymi na piersi, uniesioną wysoko głową i zmęczonym, lecz zdeterninowanym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz, Ivan?

Jej pytanie mnie zaskoczyło. Spodziewałem się, że będzie *zła*, że na mnie nakrzyczy, że nie wysłucha mojego tłumaczenia się albo mu nie uwierzy, tak jak to się dzieje na filmach, ale Elizabeth wcale się tak nie zachowała. Była spokojna, chociaż wiedziałem, że pod skorupką opanowania gotuje się gniew, gotowy w każdej chwili wybuchnąć, w zależności od tego, co powiem. Przyjrzała się mojej twarzy, szukając odpowiedzi, w którą nigdy by nie uwierzyła.

Nie pamiętam, żeby ktokolwiek zadał mi kiedykolwiek to pytanie.

Zastanawiałem się nad tym, podczas gdy Elizabeth uważnie mi się przyglądała. Nie, zdecydowanie nie czułem się dobrze. Byłem załamany, zmęczony, zły, głodny i czułem wszechogarniający ból promieniujący z serca na całe moje ciało. Ostatniej nocy moje poglądy i filozofia zmieniły się diametralnie, chociaż do tej pory wierzyłem w nie niepodważalnie, wyznawałem i stosowałem przez całe życie. Teraz jednak okrutny magik zwany życiem ujawnił asy trzymane w rękawie i okazało się, że to wcale nie magia, tylko figiel spleatany przez mój umysł. Albo kłamstwo.

– Ivan? – Wyglądała na zaniepokojoną. Rysy jej twarzy złagodniały. Opuściła ręce, podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń, dotykając mnie. Nie potrafiłem wydobyc z siebie ani słowa.

– Chodź, pójdziemy na spacer. – Wzięła mnie pod ramię i razem ruszyliśmy w dół Fuchsia Lane.

Szli w całkowitym milczeniu przez pola i łąki. Ptaki śpiewały głośno na porannym niebie, rześkie powietrze wypetniało ich płuca. Króliki przebiegały odważnie przez ścieżkę tuż pod ich stopami, a motyle tańczyły na wietrze, machając do nich skrzydłami. Zdążali w stronę lasu. Słońce przeświecało przez liście dębów, zrzaszając ich twarze światłem niczym złotym pyłem. Towarzyszył im odgłos płynącego strumienia i wszechobecny zapach eukaliptusa. Wreszcie dotarli do polany, gdzie drzewa rozchyliły swoje gałęzie, ukazując piękne jezioro. Podeszli do drewnianego pomostu, usiedli na twardej, rzeźbionej ławce i pozostali tak w milczeniu, przyglądając się łososiowi, który wyskakiwał ponad taflę wody i chwiał

muchy rozeniowane rozgrzewającym się powietrzem.

Elizabeth odezwła się pierwsza.

– Ivan, w skomplikowanym życiu usiłuję robić, co mogę, aby je uprościć.

Wiem, czego mogę oczekiwać, co zamierzam zrobić, gdzie się udać i kogo będę spotykać każdego dnia. W życiu pełnym skomplikowanych, nieprzewidywalnych ludzi potrzebuję stabilności – spojrzala Ivanowi w oczy po raz pierwszy, od kiedy tu usiedli. – Ty – odetchnęła gwałtownie – odbierasz prostotę mojemu życiu. Potrząśnasz nim, wywracasz wszystko do góry nogami. Przyznaję, czasem mi się to podoba.

Sprawiasz, że się śmieję, że łącząc na ulicach i plażach jak wariatka, że czuję się kimś, kim nie jestem. – Wczoraj jednak przez ciebie poczułam się kimś, kim nie chcę być. Potrzebuję prostoty w moim życiu, Ivan – powfórzyła.

Znów zapadła cisza.

Wreszcie Ivan odezwał się.

– Bardzo cię przepraszam za ostatni wieczór, Elizabeth. Znasz mnie i wiesz, że nie zrobiłem tego złośliwie – przewał, zastanawiając się, jak ma jej wytłumaczyć, co się wydarzyło ostatniej nocy. Postanowił na razie tego nie robić. – Wiesz, że im bardziej człowiek usiłuje uprościć różne rzeczy, tym bardziej je komplikuje. Tworzy reguły, buduje mury, odpycha od siebie ludzi, okłamuje samego siebie i ignoruje prawdziwe uczucia. To z pewnością nie jest upraszczanie.

Elizabeth przyglądała włosy dłonią.

– Mam siostrę, która przepadła bez wieści, sześcioletniego siostrzeńca, któremu muszę małkować, a o którym nic nie wiem, i ojca, który od tygodni nie ruszył się od okna, ponieważ czeka na powrót żony, która zniknęła dwadzieścia lat temu. Zeszłej nocy zdałam sobie sprawę, że jestem dokładnie taka jak on. Siedziałam na schodach, wyglądając przez okno, wyczekując na człowieka bez nazwiska, który twierdzi, że jego ojczyzna to Aniark Kejab, miejsce, które zostało sprawdzone w internecie i każdym możliwym atlasie świata, i które zdecydowanie nie istnieje. – Odetchnęła głośno. – Zależy mi na tobie, Ivan, naprawdę, ale w jednej chwili mnie całujesz, a w drugiej wystawiasz mnie do wiatru i nie wiem, co tak naprawdę między nami jest. Mam wystarczająco dużo kłopotów i cierpienia w życiu i nie chcę dokładać do tego kolejnej porcji. – Potarła oczy, zmęczona.

Oboje wpatrzyli się w jezioro, na którego powierzchni rozchodziły się kręgi, pozostawione przez polującego lososia. Ryba co chwila wyskakiwała na powierzchnię i zanurzała się z cichym pluskiem. Na przeciwnym brzegu jeziora przechadzała się czapla, umiejętnie stawiając szcudłowate nogi w grząskim gruncie.

Ów zręczny rybak czekał cierpliwie na odpowiedni moment, aby zanurzyć dziób w wodzie i pochwytić zdobycz.

W tej chwili Ivan dostrzegł zdumiewające podobieństwo między zajęciem ptaka i swoją pracą.

Kiedy upuści się na podłogę szklankę lub talerz, roztrzaskuje się on z głośnym hukiem. Kiedy ktoś wybija szybę, tłucze szkietko w ramce fotografii albo łamie nogę stołu, wszystko to generuje jakiś dźwięk. Złamane serce rozpada się na tysiąc kawałków w kompletnej ciszy. Zdawałoby się, że skoro jest tak bardzo ważne, powinno wydawać najgłośniejszy dźwięk na świecie, coś w rodzaju gongu lub uderzenia dzwonu. Ono jednak milczy i czasem człowiek niemal zaczyna marzyć o tym, żeby wydało jakiś odgłos, który odwróciłby uwagę od bólu.

Jeżeli zranione serce wydaje jakikolwiek odgłos, pozostaje zamknięty w jego wnętrzu.

Krzyczy i płacze, ale nikt poza tobą go nie słyszy. Wyje tak głośno, że aż dzwoni ci w uszach i pęka ci głowa, ryczy niczym niedźwiedźca, której odebrano małe. Takie właśnie jest zranione serce – niczym oszalala z rozpaczy, przerażona wielka bestia, wyjąca z bólu w więzieniu swoich własnych emocji. Tak to już jest z miłością – nikt nie może się przed nią uchronić.

Zranione serce boli niczym świeża rana, którą ktoś polał morską wodą, ale złamane – milknie. To tylko ty krzyczysz w duszy, ale nikt cię nie słyszy, Elizabeth jednak wyczuła moje złamane serce, tak jak ja jej. Nie musielśmy nic mówić, oboje wiedzieliśmy.

Przyszedł czas, żeby przestać chodzić z głową w chmurach i zejść na ziemię.

33

– Powinnismy już wracać do domu. – Elizabeth zerwała się z ławki.

– Dlaczego?

– Bo zaczyna padać. – Spojrzała tak na Ivana, jakby nagle wyrosło mu dziesięć głów. Skrzywiła się, kolejna kropla deszczu spada jej na twarz.

– Co z tobą, Elizabeth? – roześmiał się Ivan, rozsiadając się wygodnie na ławce na znak, że nigdzie się nie wybiera. – Dlaczego zawsze chronisz się przed deszczem?

– Ponieważ nie lubię moknąć. Chodź już! – spojrzała tęsknie na ścianę lasu.

– Dlaczego nie? Przecież wyschniesz.

– Dlatego. – Chwyliła go za rękę i pociągnęła, chcąc go podnieść z ławki.

Tupnęła nogą ze złości, kiedy się zaparł niczym nieposłuszne dziecko.

– Dlatego, że co?

– Nie wiem – przeknęła głośno ślinę. – Po prostu nigdy nie lubiłam deszczu.

Czy na wszystkie moje małe problemy muszę mieć wytłumaczenie? – Uniosła rękę do góry i zasłoniła głowę dłońmi przed deszczem.

– Wszystko ma swoje powody, Elizabeth – powiedział, wyciągając ręce i chwytając w dłonie krople deszczu.

– Moje powody są proste. W nawiazaniu do naszej niedawnej rozmowy, deszcz komplikuje życie. Moczy ubrania, sprawia, że czujesz się niekomfortowo, a na końcu funduje ci katar.

Ivan zatrząbił, imitując dźwięk z teleturniejów, który zazwyczaj zwiastuje złą odpowiedź.

– To nie deszcz funduje ci katar. To katar funduje ci katar. Ten deszcz jest ciepły, naprawdę przyjemny. – Odchylił głowę do tyłu, otworzył usta i zaczął połykać krople. – Tak, bardzo ciepły i smakowity. Przy okazji, nie powiedziałaś prawdy.

– Co takiego? – oburzyła się.

– Umiem czytać między wierszami, słyszę niewypowiedziane słowa i wiem, kiedy kropka wcale nie jest kropką, tylko „ale” – odparł.

Elizabeth jęknęła i stanęła obok, obejmując się ramionami, przycgarbiona, jakby ktoś obrzucał ją białem.

– To tylko deszcz, Elizabeth. Rozejrzyj się. – Ivan zamachał rękami. – Czy widzisz, żeby ktokolwiek tutaj próbował się przed nim chować?

– Nie ma tu nikogo!

– *Au contraire!* Jezioro, drzewa, czapla, losos, wszyscy mokną na deszczu. –

Odrzucił głowę, smakując krople.

Elizabeth ruszyła w stronę lasu, ale zanim tam dotarła, udzieliła mu jeszcze jednego pouczenia:

– Ostrożnie z tym deszczem, Ivan. To niedobry pomysł, żeby go pić.

– Dlaczego?

– Może być niebezpieczny. Czy wiesz, jaki efekt na atmosferę wywiera tlenek węgla? To może być kwaśny deszcz.

Ivan zsunął się z ławki i chwycił się za gardło, udając, że się krztusi. Poczłogał się w kierunku brzegu jeziora. Elizabeth obserwowała go, nie przerywając tyrady.

Zanurzył dłoń w wodzie.

– W tym chyba nie ma żadnych toksycznych zanieczyszczeń, co? – Nabrał jej w dłoń i prysnął w stronę Elizabeth.

Otworzyła usta z oburzenia i spojrzała na niego. Miała mokrą twarz i kapalo jej z nosa. Wyciągnęła rękę i wepchnęła Ivana do wody, śmiejąc się, kiedy zniknął pod powierzchnią.

Zamilkła, gdy się nie wynurzył. Wystraszona, podeszła bliżej brzegu. Widziała tylko drobne kolistę zmarszczki rozchodzące się po powierzchni jeziora. Nagle przestały ją obchodzić wielkie zimne krople padające na jej twarz. Minęła już cała minuta.

– Ivan? – krzyknęła drżącym głosem. – Ivan, przestań się wygłupiać!

Wychodź, ale już. – Pochyliła się nad wodą, w nadziei, że go zobaczy. Wymamrotala coś nerwowo i policzyła do dziesięciu. Nikt nie

wytrzymałby pod powierzchnią tak długo.

Nagle coś wystrzeliło z jeziora niczym rakieta.

– Walka wodna! – wykrzyknął wodnik Ivan. Chwycił ją za ramiona i pociągnął

za sobą do wody, głową do przodu. Elizabeth poczuła ogromną ulgę, że nie zrobiła Ivanowi krzywdy. Nie przejęła się nawet, gdy fala zimnej wody uderzyła w jej twarz, a potem przykryła ją całą.

– Dzień dobry, panie O’Callaghan, Maureen, witaj, Fidelma, Connor... ojczcie Murphy... – Kiwała głową sąsiadom, przemierzając ulice miasteczka. Odprowadzało ją milczenie i zdziwione spojrzenia. Jej mokre adidasy przy każdym kroku wydawały odgłos cmokania, z ubrania zaś ściekały strużki wody.

– Do twarzy ci w mokrych ciuchach – roześmiał się Benjamin, wyciągając do niej dłoń z kubkiem kawy. Stał obok małej grupki roześmianych turystów, którzy łańczyli i rozlewali kawę na chodnik przed kawiarnią Joego.

– Dziękuję ci, Benjamin – odparła bardzo poważnie i ruszyła dalej,

spoglądając przed siebie blyszczącymi oczami.

Słońce rozjaśniło ulicę miasta, do którego nie dotarł jeszcze deszcz. Jego mieszkańcy szepotali coś do siebie i śmiali się, obserwując

Elizabeth Egan, która szła różnym krokiem z wysoko podniesioną głową, machając energicznie ramionami. Z

jej włosów wystawały kawałki wodorostów.

Elizabeth rzuciła na stół kolejną kredkę, zmięła kartkę papieru, na której szkicowała, i rzuciła ją do kosza. Nie trafiła, ale wcale się nie przejęła. Niech sobie leży razem z innymi kulkami zmiętego papieru.

Skrzywiła się, spoglądając na kalendarz. Czerwone kółko, którym kiedyś oznaczała datę zniknięcia Ivana, niewidzialnego przyjaciela Luke’a, teraz wskazywał

dzień końca jej kariery zawodowej. No dobrze, może była nieco melodramatyczna.

Otwarcie hotelu zaplanowano na wreszcie i wszystko szło zgodnie z

harmonogramem. Materiały dotarły na czas, a przy zamówieniach popełniono zaledwie kilka mniejszych pomyłek. Pani Bracken i jej drużyna

pracowali całym dniami, robiąc poduchy, okrycia na koldry i zasłony. Tym razem to Elizabeth spowalniała cały proces. Ostatnio była zbyt rozproszona. Nie miała pomysłu na bawiałni i była wściekła na siebie, że w ogóle wspomniała o niej Vincentowi.

Roześmiała się na wspomnienie porannego „pływania”. Jej znajomość z Ivanem nabrała jeszcze bardziej niezwykłych wymiarów. W gruncie rzeczy zerwali ze sobą i miała z tego powodu złamane serce. Mimo to nadal był tu, w jej domu, rozśmieszał ją, jakby nic się nie wydarzyło. Coś się jednak wydarzyło, coś wielkiego.

Elizabeth czuła to sercem i duszą. W miarę upływu dnia zaczęła zdawać sobie sprawę, że nigdy przedtem nie znalazła się w takiej sytuacji. Zakończyła znajomość z bliskim jej sercu mężczyzną, ale mimo to nadal czuła się w jego obecności komfortowo. Żadne z nich nie było jeszcze gotowe na coś więcej, Elizabeth pragnęła z całej duszy, żeby się to zmieniło.

Kolacja z Benjaminem zeszłego wieczoru przebiegła w bardzo miłym nastroju.

Elizabeth zwalczyła w sobie niechęć do restauracji, jedzenia i grzecznościowych konwersacji. I choć jakoś znosiła te rzeczy z Ivanem, a nawet czasem je lubiła, wciąż trudno jej było się przełamać. Nie lubiła życia towarzyskiego, ale akurat z Benjaminem mieli wiele wspólnego. Spędzili czas na milej pogawędce, zjedli dobry posiłek, ale kiedy ich spotkanie ostatecznie dobiegło końca, Elizabeth nie żałowała.

Cały czas zastanawiała się nad swoją przyszłością z Nanem.

Chichot Luke’a wyrwał ją z zamyślenia.

– *Bonjour madame* – przywitał się Ivan, wchodząc do konserwatorium z chłopcem. Obaj trzymali lupy przysunięte do oka, co powiększało je do gigantycznych rozmiarów. Nad górną wargą mieli namalowane wąsiki. Musiała się roześmiać na ten widok.

– Ależ, dlaszego się pani śmieje, *madame*. Mami tu do szynienia z merder –

powiedział ze śmiertelną powagą Ivan, naśladując francuską wymowę. Podeszł do stołu.

– Morderstwem – wyjaśnił Luke.

– Co takiego? – Elizabeth spojrzała na nich zdziwiona.

– Szukamy wskaźwek, *madame* – wyjaśnił Luke. Kiedy mówił, jego nierówny wąs poruszał się śmieśznie w górę i w dół.

– Merder *abominable* zostało popethiony w pani ogród – powiedział Ivan, przyglądając się z lupą powierzchni stołu.

– Okrutne morderstwo – przetłumaczył Luke. Elizabeth pokiwała głową, powstrzymując się od śmiechu.

– Szepraszamy za to targnięcie do pani dom. Pozwoli pani, zie się piesdstawię.

Jestem Pan Monsieur, a to mój niemądri pomocnik, Monsieur Rotalsnart.

– Tłsnator od tyłu – zachichotał Luke.

– Ach, rozumiem. – Elizabeth pokiwała głową. – Bardzo mi miło poznać obu panów, ale obawiam się, że jestem bardzo zajęta, gdyby więc panowie nie mieli nic przeciwko temu... – spojrzała znacząco na Ivana.

– Szeewiko? Oszywiście, zie mami szeewiko. Jesteśmi w szrodku ważne szledztwo, a pani co? – rozejrział się i jego wzrok padł na zgnieciono kartki papieru leżące koło kosza na śmieci. Podniósł jedną z nich i przyjrzał się jej pod lupą. – Pani cini sznieżki, o ile dobiezie widze.

Elizabeth wykrzywiła się do niego, a Luke zachichotał.

– Musimy panią szesłuchać. Ma pani jaką mocno szwiecąca lampka, którą oszweillimy pani twarz? – Rozejrział się, a potem spojrzął na

Elizabeth. – Doskonale, *madame*.

– Kto został zamordowany? – spytała Elizabeth.

– Ach, tak właśnie podejziewałem, Monsieur Rotalsnart – zaczęli przechadzać się po kuchni w przeciwnych kierunkach, nadal trzymając lupy przytknięte do oka. –

Udaje, zie nic nie wie, ziebyśmy jej nie podejziali. Sprytno.

– Sądzisz, że to ona jest mordercą? – spytał Luke.

– Zobacimy. *Madame*, dziś rano na drodze z konserwatorium do linek na ubrania znaleziono zgnieciony robak. Jego zrrrozpaciona rodzina

twierdzi, że wyszedł z domu po ustanie deściu i zamieział przejść na drugą stronę ścieżki. Nie wiemy dlaczego, ale to właśnie robią robaki.

Elizabeth i Luke spojrzeli na siebie i roześmieli się.

– Deść sześtał padać o 6.30 wieciorem i wtedy robak wysiedł z dom. Mozie mi pani powiezieć, gdzie pani wtedy była, *madame*?

– Czy jestem podejrzana? – spytała Elizabeth z uśmiechem.

– Na tym etapie szledztwa sistskie są podejziane.

– Cóż, wróciłam do domu piętnaście po szóstej, nastawiłam obiad, potem poszłam do pralni i wyjęłam mokre ubrania z pralki.

– A potem? – Ivan przysunął lupę do jej twarzy i obejrzał ją dokładnie. –

Siukam skazówwek – wyjaśnił szepłem Luke’owi.

– Potem zaczeekalam, aż przestanie padać deszcz i poszłam rozwiesić pranie w ogrodzie.

– Monsieur Rotalsnart! – wykrzyknął dramatycznie Ivan. – Słyszal pan to?

Luke pokazał w uśmiechu dziąsła. Niedawno wypadł mu kolejny ząb.

– W takim razie oznacza to, że pani jest merdercini.

– Morderczyni – przetłumaczył Luke.

Obaj spojrzeli na nią przeź lupę.

– Ponieważ chciałaś ukryć przede mną to, że w przysłym tygodniu masz urodziny, za karę urzędzisz przyjęcie w ogrodzie ku pamięci

tragicznie zmarłego robaka Monsieura Krętka – oznajmił normalnym głosem Ivan.

– Nie ma mowy – jęknęła Elizabeth.

– Wiem, Elizabeth, towarzystwo ludzi z miasta jest takie przerażające.

– Jakich ludzi z miasta? – Elizabeth spojrzała na niego zwięzonymi z podejrzliwości oczami.

– Och, to tylko kilkoro znajomych – wzruszył ramionami Ivan. – Luke wysłał

dziś rano zaproszenia. Czyż to nie wspaniały chłopak? – skinął na promieniejącego dumą Luke’a. – W przysłym tygodniu urządzisz przyjęcie

w ogrodzie. Ludzie, których nie znasz, będą chodzili po twoim domu i najprawdopodobniej go zdepczą.

Sądzisz, że będziesz w stanie to wytrzymać?

34

Elizabeth siedziała ze skrzyżowanymi nogami na białym prześcieradle pokrywającym zakurzoną podłogę w przyszłej bawialni. Miała zamknięte oczy.

– A więc to tutaj znikasz codziennie.

– Jak ty to robisz, Ivan? – spytała, nie otwierając oczu.

– Co takiego?

– Pojawiasz się znikąd dokładnie w tym momencie, w którym o tobie myślę.

Usłyszała, jak śmieje się cichutko, ale nie odpowiedział jej na pytanie.

– Dlaczego to jedyny pokój, który jeszcze nie został wykończony? Ani nawet zaczęły – stanął za nią.

– Ponieważ utknęłam. Potrzebuję pomocy.

– Proszę, proszę. Elizabeth Egan potrzebuje pomocy. – Zapadła cisza, a potem Ivan zaczął nucić znajomą melodię, której Elizabeth nie

potrafiła wyrzucić z pamięci od dwóch miesięcy; melodię, przez którą niemal nie zbankrutowała, ponieważ Poppy i Becca pilnowały, aby wrzuciła pieniądze do skarbonki za każdym razem, kiedy zaczynała nucić pod nosem.

Otworzyła oczy.

– Co to za melodia?

– Mruczanka.

– Luke cię jej nauczył?

– Odwrotnie.

– Doprawdy? – mruknęła Elizabeth. – A ja myślałam, że nauczył się jej od swojego niewidzialnego przyjaciela – spojrzała na niego z

uśmiechem. Ivan pozostał

poważny.

– Dlaczego mówisz, jakbyś miała w buzi skarpetki? – spytał wreszcie. – Co masz na twarzy? Kaganiec? – zarechotał.

Elizabeth poczuła, że się rumieni.

– To nie jest kaganiec tylko maska – rzuciła wzburzona. – Nie masz pojęcia, ile w tym budynku jest kurzu i bakterii. Poza tym powinieneś nosić

tu kask. – Postukała w swój. – Nie daj Boże, coś się tu jeszcze na nas zawali.

– Co jeszcze masz na sobie? – zignorował jej irytację i przyjrzał się jej od stóp do głów. – Rękawiczki?

– Żeby nie ubrudzić rąk – wyjaśniła naburmuszona.

– Och, Elizabeth. – Ivan potrząsnął głową i obszedł ją dookoła wesołym krokiem. – Nauczyłem cię tyłu rzeczy, a ty nadal przejmujesz się

bzdurami – chwycił

pędzel leżący obok jednej z puszek i zanurzył go w niej.

– Ivan. – Elizabeth przyglądała mu się nerwowo. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Powiedziałaś, że potrzebujesz pomocy – uśmiechnął się szeroko.

Elizabeth wstała powoli.

– Taaaak... pomocy z pomalowaniem ściany – odparła niepewnie.

– Cóż, niestety, nie sprzecyzowałaś tego w odpowiednim momencie i obawiam się, że teraz jest już za późno. – Wyciągnął z puszki ociekającą czerwoną farbą pędzel, przytrzymał włosie i przysnął farbą w stronę Elizabeth. Farba rozprysnęła się na jej twarzy. – Oooh, jaka szkoda, że nie zasłoniłaś całej twarzy – zaczął się z nią drażnić, obserwując, jak jej oczy rozszerzają się z zaskoczenia i gniewu. – To tylko dowodzi, że nieważne,

jak bardzo człowiek się stara owinąć kokonem bezpieczeństwa, życie zawsze go dopadnie.

– Ivan. – Głos Elizabeth ociekał jadem. – Wrzucenie mnie do jeziora to co innego, ale to? Kretylizm! – krzyknęła. – To moja praca! Mówię poważnie! Nie chcę cię znać, Ianie... Ianie... nawet nie wiem, jak masz na nazwisko – dokończyła sfrustrowana.

– Ynlaizdiwein – odparł spokojnie.

– Co to ma znaczyć? Jesteś Arabem albo jakimś Turkiem?! – wrzasnęła wściekła. – Aniark Kejab to też po arabsku? Czy to miejsce w ogóle istnieje? –

Krzyczała tak, że zabrakło jej oddechu.

– Bardzo mi przykro – odparł poważnie Ivan. – Czuję, że jesteś zdenerwowana. Odrożę to na miejsce. – Położył pędzel dokładnie w tym samym miejscu, w którym umieściła go wcześniej Elizabeth. – Przesadziłem. Przepraszam.

Elizabeth poczuła, że jej gniew zaczyna się ulatniać.

– Masz rację. Czerwony to zbyt drastyczny kolor – ciągnął Ivan. Nagle przed nosem Elizabeth pojawił się kolejny pędzel. Spojrzała przerażona na Ivana. – Może biały? – uśmiechnął się i znowu opryskał ją farbą.

– Ivan! – na poły roześmiała się, na poły krzyknęła Elizabeth. – Doskonale – ruszyła ku puszkom z farbami. – Chcesz wojny? To będziesz miał wojnę. Podobno kolorowe ubrania to teraz twoja ulubiona rzecz, tak? – wymamrotała pod nosem.

Zanurzyła pędzel w farbie i zaczęła ganiać Ivana po całym pokoju. – Niebieski!

Niebieski to twój ulubiony kolor, nieprawdaż, panie Ynlaizdiwein? – namalowała na jego twarzy i włosach błękitny pasek. Zachichotała złośliwie.

– Uważasz, że to było zabawne?

Pokiwała głową, śmiejąc się jak szalona.

– To dobrze – roześmiał się Ivan, chwytając ją w pasie i przewracając na ziemię. Przygwoździł ją i pomalował jej twarz. Elizabeth, piszcząc, bezskutecznie usiłowała mu się wyrwać. – Jeżeli nie przestaniesz się wydierać, Elizabeth, skończysz z zielonym językiem – ostrzegł ją.

Kiedy już oboje byli dokładnie pokryci farbami różnorakich kolorów i Elizabeth rozbolał ze śmiechu brzuch, Ivan spojrzal na ścianę.

– No tak, teraz naprawdę trzeba tu będzie zrobić porządne malowanie.

Elizabeth zdjęła maskę ochronną, odsłaniając jedyny fragment skóry, który zachował naturalny kolor, i zaczęła ciężko dyszeć, usiłując odzyskać oddech.

– Teraz widzę, do czego się to przydaje – mruknął Ivan i spojrzal na ścianę. –

Słyszałem, że posłała na randkę z Benjaminem Westem – zanurzył czysty pędzel w czerwonej farbie.

– Na kolację, nie na randkę. Poza tym chciałabym dodać, że zrobiłam to tylko dlatego, że wystawiłeś mnie do wiatru.

– Lubisz go?

– Jest miłym człowiekiem. – Elizabeth nadal nie odwróciła się do niego.

– Chciałabys z nim spędzać więcej czasu?

Elizabeth zaczęła zwiijać ubrudzone prześcieradło z podłogi.

– Chciałabym spędzać więcej czasu z tobą.

– A gdybyś nie mogła?

Elizabeth zastygła.

– Wtedy spytałabym cię dlaczego.

Uchylił się od odpowiedzi.

– A gdybym nie istniał, gdybyś nigdy mnie nie spotkała? Czy wtedy chciałabyś spędzać więcej czasu z Benjaminem?

Elizabeth przełknęła z trudem, włożyła papier oraz ołówki do torby i zapieła ją.

Była zmęczona tymi gierkami i jego gadanie sprawiało, że robiła się nerwowa.

Musieli o tym porozmawiać poważnie. Odwróciła się i spojrzała na niego. Ivan napisał na ścianie wielkimi czerwonymi literami: ELIZABETH I BENJAMIN =

WIELKA NIEROZŁĄCZNA MIŁOŚĆ.

– Ivan! – zachichotała nerwowo Elizabeth. – Nie bądz dzieckiem. Co będzie, jeśli ktoś to zobaczy? – wyciągnęła rękę, żeby zabrać mu pędzel. Przytrzymał go mocno i spojrzal głęboko w oczy.

– Nie mogę ci dać tego, czego potrzebujesz, Elizabeth – powiedział cicho.

Ktoś zakaszał w progu i oboje podskoczyli, zaskoczeni.

– Witaj, Elizabeth. – Benjamin przyglądał się jej z zaciekawieniem i rozbawieniem. Spojrzal na ścianę przed nią i wyszczerzył ząb w

uśmiechu. – To bardzo interesujący motyw dekoracyjny.

Zapadła cisza. Elizabeth spojrzała w bok.

– To Ivan – powiedziała cieniutkim, niemal dziecięcym głosem.

Benjamin zachichotał.

– Znowu on, co?

Elizabeth spojrzała na trzymany w dłoni pędzel, z którego ściekała na dżinsy czerwona farba. Czerwono-niebiesko-fioletowo-zielono-biała twarz przybrała pod farbą kolor buraka.

– Wygląda na to, że ty zostałaś przyłapana na... czerwonym uczynku – powiedział Benjamin.

– Benjamin! – zatrzymał się w pokowie kroku, słysząc w oddali głos Vincenta.

Spojrzał na nią z bolesnym wyrazem twarzy. – Lepiej do niego pójść – uśmiechnął

się. – Porozmawiamy później – wyszedł. – A tak przy okazji – zawolał już z korytarza. – Dziękuję za zaproszenie na przyjęcie.

Wściekła Elizabeth zignorowała Ivana, który trzymał się za brzuch i zgięty wpoił śmiał się do rozpuku. Zanurzyła pędzel w białej farbie i zamalowała napisane przez Ivana słowa, usiłując równocześnie wymazać ów żenujący moment z pamięci.

– Dzień dobry, panie O'Callaghan, witaj Maureen, Fidelma, cześć Connor, ojciec Murphy – witała się z sąsiadami, przemierzając ulicę w kierunku swojego biura. Czerwona farba ściekała z jej ramion, niebieska zlepiała włosy w strąki, a jej dżinsy wyglądały niczym ostatnie dzieło Moneta. Odprowadzały ją milczące spojrzenia, kiedy szła po chodniku, zostawiając wielokolorowe ślady.

– Dlaczego zawsze to robisz? – spytał Ivan, biegnąc truchtem obok niej, żeby dotrzymać jej kroku.

– Co takiego? Dzień dobry Sheila?

– Zawsze przechodzisz przez ulicę, zanim dojdiesz do pubu Flanagan, omijasz go po przeciwnej stronie, a potem znów przechodzisz przez ulicę, żeby wstąpić do kawiarni Joego.

– Nieprawda – uśmiechnęła się do kolejnego gapia.

– Zamierzasz pomalować całe miasto na czerwono? – zawolał do niej Joe, uśmiechając się na widok czerwonych odcisków butów, które zostawiała na ulicy, przemierzając ją.

– Zobacz sama, właśnie to zrobiłaś! – zauważył Ivan.

Elizabeth zatrzymała się i obejrzała, przyglądając pozostawionym przez siebie śladom. Rzeczywiście, zrobiła dokładnie to, co mówił Ivan. Nie zauważyła tego wcześniej. Spojrzała na pub. Flanagan stał w drzwiach, paląc papierosa. Skiniął jej głową, wyraźnie zdziwiony, że Elizabeth nie odwróciła wzroku. Zmarszczyła brwi i przełknęła gulę, która nagle wyrosła jej w gardle. Wpatrywała się w milczeniu w budynek.

– Wszystko w porządku, Elizabeth? – spytał Ivan, przerywając jej rozmyślania.

– Tak – wyszeptala. Odchrząknęła i spojrzała niepewnie na Ivana. – Tak, wszystko w porządku – odparła głośnie.

35

Elizabeth minęła wstrząśniętą i zniesmaczoną panią Bracken, która stała przy drzwiach z dwoma starszymi kobietami. Wszystkie trzymały w rękach kawałki materiału. Cmoknęły z niezadowoleniem, kiedy umazana farbami Elizabeth weszła do środka. Brudne włosy ocierały się o szyję, rozmazując na niej farbę.

– Czy ona oszalała? – spytała jedna z kobiet scenicznym szeptem.

– Nie, wręcz przeciwnie. – Elizabeth czuła, że pani Bracken uśmiecha się do samej siebie. – Zdaje się, że właśnie odzyskuje normalność. Jej klientki znów zaczęły cmokać i odeszły na bok, mamrocząc coś o tym, że Elizabeth nie jest jedyną osobą, która postradala zmysły.

Elizabeth zignorowała spojrzenie Bekki i Poppy.

– O to chodziło! – wykrzyknęła ta ostatnia.

Elizabeth weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi, odcinając się od całego świata. Oparła się o framugę, usiłując zrozumieć, dlaczego tak bardzo się trzęsie. Co takiego się w niej obudziło, jakie potwory wyłazy ze swej nory i próbowały się wydostać na zewnątrz?

Odetchnęła głęboko, wciągając powietrze przez nos i wypuszczając ze świsłem przez usta. Raz, drugi, trzeci, aż w końcu jej osłabione kolana przestały drżeć.

Kiedy szła przez miasto, wyglądając tak, jakby przed chwilą wykapała się w tęczowej farbie, wszystko było w porządku. Czuła się dobrze, może tylko lekko zażenowana, dopóki Ivan nie powiedział czegoś... co to było? Powiedział... Nagle przypomniała sobie i przez jej ciało przebiegł zimny dreszcz.

Pub Flanagan. Powiedział, że zawsze unikała pubu Flanagan. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki Ivan nie zwrócił jej na to uwagi.

Dlaczego to robiła? Z

powodu Saoirse? Nie, ona piła w Garbie Wielbłąda, na wzgórz, nieco za miastem.

Elizabeth stała oparta o drzwi, czując zawroty głowy. Świat wirował dookoła niej i wreszcie uznała, że musi pójść do domu. Tam mogła kontrolować wszystkie wydarzenia, kto się w nim pojawiał, kto wychodził. Tam wszystko miało swoje miejsce, a wspomnienia były czyste.

Potrzebowała porządku i ładu.

– Gdzie twoja poducha, van? – spytała Amika, spoglądając na mnie ze swojego drewnianego, pomalowanego na żółto krzesła.

– Och, znudziła mnie – odparłem. – Teraz moim ulubionym zajęciem jest kręcenie się na fotelu.

– Fajnie – pokiwiała głową z aprobatą.

– Opal bardzo się spóźniła – zauważył Tommy, wycierając zasmarkany nos o ramię. Amika odwróciła od niego wzrok z niesmakiem,

wyglądziła swoją piękną żółtą sukienkę, skrzyżowała nogi w kostkach i zaczęła machać stopami obutymi w firmowe białe buciki i zabawne skarpetki. Nuciła pod nosem mruczankę.

Olivia jak zwykle robiła coś na drutach.

– Niedługo tu będzie – wychrypiiała.

Jamie-Lynn sięgnęła na środek stołu po czekoladowo-ryżowy batonik i szklankę mleka. Zakaszła i zacharczała. Mleko rozlało się po jej ręce.

Ziizala je ze skóry.

– Znowu bawiała się w poczekalni u lekarza, Jamie-Lynn? – spytała Olivia, spoglądając na nią sponad okularów.

Jamie-Lynn pokiwiała głową, zakaszła i wbiła zęby w batonik. Amika zmarszczyła nos z niesmakiem i zajęła się czesaniem włosów swojej Barbie.

– Wiesz, co powiedziała ci Opal, Jamie-Lynn? Te miejsca są pełne bakterii.

Zabawki, których używasz, powodują, że chorujesz.

– Wiem – odparła Jamie-Lynn z pełnymi ustami. – Ale ktoś musi dotrzymywać towarzystwa dzieciom, które czekają na wizytę u lekarza.

Minęło dwadzieścia minut, zanim pojawiła się Opal. Wszyscy spojrzeli po sobie zaniepokojeni. Wyglądała jak cień samej siebie. Nie płynęła w powietrzu, jak zwykle, niczym poranna bryza. Szała, jakby miała na stopach betonowe buty. Wszyscy ucichli, widząc granatową, niemal czarną smugę, która się za nią ciągnęła.

– Witajcie, moi przyjaciele – jej zmieniony, stłumiony głos, jakby docierał do nich z innego wymiaru.

– Witaj, Opal – odpowiedzieli cicho, jakby coś więcej, niż szept mogło ją uszkodzić. Opal uśmiechnęła się do nich, dziękując za wsparcie i zrozumienie.

– Mój przyjaciel, ktoś, kogo znam już bardzo długo, jest chory. Bardzo chory.

Umiera i jestem bardzo smutna, ponieważ go stracę – wyjaśniła.

Wszyscy zamrúczeni pocieszająco. Olivia przestała bujać się w fotelu, Bobby usiadł spokojnie na swojej deskorolce, Amika przestała

wymachiwać nogami, nawet Tommy zapomniał o pociąganiu zasmarkanym nosem.

Przestałem wirować na fotelu. To była bardzo poważna sprawa. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak to jest tracić kogoś, kogo kochamy. Wszyscy to rozumieli.

Doświadczaliśmy tego przez cały czas. Traciliśmy najlepszych przyjaciół i zawsze była to bardzo smutna chwila.

Nie mogłem włączyć się do rozmowy. Uczucia, jakie kiedykolwiek żywiłem do Elizabeth, dały o sobie znać, a moje przepetrione miłością

serce rosło z dumy.

Gula w gardle sprawiała, że nie mogłem się odezwać, a moje rosnące serce sprawiło, że nie mogłem przestać kochać Elizabeth.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, Opal spytała:

– Van, jak tam sprawę z Elizabeth?

Wszyscy spojrzeli na mnie, a mnie udało się znaleźć malutką dziurkę w gardle, przez którą mogły przesączyć się słowa.

– Zostawiłem ją do jutra, żeby zrozumiała pewne rzeczy – zobaczyłem w myślach jej twarz i moje serce zabiło szybciej. Malutka przestrzeń w

gardle zacisnęła się z powrotem.

I chociaż nikt nie znał dobrze mojej sytuacji, wszyscy zrozumieli doskonale, że coś niedługo się skończy. Opal szybko zebrała dokumenty ze stołu i opuściła pokój.

Domyśliłem się, że pomyślała dokładnie to samo.

Stopy Elizabeth uderzały giucho o ruchomą bieżnię ustawioną w pokoju, z oknami wychodzącymi na tył domu. Spoglądała na wzgórze, jeziora i góry w oddali i biegła coraz szybciej, ze spocynom czołem, podskakującym kucykiem, machając ramionami w takt kroków. Wyobrażała sobie jak zawsze, że ucieka za góry i morza, daleko, daleko, daleko stąd. Kiedy po trzydziestu minutach nadal była w tym samym miejscu, zatrzymała się i wyszła z malej siłowni, dysząc z osłabienia. Od razu zabrała się do sprzątania, szorując zawzięcie wszystkie powierzchnie, aż zaczęły błyszczeć.

Wysprzątała każdy kął domu, ściągnęła pajęczyny, wyczyściła nawet

najciemniejsze zakamarki i zabrała się za generalne porządki w swoim umyśle, który również zarósł pajęczynami i zakurzył się. Była gotowa.

Coś usiłowało wydobyć się z ciemnych zakamarków i czuła, że ma dość siły, aby pomóc mu wydobyć się na światło dzienne. Koniec z

uciekaniem.

Usiadła przy stole kuchennym i wpatrzyła się w krajobraz za oknem –

spiętrzone wzgórze, doliny i jeziora otoczone falbanką fuksji i cynobrówek.

Sierpniowe niebo zaczynało ciemnieć nieco wcześniej.

Zastanawiała się długo i intensywnie nad wszystkim i niczym, pozwalając niepokojącym myślom wyjść z cienia, ujawnić się. Coś nie dawało jej spokoju, coś, od czego próbowała wcześniej uciec w sen albo porządki. Teraz jednak poddała się, złożyła broń i pozwoliła, żeby wszystkie myśli,

które od siebie odpychała, wypłynęły na powierzchnię. Czuła się jak kryminalista, który uciekał już zbyt długo.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? – zawołał ktoś słodkim głosekiem. Elizabeth uśmiechnęła się łagodnie.

– Rozmyślałm, Luke – odparła.

– Mogę posiedzieć z tobą? – spytał, a Elizabeth poczuła złość na samą siebie za to, że miała ochotę odpowiedzieć „nie”. – Nie będę niczego

dotykał ani się odzywał, obiecuję – dodał. Elizabeth ścisnęło się serce. Czy naprawdę była aż taka okropna? Tak. Wiedziała, że właśnie tak jest.

– Chodź, usiądź przy mnie – uśmiechnęła się i odsunęła krzesło obok.

Oboje usiedli w milczeniu w mrocznej kuchni.

– Luke, muszę z tobą porozmawiać o pewnych sprawach – odezwała się po jakimś czasie Elizabeth. – Powinam to zrobić dawno temu, ale...

– próbowała znaleźć odpowiednie słowa. Kiedy była dzieckiem, chciała, żeby ludzie wyjaśnili jej, co się stało, gdzie i dlaczego odeszła jej mama.

Proste wytłumaczenie pomogłoby jej i zapobiegło całym łałom dręczących ją myśli.

Luke spojrział na nią wielkimi błękitnymi oczami, okolonymi gęstą firanką rzęs. Miał puciułowate różowe policzki i ciekło mu z nosa. Elizabeth

roześmiała się i pogładziła chłopca po lśniących włosach, zatrzymując dłoń na rozgryzanym karku.

– Nie wiedziałam przedtem, jak ci to powiedzieć – dokończyła.

– Chodzi o mamę? – spytał Luke, machając nogami pod stołem.

– Tak. Nie odwiedzała nas od jakiegoś czasu. Zreszta pewnie to zauważyłeś.

– Odeszła w poszukiwaniu przygód – powiedział radośnie Luke.

– Nie wiem, czy można to tak nazwać, Luke – westchnęła Elizabeth. – Nie wiem, gdzie jest twoja mama, kochanie. Nie powiedziała nikomu,

gdzie się wybiera.

– Mi powiedziała – zaśpiewał radośnie.

– Co takiego? – Elizabeth spojrziała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Jej serce gwałtownie przyspieszyło.

– Przyszła do domu, zanim odjechała. Powiedziała, że odchodzi, ale nie wie na jak długo. Wtedy ja powiedziałem, że to jak wyprawa w

poszukiwaniu przygód.

Mama roześmiała się i powiedziała, że mam rację.

– Wytłumaczyła ci, dlaczego to robi? – wyszeptala Elizabeth, zaskoczona, że Saoirse znalazła w sobie na tyle uczucia, żeby pożegnać się z synem.

– Uhm. – Luke zaczął machać nogami energiczniej. – Powiedziała, że tak będzie najlepiej dla niej, dla ciebie, dla dziadka i dla mnie,

ponieważ cały czas robiła złe rzeczy i wszyscy się przez to wściekali. Powiedziała, że zamierza zrobić to, o czym zawsze jej mówiłaś. Uciec

daleko stąd.

Elizabeth wstrzymała oddech i przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, mówiła swojej siostrzyczce, żeby kiedy w domu rzeczy przybiorą zły obrót, uciekała daleko stąd. Pamiętała, jak obserwowała sześciolletnią Saoirse, odjeżdżając do college’u, jak powtarzała jej raz po raz, żeby uciekała jak najdalej. Gardło ścisnęło jej się z emocji.

– I co ty na to? – wykrztusiła. Przesunęła dłońią po mięciutkich włosach Luke’a i po raz pierwszy poczuła przemożną potrzebę, aby chronić to dziecko bardziej niż cokolwiek w życiu.

– Powiedziałem jej, że pewnie ma rację – odparł Luke. – Mama odparła, że jestem już dużym chłopcem i powinienem się opiekować tobą i

dziadkiem.

Elizabeth poczuła, jak z oczu płyną jej łzy.

– Tak powiedziała? – chlipnęła.

Luke uniósł rączkę i delikatnie otarł łzę z jej policzka.

– Nie martw się o nic. – Pocałowała jego dłoń i przytuliła. – Bo to ja jestem tutaj, żeby się tobą opiekować, rozumiesz?

Wymamrotał coś niezrozumiałe, z twarzą wuloną w jej pierś. Elizabeth puściła go szybko, pozwalając mu swobodnie odetchnąć.

– Niedługo wróci Edith – powiedział podekscytowany, kiedy już odzyskał

oddech. – Nie mogę się doczekać. Ciekawe, jaki prezent mi przyniesie.

Elizabeth uśmiechnęła się, usiłując pozbiierać się w sobie. Chrząknęła.

– Możemy jej przedstawić Iana. Myślisz, że go polubi?

Luke skrzywił się.

– Nie sądzę, żeby mogła go widzieć.

– Nie możemy go trzymać tylko dla siebie, Luke – roześmiała się Elizabeth.

– Poza tym Iana może już tutaj nie być, kiedy Edith wróci do domu – dodał mały.

Serce Elizabeth zadrżało.

– Co masz na myśli? Powiedział ci coś?

Luke potrząsnął głową, Elizabeth westchnęła.

– Och, Luke, to, że zaprzyjaźniłeś się z Ianem, nie oznacza, że cię opuści, wiesz? Nie chcę, żebyś się tego bał. Ja zawsze się batam

bliskości. Myślałam, że wszyscy, których kocham, prędzej czy później mnie zostawią.

– Ja cię nie zostawię. – Luke spojrział na nią z troską.

– A ja ci obiecuję, że też nigdy cię nie zostawię. – Pocałowała go w głowę i chrząknęła. – Wiesz co? Wszystkie te rzeczy, które robicie z Edith, wycieczki do zoo, do kina i tym podobne? – Luke pokijał głową. – Miałbyś coś przeciwko, gdybym czasem wybrała się z wami?

Luke uśmiechnął się radośnie.

– Jasne, byłoby super – zastanowił się przez chwilę. – Jesteśmy teraz trochę podobni, co nie? Moja mama zrobiła to samo, co twoja mama, prawda? – spytał, chuchając na szklaną powierzchnię stołu i wypisując palcem swoje imię na mgielce, która się tam pojawiała.

Elizabeth zeszywniała.

– Nie! – odparła ostro. – To zupełnie nie to samo – wstała od stołu, włączyła światło i zaczęła wycierać blat. – Twoja mama i moja mama to dwie zupełnie różne osoby. To wcale nie tak samo. – Jej głos drżał, kiedy zaciekle wycierała powierzchnię. Spojrzała na Luke'a i przypadkiem uchwyciła swoje odbicie w szafce.

Zastygła. Opuścił ją spokój. Wyglądała jak nawiedzona kobieta, uciekająca przed prawdą, uciekająca przed światłem.

I wtedy zrozumiała.

Wspomnienia, które czaiły się w ciemnych zakamarkach jej umysłu, zaczęły wychodzić na powierzchnię, ku światłu.

36

– Opal – zawołałem cicho z progu gabinetu. Wydawała się tak bardzo krucha i obawiałem się, że pod wpływem głośniejszego dźwięku rozsypie się w drobniązgi.

– Ian. – Ze zmęczonym uśmiechem, odgarnęła loki z twarzy.

Widziałem swoje odbicie w jej lśniących oczach. Wszedłem do gabinetu.

– Wszyscy się o ciebie martwimy. Czy możemy... czy mogę ci jakoś pomóc?

– Dziękuję, Ian, ale poza pilnowaniem, żeby wszystko tu szło zwykłym torem, nikt nie może mi pomóc. Po prostu jestem już bardzo, bardzo zmęczona. Kilka ostatnich nocy spędziłam w szpitalu i nie zmrzyłam nawet na chwilę oka.

Geoffreyowi zostało już tylko kilka dni i chcę być przy tym, kiedy... – spojrzała w bok, na fotografię stojącą na jej biurku. – Gdybym mogła znaleźć jakiś sposób, żeby się z nim pożegnać – powiedziała drżącym głosem. – Chciałabym mu dać znak, że nie jest sam, że jestem przy nim – po jej policzkach popłynęły łzy.

Podszedłem do niej, żeby ją pocieszyć. Czulem się kompletnie bezradny i wiedziałem, że tym razem naprawdę nic nie mogę zrobić, żeby pomóc mojej przyjaciółce. A może jednak?

– Chwileczkę, Opal. Może jest sposób. Mam pomysł – z tymi słowy

wybiegłem z gabinetu.

Elizabeth poprosiła mamę Sama, żeby przenocowała Luke'a. Musiała być tej nocy sama. Czula, że dokonuje się w niej zmiana.

Ogarnął ją chłód, który nie chciał odejść. Siedziała skulona w łóżku, w luźnym swetrze, okryta kocem, desperacko usiłując się ogrzać. Księżyc za oknem dostrzegł, że coś jest nie tak, i strzegł ją troskliwie przed ciemnościami. Żołądek Elizabeth skurczył się boleśnie. To, co powiedzieli dzisiaj Ian i Luke, odblokowało wspomnienia tak przerażające, że do tej pory bała się je przywołać. Spojrzała na księżyc za oknem i poddała się im, odpłynęła w przeszłość...

Miała dwanaście lat. Od czasu pikniku na łące z matką minęły dwa tygodnie.

Dwa tygodnie czekania na jej powrót. Za drzwiami sypialni skrzeczała jednomiesieczna Saoirse, uciszana i tulona przez ojca.

– Cicho, dziecko, nie płacz... – słyzała jego słowa, to głośniejsze, to cichnące, kiedy przybliżał się i oddalał od jej drzwi. Była ciemna noc, na zewnątrz szalał wiatr, wciskał się do środka przez wszystkie szpary, gwizdał, tańczył po pokojach, drażnił, sztydził z płaczącej Elizabeth, leżącej w łóżku i zakrywającej dłońmi uszy.

Saoirse rozplakała się jeszcze bardziej, ojciec podniósł głos, uciszając małą, a Elizabeth zasłoniła uszy poduszką.

– Proszę, Saoirse, proszę cię, przestań płakać. – Ojciec usiłował nucić kołysankę, którą zawsze śpiewała im matka. Elizabeth zacisnęła

dłonie na uszach, ale nadal słyszała płacz Saoirse i faszowanie ojca. Usiadła wyprostowana na łóżku.

Oczy piekły ją od kolejnej nieprzespanej, przeplakanej nocy.

– Chcesz jeść? – spytał łagodnie ojciec rozwrzeszczanego niemowlaka. – Nie?

Ach, Kochanie, o co chodzi? – spytał z bólem. – Ja też za nią tęsknię, słoneczko, ja też – rozplakał się.

Saoirse, Brendan i Elizabeth, wszyscy plakali z tęsknoty za Gráinne, samotni w domu opanowanym przez wiatr.

Nagle na drodze pojawiły się światła samochodu. Elizabeth wyskoczyła z łóżka i usiadła na jego brzegu. W żołądku laskotało ją z podniecenia.

Mama, to musiała być ona! Kto inny przyjechałby tutaj o dziesiątej w nocy? Elizabeth zaczęła podskakiwać na łóżku z radości.

Przed domem zatrzymał się samochód, z którego wysiadła Kathleen, siostra Gráinne. Zostawiła otwarte drzwi, włączone światła i wycieraczki.

Zaskrzybiała otwierana brama. Kathleen zastukała do drzwi.

Otworzył jej Brendan z rozwrzeszczaną Saoirse w ramionach. Elizabeth podbiegła do drzwi swojej sypialni i przez dziurkę od klucza zaczęła obserwować rozgrywającą się w korytarzu scenę.

– Jest tutaj? – spytała Kathleen bez przywitania czy jednego miłego słowa.

– Ciiii – odparł Brendan. – Nie chcę, żebyś obudziła Elizabeth.

– Tak jakby mogła spać w tym wrzasku. Co ty zrobiłeś temu biednemu

dziecku? – spytała z niedowierzaniem.

– Biedne dziecko tęskni za matką – odpowiedział podniesionym głosem. – Tak jak my wszyscy – dodał ciszej.

– Daj mi małą – zażądała Kathleen.

– Jesteś mokra. – Brendan odsunął się i mocniej przytulił malutkie zawiniątko.

– Jest tutaj czy nie? – spytała ponownie Kathleen gniewnym głosem. Nadal stała w progu. Nie zamierzała wejść do środka ani też nikt jej nie zaprosił.

– Oczywiście, że jej nie ma. – Brendan zaczął kołysać Saoirse, usiłując ją uspokoić. – Myślałem, że zabrałaś ją do tego magicznego miejsca,

w którym wyleczą ją z wszystkich problemów – dodał gniewnie.

– To miało być najlepsze miejsce, Brendan, lepsze niż wszystkie inne. W

każdym razie – kilka następnych słów wymamrotała niezrozumiale dla Elizabeth. –

Zniknęła.

– Zniknęła? Co to znaczy, zniknęła?

– Dziś rano nie było jej w pokoju. Nikt jej nie widział.

– Twoja matka ma zwyczaj znikania w nocy – rzucił gniewnie Brendan, potrząsając Saoirse. – Cóż, jeżeli nie ma jej tam, gdzie ją wysłałaś, nie

musisz szukać daleko. Zapewne będzie u Flanagana.

Elizabeth gwałtownie zaczerpnęła powietrza w płuca. Jej matka była nadal tutaj, w Baile na gCrotlthe. Nie opuściła jej!

Saoirse nadal zawodziła.

– Na miłość boską, Brendan, nie możesz jej uciszyć? – zaczęła marudzić Kathleen. – Wiesz, że mogę się zaopiekować dziećmi. Zamieszkają u mnie, ze mną i Alanem...

– To moje dzieci i nie odbierzesz mi ich tak, jak odebrałaś Gráinne – ryknął.

Saoirse uciszyła się. Zapadła długa cisza.

– Idź już sobie – rzucił słabym głosem Brendan, jakby wcześniej wybuch odebrał mu wszystkie siły.

Drzwi wejściowe zamknęły się i Elizabeth zobaczyła przez okno, jak Kathleen zamyka z furią bramę i wsiada do samochodu. Ruszyła z

impetem i tylne światła zniknęły w mrocznej dali.

Elizabeth miała cień nadziei, że zobaczy matkę. Jej ojciec wspomniał coś o pubie Flanagana. Wiedziała, gdzie to jest. Przechodziła obok

niego codziennie, w drodze do szkoły. Spakuje plecak, odnajdzie mamę i będzie z nią żyła z daleka od rozwrzeszczanej małej siostry i ojca.

Codziennie będą miały jakieś przgody.

Klamka przy jej drzwiach poruszyła się. Elizabeth zanurkowała pod koldrę i zacisnęła powieki, udając, że śpi. Postanowiła, że gdy tylko jej ojciec położy się spać, wyruszy do pubu Flanagana.

Wyślizgnie się z domu w środku nocy, tak jak jej matka.

– Jesteś pewien, że to wyjdzie? – Opal stała pod ścianą szpitalnego oddziału, zaciskając i rozluźniając trzęsące się dłonie.

Ian spojrzął na nią niepewnie.

– Warto spróbować – powiedział.

Przez szklane okno na korytarzu widzieli Geoffreya w jego pokoju, z maską tlenową na twarzy, podłączonego do rozmaitych pikających i

opiskujących urzędzeń. W centrum całego tego mechanicznego zgłuku leżało jego ciało, spokojne i nieruchome. Pierś mężczyzny unosiła się i opadała rytmicznie.

Słyszeli dziwny dźwięk, obecny tylko w szpitalach – odgłos wyczekiwania, zawieszenia między dwoma światłami, w których zatrzymał się czas.

Gdy tylko opiekujące się Geoffreyem pielęgniarki otworzyły drzwi, aby wyjść z pokoju, Ivan i Opal wślizgnęli się do środka.

– Oto i ona – powiedziała Olivia, siedząca przy łóżku umierającego. Jego oczy otworzyły się szybko i powiodły po pokoju.

– Stoi po twojej lewej stronie, mój drogi. Trzyma cię za rękę – powiedziała łagodnie Olivia.

Geoffrey chciał coś powiedzieć, ale nie można go było zrozumieć ze względu na maskę tlenową. Opal zaskoniła dłonią usta, a w jej oczach zaślnęły łzy. Geoffrey mówił w języku, który potrafiła zrozumieć jedynie Olivia – w języku umierającego człowieka.

Pokiwała głową, gdy mamrotał coś niezrozumiale. Ze łzami w oczach

przemówiła, a kiedy padły pierwsze słowa, Ivan poczuł, że musi wyjść, natychmiast.

– Poprośi, żeby ci powiedzieć, że z bólem serca znosił każdą chwilę waszej rozłąki, droga Opal.

Ivan wyszedł z pomieszczenia przez nadal otwarte drzwi i tak szybko, jak potrafił, opuścił oddział i budynek szpitala.

37

Kropłe deszczu niczym małe kamyczki uderzały w szyby domu Elizabeth na Fuchsia Lane. Wiatr rozgrzał przez noc struny głosowe i wył teraz pełną mocą.

Elizabeth, skulona w łóżku, przeniosła się w czasie w tamtą zimową noc, kiedy wybrała się na poszukiwanie swojej matki.

Spakowała do szkolnego plecaka tylko kilka rzeczy – bieliznę, dwa swetry, dwie sukienki, książkę, którą podarowała jej mama, i pluszewego misia. W

skarbonce miała 4 funty i 42 pency. Założyła ulubioną sukienkę w kwiaty i czerwone kalosze, owinęła się szczelnie płaszczem przeciwdeszczowym i wyruszyła w zimną noc. Przeszła przez mur otaczający ogród, ponieważ nie chciała skrzyknięciem bramy zaalarmować ojca, który ostatnio spał czujnie, niczym pies, nasłuchując jednym uchem.

Ruszyła pod ostoną krzaków, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć na drodze. Wiatr szarpał gałęzmi, które biczowały ją po twarzy i nogach. Wilgotne liście dotykały jej skóry. Tej nocy szalała prawdziwa wichura. Podmuchy uderzały w Elizabeth bezfilosnie, zapierając dech w piersiach. Po kilku minutach wędrówki poczuła, że jej palce, nos i usta zdrętwiały. Przemarzała do kości, jednak myśli o zobaczeniu matki kazała jej stawiać kolejne kroki. Szła dalej.

Dwadzieścia minut później dotarła do mostu prowadzącego do Baile na gCroilthe. Nigdy przedtem nie widziała Baile o jedenastej w nocy.

Wyglądało niczym miasto duchów, ciemne, opustoszałe i milczące, jakby za chwilę miało się stać wiecznie milczącym świadkiem jakiegoś wydarzenia.

Elizabeth wędrowała do pubu Flanagana z rosnącym podnieceniem. Nie czuła już chłodu, tylko radość. Wkrótce znajdzie się w ramionach matki. Usłyszała pub, zanim go zobaczyła; był to jedyny budynek w mieście poza Garbem Wielbłąda, w którym jeszcze plonęły światła. Z otwartych okien dobiegały ją dźwięki pianina, skrzypiec, badhránu[6], głośnie śpiewy i śmiech, a od czasu do czasu zachęcające pokrzykiwania i oklaski.

Elizabeth zachichotała. Wyglądało na to, że wszyscy się znakomicie bawili.

Na zewnątrz stał samochód cioci Kathleen i Elizabeth automatycznie

przyspieszyła. Drzwi wejściowe były otwarte. Wewnątrz dostrzegła mały korytarzyk zakończony zamkniętymi drzwiami z kolorowego szkła.

Elizabeth stanęła na ganku i strząsnęła deszcz z płaszcza. Powiesiła go obok innych okryć i parasolek na haczyku.

Czarne włosy miała kompletnie przemoczone, ciekło jej z przemarzniętego nosa.

Trzęsła się z zima, a u jej stóp formowały się małe kałuże lodowatej wody.

Pianino przestało grać. Rozległy się głośnie okrzyki i oklaski. Nagły hałas wystraszył Elizabeth.

– Dalej, Gráinne, zaśpiewaj nam jeszcze jedną – wykrzyknął jakiś pijany mężczyzna, niewyraźnie wymawiając wyrazy. Inni poparli go głośnymi wrzaskami.

Elizabeth zastrzygła uszami na dźwięk imienia matki. A więc jednak tu była!

Mama tak cudownie śpiewała. Kiedy była w domu, nuciła przez cały czas, układała kołysanki i piosenki dla dzieci, zupełnie sama. Elizabeth uwielbiała budzić się rano i leżeć w łóżku, nasłuchując nucenia mamy, krzątającej się po domu. Jednak głos, który usłyszała teraz, na tle

zachęcających wrzasków pijanych mężczyzn, nie był

słodkim głosem matki, który tak dobrze знаła.

Elizabeth otworzyła oczy i usiadła wyprostowana na łóżku w swoim domu na Fuchsia Lane. Na zewnątrz wył wiatr niczym ranione zwierzę.

Serce waliło jej głośno w piersi, czuła suchość w ustach. Była mokra od potu.

Odrzuciła koltre, chwyciła kluczyki ze stolika nocnego, zbiegła po schodach, chwytając po drodze płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła z domu do samochodu.

Na zewnątrz zaatakowały ją zimne kropłe deszczu i Elizabeth przypomniała sobie, dlaczego go nienawidzi – przypominał jej o tamtej nocy. Pobiegła do samochodu, dygocząc na wietrze, który targał jej włosy, smagał kosmykami twarz. Zanim siadła za kierownicą, zdążyła przemoknąć do suchej nitki.

Wycieraczki odgarniały zawzięcie wodę z szyby, gdy jechała w ciemnościach do Baile. Przejeżdżając przez most, miała wrażenie, że znowu zjawia się w mieście duchów. Wszyscy schronili się w ciepłe domów i pensjonatów. Tylko w pubie Flanagana i Garbie Wielbłąda tliło się jeszcze jakieś życie. Elizabeth zaparkowała samochód po przeciwnej stronie ulicy przed pubem Flanagana, wyłączyła silnik i spojzała na budynek, pogrążając się we wspomnieniach tamtej nocy.

Bolały ją uszy od słów piosenki. Były wulgarne, obrażające, śpiewane w sprośny, prostacki sposób. Każde brzydkie słowo, które jej ojciec zabraniał

wypowiadać w domu, tutaj spotykało się z aplauzem pijanej, wulgarnej publiczności.

Elizabeth wspięła się na palce, żeby spojrzeć przez czerwoną szybkę na tę okropną kobietę, która skrzeczącym głosem wyśpiewywała sprośną piosenkę. Była przekonana, że jej matka siedzi u boku cioci Kathleen, absolutnie zdegustowana.

Serce podeszło jej do gardła i przez chwilę poczuła, że nie może oddychać. Na pokrywie drewnianego fortepianu siedziała jej matka i to z jej ust wydobywały się wszystkie te okropne dźwięki. Spódniczkę, której Elizabeth nigdy u niej nie widziała, podciągnęła wysoko, odsłaniając uda. Wokół niej kłębił się pijani mężczyźni, flirtując z nią i zaśmiewając się, kiedy wypinała się i wyginała, prezentując swoje kształty. Elizabeth nigdy przedtem nie widziała, żeby kobieta zachowywała się w ten sposób.

– Hej tam, chłopcy, spokojnie! – zawołał młody Flanagan zza baru. Pijani mężczyźni zignorowali go i dalej usiłovali dobierać się do Gráinne.

– Mamusiul! – rozplakała się Elizabeth.

Powoli przeszła przez ulicę w stronę pubu Flanagana. Serce waliło jej niczym młotem na wspomnienie tamtych wydarzeń. Wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi. Pan Flanagan spojrział na nią znad baru i uśmiechnął się, zupełnie jakby spodziewał się ją tu dziś zobaczyć.

Mała Elizabeth wyciągnęła rączkę i otworzyła drzwi. Woda skapywała z mokrych włosów na jej policzki. Dolna warga drżała od płaczu.

Rozzejrzała się w panice wielkimi brązowymi oczami i dostrzegła, jak jeden z mężczyzn wyciąga rękę, żeby dotknąć matkę.

– Zostaw ją! – wrzasnęła Elizabeth tak głośno, że w pomieszczeniu zrobiło się cicho. Matka przestała śpiewać. Wszyscy spojrzeli na małą dziewczynkę stojącą w drzwiach. Pijacy zgromadzeni wokół Gráinne wybuchnęli głośnym śmiechem. Łzy potoczyły się po policzkach przerażonej Elizabeth.

– Oho, ho! – Matka krzyczała najgłośniej. – Próbujem ratować mamusię, co?

– wybełkotała. Utkwila pijane spojrzenie w Elizabeth. Jej oczy były przekrwione i pociemniałe, nie takie, jak zapamiętała Elizabeth. Należały do

zupełnie innej istoty.

– Cholera! – przeklęła Kathleen, zrywając się ze swojego stołka przy barze i podbiegając do Elizabeth. – Co ty tu robisz?

– Jijja przyszedł zzzzeby... – zająknęła się Elizabeth w ciszy. Spojrzała na matkę z przerażeniem. – Ja przyszedł, żeby znaleźć mamusię.

Żebyśmy mogły razem mieszkać.

– Ale jej tu nie ma! – zaskrzeczała Gráinne. – Wynos się! – wycelowała w nią oskarżycielsko palcem. – Zmokłym kurom nie wolno wchodzić do pubu – zaniósła się śmiechem i uniosła kieliszek. Nie trafiła jednak do ust i większość trunku wylała się na jej szyję. Zapach perfum zniknął pod smrodem whisky.

– Ale mam... – zaszlochała Elizabeth.

– Ale mamol – zaczęła ją przedrzeźniać Gráinne. Kilku otaczających ją mężczyzn roześmiało się. – Nie jestem twoją mamą – dodała szorstko, nadeptując na klawiaturę i wypełniając pomieszczenie głośnym kakofonicznym dźwiękiem. – Male przemokłe Lizzie nie zasługują na mamy.

Powinno się je wszystkie otruć – wypluła z siebie z nienawiścią.

– Kathleen! – krzyknął pan Flanagan. – Co ty wyprawiasz? Zabierz stąd małą.

Nie powinna tego oglądać i słuchać.

– Nie mogę. – Kathleen nie ruszała się z miejsca. – Muszę pilnować Gráinne.

Powinnam ją zabrać ze sobą.

Pan Flanagan spojrział na nią zaszokowany, otwierając usta w zdumieniu.

– Spójrz na tego dzieciaka! – krzyknął.

Śniada skóra Elizabeth zrobiła się biała jak kreda, jej usta zsiniały z zima.

Stała, dygocząc w przemoczonej kwiecistej sukience i czerwonych kaloszach, szczękając zębami.

Kathleen powiodła wzrokiem od malej do Gráinne, bezradna pomiędzy nimi dwoma.

– Nie mogę, Tom – syknęła.

Flanagan wyglądał na bardzo zagniewanego.

– W takim razie ja wykażę tę odrobinę przywitości i zabiorę dzieciaka do domu – powiedział dobitnie. Chwycił kluczyki spod baru i zaczął

się zbliżyć do Elizabeth.

– NIE! – krzyknęła mała. Spojrzała na matkę, którą już najwyraźniej znudziła owa scenka. Jakisi obcy mężczyzna trzymaj ją w ramionach.

Elizabeth odwróciła się i wybiegła w ciemną, zimną noc.

Stała w drzwiach prowadzących do baru. Woda ściekała z jej mokrych włosów na czoło i nos. Szczękała zębami i czuła, że ręce ma zdrtwiętałe z zimna. Odgłosy w pubie nie były takie, jak zapamiętała. Żadnej muzyki, krzyków, oklasków, zwyczajnie brzękanie kieliszków i szklanek oraz cichy gwar. W czwartkową noc było tu może tylko pięcioro klientów. Podstarzały Tom Flanagan nadał się jej przyglądał.

– Moja matka – zawołała Elizabeth z progu. Zaskoczył ją dziecięco wysoki dźwięk jej głosu. – Moja matka była alkoholizką, tak?

Tom pokiwał głową.

– Często tu przychodziła?

Znów przytaknął.

– Były jednak tygodnie – przełknęła głośno. – Czasem kilka tygodni z rzędu, kiedy zostawała z nami w domu.

– Twoja matka nie piła codziennie. Lubiła chodzić w tango – wyjaśnił

łagodnie.

– Mój ojciec – przerwała, myśląc o biednym Brendanie, który każdej nocy czekał na powrót żony. – Wiedział o tym?

– Miał cierpliwość świętego – odparł Flanagan.

Elizabeth rozejrzała się po małym barze. W rogu stał ten sam fortepian, co kiedyś. Zmieniło się tylko to, że wszystkie przedmioty tu się postarzały.

– Dziękuję. Za tamtą noc – Elizabeth poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

Tom tylko skinął głową ze smutkiem.

– Widziałeś ją od tamtej pory?

Potrząsnął przecząco głową.

– Czy... czy sądziś, że wróci? – spytała, czując rosnącą w gardle gulę.

– Nie w tym życiu, Elizabeth. – Tom potwierdził jej podejrzenia.

– Tatusi... – wyszeptała Elizabeth i wybiegła z baru w ciemną, zimną noc.

Mała Elizabeth wybiegła z pubu, czując każdą kroplę deszczu uderzającą boleśnie w jej skórę. Zimne powietrze wdzierające się do płuc z każdym oddechem wywoływało potworny ból w piersi. Kałuże rozpryskiwały się pod jej nogami. Biegła do domu.

Elizabeth wkroczyła do samochodu i z piskiem opon ruszyła poza miasto, w stronę drogi prowadzącej na farmę ojca. Zbliżające się z naprzeciwka światła oznaczały, że musi się cofnąć i poczekać, aż minie ją nadjeżdżający samochód, zanim będzie mogła ruszyć dalej.

Jej ojciec wiedział przez cały czas i nigdy jej nie powiedział. Nie chciał zniszczyć jej marzeń, wizerunku matki, którą Elizabeth stawiała na piedestale.

Myślała o niej jak o wolnym duchu, o ojcu zaś, jako o tamszącej sile, człowieku, który niewoli motyle.

Musiiała szybko się tam dostać, przeprosić go, naprawić wszystko.

Ruszyła drogą, ale natknęła się na jadący z naprzeciwka traktor, dość niezwykły widok o tej porze. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko znów się wycofać, aby sunący powoli ciągnik ją minął. Zabrakło jej cierpliwości. Wysiadła z samochodu i zaczęła biec. Biegła najszybciej jak potrafiła, drogą, która prowadziła do domu.

– Tatusiu! – chiliła mała Elizabeth, biegnąc w stronę farmy. Krzyknęła głośniej, a wiatr pomógł jej po raz pierwszy tej nocy, niosąc jej wołanie do domu. W

środku zapaliło się światło, a potem następne. Widziała, jak otwierają się drzwi wejściowe.

– Tatusiu! – krzyknęła rozpaczliwie i przyspieszyła.

Brendan siedział przy oknie w sypialni, spoglądając na spowitą czernią drogę.

Popijał herbatę i pragnął wbrew wszystkiemu, żeby widać, na którą czekał, zmaterializowała się wreszcie przed jego oczami.

Przeгнаł je, odepchnął od siebie, postąpił dokładnie odwrotnie, niż powinien i niż chciał. Wszystko to jego wina. Teraz mógł już tylko czekać na pojawienie się jego trzech kobiet. Jedna z nich, wiedział to z całą pewnością, nigdy już nie wróci.

Kątem oka uchwycił ruch na drodze i wyprostował się w fotelu niczym zaalarmowany pies. W stronę domu biegła kobieta z długimi czarnymi włosami, falującymi na wietrze. Jej sylwetka widziana zza wilgotnej od deszczu szyby była niewyraźna, rozmazana.

To ona.

Brendan upuścił filiżankę i spodeczek na podłogę. Poderwał się z fotela.

– Gráinne – wyszeptał.

Chwycił laskę i ruszył w kierunku drzwi wejściowych tak szybko, jak pozwalały mu na to stare nogi. Otworzył drzwi i wpatrzył się w ciemność, wyczekując żony.

Usłyszał w oddali ciężki oddech biegnącej kobiety.

– Tatusiu – zawołała. Nie, nie mogła tego powiedzieć. Jego Gráinne nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

– Tatusiu! – zawołała płaczliwie.

Znajome wołanie cofnęło go dwadzieścia lat wcześniej. To jego mała córeczka, biegła znowu do domu w deszczu. Potrzebowała go.

– Tatusiu! – krzyknęła głośniej.

– Jestem tutaj – odpowiedział, najpierw cicho, a potem co sił w płucach. –

Jestem tutaj!

Usłyszał jej płacz, zobaczył, jak otwiera skrzypiącą bramę. Ociekała wodą, jak dwadzieścia lat temu. I tak samo jak wtedy wyciągnął ramiona i przytulił ją.

– Jestem tu, jestem, nie martw się – pocieszał ją, głaszcząc po głowie i kołysząc łagodnie. – Tatusi jest z tobą.

38

W dniu urodzin Elizabeth ogród w jej domu wyglądał niczym żywcem wyjęty z przyjęcia u Szalonego Kapelusznika. Na środku stał długi stół przykryty czerwono-białym obrusem, zastawiony talerzami, na których piętrzyły się kielbaski koktajlowe, chipsy, dipy, kanapki, sałatki, wędliny i słodycze. Wszystkie krzewy zostały elegancko przycięte, na rabatkach kwitły nowe kwiaty, powietrze zaś przesycone było zapachem świeżo skoszonej trawy i grillu, który rozgrzewał się w rogu ogrodu.

Był bardzo ciepły dzień, bezchmurne niebo przybrało kolor indygo, szmaragdowe wzgórza upstrzone były białymi kropkami pasących się tam owiec. Ivana bolało serce, że będzie musiał porzucić to piękne miejsce i mieszkających tu ludzi.

– Ivan, tak się cieszę, że tu jesteś. – Elizabeth wynurzyła się z kuchni.

– Dziękuję. – Odwrócił się i przywitał ją uśmiechem. – Proszę, proszę! Spójrz w lustro – dodał, otwierając usta ze zdziwienia. Elizabeth miała na sobie prostą białą linianą sukienkę, kontrastującą przepięknie z jej śniadą cerą. Długie włosy podkręciła lekko i rozpuściła, pozwalając im opadać na ramiona. – Obróć się – powiedział, nadal zaskoczony jej wyglądem. Rysy jej twarzy złagodniały i cała wydawała się jakby bardziej miękką.

– Przeształam pozować dla facetów, od kiedy skończyłam osiem lat. Nie gap się, jest jeszcze dużo do zrobienia – rzuciła ostrym tonem.

Cóż, nie wszystko w niej złagodniało.

Elizabeth rozejrzała się dookoła, z rękami na biodrach, niczym policjantka na patrolu.

– No dobrze, powiem ci, jaki mam plan. – Chwyciła Ivana za ramię i

pociągnęła w kierunku stołu. – Kiedy ludzie zaczną wchodzić przez boczną furtkę, pojawią się najpierw tutaj. Będą mogli wziąć stąd serwetki,

sztuczce i talerze, a potem przejść dalej, o tu – mówiła i poruszała się bardzo szybko, nadal mocno ścisnąjąc jego ramię. – Ty masz za zadanie stać przy grillu i podawać to, co sobie zażyczą z tej kolekcji – pokazała na stolik, na którym stały różne rodzaje mięsa. – Po lewej burgery sojowe, po prawej zwyczajne mięso. Tylko się nie pomył! – Ivan otworzył

usta, żeby zaprotestować, ale Elizabeth uniosła palec, powstrzymując go przed wypowiedzią. – Potem, kiedy już wezmą bułki, mają przejść do sałatek, o tutaj.

Zauważ, że sosy do hamburgerów stoją po tej stronie.

Ivan chwycił w palce oliwkę. Elizabeth klepnęła go po ręce tak, że upuścił

oliwkę z powrotem do miski.

– Desery są tutaj – ciągnęła. – Herbata i kawa tutaj, mleko organiczne w dzbanku po lewej, zwyczajne mleko po prawej. Toalety tylko na lewo po wejściu do domu. Nie chęć, żeby zaczęli mi zaglądać we wszystkie kąty. Zrozumiałeś?

Ivan pokiwał głową.

– Jakież pytania?

– Tylko jedno. – Chwycił oliwkę i szybko wetknął do ust, zanim miała szansę znów go skarcić. – Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Elizabeth wyrwała oczami.

– Bo tak. – Wytarła wilgotne ręce w serwetkę. – Nigdy nie urządziłam przyjęć ogrodowych, a ponieważ to ty mnie w to wrobiłeś, musisz mi teraz pomóc.

– Elizabeth – roześmiał się Ivan. – Wszystko będzie dobrze, chociaż moje grillowane mięso na pewno nie pomoże.

– Dlaczego? Nie macie grilli w AniarK Kejab? – spytała sarkastycznie.

Ivan zignorował jej złośliwość.

– Posłuchaj, nie potrzebujesz dzisiaj żadnych planów i reguł. Po prostu pozwól ludziom robić to, na co mają ochotę, przechadzaj się po ogrodzie, wmiszaj się w tłum. Sami wybiorą jedzenie, na jakie mają ochotę. Może ktoś zechce zacząć od szarlotki?

Elizabeth spojrzała na niego wstrząśnięta.

– Zaczynać od szarlotki? – wykrztusiła. – Ale przecież to jest po nieodpowiedniej stronie stołu. Nie, Ivan, musisz im wszystkim wytłumaczyć, gdzie jest początek, a gdzie koniec kolejki. Ja nie będę miała na to czasu. – Ruszyła do kuchni. – Tato, mam nadzieję, że nie podjadasz kiełbasek koktajlowych – krzyknęła.

– Tata? – Ivan zdziwił się. – On tutaj jest?

– Tak. – Wywróciła oczami, ale Ivan wiedział, że zrobiła to niespecjalnie. –

Może i dobrze, że nie pojawiałeś się przez kilka ostatnich dni, ponieważ byłam zajęta porządkowaniem mojego życia. Rozumiesz sam, sekrety rodzinne, lzy, rozstania i powroty. Zaczyna się nam powoli układać – rozluźniła się na chwilę i uśmiechnęła do Ivana. Rozległ się dzwonek u drzwi.

Elizabeth podskoczyła, spoglądając z paniką w stronę domu.

– Uspokój się, Elizabeth – roześmiał się Ivan.

– Wejście z boku, od ogrodu! – zawołała Elizabeth głośno.

– Zanim tu przyjdą, chciałem ci wręczyć prezent. – Ivan wyciągnął przed siebie rękę z ogromną czerwoną parasolką. Elizabeth spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– To do ochrony przed deszczem – wyjaśnił. – Tamtej nocy pewnie by ci się przydała.

Czoko Elizabeth wyglądało się, kiedy zrozumiała.

– To bardzo miło z twojej strony, dziękuję. – Objęła go. Nagle spojrzała na niego podejrzliwie. – Skąd wiesz o tamtej nocy?

Przy furcie prowadzącej do ogrodu pojawił się Benjamin z bukietem kwiatów i butelką wina.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Elizabeth odwróciła się i zaczerwieniła lekko. Nie widziała go od dnia, w którym przyłapał ją po bitwie na farby, z napisem na ścianie

wymalowanym przez Ivana.

– Dziękuję – odparła, ruszając w jego stronę.

Wyciągnął prezenty w jej kierunku. Elizabeth z trudem je wzięła, bo jedną rękę miała już zajęętą wielką parasolką. Benjamin spojrział na nią i

roześmiał się.

– Nie będziesz jej chyba dzisiaj potrzebowała.

– Och, to? – Elizabeth zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – To prezent od Ivana.

Benjamin uniósł brwi.

– Doprawdy? Zaczynam podejrzewać, że coś ze sobą kombinujesz.

Elizabeth powstrzymała się od uśmiechu. Bardzo chciała, żeby to, co powiedział Benjamin, było prawdą.

– Ivan gdzieś tu jest... może wreszcie uda mi się was sobie przedstawić. –

Rozejrzała się po ogrodzie, zastanawiając się, dlaczego Benjamin zawsze wydawał

się tak bardzo rozbawiony jej słowami.

– Ivan? – słyszałem, jak Elizabeth wykrzykuje moje imię.

– Tak? – odparłem, nie przerywając mojego zajęcia. Pomagałem Luke’owi włożyć papierowy kapelusz.

– Ivan? – zawołała znowu.

– Taaaak? – odpowiedziałem niecierpliwie, wstając i spoglądając na nią. Nadal rozglądała się po ogrodzie.

Serce mi stanęło. Przysięgam, czułem, jak przestaje bić. Nabrałem gwałtownie powietrza w płuca, za wszelką cenę starając się nie

panikować.

– Elizabeth – zawołałem tak drżącym głosem, że ledwo go rozpoznałem. Nie zareagowała, nie odwróciła się w moim kierunku.

– Nie wiem, gdzie on się podział. Był tutaj jeszcze minutę temu – powiedziała gniewnie. – Miał się dzisiaj zająć grillem.

– Świetnie – roześmiał się Benjamin. – Bardzo subtelna sugestia, ale nie ma sprawy, mogę to zrobić.

Elizabeth nie dostrzegła aluzji, zagubiona w myślach.

– Okay, świetnie, dziękuję.

Elizabeth dalej rozglądała się dookoła. Przyglądałem się, jak Benjamin zakłada fartuch, a ona mu wszystko wyjaśnia. Nie byłem już częścią

tego obrazka.

W ogrodzie zaczęli pojawiać się goście i w miarę jak ogród wypełniał się gwarami rozmów, śmiechem i zapachem jedzenia, czułem coraz

większe zawroty głowy. Przyglądałem się, jak Elizabeth usiłowała zmusić Joego do spróbowania jej smakowej kawy, podczas gdy wszyscy

przyglądali się temu ze śmiechem.

Obserwowałem, jak Elizabeth i Benjamin szepczą sobie coś do ucha, a potem chichoczą. Przyglądałem się ojcu Elizabeth, stojącemu na

końcu ogrodu z laską w jednej dłoni, filiżanką w drugiej, spoglądającemu łęsknie na zielone wzgórza i czekającemu na powrót drugiej córki.

Obserwowałem, jak pani Bracken i jej podstarzałe przyjaciółki ukradkiem nakładają sobie kolejny kawałek ciasta, kiedy wydawało im się, że nikt

nie widzi.

Ale ja widziałem. Widziałem wszystko.

Byłem niczym turysta w muzeum sztuki, stojący przed malowniczym obrazem, który tak bardzo mu się spodobał, że zapragnął wejść w niego,

stać się jego częścią.

Tymczasem spychało mnie coraz bardziej w odległy kąt ogrodu. W głowie mi się kręciło, a nogi trzęsły się niemikosiernie.

Przyglądałem się, jak Luke wnosi do ogrodu tort urodzinowy Elizabeth.

Pomagała mu Poppy. Wszyscy zaśpiewali *Sto lat*, a Elizabeth zaczerwieniła się zaskoczona i zawstydzona. Widziałem, że rozgląda się za

mną i nie może mnie znaleźć. Zamknęła oczy, wypowiedziała w myślach życzenie i zdmuchnęła świeczki, jak mała dziewczynka, która nigdy nie

uczyla swoich dwunastych urodzin i przeżywała je w tej właśnie chwili. Przypomniałem sobie to, co powiedziała Opal – ja nigdy nie miałam

urodzin. Nigdy się nie będę starzał, podczas gdy Elizabeth tak, każdego roku. Tium roześmianych gości nagrodził zdmuchnięcie świeczek

głośnymi okrzykami aprobaty. Dla mnie oznaczały one upływ czasu. Zdmuchując małe roztańczone płomyczki, zgasiła resztkę nadziei, która tliła

się w moim sercu. Owe drobiny światła wyjaśniały, dlaczego nie możemy być razem, i bardzo mnie to boleło.

Uradowany tłum pokrzykiwał weselo, kiedy ja cierpiałem, okrutnie świadomy, że z każdą sekundą odliczaną przez zegar Elizabeth stawała się

coraz starsza.

– Ivan! – Elizabeth chwyciła mnie od tyłu za ramię. – Gdzie ty się podziewałeś przez ostatnią godzinę? Wszędzie cię szukałam!

Byłem tak zdziwiony, że zabrakło mi słów.

– Byłem tu przez cały czas – odparłem słabym głosem, syćąc się każdą sekundą, w której spoglądały na mnie wielkie brązowe oczy.

– Nieprawda. Przechodziłam tędy pięć minut temu i wcale cię nie widziałam.

Wszystko w porządku? – wyglądała na zaniepokojoną. – Jesteś bardzo błądy –

przyłożyła dłoń do mojego czoła. – Jadłeś coś?

Potrząsnąłem głową.

– Właśnie podgrzałam pizzę. Przyniosę ci kawałek, dobrze? Jaką chcesz?

– Z oliwkami. Uwielbiam oliwki.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Dobrze – odparła powoli. – Przyniosę ci pizzę z oliwkami, tylko znowu nie znikaj, okay? Chcę cię przedstawić kilku osobom.

Pokiwiałem głową.

Chwilę później wynurzyła się z kuchni z ogromnym kawałkiem pizzy,

pachnącej tak apetycznie, że mój żołądek głośno zaburczał z radości. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że jestem głodny. Wyciągnąłem

rękę, żeby odebrać talerz, ale jej oczy pociemniały, twarz ściągnęła się w gniewie. Cofnęła rękę.

– Niech cię diabli, Ivan! Gdzie ty się znowu podziewałeś? – wymamrotała, rozglądając się.

Poczułem tak wielką słabość w kolanach, że nie byłem w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Upadłem na trawę przy murku, opierając łokcie

na udach.

– Zaczyna się, prawda? – Usłyszałem cichutki szept. Poczułem na szyi ciepły, pachnący słodyczkami oddech Luke’a.

Mogłem jedynie pokiwać głową.

To właśnie jest moment, kiedy kończy się dobra zabawa. Ta chwila

zdecydowanie nie należała do moich ulubionych.

39

Czułem w stopach każdy przebyty kilometr, każdy krok, każdy kamień

brukowy i żwirek. Dotarłem do szpitala zmęczony i kompletnie wyczerpany. Był

jednak jeszcze jeden przyjaciel, który mnie potrzebował.

Kiedy pojawiłem się w pokoju, Oliwia i Opal wyczytały wszystko z mojej twarzy. Na pewno dostrzegły emanujące ze mnie ciemne kolory i

zgarbione ramiona, jakby nagle spoczął na nich cały ciężar świata. Jedno spojrzenie w ich oczy i zrozumiałem, że wiedzą – to przecież część

naszej pracy. Przynajmniej dwa razy do roku spotykamy specjalnych ludzi, którzy absorbują nas dniem i nocą, zajmują nasze myśli i za każdym

razem musimy przechodzić przez proces tracerania ich. Opal lubiła nam powtarzać, że tak naprawdę to wcale ich nie tracimy, że po prostu

zaczynają kolejny etap życia. Nie mogłem jednak pogodzić tej myśli z uczuciem, że tracę Elizabeth. Nie byłem w stanie spowodować, żeby nadal

mnie widziała, i czułem, że wylizguje mi się z rąk. Co takiego zyskałem? Co takiego zdobyłem? Za każdym razem, kiedy musiałem opuścić

przyjaciela, czułem się tak samo samotny jak przed poznaniem go. W przypadku Elizabeth byłem jeszcze bardziej samotny, ponieważ wiedziałem,

co tracę. Oto pytanie za milion dolarów. Co zyskują na tym nasi przyjaciele?

Szczęśliwe zakończenie?

Czy mogłem nazwać obecną sytuację Elizabeth szczęśliwym zakończeniem?

Matkowała sześciolatki wbrew swojej woli, martwiła się o zaginioną siostrę, o matkę, która ją porzuciła, i o ojca z trudnym charakterem. Jej życie było dokładnie takie samo jak w dniu, w którym się pojawiłem, czyż nie?

Zgadywałem jednak, iż dla Elizabeth to jeszcze nie koniec. Pamietaj o szczegółach, powtarzała zawsze Opal. Przypuszczam, że w przypadku Elizabeth zmieniło się przede wszystkim jej nastawienie do życia, sposób myślenia. Wszystko, co robiłem, miało na celu zasianie ziarna nadziei. Teraz już tylko ona mogła pomóc mu wzrosnąć. Ponieważ zaś przestawała mnie widzieć, być może udało mi się osiągnąć cel.

Usiadłem w rogu szpitalnego pokoju, przyglądając się Opal. Trzymała kurczowo dłoń Geoffreya, jakby tylko to ratowało ją przed rynchłą śmiercią. Może zreszta tak było. Widziałem w jej wzroku, że jest gotowa zrobić wszystko, aby życie było takie jak dawniej. Zawartaby pakt z samym diabłem, gdyby to miało zwrócić jej ukochanego. Dla niego poszłaby do piekła i z powrotem, stawiała czoło wszystkim niebezpieczeństwom.

Co byśmy zrobili, gdybyśmy mogli cofnąć czas? Wszystko to, czego nie zrobiliśmy za pierwszym razem.

Opal rozmawiała z Geoffreym za pośrednictwem Olivii. Starzec nie mógł już odpowiadać. Po policzkach Opal toczyły się łzy wielkie jak groch, rozpryskując się na umęczonych dłoniach mężczyzny. Jej dolna warga drżała w płaczu. Opal nie była gotowa, żeby pozwolić mu odejść. Nigdy nie była, a teraz czas się kończył. Geoffrey odchodził, a Opal nie zdolała się z tym pogodzić.

Traciła go. W tej chwili życie wydało mi się beznadziejne – przynębiające niczym popekana niebieska farba na ścianach tego budynku, postawionego po to, aby leczyć w nim ludzi. Geoffrey powoli podniósł dłoń. Widać było, że wkłada w to całą swoją siłę.

Zdziwiło to wszystkich, ponieważ nie odzywał się ani nie reagował na nic od kilku dni. Najbardziej zaskoczona była Opal, która nagle poczuła dotknięcie jego dłoni na swoim policzku. Staruszek otarł delikatnie łzy z jej twarzy. Wreszcie, po dwudziestu latach znowu ją zobaczył. Opal ucałowała jego dużą dłoń i pozwoliła, aby pogładził ją po drobnej twarzy, pocieszając w żalości.

Geoffrey wydal z siebie ostatnie tchnienie, jego pierś uniosła się jeszcze raz i opadła. Opal straciła swojego ukochanego. Zastanawiałem się, czy nadal usiłuje sobie wmówić, że po prostu osiągnął kolejny etap w swoim życiu. Musiałem pożegnać się właściwie z Elizabeth, powiedzieć jej prawdę o sobie. Nie chciałem, żeby myślała, że uciekłem od niej, porzuciłem ją – żeby przez całe lata myślała z goryczą o mężczyźnie, którego kochała, a który złamał jej serce. To byłoby dla niej zbyt proste. Dalaoby jej usprawiedliwienie do niezakochiwania się nigdy więcej w życiu. Nie chciałem, żeby tak jak Geoffrey, czekała na mój powrót i umarła samotna.

Wstałem i pocałowałem Opal w czubek głowy. Olivia skinęła głową zachęcająco. Opal nadal siedziała przy łóżku, trzymając dłoń Geoffreya i głośno zawodząc. Rozpoznałem płacz złamanego serca. Dopiero na zewnątrz zauważyłem, że policzki mam mokre od łez. Zacząłem biec.

Elizabeth śniła, że jest w pustym białym pokoju i tańczy, rozpryskując wokolo kolorowe farby. Śpiewała piosenkę, której od kilku miesięcy nie mogła zapamiętać.

Czuła się szczęśliwa i wolna, podskakując w pustym pokoju i obserwując, jak gęsta farba ląduje na ścianie z cichymi plaśnięciami. – Elizabeth – wyszeptał ktoś. Nie przerywała tańca. Nie było tu nikogo. – Elizabeth – usłyszała i zadrżała lekko. – Mmm? – mruknęła radośnie. – Obudź się, Elizabeth. Muszę z tobą porozmawiać.

Uchyliła powieki i dostrzegła zmartwioną twarz Mana. Potarła powieki i przez chwilę oboje spoglądali sobie głęboko w oczy. Wreszcie Elizabeth przegrała bitwę z sennością. Śniła, wiedziała o tym znakomicie. Nie potrafiła utrzymać otwartych oczu.

– Słyszysz mnie? – Uhm – odparła, wirując, wirując, wirując. – Elizabeth, przyszedłem się z tobą pożegnać. – Dlaczego? – wymruczała sennie. – Dopiero co przyszedłeś. Śpij. – Nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę. Muszę odejść. Pamiętasz, powiedziałem ci, że to się stanie.

Poczuła na szyj jego ciepły oddech, wciągnęła w nozdrza zapach jego skóry, świeży i słodki, jakby wykapał się w jagodach. – Mhm – odparła. – Aniark Kejab – dodała, malując na ścianach krzaki jagód. Wyciągnęła rękę i spróbowała farby, jakby została świeżo zrobiona z owoców. – Coś w tym stylu. Już mnie nie potrzebujesz, Elizabeth – powiedział cicho. – Przystaniesz mnie widzieć. Ktoś inny teraz mnie potrzebuje.

Przesunęła dłońią po jego twarzy, czując gładką, ogoloną skórę. Przebiegła przez pokój, przesuwałając dłońią po świeżej plamie czerwonej farby. Smakowała jak truskawki. Spojrzała na puszkę farby i zobaczyła w niej pełno owoców.

– Zrozumiałem coś dzięki tobie, Elizabeth. Zrozumiałem, jaki jest mój cel, i to, że moje życie wcale tak bardzo nie różni się od twojego. – Mhmmm – uśmiechnęła się. – Życie składa się ze spotkań i rozstań. Ludzie pojawiają się w twoim życiu każdego dnia, witasz się z nimi, potem żegnasz. Niektórzy zostają kilka minut, inni kilka miesięcy, może rok, a czasem całe życie. Niezależnie od tego, kto to jest, spotykacie się, a potem rozstajecie. Ciesz się, że cię poznałem, Elizabeth Egan.

Dziękuję za to mojej szczęśliwej gwiazdzie. Wydaje mi się, że pragnąłem tego przez całe moje życie – wyszeptał. – Teraz jednak przyszedł czas rozstania. – Mmmmm – wymruczała sennie. – Nie odchodź – był teraz razem z nią w pokoju, biegali razem, ganiając się, ochlapując farbami i przedrzeźniając. Nie chciała, żeby zniknął, tak dobrze się bawiła.

– Muszę. – Jego głos zadrżał. – Proszę, zrozum. Słysząc dzwiny ton w jego głosie przestała biegać. Pędzel wypadł jej z ręki na podłogę, zostawiając czerwoną smugę na nowiutkim białym dywanie. Spojrzała na niego. Twarz Mana była ściągnięta w smutku.

– Pokochałem cię od chwili, gdy cię zobaczyłem, i zawsze będę cię kochał, Elizabeth. Poczuła, jak delikatnie całuje ją poniżej lewego ucha. Było to tak mile, że nie chciała, by przestał. – Ja też cię kocham – odparła zaspanyim głosem.

Niestety, pocałunek się skończył. Elizabeth rozejrzała się po zachłapanym farbą pokoju. Była sama. Otworzyła gwałtownie oczy na dźwięk własnego głosu. Czyżby przed chwilą powiedziała „kocham cię”? Wsparła się na łokciu i sennie rozejrzała po pokoju.

Pusto. Była tu sama. Słońce wschodziło ponad wzgórzami. Noc dobiegła końca i zaczynał się nowy dzień. Elizabeth zamknęła oczy i pogrążyła się we śnie.

40 Tydzień później, w niedzielny poranek Elizabeth zmywała podłogę w domu, nadal ubrana w piżame. Człapała w kapciach od pokoju do pokoju, stawiała w progu każdego z nich i rozglądała się, szukając... czegoś, chociaż nie wiedziała czego.

Żadne z pomieszczeń nie udzieliło jej odpowiedzi, więc Elizabeth poszła wreszcie do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę. Z ciepłym kubkiem w dłoniach stanęła w przedpokoju, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Zazwyczaj nie poruszała się tak powoli, a jej umysł nigdy przedtem nie był tak bardzo zamglony. Ostatnio jednak zmieniła się, i to bardzo.

Nie to, że nie miała nic do roboty. Cały dom czekał na codwutygodniowe generalne porządki, a poza tym nadal pozostawał problem z wykończeniem bawialni dla dzieci w hotelu. Jakim wykończeniem – przecież nawet jeszcze nie zaczęła.

Vincent i Benjamin cały czas domagali się efektów i Elizabeth zamartwiała się dniami i nocami, co zrobić z tym fantem. A że była perfekcjonistką, nie potrafiła rozpocząć pracy, dopóki pomysł nie wykrystalizował się całkowicie w jej głowie.

Nie mogła przekazać zlecenia Poppy, ponieważ oznaczałoby to całkowitą klęskę zawodową. Była utalentowaną profesjonalistką, ale w tym miesiącu znowu poczuła się jak uczennica z podstawówki. Nie obchodziły jej kredki i unikalna laptopa, jak dziecko, które nie chce odrobić pracy domowej. Szukała powodu, dla którego mogłaby zapomnieć o zleceniu, porządnego usprawiedliwienia, które oderwałoby ją od tego dziwnego braku weny.

Nie widziała się z Nanem od dnia przyjęcia urodzinowego. Nie zadzwonił do niej, nie napisał. Nic. Zupełnie, jakby zniknął z powierzchni ziemi. Elizabeth była zła, ale jednocześnie czuła się bardzo samotna. Tęskniła za nim.

Wybiła jedenasta rano i bawialnia w jej domu ożyła ogłosami kreskówek z telewizora. Elizabeth ruszyła w kierunku pokoju i zajrzała do środka.

– Mogę się przyłączyć? – spytała. Miała ochotę dodać: obiecuję, że nie będę się odzywać. Luke wyglądał na zdziwionego, ale przytaknął. Siedział na podłodze, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Wyglądał, jakby nie było mu zbyt wygodnie, ale Elizabeth postanowiła się nie odzywać, zamiast go krytykować. Opadła na poduchę wypelnioną grochem i podkuiliła nogi. – Co oglądasz? – SpongeBoba[7] Kanciastoportego. – Co takiego? – roześmiała się. – Spongebob Kanciastoporty – powtórzył Luke, nie odrywając wzroku od telewizora. – O czym to jest?

– O gąbce zwanej Bob, która nosi kanciasie portki – zachichotał.

– Fajny film?

– Uhm – pokiwał głową. – Chociaż widziałem go już dwa razy. – Włożył

niezgrabnie do buzi łyżkę z płatkami śniadaniowymi Rice Krispies. Mleko popłynęło mu po brodzie.

– Dlaczego znowu to oglądasz? Nie chciałbyś wyjść na dwór i pobawić się z Samem? Siedział tu przez cały weekend.

Nie odpowiedział.

– Właściwie to gdzie jest Sam? Wyjechał?

– Już się nie przyjaźnimy – odparł Luke ze smutkiem.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona Elizabeth, prostując się i odstawiając kubek na podłogę.

Luke wzruszył ramionami.

– Pokłóciście się o coś? – spytała łagodnie Elizabeth.

Luke potrząsnął głową.

– Powiedział coś, co cię zasmucilo? – nie ustępowała.

Zhów zaprzeczył.

– Zezłościłeś go?

Potrząsnął głową.

– W takim razie co się stało?

– Nic. Po prostu powiedział mi pewnego dnia, że już nie chce być moim przyjacielem.

– To bardzo nieładnie z jego strony – odparła Elizabeth. – Chcesz, żebym z nim porozmawiała i dowiedziała się, dlaczego to powiedział?

Luke wzruszył ramionami. Oboje milczeli, gdy zamysłony mławy wpatrywał się w telewizor.

– Wiem dobrze, jak to jest, kiedy się tęskni za przyjacielem. Pamiętasz mojego przyjaciela, Ivana?

– Był też moim przyjacielem.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Elizabeth. – Widzisz, bardzo za nim tęsknię.

Nie widziałam go od tygodnia.

– Tak, wiem, poszedł sobie. Powiedział mi, że teraz musi pomóc komuś innemu.

Elizabeth spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Czula, jak wybiera w niej gniew. Ivan nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby się z nią pożegnać.

– Kiedy ci to powiedział? Pożegnał się z tobą? Co takiego mówił? – Przeszła zarzucać Luke'a pytaniami, widząc jego zdziwione spojrzenie.

Musiąla pamiętać, że miał tylko sześć lat.

– Pożegnał się ze mną tego samego dnia, co z tobą – odparł wysokim z niedowierzania głosem. Skrzywił się i spojrzal na nią jak na wariatkę.

Gdyby Elizabeth nie czuła się w tej chwili kompletnie zagubiona, zapewne roześmiałaby się, widząc tę minę. Jednak w tej chwili nie było jej do śmiechu. Zastanowiła się przez chwilę.

– Co takiego? O czym ty mówisz? – wybuchnęła wreszcie.

– Po przyjęciu w ogrodzie przyszedł do domu i powiedział mi, że jego zadanie tutaj się skończyło i stanie się znowu niewidzialny, ale zawsze będzie w pobliżu.

Powiedział, że wszystko będzie z nami w porządku – dodał radośnie, znów koncentrując się na oglądaniu kreskówki.

– Niewidzialny – powtórzyła Elizabeth, jakby to słowo było przesycone goryczą.

– Tak – uradował się Luke. – W końcu ludzie nie bez powodu nazywają go niewidzialnym przyjacielem, prawda? – klepnął się w czoło i przewrócił na podłogę.

– Co on ci wmówił? – wymamrotała rozeźlona Elizabeth. Zastanawiała się, czy wprowadzanie kogoś takiego jak Ivan w życie Luke'a było

dobrym pomysłem. –

Zamierza wrócić? Luke przyciszył odbiornik i spojrzal na nią z tym samym zaskoczonym wyrazem twarzy.

– Pewnie, że nie. Powiedział ci to przecież.

– Nie powiedział... – przerwała, niezdolna wymówić ani słowa więcej.

– Właśnie, że tak, w twojej sypialni. Widziałem, jak tam wchodził. Słyszałem, jak z tobą rozmawia.

Elizabeth przypomniała sobie tamtą noc, sen, który miała i o którym myślała przez cały tydzień. Nagle zrozumiała z bólem serca, że wcale nie był snem.

Straciła go. W snach i w życiu, straciła Ivana.

41

– Witaj, Elizabeth. – Mama Sama otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ją do środka.

– Witaj – przywitała się Elizabeth. Fiona zniosła jej znajomość z Ivanem nader dobrze. Nie rozmawiali o tym wprawdzie, ale nadal była dla niej bardzo uprzejma.

Elizabeth była jej za to wdzięczna, bo inaczej nie zniosłaby tej dziwacznej sytuacji.

Niestety, martwiła się, że Sam nie odebrał tego wszystkiego zbyt dobrze. –

Przyszłam, żeby porozmawiać z Samem, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Luke jest bardzo smutny, ponieważ przestali się przyjaźnić.

Fiona spojrzała na nią z widoczną przykrością.

– Wiem. Próbuję z nim o tym rozmawiać już od tygodnia. Może tobie uda się coś osiągnąć.

– Powiedział ci, o co się pokłócił?

Fiona pokiwała głową, usiłując ukryć uśmiech.

– Chodzi o Ivana? – spytała zmartwiona Elizabeth. Zawsze martwiła się, czy Sam nie będzie zazdrosny o to, że Ivan spędza tyle czasu z nią i Lukiem, dlatego zawsze zapraszała go do siebie, żeby cała trójka mogła się bawić razem.

– Tak – potwierdziła Fiona, uśmiechając się szerzej. – Dzieci w tym wieku mają swoje dziwactwa, prawda?

Elizabeth rozluźniła się nieco, słysząc, że Fiona najwyraźniej nie widzi nic złego w jej znajomości z Ivanem i nie uważa, żeby czas, który spędzał z nią i Lukiem, wpłynął w jakikolwiek sposób na zachowanie Sama.

– Najlepiej, żeby sam ci to wytłumaczył – ciągnęła Fiona, prowadząc Elizabeth do pokoju syna.

Elizabeth powstrzymywała się z całych sił od sprawdzania, czy Ivan jest w domu. Chciała pomóc Luke'owi, ale jednocześnie próbowała pomóc sobie.

Odnalezienie i odzyskanie dwóch przyjaciół było lepsze niż odzyskanie jednego, a ona bardzo pragnęła być z Ivanem.

Fiona otworzyła drzwi do bawialni i wprowadziła Elizabeth.

– Sam, kochanie, przyszła mama Luke'a. Chciała z tobą porozmawiać –

powiedziała łagodnie.

Elizabeth poczuła dziwne ciepło rozlewające się po jej ciele, kiedy usłyszała te słowa.

Sam zastopował PlayStation i spojrzal na nią ze smutkiem w brązowych oczach. Elizabeth przygryzła wargę i siłą powstrzymała się od uśmiechu. Fiona zostawiła ich samych.

– Cześć, Sam. Mogę usiąść?

Skinął głową. Elizabeth przysiadła na brzegu kanapy.

– Luke powiedział mi, że nie chcesz już być jego przyjacielem. Czy to prawda?

Bez odrobiny wstydu pokiwał głową.

– Powiesz mi dlaczego?

Zastanowił się przez chwilę.

– Nie lubię się bawić w to samo, co on.

– Powiedziałeś mu o tym?

Pokiwał głową.

– I co ci na to odpowiedział?

Sam spojrzal na nią zdziwiony i wzruszył ramionami.

– Luke jest dziwny.

Elizabeth poczuła gułw w gardle.

– Dlaczego uważasz, że jest dziwny? – spytała nieco agresywnie.

– Na początku to było dosyć zabawne, ale potem mi się znudziło i nie chciałem się już w to bawić, ale Luke nie chciał przestać.

– Bawić w co?

– W różne zabawy z jego niewidzialnym przyjacielem – odparł znudzonym głosem, wykrzywiając się niemilościernie.

Elizabeth poczuła, że jej dłonie są wilgotne od potu.

– Ale jego niewidzialny przyjaciel był u nas tylko przez kilka dni, dawno temu, Sam.

Chłopiec spojrzal na nią dziwnie.

– Przecież pani się też z nim bawiła.

– Co takiego? – spytała zaskoczona Elizabeth.

– Ivan Jakmutam – wymamrotał. – Nudny stary Ivan, który przez cały dzień chciał się kręcić w fotelu, rzucać błotem albo bawić w berka.

Każdego dnia tylko Ivan, Ivan i Ivan – krzyknął piskliwie. – A ja go wcale nie widziałem!

– Stucham? Nie widziałeś Ivana? Jak to?

Sam zamyslił się nad odpowiedzią.

– Normalnie, nie widziałem go – odparł, wzruszając ramionami.

– Ale przecież bawiłeś się z nim przez cały czas – Elizabeth przesunęła wilgotnymi dłońmi po włosach.

– Tak, bo Luke się z nim bawił, ale w końcu miałem dość udawania, a Luke nie chciał przestać. Ciagle powtarzał, że ten cały Ivan jest

naprawdę.

Elizabeth dotknęła palcem grzbietu nosa.

– Nie wiem, o czym mówisz, Sam. Ivan jest przyjacielem twojej mamy, prawda?

Sam spojrział na nią zaskoczony.

– Em... nie – odparł.

– Nie?

– Nie – powtórzył z całą pewnością.

– Ale przecież zajmował się tobą i Lukiem. Odbierał cię z mojego domu i zawoził do twojego – zająknęła się Elizabeth.

Sam spojrział na nią zaniepokojony.

– Nie wolno mi chodzić do domu bez opieki, pani Egan.

– Ale... em... znaczy... – Nagle Elizabeth coś się przypomniało. Pstryknęła palcami. Sam podskoczył, przestraszony. – Walka wodna. Co z

walką wodną w ogrodzie? Bawiliśmy się wszyscy czworo, ty, Luke, Ivan i ja, pamiętasz? Pamiętasz, Sam?

– Było nas tylko troje – odparł pobladły chłopiec.

– O czym ty mówisz? – spytała głośniej, niż zamierzała.

Sam skurczył się i zaczął bezgłośnie płakać.

– Och, nie, proszę, nie płacz, Sam – przestraszyła się Elizabeth. – Ja nie chciałam – wyciągnęła do niego ramiona, ale uciekł od niej, wolaając matkę. –

Przepraszam, Sam. Proszę, uspokój się. Ciiiiiii... o mój Boże! – jęknęła, słysząc nadchodzącą Fionę. – Tak mi przykro, Fiona – powiedziała.

– Nic nie szkodzi – Fiona wyglądała na nieco zmartwioną. – Sam jest trochę wrażliwy na tym punkcie.

– Rozumiem – zachłysnęła się Elizabeth. – Chodzi o Ivana – przeknęła głośno. – Znasz go, prawda?

Fiona zmarszczyła brwi.

– Znam kogo?

Serce Elizabeth przyspieszyło.

– Przecież byłwał tu wcześniej, prawda?

Fiona uśmiechnęła się.

– O tak, przychodził tu wiele razy z Lukiem. Raz nawet został na kolacji –

mrugnęła do niej.

Elizabeth rozluźniła się, ale nie była pewna, jak ma zinterpretować to mrugnęcie. Przyłożyła dłoń do serca, które zwinłino już nieco.

– Uff, Fiona, dzięki Bogu – roześmiała się z ulgą. – Przez chwilę myślałam, że zwańowałam.

– Och, nie bądź głuptasem – Fiona poklepała ją po ramieniu. – Wszyscy przez to przechodzimy. Kiedy Sam miał dwa lata, stało się dokładnie to samo. Jego przyjaciel nazywał się Kogut – uśmiechnęła się. – Uwier mi, wiem dobrze, co przeżywasz. Otwieranie drzwi do samochodu, gotowanie dodatkowych posiłków, ustawianie dodatkowego nakrycia na stole i tym podobne. Nie martw się, ja rozumiem. Dobrze zrobiłaś, udając, że go widzisz.

Elizabeth poczuła, że kręci jej się w głowie, ale Fiona mówiła dalej:

– Kiedy o tym pomyśleć, to przecież okropna strata jedzenia, prawda? Stoi tam i stygnie, absolutnie niełknięte i uwierz mi, nikt go nie je.

Widziałam. Nie spuszczałam oka z talerza. Nie zamierzam przyjmować u siebie żadnych niewidzialnych dziwaków, co to, to nie!

Elizabeth czuła się coraz słabiej. Chwyciła się oparcia krzesła, żeby nie upaść.

– Cóż, takie są sześciolatki – ciągnęła Fiona. – Jestem pewna, że ten cały Ivan niedługo zniknie. Powiadają, że zazwyczaj wszystko kończy się po dwóch miesiącach, czyli już niedługo. Nie martw się – skończyła i przyjrzała się podejrziwie Elizabeth. – Dobrze się czujesz?

– Powietrze – zachłysnęła się Elizabeth. – Potrzebuję świeżego powietrza.

– Oczywiście. – Fiona poprowadziła ją pospiesznie do drzwi wyjściowych. –

Może napijesz się wody? – spytała zaniepokojona, obserwując, jak Elizabeth zgina się wpot, opierając dłoń o kolana.

– Nie, dziękuję – odparła cicho, prostując się. – Już mi przeszło – odeszła chwiejnie, bez pożegnania, pozostawiając zaniepokojoną Fionę w proggu.

Po powrocie do domu zatrzęsnęła drzwí i osunęła się na podłogę, chwytając głowę w dłonie.

– Ciociu, co się stało? – spytał z niepokojem Luke, stając obok niej w piżamie i boso.

Nie potrafiła wydusić z siebie odpowiedzi. Nie mogła się poruszyć. Przed jej oczami przesuwały się wspomnienia ostatnich kilku dni, wszystkie chwile z Ivanem, ich rozmowy. Przypominała sobie, kto był wtedy w ich pobliżu. Benjamin, Joe także.

Wracała do wspomnień raz po raz, usiłując wydobyc chociaż jedno, w którym Ivan rozmawiałby z kimkolwiek poza nią. Przecież nie mogła sobie go wyobrazić. Była zdrową na umyśle, odpowiedzialną kobietą.

Pobladła na twarzy, wreszcie spojrziała na Luke’a.

– Aniarł Kejab – potrafiła powiedzieć tylko tyle.

– Tak – zachichotał Luke. – To wspak. Fajnie, co nie?

Potrwało chwilę, zanim Elizabeth zrozumiała.

Kraina Bajek.

42

– Ruszać się! – wrzasnęła Elizabeth, naciskając gniewnie klakson. Dwa autokary mijaly się powoli na głównej ulicy Baile na gCroithe. Był sierpień i miasteczko odwiedziła ostatni turyści. Potem to ruchliwe miejsce znów wypełni się ciszą, niczym sala balowa po przyjęciu. Mieszkańcy doprowadzą wszystko do ładu i przez resztę roku będą wspominać ludzi, którzy pojawili się tutaj latem. Studenci wyjadą do swoich college’ów w sąsiednich hrabstwach, miejscowi zaś znów zostaną sami i z trudem będą wiązali koniec z końcem.

Elizabeth wduśiła klakson i zatrąbiła wściekle na stojący przed nią autokar.

Morze niezajomych twarzy odwróciło się w jej kierunku. Za jej plecami z kościoła wysypał się tłum miejscowych, którzy przyszli na niedzielną mszę poranną.

Korzystając ze słonecznego dnia, zgromadzili się w grupkach przy ulicy, rozmawiając i wymieniając spostrzeżenia na temat wydarzeń minionego tygodnia.

Oni również odwrócili się, szukając źródła gniewnego trąbienia. Elizabeth nic to nie obchodziło. Dzisiaj nie zamierzała przestrzegać żadnych zasad. Musiała jak najszybciej dotrzeć do Joego, wiedziała bowiem z całą pewnością, że Joe potwierdzi, iż widział ją z Ivanem. Tak, Joe położy kres temu okrutnemu żartowi.

Zbyt niecierpliwa, aby zczekać, aż autokary miną się wreszcie na wąskiej drodze, zostawiła samochód na ulicy, wyskoczyła z niego i pobięła do kawiarni.

– Joe! – krzyknęła, wpadając przez drzwi. Nie potrafiła ukryć paniki w głosie.

– Ach, tu jesteś. Właśnie ciebie szukałem. – Joe wyszedł z kuchni. – Chcę ci pokazać moją nową cudowną maszynę...

– Nieważne – przerwała mu, ledwie dysząc. – Nie mam czasu. Proszę cię, odpowiedz tylko na jedno moje pytanie. Pamiętasz, bywałam tu

kilka razy z pewnym mężczyzną, prawda?

Joe spojrział na sufit, zastanawiając się. Poczul się bardzo ważny. Elizabeth wstrzymała oddech.

– Tak, pamiętam.

Wypuściła głośno powietrze z płuc.

– Dzięki Bogu – roześmiała się nieco historycznie.

– A teraz czy możesz spojrzeć na moje nowe urządzenie? – spytał z dumą w głosie. – To nowy ekspres do kawy. Robi espresso, cappuccino i wszystko – chwycił

malutką filiżankę. – Coś takiego wystarczy na jeden łyk. Nadaje nowy wymiar wyrażeniu „kropelka czegoś gorącego”.

Elizabeth roześmiała się, uradowana wieściami o Ivanie i nowym ekspresie do kawy. Miała ochotę przeskoczyć przez ladę i uściskać Joego.

– Więc gdzie on jest, ten mężczyzna? – spytał Joe, usiłując zrozumieć, w jaki sposób ma przyrządzić espresso dla Elizabeth.

– Och, nie wiem – jej uśmiech zbladł.

– Wrócił do Ameryki, tak? Mieszka w Nowym Jorku, prawda? Wielkim

Jabłku, tak to chyba nazywają. Widziałem to miasto w telewizji i nie bardzo przypomina mi jabłko.

Serce Elizabeth zabiło mocniej.

– Nie, Joe, nie chodziło mi o Benjaminą. Teraz mówisz o Benjaminie.

– No tak, o tym gościu, z którym byłaś tu parę razy – potwierdził.

– Nie... Elizabeth poczuła rosnący gniew. – To znaczy tak, owszem, byłam tu z nim kilka razy. Pytałam jednak o innego mężczyznę, który tu ze mną przychodził. O

Ivana. Iva-n-a – powtórzyła powoli.

Joe skrzywił się i potrzęsnał głową.

– Nie znam żadnego Ivana.

– Właśnie, że tak – powiedziała z mocą.

– Posłuchaj no. – Joe zdjął okulary i odłożył instrukcję obsługi ekspresu. –

Znam wszystkich w tym mieście i mówię ci jeszcze raz, że nic nie wiem o żadnym klanie i nigdy o nim nie słyszałem.

– Ale Joe, proszę, zastanów się – powiedziała błagalnie Elizabeth. Potem coś sobie przypomniała. – Pamiętasz ten dzień, kiedy zaczęliśmy rozlewać kawę na chodnik? To właśnie Ivan był wtedy ze mną.

– Ach – powiedział Joe ze zrozumieniem. – To jeden z tych niemieckich turystów, tak?

– Nie! – wykrzyknęła sfrustrowana Elizabeth.

– W takim razie skąd jest? – spytał Joe, usiłując ją uspokoić.

– Nie wiem – odparła gniewnie.

– No to jak ma na nazwisko?

Elizabeth przeknęła główno.

– Ja... tego też nie wiem.

– W takim razie jak mam ci pomóc, skoro nie wiesz, skąd pochodzi ani jak ma na nazwisko? Wygląda na to, że ty też niezbyt dobrze go znasz.

O ile pamiętam, tamtego dnia tańczyła na ulicy całkiem sama, jak warialka. Nie wiem, co w ciebie wtedy wstąpiło.

Elizabeth nagle przyszło coś do głowy. Chwyciła kluczyki do samochodu z lady i wybiegła.

– A co z kropelką czegoś gorącego? – zawołał za nią Joe.

– Benjamin – zawołała Elizabeth, trzaskając drzwiami samochodu i biegnąc zwirowaną ścieżką w jego kierunku. Stał z grupką budowniczych, pochylony nad rozpostartymi na stole planami. Wszystkie spojrzenia pobiegły w jej kierunku.

– Mogę z tobą zamienić słówko? – Brakowało jej tchu. Wiatr szalejący na szczycie wzgórza tarmosił jej długie włosy.

– Jasne – odparł Benjamin, prowadząc ją w nieco cichszy zakątek budowy. –

Wszystko w porządku?

– Tak – pokiwiała głową niepewnie. – Po prostu chciałam ci zadać pytanie.

Benjamin spojrzął na nią wyczekująco.

– Poznałeś mojego przyjaciela, Ivana, prawda? – Elizabeth zacisnęła pięść i przestąpiła z nogi na nogę, czekając na odpowiedź.

Benjamin poprawił kask ochronny, przyjrzał się uważnie jej twarzy, oczekując uśmiechu lub potwierdzenia, że żartuje, ale natopkał jedynie poważne, pociemniałe ze strachu i zmartwienia spojrzenie.

– Czy to jakiś żart? – zapytał.

Elizabeth potrząsnęła głową i przygryzła policzek od wewnątrz. Zmarszczyła brwi. Benjamin chrząknął.

– Elizabeth, naprawdę nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– Prawdę – powiedziała szybko. – Chcę, żebyś powiedział mi prawdę. To znaczy chcę, żebyś potwierdził, że go widziałeś, ale to musi być prawda, rozumiesz?

– zatchnęła się.

Benjamin przyjrzał się uważnie jej twarzy i powoli potrząsnął głową.

– Nie? – spytała cicho.

Znów zaprzeczył. Oczy Elizabeth wypełniły się łzami. Uciekła spojrzeniem w bok.

– Dobrze się czujesz? – Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia, ale odsunęła się. – Myślałem, że Ivan to taki żart – powiedział łagodnie, nieco zdezorientowany.

– Nie widziałeś go na spotkaniu z Vincentem?

Potrząsnął głową.

– A na przyjęciu w zeszłym tygodniu?

Zaprzeczył.

– Na mieście, kiedy spacerowaliśmy razem? W bawialni tego dnia, gdy... Ivan napisał to coś na ścianie? – spytała z nadzieją.

– Nie, przykró mi – odparł uprzejmie Benjamin, usiłując ukryć zdziwienie.

Elizabeth spojrzała w bok, na morze, góry i małą uroczą wioskę u ich podnóża.

– Wydawał mi się taki realny – powiedziała wreszcie.

Benjamin nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał.

– Wiesz, jak to jest, kiedy czujesz czyjąś obecność przy tobie? I nawet jeżeli nie wszyscy wierzą w tę osobę, ty wiesz, że ona tam jest?

Benjamin zastanowił się przez chwilę i pokiwiał ze zrozumieniem głową, chociaż Elizabeth nie mogła tego zobaczyć.

– Byłem bardzo blisko z moim dziadkiem. – Kopnął ziarenko żwiru. – Kiedy umarł... moja rodzina nie wierzyła właściwie w nic... ale ja

wiedziałem, że dziadek jest przy mnie przez cały czas. Znałaś Ivana dobrze?

– On mnie lepiej niż ja jego – roześmiała się cicho.

Benjamin usłyszał, jak pociąga nosem, i zobaczył, jak ociera oczy.

– Czy on rzeczywiście istniał? Jest twoim znajomym, który umarł? – spytał, nie rozumiejąc.

– Wierzyłam tak bardzo... – uciącha. – Naprawdę mi pomógł przez ostatnie kilka miesięcy – rozejrzała się dookoła w milczeniu. –

Nienawidziałam tego miasta –

po jej policzku spłynęła łza. – Nienawidziałam każdego źdźbła trawy porastającej te wzgórza, ale Ivan nauczył mnie wielu rzeczy. Tego, że to nie miasto powinno uczynić mnie szczęśliwą. To nie wina Baile na gCroithe, że nie czuję się tu jak w domu.

Nieważne, gdzie się mieszka, liczy się to, co masz tutaj – dotknęła dłońią czoła. –

Chodzi o inny świat, w którym żyje. Świat marzeń, nadziei, wyobraźni i wspomnień.

Jestem w tym świecie szczęśliwa – postukała się po skroni i uśmiechnęła. – A dzięki temu mogę być szczęśliwa tutaj – wyciągnęłam

ramieniem wskazała otaczający ją krajobraz. Zamknęła oczy i pozwoliła, aby wiatr osuszył jej łzy. Rysy jej twarzy złagodniały, kiedy spojrzała z powrotem na Benjaminą. – Pomyślałam, że ze wszystkich ludzi na świecie ty powinieneś to usłyszeć... zrozumieć – odwróciła się w milczeniu i powoli wróciła do samochodu.

Oparty o starą wieżę, Benjamin przyglądał się odchodzącej Elizabeth. Nie znał

jej tak dobrze, jak by chciał, ale miał wrażenie, że pozwoliła mu wejść w swoje życie dużo głębiej niż innym. I z wzajemnością. Rozmawiali

wystarczająco dużo, żeby zorientował się, jak bardzo są do siebie podobni. Nie zauważył, jak Elizabeth dorasta i zmienia się, a teraz jego niespokojna przyjaciółka znalazła wreszcie swoje miejsce na ziemi. Wpatrzył się w widok, który Elizabeth oglądała przez tyle lat, i po raz pierwszy od czasu, kiedy tu przyjechał, otworzyły mu się oczy.

Bardzo wcześniej rano Elizabeth obudziła się i usiadła na łóżku. Rozejrzała się po pokoju, zobaczyła, że jest za kwadrans czwarta. Kiedy przemówiła, jej głos rozbrzmiał pewnością i przekonaniem.

– Do diabła z wami wszystkimi. Właśnie, że wierzę!

Odrzuciła kódrę i wyskoczyła z łóżka, wyobrażając sobie, że słyszy radosny śmiech Ivana.

43

– Gdzie jest Elizabeth? – syknął niecierpliwie Vincent do Benjaminą, tak, żeby nie usłyszał go tłum, który oczekiwał na otwarcie hotelu.

– Nadal w bawialni – westchnął Benjamin, czując na barkach ciężar

betonowych ścian hotelu.

– Nadal? – krzyknął Vincent. Kilka osób spojrzało na nich, przestając zwracać uwagę na przemawiającego właśnie lokalnego polityka, który przyjechał tu, aby oficjalnie przeciąć wstęgę. Plan dzisiejszego dnia przewidywał kilka przemówień przed starą wieżą, która była tu od tysięcy lat, a teraz stała się częścią hotelu.

Niedługo tłum ludzi wejdzie do środka budynku, podziwiając każdy pokój, a Benjamin i Vincent nadal nie wiedzieli, co Elizabeth robi w bawialni. Ostatnim razem widzieli to pomieszczenie cztery dni temu, nadal z białymi ścianami.

Od tamtej pory Elizabeth nie wychodziła z bawialni. Benjamin przynosił jej picie i jedzenie z automatów, które pospiesznie chwyciła z jego rąk i zatrząskiwiała za sobą drzwiami. Nie miał pojęcia, jak będzie wyglądał pokój. Ostatni tydzień jego życia był prawdziwym piekłem, ponieważ musiał użerać się z panikującym Vincentem, którego już dawno przestały bawić rozmowy Elizabeth z niewidzialnym mężczyzną.

Nigdy przedtem nie znajdował się w sytuacji, że któryś z pokoiów w jego hotelu był

wykańczony w ostatnim momencie, już po rozpoczęciu ceremonii otwarcia. Uważał, że to idiotyczne i bardzo nieprofesjonalne.

Przemówienia wreszcie dobiegły końca, nagrodzone uprzejmymi oklaskami i tłum włąrgnął do środka hotelu. Wszyscy przyglądali się nowym meblom, wdychali zapach świeżej farby.

Vincent przeklinał głośno raz po raz, piorunowany gniewnymi spojrzeniami rodziców. Z każdym kolejnym pomieszczeniem zbliżał się do bawialni. Benjamin z trudem znosił napięcie. Został z tylu grupy zwiedzających i przechadzał się po korytarzach nerwowym krokiem. Wśród tłumy rozpoznał wyraźnie znużonego ojca Elizabeth i jej siostrzeńca z nianią. Miał nadzieję, że Elizabeth nie zawiedzie swojej rodziny. Sądząc po ich ostatniej rozmowie, powinna się dla nich postarać, a przynajmniej taką miał nadzieję. W przyszłym tygodniu zamierzał odwiedzić swoje rodzinne miasteczko w Colorado i nie było go stać na kolejne opóźnienia na budowie. Tym razem jego prywatne życie będzie ważniejsze niż zawodowe.

– W porządku, chłopcy i dziewczęta – powiedziała pani przewodnik, zupełnie jak w filmie *Barney i przyjaciele*. – Ten pokój jest przeznaczony specjalnie dla was.

Mamusie i tatusiowie, bardzo proszę odsunąć się do tyłu i przepuścić swoje pociechy, ponieważ to ich bawialnia.

Przy akompaniamentcie ochów i achów, podekscytowanych chichotów i

szeptów dzieci puściły ręce rodziców i pobiegły naprzód. Przewodniczka sięgnęła do klamki i nacisnęła. Drzwi były zamknięte.

– Jezu Chryste! – wymamrotał Vincent, przesłaniając oczy dłońią. – Jesteśmy zrujnowani.

– Chwileczkę, dzieci – przewodniczka spojrzała pytająco na Benjaminą, który wzruszył ramionami i potrząsnął bezradnie głową.

Przewodniczka spróbowała jeszcze raz otworzyć drzwi, ale bezskutecznie.

– Może powinna pani zapukać? – zasugerowało jedno z dzieci. Rodzice roześmiali się radośnie.

– Wiesz, to bardzo dobry pomysł – zgodziła się kobieta, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić.

Zapukała raz i nagle drzwi otworzyły się na oścież. Dzieci powoli weszły do środka.

Zapadła cisza. Benjamin ukrył twarz w dłoniach. Spodziewał się najgorszego.

Nagle wszystko się zmieniło.

– O rany! – zawołało jedno z dzieci. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jedno po drugim zaczęły do siebie krzyczeć z zachwytem:

– Popatrz na to!

– Zobacz tam!

Rozglądały się po pokoju w zdumieniu. Rodzice weszli do środka, a Vincent i Benjamin spojrzeli na siebie zaskoczeni, słysząc pomruki aprobaty. Poppy stanęła w progu z ustami otwartymi ze zdziwienia.

– Przepuście mnie – rzucił grubiaśko Vincent, przepychając się przez tłum.

Benjamin był tuż za nim. To, co zobaczyli, zaparło im dech w piersiach.

Ściany ogromnego pomieszczenia były pokryte niezwykłymi, bardzo

kolorowymi obrazami. Na każdej widniała inna scena. Jedna wydała mu się szczególnie znajoma: troje ludzi podskakiwało radośnie na łące z

wysoką trawą, z ramionami uniesionymi w górę i szerokimi uśmiechami na twarzy, włosami rozwianymi na wietrze, gdy sięgali po...

– Jimny Joe! – wykrzyknął Luke z radością, przyglądając się scenie wraz z innymi dziećmi. Większość z nich milczała, podziwiając obrazek. –

Zobaczcie, to Ivan! – krzyknął i spojrział w kierunku Elizabeth.

Zdziwiony Benjamin spojrział na nią. Stała w rogu pokoju, w starych

dżinsowych ogrodniczkach ubrudzonych farbą. Miała podkrążone z niewyspania oczy, ale pomimo zmęczenia promieniała szczęściem,

chionąc zachwy

odwiedzających. Przepeniiała ją duma, kiedy oczy tłumu zwróciły się ku temu szczególnemu obrazowi.

– Elizabeth! – wyszeptała Edith, zastaniając dłonią usta. – To ty zrobiłaś to wszystko? – Spojrzała na swoją pracodawczynię ze zdziwieniem i dumą zarazem.

Inna scena przedstawiała małą dziewczynkę na łące, przyglądającą się odpływającym w niebo różowym balonom. Na kolejnych obrazach

grupka dzieci bawiła się w bitwę wodną, opryskiwała się farbami i tańczyła na piasku na plaży.

Obok, mała dziewczynka siedziała na zielonej łące, odbywając piknik z krową w słomkowym kapeluszu. Dalej, grupka chłopców i dziewczynek

wspinała się na drzewo. Na suficie Elizabeth namalowała granatowe nocne niebo, pełne spadających gwiazd i odległych planet. Na przeciwległej

do wejścia ścianie umieściła męczyznę i chłopca z lupami w rękach i domalowanymi wąsikami, pochyłających się nad śladami stóp, które

prowadziły przez całą podłogę od ściany do ściany. Elizabeth stworzyła w bawialni nowy, cudowny świat bajek, marzeń, zabaw i przygód.

Benjaminu uderzyło jednak przywiązanie wagi do szczegółów, wyraz szczęścia na twarzach wymalowanych postaci, szczęśliwe uśmiechy czystej dziecięcej radości.

Dostrzegł to u Elizabeth, kiedy przyłapał ją na tańczeniu na łące i gdy przechodziła przez miasto z wodorostami we włosach. Była to mina

kogoś, kto porzucił wszystkie troski i był naprawdę szczęśliwy.

Elizabeth spojrzała na podłogę, na której małe dziecko bawiło się

rozrzuconymi dookoła zabawkami. Chciała się pochylić i powiedzieć coś do dziewczynki, kiedy zauważyła, że mała rozmawia sama ze sobą.

Musiiała to być bardzo poważna konwersacja. Miała wrażenie, że dziecko przedstawia się, rozmawiając z powietrzem.

Elizabeth rozejrzała się po pokoju, odetchnęła głęboko i wciągnęła powietrze w płuca, starając się poczuć znajomy zapach Iwana.

– Dziękuję – wyszeptała, zamykając oczy i wyobrażając sobie, że jest tutaj z nią.

Mała dziewczynka nadal mówiła coś do siebie samej, milkła na chwilę, a potem paplała coś znowu. Nagle zaczęła nucić znajomą melodię.

Elizabeth odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

Stałem przy ścianie w bawialni nowego hotelu, ze łzami w oczach i gulą w gardle. Nie byłem w stanie powiedzieć ani słowa. Nie wiedziałem,

czy kiedykolwiek wróci mi głos. Nie mogłem odenwać wzroku od ścian. Były niczym album rodzinny, w którym utrwalono wszystko, co robilem z

Elizabeth i Lukiem przez ostatnie kilka miesięcy. Zupełnie jakby ktoś przyglądał się nam z daleka, a potem namalował

niezwykle wiernie.

Widząc te obrazy, kolory i spojrzenia postaci wiedziałem, że Elizabeth dużo rozumiała i że nigdy mnie nie zapomni. Obok mnie stali moi

przyjaciele, którzy przyszli tu, aby wspierać mnie w tym szczególnym dniu.

Opal położyła dłoń na moim ramieniu i ścisnęła pokrępiającą.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Ivan – wyszeptała i pocałowała mnie w policzek, bez wątpienia pozostawiając na nim ślad purpurowej

szminki. – Jesteśmy z tobą zawsze, wiesz o tym. Nigdy cię nie opuścimy.

– Dziękuję, Opal, wiem o tym – odparłem, czując ogromne emocje.

Spojrzałem na Arnikę po mojej prawej stronie, Olivię tuż obok niej, Tommy’ego, który przyglądał się ścianom zafascynowany, Jamie-Lynn,

kóra bawiła się z raczkującą dziewczynką, i Bobby’ego, który pokazywał palcem poszczególne sceny i chichotał. Wszyscy pokazali mi uniesione

w górę kciuki.

Wiedziałem, że nigdy nie będę zupełnie sam. Miałem przyjaciół.

Niewidzialni przyjaciele, zmyśleni przyjaciele – nazywajcie nas, jak chcecie.

Może w nas wierzyć, może nie. To wcale nie jest ważne. Jak większość dobrych ludzi, nie istniejemy po to, żeby o nas rozmawiać lub nas

chwalić. Naszą rolą jest pomagać tym, którzy nas potrzebują.

Może w ogóle nas nie ma; może jesteśmy tylko wytworem wyobraźni; może to czysty przypadek, że dwuletnie dzieci, które nie nauczyły się

jeszcze dobrze mówić, decydują się na zaprzyjaźnienie się z istotami, których nie potrafią zobaczyć dorośli.

Może wszyscy ci lekarze i psychoterapeuci mają rację, kiedy mówią, że to po prostu etap w rozwoju wyobraźni dziecka.

A może nie? Może istnieje inne wytłumaczenie, które nie przyszło wam do głowy przez cały czas trwania tej opowieści? Może naprawdę

istniejemy. Jesteśmy tu, żeby pomagać tym, którzy potrzebują naszej obecności, wierzą i dlatego są w stanie nas zobaczyć.

Zawsze trzeba patrzeć na pozytyw. Bez przerwy powtarzam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, chociaż prawdę mówiąc – a ja

zawsze wierzę w prawdę – przez chwilę było mi trudno zrozumieć moją przygodę z Elizabeth. Nie wiedziałem, co na tym zyskałem. Czulem

jedynie, że straciłem ukochaną i że było to niczym wielka, czarna gradowa chmura. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że nie jest tak źle. W

każdej chwili, kiedy myślałem o Elizabeth, uśmiechałem się.

Spotkanie z nią, a przede wszystkim pokochanie jej było najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przydarzyć.

Elizabeth była lepsza niż pizza, oliwki, piątki i wirowanie na fotelu.

I nawet teraz, gdy już jej nie ma z nami, muszę przyznać – chociaż nie powinienem tego mówić – że Elizabeth była zdecydowanie moją

ulubioną przyjaciółką.

[1] Irlandzka policja (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Wąwóz utworzony przez lodowiec w rozcięciu gór, jedna z głównych atrakcji parku narodowego Killarney w Irlandii.

[3] Sir Andrew Lloyd Webber, brytyjski muzyk, twórca wielu znanych

musicali, m.in. *Jesus Christ Superstar* i *Upiora woperze*.

[4] Łańcuch górski w południowo-zachodniej Irlandii na półwyspie Ieragh, na zachód od Killarney. Najwyższy szczyt to Carrantuhill.

[5] Rodzaj tańca irlandzkiego, tańczonego w miękkich lub okutych butach.

[6] Irlandzki bębenek.

[7] *Sponge*, z ang. gąbka.



Document Outline

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [36](#)
- [37](#)
- [38](#)
- [39](#)
- [40](#)
- [41](#)
- [42](#)
- [43](#)